

Ludzie Milenium

Ballard James Graham



calibre 0.9.43

J. G. Ballard

Ludzie millenium

(Millennium People)

Przekład: Radosław Januszewski

1. Bunt w Chelsea Marina

Mała rewolucja była tak skromna i grzeczna, że prawie nikt jej nie zauważył. Stałem u wejścia do Chelsea Marina jak gość na opuszczonym planie filmowym. Przysłuchiwałem się odgłosom porannego ruchu ulicznego na King's Road, pokrzepiającej składance samochodowych odbiorników stereo i syren ambulansów. Za budką strażnika, jak apokaliptyczna wizja bez ścieżki dźwiękowej, rozciągały się uliczki opustoszałego osiedla. Transparenty z hasłami protestacyjnymi zwisały z balkonów. Doliczyłem się mniej więcej tuzina przewróconych samochodów i dwóch wypalonych domów.

Ale nikt z przechodzących obok mnie ludzi, którzy wybrali się na zakupy, nie okazywał zainteresowania. Kolejna balanga w Chelsea wymknęła się spod kontroli, a goście byli zbyt pijani, żeby zdać sobie z tego sprawę. Było w tym trochę prawdy. Większość buntowników, a nawet paru prowodyrów, nie pojęła, co zaszło w tym komfortowym ustroniu. A przecież ci sympatyczni i bardzo intelektualni rewolucjoniści buntowali się przeciw samym sobie.

Nawet ja, David Markham, wykwalifikowany psycholog, przeszmyglony do Chelsea Marina jako policyjny szpieg – o tym podstępnie dowiedziałem się zresztą jako ostatni – nie zdołałem dostrzec, co tu się dzieje. Ale moją uwagę rozproszyła niezwykła przyjaźń z Richardem Gouldem, zapracowanym pediatrą, który stanął na czele rewolty – takim doktorem Moreau w lokalnym wydaniu, jak go ochrzciła Kay Churchill, nasza wspólna kochanka. Wkrótce po naszym pierwszym spotkaniu Richard stracił zainteresowanie Chelsea Marina i zwrócił się ku bardziej radykalnym działaniom rewolucyjnym, które, o czym wiedział, bliższe były mojemu sercu.

Podszedłem do taśm policyjnych odgradzających wjazd do osiedla od King's Road i pokazałem przepustkę dwóm policjantom, czekającym na przyjazd ministra spraw wewnętrznych. Kierowca furgonetki z kwaciarni klócił się z nimi i pokazywał palcem wielki bukiet lilii, leżący obok niego. Domyśliłem się, że któryś z tutejszych mieszkańców, jakiś szczęśliwie żonaty adwokat albo główny księgowy, zbyt był zaabsorbowany rewolucją, żeby odwołać dostawę bukietu urodzinowego dla żony.

Policjanci byli niezłomni. Nie pozwolili kierowcy wjechać na teren osiedla. Wiedzieli, że w tej nigdy nie przestrzegającej prawa społeczności zaszło coś bardzo podejrzanego, skoro wymagało to obecności samego ministra ze switą wysokich urzędników. Goście – radcy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zatroskani duchowni, wyżsi rangą pracownicy socjalni i psychologowie, łącznie ze mną – zaczną lustrację w południe, za godzinę. Nie będzie nas pilnować uzbrojona policja, gdyż założono, że zbuntowana klasa średnia jest zbyt dobrze wychowana, żeby stanowić fizyczne zagrożenie. Ale ja wiedziałem aż za dobrze, że zagrożenie jest realne.

Pozory mogą świadczyć o wszystkim albo o niczym. Policjanci przepuścili mnie, ledwie rzucając okiem na przepustkę. Od tygodni słuchali kazań wygadanych mamusiek w niechlujnych dzinsach, toteż

uznali, że moja modna fryzura, dzieło wizażystów BBC, gołębioszary garnitur i opalenizna z solarium wykluczają, żebym był tubylcem z Chelsea Marina. Tutejsi mieszkańcy woleliby raczej umrzeć, niż ubrać się jak pomniejszy telewizyjny guru albo inteligent-renegat z podejrzanego światka wideokonferencji i seminariów w hotelach przy lotniskach.

Ten garnitur był przebraniem. Włożyłem go po raz pierwszy od pół roku, a podartą skórzaną kurtkę i denimy wepchnąłem do kosza na śmieci. Lekko przeskoczyłem nad policyjnymi taśmami. Byłem znacznie bardziej wysportowany, niż mogło się wydawać posterunkowym. „Akcje przeciwko terrorystom”, jak nazwał je minister spraw wewnętrznych, szybko zahartowały moje ciało, rozleniwione latami przesiadywania w salonikach na lotniskach i w hotelowych atriach. Nawet na mojej żonie, Sally, zawsze tak rozumiejącej, której nic nie było w stanie zaskoczyć, moje muskularne ramiona robiły wrażenie, gdy liczyła siniaki po starciach z policją i ochroniarzami.

Ale to przebranie nie powinno być przesadne. Spojrzałem na swoje odbicie w rozbitej szybie stróżówki i rozluźniłem krawat. Nadal nie byłem pewien, jaką gram rolę. Richarda Goulda widywano ze mną tak często, że posterunkowi powinni mnie rozpoznać jako głównego współnika poszukiwanego terrorysty. Pomachałem do nich, a oni odwrócili się, patrząc, czy na King's Road nie pojawi się limuzyna ministra spraw wewnętrznych. Poczulem ukłucie rozczarowania. Przez kilka sekund chciałem, żeby mnie zatrzymali.

Przede mną rozciągała się Chelsea Marina. Od dwudziestu lat, odkąd powstało osiedle, po raz pierwszy ulice były puste. Mieszkańcy zniknęli, zostawiając strefę ciszy, jakby miejski rezerwat przyrody. Osiemset rodzin uciekło, porzucając wygodne kuchnie, ogródki pełne ziół i saloniki obstawione regałami z książkami. Bez cienia żalu odwrócili się plecami do siebie i wszystkiego, w co kiedyś wierzyli.

Zza dachów dochodził odgłos londyńskiego ruchu, ale cichł, w miarę jak zagłębiałem się w Beaufort Avenue, główną arterię komunikacyjną osiedla. Ogromna metropolia, otaczająca Chelsea Marina, wstrzymywała oddech. Tutaj zaczęła się rewolucja klasy średniej; nie powstanie zrozpaczonego proletariatu, ale rebelia wykształconej klasy profesjonalistów, opoki i kręgosłupa społeczeństwa. W cichych uliczkach, które stanowiły tło niezliczonych przyjęć, chirurdzy i brokerzy ubezpieczeniowi, architekci i dyrektorzy szpitali zbudowali barykady i przewrócili własne samochody, tarasując drogę wozom strażackim i ekipom ratowniczym, które usiłowały nieść im pomoc. Odrzucili jakiegokolwiek propozycje pomocy, nie chcieli zwierzyć się ze swoich krzywd ani nawet powiedzieć, czy w ogóle dzieje się im jakaś krzywda.

Negocjatorzy, przysłani przez rady gminne Kensingtonu i Chelsea, najpierw natknęli się na milczący opór, potem na drwiny, a w końcu w ich kierunku poleciały koktajle Mołotowa. Z niezrozumiałych przyczyn mieszkańcy Chelsea Marina przystąpili do demontażu świata klasy średniej. Rozpalili ogniska z książek i obrazów, zabawek edukacyjnych i magnetowidów. W informacjach telewizyjnych pokazano, jak całe rodziny, trzymając się za ręce, otoczone przewróconymi samochodami, ukazywały w świetle płomieni twarze, na których malowała się duma.

Minąłem strawione przez ogień bmw, leżące do góry kołami przy krawężniku, i zapatrzyłem się na rozpruty zbiornik paliwa. Samolot pasażerski zataczał koła nad śródmieściem Londynu, a setki porozbijanych szyb brzęczały od warkotu jego silników, jakby uwalniały resztki drzemiącego w nich gniewu. O dziwo, ludzie, którzy zniszczyli Chelsea Marina, w ogóle nie okazywali gniewu. Spokojnie pozbyli się swojego świata, jakby wystawiali śmieci przed drzwiami.

Ten niesamowity spokój i, co bardziej niepokojące, obojętność mieszkańców na wysokie kary

pieniężne, które będą musieli zapłacić, przyspieszył wizytę ministra spraw wewnętrznych. Henry Kendall, mój kolega z instytutu, blisko związany z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, powiedział mi, że klasa średnia wzniesła niepokoje również w innych miejscach: na zamożnych przedmieściach Guildford, Leeds i Manchesteru. W całej Anglii kasta profesjonalistów odrzucała wszystko to, na co tak ciężko pracowała.

Patrzyłem, jak samolot pasażerski przelatuje nad miejskim horyzontem Fulham i niknie między gołymi dźwigarami wypalonego domu na końcu Beaufort Avenue. Właściciele domu, dyrektorka miejscowej szkoły i jej mąż, lekarz, opuścili Chelsea Marina wraz z trójką dzieci, do ostatniej chwili broniąc się przed oddziałami prewencji, które wreszcie zdołały ich obezwładnić. Stali na czele rebelii, gotowi zdemaskować rażące niesprawiedliwości, które rządziły ich życiem. Wyobraziłem ich sobie, jak pogrążeni w głębokim transie, krążą bez końca po autostradach w zabłoconym land-roverze.

Dokąd pojechali? Wielu mieszkańców uciekło do swoich wiejskich domów albo do przyjaciół, wspierających ich paczkami żywnościowymi i krzepiącymi e-mailami. Inni wyruszyli w niekończącą się podróż po Krainie Jezior i pogórzu północnej Szkocji. Ciągąc za sobą przyczepy kempingowe, stali się awangardą wędrownego klasy średniej, nowymi Cyganami z uniwersyteckim wykształceniem, którzy znają swoje prawa i gotowi są walczyć o nie z władzami.

Moją gospodynię Kay Churchill, profesor filmoznawstwa w uniwersytecie South Bank, zatrzymała policja. Wypuszczono ją za kaucją. Nadal głosiła rewolucję i rozwodziła się na jej temat w popołudniowym programie telewizji kablowej. Jej ciasny, ale wygodny dom z wytartymi kanapami i fotosami z filmów zatopiły wydajne węże straży pożarnej Chelsea.

Tęskniłem do Kay i jej drżącej korony popielatych włosów, do jej niekonsekwentnych opinii i lejącego się strumieniem wina. To właśnie jej opuszczony dom sprawił, że przybyłem tu na godzinę przez ministrem spraw wewnętrznych. Miałem nadzieję, że mój laptop nadal stoi w salonie Kay na stoliku, na którym kładliśmy plany, opracowując podpalenie Filmoteki Narodowej i Albert Halli. W ostatnich chwilach powstania, gdy policyjne helikoptery wisiały już nad głowami, Kay z takim zapamiętaniem próbowała przekonać przystojnego komendanta straży pożarnej, że dała jego ludziom czas na rozbitcie okien domu strumieniami wody. Sąsiad wyciągnął Kay z domu, ale laptop został i ekipa policyjna na pewno by go znalazła.

Dotarłem do końca Beaufort Avenue, do wymarłego centrum Chelsea Marina. Przy Cadogan Circle stał sześciopiętrowy blok mieszkalny, z balkonów bezwładnie zwisały transparenty, ukazując hasła obojętnej pustce. Przeszedłem przez ulicę w stronę Grosvenor Place i ślepej uliczki, przy której mieszkała Kay, wspomnienia odmiennego, poprzedniego Chelsea. Przy krótkiej alejce mieszkali jeszcze podejrzany handlarz antykami, dwa lesbijskie małżeństwa i alkoholik, pilot concorde'a. Przytulisko dla złego towarzystwa i dobrej zabawy.

Szedłem w stronę zniszczonego domu Kay, przysłuchując się odgłosowi własnych kroków, jak echu stóp sprawcy, na próżno usiłującego uciec z miejsca przestępstwa. Rozstroił mnie widok tyłu pustych domów, potknąłem się o krawężnik i oparłem o wielki kontener wypełniony domowymi rzeczami. Rewolucjoniści, jak zwykle mając na względzie swoich sąsiadów, zamówili tuzin takich kontenerów na tydzień przed rewoltą.

Przy ulicy stało wypalone volvo. Ponieważ przestrzegano zasad, więc przepchnięto je do zatoczki parkingowej. Rebelianci posprzątali po swojej rewolucji. Prawie wszystkie przewrócone samochody postawiono na koła, a w stacyjkach zostawiono kluczyki na użytek ekip sprzątających.

Kontener wypełniony był książkami, raketami do tenisa i zabawkami dla dzieci. Tkwiła w nim też para zwęglonych nart. Obok popalonej szkolnej bluzy leżał prawie nowy wełniany garnitur – ubiór roboczy średniego szczebla menedżera. Wyglądał w otoczeniu śmieci jak porzucony mundur polowy żołnierza, który odłożył karabin i uciekł na wzgórza. Garnitur przyciągał wzrok jak porzucona flaga cywilizacji. Miałem nadzieję, że któryś z urzędników zwróci na to uwagę ministra spraw wewnętrznych. Próbowałem wymyślić jakąś odpowiedź na wypadek, gdyby to właśnie mnie poproszono o komentarz. Jako pracownik Instytutu Adlera, zajmującego się badaniami nad stosunkami pracy i psychologią miejsca pracy, byłem teoretycznie znawcą życia duchowego urzędów i problemów psychicznych menedżerów średniego szczebla. Ale ten garnitur trudny był do wyjaśnienia.

Kay Churchill wiedziała, co odpowiedzieć. Gdy tak szedłem między kałużami przed jej domem, słyszałem w głowie jej głos: autorytatywny, namolny, praktyczny i zupełnie zwariowany. Klasa średnia to nowy proletariatus, ofiara wielusetletniego spisku, zrywająca wreszcie kajdany obowiązku i obywatelskiej odpowiedzialności.

Tym razem absurdałna odpowiedź była prawdopodobnie odpowiedzią właściwą.

Strażacy zalali dom, żeby Kay nie mogła go znów podpalić. Woda kapiała z dachu, nad ceglanym murem unosiła się rzadka mgiełka. Otwarty salon był jak morska grotka, wilgoć zbierała się w pęknięciach na suficie, malując na ścianach gąbczaste gobeliny. Stałem między plakatami Ozu i Bresona, nieomal czekając, że z kuchni wyłoni się Kay z dwiema szklankami i butelką wina od któregoś z wielbicieli i będzie się upierać, że bitwa została wygrana.

Kay wyjechała, ale jej radosny i hałaśliwy świat ciągle tu był – notatki przypominające, że coś trzeba wysłać, przyklepione do lustra nad kominkiem, zaproszenia na wykład od grup anarchistycznych i kopiec białych kamyczków na półce nad kominkiem. Każdy kamień, jak mi powiedziała, był wspomnieniem letniej przygody miłosnej na greckiej plaży. Kropelki wilgoci pokrywały oprawną w ramki fotografię jej córki, teraz nastolatki, mieszkającej w Australii. Fotografię zrobiono w czasie ostatnich wakacji, zanim opiekę nad córką przydzielono jej mężowi. Kay uporała się z tym jakoś, mówiła, że pamięć to pułapka z przynętą, fusy z nocy na szklance ze śladami szminki, ale czasami przyłapywałem ją, jak ścierała łzy z fotografii i przyciskała ramkę do piersi.

Z kanapy, na której sypialiśmy z Kay, pozostał przemoczony kadłub. Mój laptop leżał między scenariuszami filmowymi i magazynami. Twardy dysk zawierał aż nadto dowodów, żeby skazać mnie jako współnika Richarda Goulda. Były tam listy wypożyczalni kaset wideo, które należało podpalić, agencji turystycznych, na które należało napaść, galerii i muzeów, w których należało przeprowadzić sabotaże, oraz wykaz grup, które miały te akcje przeprowadzić. Chcąc zrobić wrażenie na Kay, dodałem notatki o już poczynionych spustoszeniach, rannych sabotażystach i przewidywanych roszczeniach ubezpieczeniowych. Wstukując te niepotrzebne szczegóły, z Kay obejmującą gorącym uściskiem moje ramiona, miałem czasem wrażenie, że właśnie rozwijam dywan, prowadzący mnie prosto do więziennej celi.

Z czułą myślą o Kay wyciągnąłem rękę, żeby poprawić portret jej córki. Odłamek szkła wypadł z ramki i skaleczył mnie w dłoń, lekko przecinając linię życia. Gdy patrzyłem na rozmazaną krew i szukałem chusteczki, uświadomiłem sobie, że to jedyna krew przelana w Chelsea Marina podczas całej rebelii.

Trzymając laptop pod pachą, zamknąłem za sobą drzwi wejściowe. Po raz ostatni popatrzyłem na drewnianą boazerię. W gładkiej, lakierowanej powierzchni dostrzegłem, że jakieś okno porusza się i odbija światło. Otwarty lufcik kołysał się na ostatnim piętrze bloku przy Cadogan Circle. Stało się coś niesamowitego: czyjaś ręka wysunęła się, przetarła szybę, wytrzepała ściereczkę i zniknęła.

Wszedłem na ulicę i skierowałem się w stronę budynku, przechodząc obok wypalonego saaba, stojącego na swoim miejscu parkingowym w zatoczce. Czyżby skwaterzy przeprowadzili się do Chelsea Marina, porzucając miękkie narkotyki i twarde materace? Czy byli gotowi spróbować nowego stylu życia, zmierzyć się z opłacaniem czesnego i należności za lekcje baletu? Czy nasza skromna rewolucja stanie się częścią folklorystycznego kalendarza i będzie świętowana tak, jak świętuje się ostatnią noc przed balem maturalnym albo dwutygodniowe rozgrywki na Wimbledonie?

Przyciskając chusteczkę do skaleczenia, zacząłem naciskać guziki windy w holu bloku. Ku mej irytacji, odcięto w Chelsea Marina elektryczność. Zacząłem wchodzić po schodach, odpoczywając na każdym podejściu. Wszędzie widziałem pootwierane drzwi opuszczonych mieszkań. Byłem jak aktor szukający właściwego wejścia na scenę. Na ostatnie piętro dotarłem z zawrotem głowy. Nie zastanawiając się, popchnąłem przymknięte drzwi i spojrzałem przez pusty salon na skrzydło okna kołyszące się w słońcu.

Na trzecim piętrze w tym bloku mieszkała Vera Blackburn, niegdyś naukowiec pracujący dla rządu i bliska przyjaciółka Kay Churchill. Pamiętałem, że mieszkanie na ostatnim piętrze należało do młodej optyczki i jej męża. Z okien salonu roztaczał się najlepszy widok na Chelsea Marina, wychodziły wprost na Beaufort Avenue, którą miał nadjechać minister spraw wewnętrznych.

Przekroczyłem porzuconą walizkę i wszedłem do pokoju. Niebieska płócienna torba leżała na biurku, na jej boku wytłoczony był znak stołecznej policji. Była to część ekwipunku oddziałów prewencji. W środku powinny być karabinki na gumowe kule, pojemniki z gazem łzawiącym i pałki elektryczne, którymi policja broniła się przed wrogami.

Laptop zaciążył mi w rękę, jakby odebrał półświadomy sygnał ostrzegawczy. Z sypialni dochodziła mnie rozmowa dwojga ludzi. Mężczyzna mówił szorstkim, ale ścisłym tonem, kobieta ostro odpowiadała. Uznałem, że to policjant z koleżanką po fachu pilnują drogi przejazdu ministra. Metodyczni aż do bólu, wytarli okna, żeby dobrze widzieć ministra i jego mędrkowato potakujących doradców. Jeśli znajdą mnie w punkcie obserwacyjnym, gotowi są pomyśleć najgorsze i uznać laptop psychologa za niebezpieczne narzędzie.

Usiłując nie potknąć się o walizkę, wycofałem się w stronę drzwi. Dopiero wtedy spostrzegłem tablice okulistyczne przypięte do ściany nad biurkiem; kojarzyły się z tarczą strzelniczą koła, a pozbawione sensu rzędy liter przypominały zakodowane informacje.

Drzwi do sypialni otworzyły się i do salonu wszedł roztargniony mężczyzna w wyświechtanym garniturze. Słońce miał za plecami, ale widziałem jego chudą twarz i lekki rumieniec na wysokich kościach policzkowych. Zauważył mnie, ale zdawał się zajęty własnymi problemami, zachowywał się tak, jakbym był pacjentem, który wszedł do gabinetu, nie zamówiwszy uprzednio wizyty. Zmęczonym wzrokiem spojrzał przez okno na puste ulice i wypalone domy, przepracowany lekarz usiłujący wykonywać swoje zawodowe obowiązki na ogarniętym wojną bliskowschodnim przedmieściu.

W końcu odwrócił się do mnie i uśmiechnął ciepło. – Davidzie? Wejdz. Wszyscy na ciebie czekamy. Wbrew sobie stwierdziłem, że cieszę mnie jego widok.

2. Bomba w Heathrow

Doktor Richard Gould uwiódł mnie i rozpoczął rewolucję w Chelsea Marina zaledwie cztery miesiące temu, choć nieraz zdawało mi się, że znam tego wyklętego pediatrę od lat studenckich. Był indywidualistą, który zapewne nie uczęszczał na wykłady i nie przystępował do egzaminów, samotnikiem w wymiętym garniturze, studiującym wedle własnego planu zajęć, ale też człowiekiem, któremu udało się uzyskać stopień naukowy i rozpocząć wspaniałą karierę zawodową. Wszedł w nasze życie jak postać z jutrzejszego snu. Był obcym, który uważał za oczywiste, że staniemy się jego oddanymi uczniami.

Pierwszym sygnałem, że nadchodzi, był dzwonek telefonu. Moja komórka zadzwoniła w chwili, gdy mieliśmy jechać na lotnisko Heathrow, na trzydniową konferencję psychologów pracy na Florydzie. Prowadziłem właśnie Sally do wyjścia. Pomyślałem, że to jedna z tych wiadomości z instytutu, które przesyła się w ostatniej chwili, żeby odwołać lot przez Atlantyk – rezygnacja cenionego sekretarza, informacja, że najbliższy kolega jest w szpitalu, pilny e-mail od prezesa spółki, który odkrył teorię archetypów Junga i doszedł do wniosku, że wyznacza to przyszłość wzornictwa przyborów kuchennych.

Oddałem telefon Sally, a sam zacząłem wyciągać walizki do przedpokoju. Sally miała naturalną zdolność sprawiania, że ludzie czuli się lepiej. W ciągu kilku minut kolejki na Heathrow stopnieją, a Atlantyk stanie się gładki jak parkiet do tańca. Stałem przed drzwiami i wypatrywałem wynajętego samochodu. Kilka taksówek zagłębiło się w pierwszy zakręt za Abbey Road, ale natychmiast zajęli je fani Beatlesów pielgrzymujący do studia nagrań albo napchani po uszy lunchem członkowie Brytyjskiego Klubu Krykieta, dostojnym krokiem zdążający z pół gry do niepokojącego, pozbawionego murawy świata. Zamówiłem samochód na dwie godziny przed naszym odlotem do Miami z terminalu numer 3, ale solidny zazwyczaj pan Prashar miał już dwadzieścia minut spóźnienia.

Sally jeszcze rozmawiała przez telefon, gdy wróciłem do pokoju. Opierała się o gzyms kominka, od niechcenia gładząc ręką długie włosy, śliczna jak aktorka z hollywoodzkiego filmu z lat trzydziestych. Lustra wstrzymywały oddech na jej widok.

– A więc... – wyłączyła telefon. – Czekamy i mamy nadzieję.

– Kto to był? Tylko nie mów, że profesor Arnold, proszę. Chwyciła laski w obie dłonie i ruszyła chwiejnie od kominka. Odstąpiłem o krok, jak zwykle pozwalając jej na kapryśne przypomnienie o tym, że jest ułomna. Poprzedniego popołudnia grała w ping ponga z żoną kolegi, laski stały zapomniane przy stole, a ona waliła dzielnie raketką w piłeczkę. Od miesiący nie potrzebowała już lasek, ale nadal sięgała po nie w chwilach napięcia.

– To twój przyjaciel, pan Prashar. – Oparła się o mnie, przyciskając pachnącą głowę do mojego policzka. – Mają problemy na Heathrow. Korki aż do Kew. Uważa, że nie ma sensu wyjeżdżać,

dopóki się nie rozładują.

– A co z lotem?

– Opóźniony. Samoloty nie startują. Całe lotnisko jest zamknięte.

– To co zrobimy?

– Wielkiego drinka – popchnęła mnie w stronę barku. – Prashar zadzwoni za piętnaście minut.

Jak zwykle solidny.

– Masz rację. – Nalewając dwie szkockie z wodą, widziałem przez okno samochód Sally z wyblakłą nalepką informującą o niepełnosprawności kierowcy, przyklejoną do przedniej szyby i wózkiem na tylnym siedzeniu. – Sally, mógłbym poprowadzić. Weźmiemy twój samochód.

– Mój? Nie dasz sobie rady z układem kierowania.

– Kochanie, to ja go zaprojektowałem. Będę się przepychać, włączać reflektory, dużo trąbić. Zostawimy go na parkingu. To lepsze niż siedzieć tutaj.

– Tutaj możemy się upić.

Położyła się na kanapie, unosząc szklankę. Starła się mnie rozruszać. Wojna o sukcesję w instytucie, walka o zastąpienie profesora Arnolda zmęczyły mnie i wykończyły, a ona chciała koniecznie, żebym przeniósł się na drugą stronę Atlantyku. Konferencja w Celebration, modelowej wiosce Disneya na Florydzie, dawała szansę, żeby zaparkować wyczerpanego męża nad brzegiem hotelowego basenu. Wyjazdy zagraniczne były dla niej męczące – drażniąca geometria taksówek i łazienek i ci amerykańscy psycholodzy, którzy w olśniewającej kobiecie kuśtykającej o laskach widzieli szczególny rodzaj erotycznego wyzwania. Ale Sally zawsze była gotowa na to wszystko, nawet jeśli jej jedynym towarzyszem przez większość czasu miał być barek z alkoholami.

Położyłem się obok niej na kanapie, nasze szklanki zetknęły się. Wsłuchiwałem się w ruch uliczny. Hałas był większy niż zazwyczaj. Korek z Heathrow wylewał swoją frustrację na śródmieście Londynu.

– Dziesięć minut. – Dopilem szkocką, nie myśląc już o następnym drinku, ale o tym, który będzie trzeci. – Mam przecucie, że nie zdążymy.

– Odpręż się... – Sally przelała swoją whisky do mojej szklanki. – Przecież wcale nie chcesz jechać.

– I tak, i nie. Konieczność uściśnięcia ręki Myszce Miki napawa mnie zgrozą. Amerykanie uwielbiają te disneyowskie hotele.

– Nie bądź małostkowy. Przypominają im dzieciństwo.

– Dzieciństwo, którego, prawdę mówiąc, nie mieli. A co z resztą – dlaczego właśnie nam przypomina się o amerykańskim dzieciństwie?

– To nowoczesny świat w miniaturze. – Sally powąchała pustą szklankę, jej nozdrza rozdęły się jak skrzela jakiejś egzotycznej i delikatnej ryby. – A przynajmniej możesz się stąd wyrwać.

– Dzięki tym podróżom? Spójrzmy prawdzie w oczy. To tylko złudzenie. Podróż samolotem, wszystkie te sprawy na Heathrow to tylko kolektywny odlot od rzeczywistości. Ludzie podchodzą do punktów odpraw i choć raz w życiu wiedzą, dokąd się udają, biedne sukinsyny, bo to jest wydrukowane na biletach. Spójrz na mnie, Sally, nie jestem lepszy. Wcale nie chcę odlecieć na Florydę, to substytut mojej rezygnacji z instytutu. Nie mam odwagi, żeby odejść naprawdę.

– Masz.

– Jeszcze nie. To bezpieczna przystań, słynny wydział uniwersytecki pełen ambitnych neurotyków. Pomyśl – trzydziestu psychologów ze stopniami akademickimi stłoczonych razem i każdy

z nich nienawidził swojego ojca.

– A ty nie?

– Nigdy go nie spotkałem. To jedyna dobra rzecz, jaką zrobiła dla mnie matka. No dobrze, co z tym Prasharem?

Wstałem i podszedłem do telefonu. Sally podniosła pilot z dywanu i włączyła wiadomości popołudniowe. Pojawił się obraz. Rozpoznałem znajomy hol dworca lotniczego.

– Davidzie... spójrz – Sally usiadła, łapiąc się za laskę stojącą obok jej nogi. – Coś okropnego...

Słuchałem Prashara, ale wzrok miałem utkwiony w obrazie telewizyjnym. Komentarz reportera tonął w zawodzeniu policyjnych syren.

Dziennikarz usunął się sprzed kamery, żeby pokazać sanitariuszy pchających nosze na kółkach przez oszalały tłum pasażerów i personelu lotniczego. Na wpół przytomna kobieta leżała na wózku, ubranie miała w strzępach, ramiona opryskane krwią. Kurz wirował w powietrzu, kłębił się nad butikami i kantorami wymiany walut, jakby oszalały mikroklimat próbował uciec kanałami wentylacyjnymi.

Za wózkiem widać było główne wejście do hali przylotów terminalu numer 3, strzeżone przez policjantów z pistoletami maszynowymi. Udręczona grupka kierowców wynajętych samochodów czekała przy barierze, nazwiska wypisane na kartonach trzymany jak flagi opuścili do połowy masztu. Jakiś mężczyzna z dyrektorską teczką wszedł do hali przylotów. Oderwane rękawy dwurzędowej marynarki odsłaniały zakrwawione ramię. Patrzył na wzniesione ku niemu napisy, jakby próbował sobie przypomnieć własne nazwisko. Dwóch sanitariuszy i hostessa klęczeli na podłodze, opatrując nieprzytomnego pasażera trzymającego kurczowo pustą walizkę bez wieka.

– Pan Markham? – jakiś głos słabo zabrzączał mi w uchu. – Mówi Prashar...

Bezmyślnie wyłączyłem telefon. Podszedłem do kanapy i położyłem uspokajająco ręce na ramionach Sally. Drżała jak dziecko, ocierała palcem nos, jakby obrazy przemocy z ekranu przypomniały jej o wypadku, który o mały włos nie skończył się jej śmiercią.

– Sally, ze mną jesteś bezpieczna.

– W porządku. – Uspokoiła się i wskazała na telewizor. – Bomba była na taśmie z bagażami. Mogliśmy tam być. Czy ktoś zginął?

– Troje zabitych, dwadzieścioro sześcioro rannych... – Czytałem napisy na ekranie. – Miejmy nadzieję, że nie było wśród nich dzieci.

Sally pomajstrowała przy pilocie i pogłośniła telewizor.

– Nie wysłali ostrzeżenia? Informacji dla policji? I czemu podłożyli bombę w poczekalni przylotów?

– Są wśród nas szaleńcy. Szczęście, że z nami wszystko dobrze.

– Z nikim nie jest dobrze.

Pociągnęła mnie za rękę i zmusiła, żebym przy niej usiadł. Razem patrzyliśmy na obrazy z holu. Policja, sanitariusze, obsługa sklepów strefy wolnocłowej pomagali rannym pasażerom dojść do czekających na nich ambulansów. Potem obraz się zmienił, oglądaliśmy amatorski film wideo zrobiony przez pasażera, który wszedł do sali odbioru bagażu wkrótce po wybuchu. Autor tego filmu stał tyłem do stanowisk celnych, najwyraźniej zbyt wstrząśnięty aktem przemocy, który rozdarł zatłoczoną salę, żeby odłożyć kamerę i ofiarować rannym pomoc.

Kurz kłębił się pod sufitem, wirował wokół świetlówek, zwisających ze stropu. Na ziemi leżały przewracane wózki, rozrzucone podmuchem. Oszołomieni pasażerowie siedzieli przy swoich

walizkach, strzępy odzieży zwisały im z pleców pokrytych krwią, strzępami skóry i szkłem.

Kamera wideo zatrzymała się na konwejerze, jego panele rozrzucone były jak gumowe wachlarze. Ze zsuwni wciąż wylatywały walizki, na stos bagaży wypadł zestaw kijów do golfa i dziecięcy wózek.

Trzy metry dalej, na podłodze, siedziało dwóch rannych pasażerów. Jednym z nich był dwudziestokilkuletni mężczyzna w dżinsach i strzępach plastikowej wiatrówki. Kiedy dotarli do niego ratownicy, policjant i strażnik lotniskowy, młody człowiek pocieszał leżącego obok Afrykanina w średnim wieku.

Jakaś ranna pasażerka wpatrywała się na zrzutnię bagażu. Była to kobieta pod czterdziestkę o zdecydowanie zarysowanym czole i chudej, ale atrakcyjnej twarzy. Ciemne włosy miała związane z tyłu głowy. Dopasowany czarny garnitur osypany okruchami szkła wyglądał jak nabijany cekinami frak kelnerki w nocnym klubie. Jeden z odłamków przeciął jej dolną wargę, ale poza tym wydawało się, że nie ucierpiała od wybuchu. Strzepnęła kurz z rękawów i ponuro przyglądała się zamieszaniu: zapracowana profesjonalistka, która spóźnia się na umówione spotkanie.

– Kto to jest, Davidzie...? – Sally znów sięgnęła po laski.

– Nie jestem pewien. – Odszedłem od kanapy i uklęknałem przed ekranem; wydawało mi się, że rozpoznaję tę kobietę. Ale amator-filmowiec odwrócił się, żeby filmować sufit, na którym rura fluorescencyjna buchała kaskadami iskier jak fajerwerk w domu wariatów. – Chyba kogoś rozpoznałem...

– Te kobietę w ciemnym garniturze?

– Trudno powiedzieć. Jej twarz przypomina mi... – popatrzyłem na zegarek, a potem na bagaże w korytarzu. – Przepuściliśmy nasz lot do Miami.

– Nie szkodzi. Ta kobieta, którą zobaczyłeś – to była Laura?

– Tak sądzę. – Wziąłem Sally za ręce, i zauważyłem, jakie są silne. – Była do niej podobna.

– To niemożliwe – Sally usiadła na kanapie, rozglądając się za swoją whisky. Na ekranie znów pokazał się hol. Kierowcy wynajętych samochodów odchodzili, nieśli nisko opuszczone kartony z nazwiskami. – Podają numer telefonu dla krewnych ofiar. Zadzwoń.

– Nie jestem jej krewnym.

– Byłeś jej mężem przez osiem lat – powiedziała Sally rzeczowo, jakby mówiła o członkostwie rozwiązanego klubu obiadowego. – Powiedzą ci, jak się czuje.

– Wyglądała nieźle. Tak, to mogła być Laura. Tak by się zachowywała, zawsze taka niecierpliwa...

– Zadzwoń do Henry'ego Kendalla w instytucie. Będzie wiedział.

– Do Henry'ego? Dlaczego?

– Przecież żyje z Laurą.

– Prawda. Ale nie chcę biedaka straszyć. A jeśli się mylę?

– Nie sądzę, żebyś się mylił – powiedziała Sally swoim najspokojniejszym głosem, jak rozsądna nastolatka mitygująca zdenerwowanych rodziców. – Musisz się dowiedzieć. Laura wiele dla ciebie znaczyła.

– To było dawno.

Świadom lekkiej groźby w jej głosie dodałem:

– Potem, Sally, spotkałem ciebie.

– Zadzwoń do Kendalla.

Odwrociłem się tyłem do telewizora, wziąłem komórkę i zacząłem bębnić palcami po gzymsie kominka. Próbowałem uśmiechnąć się do fotografii przedstawiającej Sally siedzącą w wózku inwalidzkim pomiędzy swoimi rodzicami. Fotografię zrobiono w St Mary's Hospital w dniu naszych zaręczyn. Stałem za nią w białym kitlu i wyglądałem na tak pewnego siebie, jakbym po raz pierwszy w życiu wiedział, że będę szczęśliwy. Komórka zadzwoniła, zanim zdołałem wystukać numer instytutu. Przez hałas tłą, zawodzenie syren karetek i krzyki personelu ratowniczego usłyszałem uniesiony głos Henry'ego Kendalla.

Dzwonił ze szpitala Ashford niedaleko Heathrow. Laure powalił podmuch bomby w terminalu numer 2. Była wśród pierwszych ewakuowanych, zemdląła w izbie przyjęć i teraz leży na oddziale intensywnej opieki medycznej. Henry starał się opanować, ale w głosie słuchać było zakłopotanie i gniew. Przyznał, że prosił Laure, żeby przyleciała późniejszym lotem z Zurychu, bo chciał wziąć udział w zebraniu w instytucie i jeszcze zdążyć wyjechać po nią na lotnisko.

– To posiedzenie Komisji Publikacji... Arnold prosił, żebym mu przewodniczył. Na litość boską, on polecał do druku własną cholerną pracę! Ale gdybym odmówił, Laura nadal byłaby...

– Henry, wszystkim nam się to zdarza. Nie możesz się winić... – próbowałem go pokrzepić, myśląc o struźce krwi płynącej z ust Laury. Z jakiejś przyczyny czułem się osobiście zamieszany w przestępstwo, jakbym to ja umieścił bombę na konwejerze.

Ton wybierania dźwięczał mi w uchu, jak gasnący sygnał z innego świata. Przez kilka minut wszystkie linie łączące mnie z rzeczywistością były odcięte. Popatrzyłem na siebie w lustrze, zaskoczony podróżnym ubraniem: lekką marynarką i sportową koszulą, nietaktownym kostiumem plażowicza, który przyplątał się na pogrzeb. Na policzkach pojawił się już cień, jakby wstrząs spowodowany bombą z Heathrow zmusił brodę do rośnięcia. Twarz miałem znękaną, a minę przebiegłą w specyficznym angielskim sposobie. Malował się na niej nieufny grymas zboczonego nauczyciela z pośledniej prywatnej szkoły podstawowej.

– Davidzie... – Sally wstała, zapominając o laskach. Twarz miała jakby mniejszą, a rysy wyostrome. Usta nad dziecinnym podbródkiem ściągnęła w dziobek. Zabrała mi komórkę i ścisnęła mnie za rękę. – Wszystko w porządku. To Laura miała pecha.

– Wiem – objąłem ją, ale myślałem o bombie. Gdyby terrorysta wybrał terminal numer 3, o godzinę albo dwie później, to Sally i ja mogliśmy leżeć na oddziale intensywnej opieki medycznej. – Bóg wie czemu, ale czuję się za to odpowiedzialny.

– Oczywiście, że tak. Była dla ciebie ważna. – Patrzyła na mnie, łagodnie kiwając głową, prawie przekonana, że przyłapała mnie na niewielkiej, ale wymuszonej gafie. – Musisz tam iść.

– Dokąd? Do instytutu?

– Do szpitala Ashford. Weź mój samochód. Szybciej dojedziesz.

– Po co? Henry jest z nią. Laura nie jest już częścią mojego życia. Sally...?

– Nie dla niej. Dla siebie. – Sally odwróciła się do mnie plecami. – Nie kochasz jej. Wiem o tym. Ale nadal jej nienawidzisz. Dlatego musisz iść.

3. Dlaczego ja?

W godzinę dotarliśmy do szpitala Ashford. Krótka podróż w bardzo odległą przeszłość. Sally prowadziła z werwą i rozmachem, prawą ręką trzymając manetkę gazu zainstalowaną przy kierownicy. Używała jej jak pilot myśliwca, lewą ręką zwalniając dźwignię hamulca, znajdującą się przy uchwycie automatycznej zmiany biegów. To ja zaprojektowałem te urządzenia, z pomocą specjalisty od ergonomiki, który brał wymiary Sally z pieczołowitością krawca z Savile Row. Od tamtego czasu odzyskała pełnię władzy w nogach. Zaproponowałem, że każemy przekonstruować samochód, ale Sally podobały się zaadaptowany układ kierowniczy i szczególne umiejętności, które posiadała tylko ona. Kiedy zrezygnowałem ze zmian, zaczęła mnie drażnić, że w głębi ducha perwersyjnie podniecam się faktem posiadania ułomnej żony.

Bez względu na motywy patrzyłem na nią z mężowską dumą. Kierowała saabem w gęstym popołudniowym ruchu, błyskając reflektorami na przepracowanych policjantów na autostradzie i zaciekle stukając w nalepkę na przedniej szybie głoszącą, że wóz prowadzi inwalidka. Widząc na tylnym siedzeniu wózek, policjanci przepuszczali nas na pas szybkiego ruchu, który tylko tak niezwykła kobieta mogła uznać za przeznaczony wyłącznie dla niej.

Pędziliśmy z błyskającymi światłami awaryjnymi, a ja prawie uwierzyłem, że Sally chce się spotkać ze swoją dawną rywalką, leżącą teraz na oddziale intensywnej opieki medycznej. W pewnym sensie było to wyrównanie rachunków. Sally zawsze widziała swój wypadek jako przypadek, okrutny wyjątek moralnego porządku bytu, który zadziałał na jej niekorzyść.

Zwiedzając z matką labirynt stromych uliczek w Bairro Alto, dzielnicy Lizbony, Sally przechodziła przez ulicę za stojącym tramwajem. Flotyllę starych wagonów z drewnianymi ścianami i ramami z kutego żelaza sprawdzili prawie sto lat wcześniej brytyjscy inżynierowie. Ale urok starości i archeologia przemysłowa mają swoją cenę. Hamulce puściły na kilka sekund. Tramwaj potoczył się do tyłu i zanim zapadka bezpieczeństwa unieruchomiła koła, przewrócił Sally na ziemię i przygniół jej nogi masywnym podwoziem.

Spotkałem Sally w ortopedycznym skrzydle szpitala St Mary. Na pierwszy rzut oka wyglądała na odważną młodą kobietę zdecydowaną wyzdrowieć, ale w tajemniczy sposób nie reagowała na kurację. Miesiące fizjoterapii wyrobiły w niej zgryźliwe usposobienie, a nawet zaowocowały kilkoma pełnymi złościami napadami złości. Przypadkiem usłyszałem jedną z tych tyrad, obrzydliwą awanturę w prywatnej salce szpitalnej i uznałem Sally za zepsutą córeczkę przemysłowca z Birmingham, który lata w odwiedziny firmowym helikopterem i gotów jest ścierpieć każdy kaprys latorośli.

Odwiedzałem szpital raz w tygodniu, nadzorując, z ramienia Instytutu Adlera, nowy system diagnozowania. Zamiast stawać przed zmęczonym konsultantem marzącym o dużym dzinnie i gorącej kąpieli, pacjent siadał przed ekranem i naciskał guziki, odpowiadając na uprzednio nagrane pytania

zadawane przez uśmiechniętego, świeżutkiego lekarza, którego grał sympatyczny aktor. Ku zaskoczeniu i uldze konsultantów, pacjenci woleli obraz komputerowy od prawdziwego lekarza. Chirurg, który chciał postawić Sally na nogi, wiedział, że jej ułomność należała do kategorii „chorób woli”, jak to nazywano w uprzejmym żargonie, toteż zaproponował, żebyśmy i ją posadzili przed prototypem maszyny. Nie miałem zaufania do eksperymentu, w którym pacjenci traktowani byli jak dzieci w pasażu handlowym z grami komputerowymi, ale to właśnie dzięki niemu zbliżyliśmy się z Sally. Przepisałem pytania z programu dla wrzodowców, adaptując je do przypadku Sally, włożyłem biały fartuch, zasiadłem przed kamerą i odegrałem rolę troskliwego lekarza.

Sally radośnie naciskała guziki z odpowiedziami, wylewając z siebie cały gniew na niesprawiedliwość wypadku. Kilka dni później gwałtownie skręciła obok mnie na korytarzu, o mało mnie nie przewracając. Zatrzymała się, żeby przeprosić, i zamurowało ją ze zdziwienia, że istnieję. W następnych dniach wrócił jej dobry humor i zaczęła się zabawiać małpowaniem mojego drętowego aktorstwa. Gdy przysiadalem na jej łóżku, drażniła się ze mną, mówiąc że nie jestem całkiem rzeczywisty. Rozmawialiśmy głosami z taśmy – takie zaloty imbecyli. Na wszelki wypadek nie brałem ich poważnie.

Ale naprawdę zbliżył nas głębszy, niewypowiedziany dialog. Codziennie wpadałem do niej z wizytą, a pielęgniarki mówiły mi, że kiedy się spóźniam, Sally zwleka się z łóżka i szuka mnie, dając sobie przy tym radę bez wózka. Jak wkrótce się przekonałem, była subtelniejszym niż ja psychologiem. Ściskając tom z reprodukcjami obrazów Fridy Kahlo, zapytała mnie, czy umiałbym dowiedzieć się, gdzie powstał tramwaj, który zranił Kahlo w Meksyku. Czy producentem nie była przypadkiem jakaś angielska firma?

Rozumiałem gniew, który łączył obie kobiety, tyle że Frida Kahlo została poważnie zraniona stalową szyną, która przebiła jej macicę i skazała na życie w bólach. Sally przeszła przez ulicę, nie patrząc w lewo ani w prawo i nie straciła nic ze swego uroku. To tylko dziwna obsesja na temat złego losu nie pozwalała jej chodzić. Nie mogąc rozwikłać tej zagadki, uparła się, że jest kaleką na wózku inwalidzkim, dzielącym ciężary życia z innymi ofiarami bezsensownych wypadków.

– A więc zastrajkowałeś – powiedziałem. – Prowadzisz demonstrację na siedząco przeciwko wszechświatu.

– Czekam na odpowiedź, panie Markham. – Bawiła się włosami, oparta o trzy poduszki. – Na to najważniejsze pytanie.

– Mów.

– „Dlaczego ja”? Odpowiedz, jeśli potrafisz.

– Sally... czy to ma jakieś znaczenie? Wszyscy żyjemy tylko przez przypadek. Szansę na to, że nasi rodzice się spotkają, są jak milion do jednego. Jesteśmy losami na loterii.

– Ale loteria nie jest tak pozbawiona sensu. Ktoś zawsze musi wygrać. – Przerwała, żeby przyciągnąć moją uwagę. – Jak nasze spotkanie tutaj. To też nie było pozbawione sensu...

Heathrow było coraz bliżej, podniebne miasto, które opadło na ziemię, na pół stacja kosmiczna, na pół slums. Z autostrady zjechaliśmy w Great West Road, w strefę piętrowych fabryk, firm wynajmu samochodów i wielkich zbiorników. Byliśmy częścią niewidzialnego podmorskiego świata, któremu udało się połączyć tajemnicę z nudą. Na swój sposób pasował do tego fakt, że moja była żona leżała tutaj w szpitalu, nie dając znaku życia ani śmierci, w strefie zawieszonyj pomiędzy jawą a snem.

Sally prowadziła z większą niż zazwyczaj werwą, wyprzedzając od prawej strony, przeskakując skrzyżowanie na czerwonym świetle, zatrąbiła nawet na radiowóz, żeby zjechał jej z drogi. Bomba na Heathrow naładowała ją nową energią. Ten złośliwy, podstępny atak potwierdzał jej podejrzenia co do despotyzmu losu. Przy całej swojej żoninej trosce, chciała odwiedzić szpital Ashford nie tyle dlatego, żeby uwolnić mnie od wspomnień nieszczęśliwego małżeństwa, ale żeby przekonać się, że w bombie podłożonej przez terrorystę nie było sensu ani celowości. Ja tymczasem miałem nadzieję, że Laura doszła do siebie i wraz z Henrym Kendallem jest już w powrotnej drodze do Londynu.

Włączyłem radio i nastawiłem je na sprawozdanie z prac ratunkowych w terminalu numer 2. Port lotniczy został zamknięty do odwołania, gdyż policja szukała materiałów wybuchowych w innych terminalach. Kilka mniejszych bomb, ledwie dostrzeżonych przez prasę, wybuchło już tego lata w Londynie. Były to głównie urządzenia zapalające, dające mnóstwo dymu, do których nie przyznawała się żadna grupa terrorystyczna. Ot, jedna z atrakcji metropolii. Bomby pozostawiono w pasażu handlowym Shepperd's Bush i w kompleksie kin w Chelsea. Nie było żadnych ostrzeżeń i, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ofiar. Ciche szaleństwo trawiło umysł jakiegoś ponurego samotnika, jak świeca niezadowolenia rzucająca coraz dłuższy cień. Kiedy oglądałem pobieżnie lokalną darmową gazetkę, zostawioną przez manikiurzystkę Sally, dowiedziałem się jednak o jeszcze jednym urządzeniu zapalającym, które wywołało pożar McDonalda przy Finchley Road, dwa kilometry od naszego domu. Londyn był trzymany w oblężeniu przez wstydliviego, niewidzialnego wroga.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Sally. – Tylko się nie denerwuj.

Przed wejściem do izby przyjęć migotały światła karetek pogotowia, jak wygłodniałe radary, zdolne wyssać z nieba każdą informację o bólu i ranach. Sanitariusze sączyli herbatę z kubków, gotowi do ponownego wyjazdu na lotnisko Heathrow.

– Sally, musisz być zmęczona – pogładziłem ją po włosach, gdy czekaliśmy na wjazd na parking.
– Chcesz zostać na zewnątrz?

– Wejdę.

– To może być nieprzyjemne.

– Nie, tu jest nieprzyjemnie. To ważne także dla mnie, Davidzie.

Puściła dźwignię hamulca, wjechała ostro na krawężnik i wyminęła jaguara, prowadzonego przez leciwą zakonnice. Ochroniarz nachylił się do szyby od strony Sally, spostrzegł zaadaptowany układ sterowniczy i machnięciem pozwolił nam wjechać na parking pobliskiego supermarketu, w którym policja założyła punkt dowodzenia.

Jaguar zatrzymał się obok nas, zakonnica wysiadła i otworzyła drzwi przed siwowłosym księdzem. Wielebny przybył zapewne udzielać ostatniego namaszczenia. Pomagałem Sally wysiąść i kątem oka spostrzegłem brodatą postać w białym płaszczu przeciwdeszczowym, stojącą u wejścia do izby przyjęć. Mężczyzna patrzył ponad głowami policjantów i kierowców karetek pogotowia, oczy utkwili w milczącym niebie, jakby spodziewał się, że długo oczekiwany samolot przeleci nad szpitalem i zdejmie zakłęcie. Trzymał w ręku damską torebkę, przyciskając ją do piersi, jak respirator, który ma działać cuda.

Z roztargnieniem podał torebkę sanitariuszowi, który coś powiedział. Oczy przysłaniały mu światła karetek, ale widziałem, jak otwiera i zamyka usta w bezgłośnej mowie, skierowanej do nikogo. Mimo tylu wspólnych lat w instytucie, mimo wszystkich męczących klientów i ich niemożliwych sekretarek, po raz pierwszy widziałem Henry'ego Kendalla zupełnie zagubionego.

Sally czekała, aż podniosę ją z siedzenia kierowcy. Gdy zawahałem się, wysunęła nogi z samochodu, oburącz chwyciła za słupki między szybami i wstała. Wokół ciągnęły się nieskończone rzędy zaparkowanych samochodów, milcząca kongregacja czcicieli śmierci.

– Czy coś się stało, Davidzie?

– Chyba tak. Tam jest Harry.

– Bardzo smutny... – Sally spojrzała w ślad za moją uniesioną ręką. – Czeka na ciebie.

– Nie, biedak nie czeka na nic.

– Laura? Niemożliwe, żeby...

– Zostań tu. Porozmawiam z nim. Jeśli cokolwiek usłyszy...

Pięć minut później, po próbach pocieszenia Henry'ego, wróciłem do Sally. Stała przy samochodzie z laskami w dłoniach, jasne włosy opadły jej na ramiona. Z torebką Laury obszedłem jaguara księdza, żałując, że nasza szalona jazda opóźniła jego przybycie choćby o kilka sekund.

Objąłem mocno Sally i poczułem, że drży. Trzymałem torebkę pod pachą i wiedziałem, że śmierć Laury sprawiła, że coś między nami pękło.

4. Ostatni rywal

Gdy wyszedłem z kaplicy i dołączyłem do grupy żałobników stojących w słońcu, pasażerski odrzutowiec zniżał właśnie lot w stronę Heathrow. Patrzyłem, jak kołuje nad Deer Park w Richmond, nad nieużywanym obserwatorium, z którego królewski astronom śledził niegdyś imperialne niebiosy. Być może samolot przywiózł do Londynu ostatnich delegatów na konferencję w Celebration, o skórach przyciemnionych słońcem Florydy i umysłach zdrętwiałych od bełkotu prelegentów.

Rano w gabinecie mojej sekretarki przejrzałem e-mail ze streszczeniem prac. Pewne siebie twierdzenia nowej psychologii zawodowej szybowały nad światem jak regaty balonów, z dala od realiów nowoczesnej śmierci, którą przyszli opłakiwać żałobnicy, zgromadzeni przy krematorium w zachodnim Londynie. Psycholodzy z Instytutu Adlera usiłowali rozbroić konflikty nabrzmiewające w miejscu pracy, ale zagrożenia spoza ich środowiska były coraz bardziej rzeczywiste i bezpośrednie. Nikt nie był bezpieczny przed psychopatą włóczącym się po parkingach i przechowalniach bagażu naszej codzienności. Po raz pierwszy w historii ludzkości światem rządziła złośliwa nuda, przerywana bezsensownymi aktami przemocy.

Samolot ześlizgiwał się nad Twickenham z wypuszczonym podwoziem, pewien, że w Heathrow czeka go twardy grunt. Nadal byłem roztrzęsiony śmiercią Laury; wyobraziłem sobie, jak w ładowniach wybucha bomba, rozsiewając popalone kartki z wykładami z psychologii Nowej Ery nad dachami zachodniego Londynu. Ich strzępy spadłyby deszczem na niewinne wypożyczalnie wideo i chińskie bary serwujące dania na wynos, a potem, jak więdnące kwiaty wieku dezinformacji, zostałyby odczytane przez oszołomione gospodynie domowe.

Moi koledzy z instytutu, skrępowani czarnymi garniturami, stali w grupkach. Organy ochoczo zadzwierały z głośników kaplicy. Henry Kendall mówił coś do mistrza ceremonii, uprzedzając grzeczną postać w niezobowiązującym ubraniu, o wyglądzie starszego portiera, który zawsze jest gotów dostarczyć dodatkowe bilety na najbardziej oblegany show, na tym albo na tamym świecie.

Henry, co zauważyłem z zadowoleniem, otrząsnął się z chwilowej rozpacz, która ogarnęła go przed szpitalem. Zgolił brodę, rozliczając się z przeszłością, i spoglądał w przyszłość, której stawi czoło już bez Laury. Zapuścił brodę tuż po rozpoczęciu ich romansu, a ja zawsze przypuszczałem, że to zły omen. Zestarzał się gwałtownie w czasie spędzonym z Laurą, ale teraz wyglądał młodziej. W oczach miał ten sam blask, z którym przyszedł do Instytutu Adlera.

Skinąłem głową profesorowi Arnoldowi, dyrektorowi instytutu, człowiekowi miłemu, ale przebiegłemu, o umysłowości prawnika, zajmującego się pyskówkami, świadomego, że otaczają go rywale, którzy chętnie zajęliby jego stanowisko. Śmierć Laury przepełniła ich wszystkich poczuciem niepewności, przypominając, jak bardzo Laura nimi gardziła. Byłaby zdumiona obecnością byłych kolegów. „Szarzy ludzie z zahamowaniami, którzy przywarli do wygodnych kocyków bezpieczeństwa” – powiedziała kiedyś. Gdyby usłyszała hołdy wygłaszane ku jej czci z kamiennymi

twarzami, zdmuchnęłaby śmiechem wieko trumny. Latami nalegała, żebym opuścił instytut i zaczął pracować na własną rękę. Twierdziła, że moja lojalność wobec instytutu skrywa w sobie lęk przed dojrzwaniem. Przez ostatnie lata, które spędziliśmy razem, miałem potrzebę bezpieczeństwa, które oferował Adler. Kiedy Laura odeszła z instytutu, żeby założyć własną firmę konsultacyjną, wiedziałem, że nasze małżeństwo to już przeszłość.

Ale w końcu Laura nigdy nie udawała, że oferuje mi bezpieczeństwo. Pamiętałem jej cięte poczucie humoru, depresje, które ujawniały cieplejszą i bardziej interesującą stronę jej osobowości, nagły entuzjazm, który sprawiał, że wszystko wydawało się możliwe. Niestety, jak na nią, byłem zbyt stały i ostrożny. Raz celowo sprowokowała mnie, żebym zatrzasnął drzwi na jej twarzy. Strumień krwi popłynął z wydatnego nosa, stanowiącego jej czule miejsce. Dziwne, ale to właśnie krew na twarzy rannej kobiety przy konwejerze z bagażem sprawiła, że pomyślałem o Laurze. Opuściłem żałobników i poszedłem między eksplodującymi kolorami kwiatami, które przypominały mi inną detonację. Bomba w terminalu numer 2 wybuchła, gdy bagaż lotu British Airways z Zurychu dotarł do konwejera. Nie było ostrzeżenia i żadna organizacja nie przypisała sobie odpowiedzialności za trzy ofiary i wielu rannych. Nic nie wyjaśniało, dlaczego właśnie ci pasażerowie stali się celem: grupa kurierów bankowych, wczasowiczów i szwajcarskich żon odwiedzających mężów rezydujących w Londynie. Laura wygłosiła wykład na prowadzonym przez firmę Nestle seminarium o wielkich miastach. Umarła na oddziale intensywnej opieki medycznej w szpitalu Ashford, pół godziny przed naszym przyjazdem. Odłamek mechanizmu zapłonowego, który zdetonował bombę, rozerwał jej serce.

Wróciłem do kaplicy, zostawiając kwiaty oddające ostatnie błyski w popołudniowym świetle. Żałobnicy wracali do samochodów, gotowi na koncyliacyjne spotkanie, które profesor Arnold zaproponuje zamiast stypy. Henry Kendall stał na stopniach kaplicy, przypatrując się uważnie uczestnikom pogrzebu, jakby chciał poznać mężczyzn, którzy przeszli przez życie Laury. Gdy podszedłem, energicznym krokiem skierował się do samochodu.

– Davidzie... – chwycił mnie za ramię. Wydawał się przyjazny i pewny siebie. – Cieszę się, że przyszedłeś.

– Dobrze poszło – pokazałem za oddalającymi się żałobnikami. – Krótko, ale...
– Laura byłaby wściekła. Te fałszywe mowy pożegnalne. Jestem zaskoczony, że wszyscy przyszli.
– Nie mogli nie przyjść. Wystraszyła ich niemal na śmierć. Wyglądasz...
– Tak, tak... – Henry odwrócił się ode mnie, dotykając ręką policzka. Szukał brody świadom, że jego przystojna twarz i wszystkie jej tajemnice wystawione są na działanie powietrza. Nie po raz pierwszy pomyślałem, że Laura uważała jego wygląd i swoistą bierność za pociągające i atrakcyjne. W jego oczach zawsze byliśmy rywalami. Nie rozumiał, dlaczego nie skorzystałem z szansy, żeby osłabić jego pozycję. Romans z Laurą był częściowo próbą wypłoszenia mnie. Lubiłem go, ale mogłem sobie na to pozwolić, wiedząc, że nigdy nie zostanie dyrektorem Instytutu Adlera.

Wskazałem na mężczyznę w kożuszku, siedzącego teraz samotnie na parkingu z wielkimi rękami opartymi o kierownicę.

– Kto to jest? Jakaś stara miłość Laury?
– Mam nadzieję, że nie. To major Tulloch, były policjant z Gibraltaru. Trochę zawadiaka. Został oddelegowany do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, służy w jakiejś jednostce antyterrorystycznej.
– Zajmuje się bombą z Heathrow? Masz jakieś nowe informacje?
– Trudno wyczuć. Ludzie z wywiadu zawsze wiedzą mniej, niż ci się wydaje. Chciał

porozmawiać z tobą przed mszą, ale wyglądałeś na zaabsorbowanego.

– A ty nie?

– I tak, i nie. – Henry uśmiechnął się przelotnie, ciągle wystawiając mnie na próbę. – Według Tullocha znaleźli podejrzany plakat przy stanowiskach odbioru bagażu w terminalu numer 2.

– Związany z bombą?

– Możliwe. Ktoś wcisnął torbę w szyb wentylacyjny za przegrodą w ubikacji. Załedwie piętnaście metrów od bomby.

– Mogła tam tkwić od miesiący. Albo lat.

Henry spojrzał na mnie i pobłażliwie pokiwał głową, jakby potwierdzało się to, co Laura o mnie mówiła.

– Teoretycznie tak, ale byłbym tu sceptykiem. Niektóre sprawy należy brać dosłownie. W torbie było nagranie z protestem przeciwko wakacyjnym lotom do krajów Trzeciego Świata. Wiesz, turystyka seksualna, betonowanie naturalnego środowiska tubylców, kultura portowa.

– W Szwajcarii?

– Skąd mam wiedzieć? – Wiedząc, że mnie zaintrygował, Henry zniżył głos. – Chcesz porozmawiać z Tullochem? Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ceni nasze doświadczenie.

– W kwestiach gwałtownej śmierci? Nie sadzę, żebym miał jakiegokolwiek doświadczenie w tej mierze.

– Są zaniepokojeni nowymi grupami terrorystycznymi: poszukiwacze mocnych wrażeń z upodobaniem do stosowania przemocy. Ostatnio wybuchało mnóstwo bomb, przeważnie to wyciszano. Prawdę mówiąc, Tulloch pytał, czy chcę dla nich pracować. Oczywiście nieoficjalnie. Dołączać się do demonstracji, stać obok i obserwować, sporządzać mapy rodzącej się psychozy.

– Tajnie?

– Częściowo.

– Zgodzisz się? – czekałem, aż odpowie. – Henry?

– Nie wiem. Na swój sposób jestem to winien Laurze.

– Nic nie jesteś jej winien. Takich grup są setki. „Chronić wieloryba zabójcę” „Ratować wirusa ospy”.

– No właśnie, od czego zacząć? Tulloch twierdzi, że w tym tkwi niebezpieczeństwo.

– Naprawdę? Trzymaj się od tego z daleka, Henry.

– Dobra rada. Może za dobra. – Gdy ściskaliśmy sobie ręce, zapytał: – Po co jechałeś do szpitala? Ashford leży kawał drogi od St John Wood.

– Martwiliśmy się o Laurę. I o ciebie.

– Dobrze. A przy okazji, torebka Laury...?

– Jest w moim samochodzie. Oddam ci ją.

– To ładnie z twojej strony. Otwierałeś ją?

– Nie.

– Znam to uczucie. Są tajemnice, z którymi nikt z nas sobie nie poradzi.

Patrzyłem, jak odjeżdża, zostawiając mnie sam na sam z Tullochem. Pasemka dymu uniosły się nad kominem krematorium, gdy komora spalania rozgrzała się do maksimum. Był tam kłęb ciemniejszego dymu, jakby jakaś część Laury uwolniła się z oków ciała – może dłoń, którą mnie kiedyś pieściła, albo miękka stopa, którą mnie dotykała podczas snu. Patrzyłem, jak dym się unosi

serią wybuchów, jakby zmarła kobieta słała mi sygnały. Pod czarnym garniturem koszulę miałem przesiąkniętą potem. Jej śmierć uwolniła mnie od wszystkich urazów, od całego zapamiętanego bólu. Pamiętałem kapryśną młodą kobietę, którą spotkałem w barze Filmoteki Narodowej i zaprosiłem na nocny seans filmu Antonioniego.

Major Tulloch obserwował mnie z samochodu, a dym unosił się gwałtownie do nieba. Oburzała mnie obecność tego bezczelnego policjanta w rzeźniczym kozuchu, gdy ciało mojej żony rozprasało się po niebie. Ale on wiedział, że chcę znaleźć jej zabójcę, mojego ostatniego rywala.

5. Starcie w Olympii

Wszyscy wokół mnie byli spokojni – to pewny znak, że nadszedł moment kryzysu. Rozgrzani przybyciem ekip telewizyjnych demonstranci stali się stanowczy, świadomość, że większa publiczność podzieli ich oburzenie, dodała im pewności siebie. Powiewali ręcznie wypisanymi afiszami i dobrodusznie szydzili z gości wchodzących na wystawę w Olympii. Policja wyglądała na znudzoną, co też zazwyczaj stanowi znak, że za chwilę użyje siły. Mieli już dość tego bezcelowego protestu jednej grupy miłośników kotów przeciwko drugiej grupie.

Spleciony ramionami z dwiema starszymi kobietami z Wimbledonu stałem w pierwszym szeregu demonstrantów na Hammersmith Road.

Gdy zatrzymano ruch, rzuciliśmy się w stronę obserwującej nas policji przez pas autostrady. Młoda kobieta idąca za mną trzymała w górze transparent.

Szansa dla kotów? Powstrzymać sztuczną hodowlę!

Odchyliłem się do tyłu, usiłując powstrzymać moje partnerki z Wimbledonu przed kolizją z grupą posterunkowych. Dwa miesiące po pogrzebie Laury byłem już weteranem kilkunastu zadym. Wiedziałem, że choć trudno jest odczytać zmiany w psychologii tłumu, nastroje policji są wprost niemożliwe do przewidzenia. W ciągu kilku sekund po odjeździe furgonetki z radiostacją albo po przybyciu wyższego rangą oficera, przyjazne przekomarzenie może się przerodzić w otwartą wrogość. Po gradzie skrycie zadawanych ciosów wycofamy się, zostawiając na chodniku paru siwowłosych mężczyzn z połamanymi afiszami i krwawiącymi nosami.

– Kocur, kocur, kocur... psik, psik, psik!

Znów przebiegliśmy przez jezdnię, pięści zabębniły po dachu taksówki wiozącej następnych gości na wystawę kotów. Gdy dotarliśmy do linii opryskliwych posterunkowych, znów zarejestrowałem, jak wielcy są policjanci, gdy się do nich podejdzie, i jak chętnie interpretują każde zachowanie jako zagrożenie. Wypchnięty naprzód z wiru demonstrantów, otarłem się o małą policjantkę, która wydawała się jeszcze mniejsza w porównaniu ze swymi potężnymi kolegami. Patrzyła przez moje ramię, zupełnie nie bojąc się krzyżącego tłumu. Niemal nie zmieniając postawy, kopnęła mnie dwukrotnie w prawą goleń.

– Pan Markham? Dobrze się pan czuje? Proszę się o mnie oprzeć...

Młoda kobieta z Szansą dla kotów złapała mnie w pól. Skulony w tłumie demonstrantów i policji zacząłem się wycofywać przez Hammersmith Road, kulejąc i skacząc na jednej nodze.

– To było złośliwe. Wcale jej pan nie sprowokował. Panie Markham, może pan oddychać?

Miła i uczuciowa Angela była programistką z Kingston, zamężną matką z dwojgiem dzieci. Dobraliśmy się wkrótce po przybyciu pod Olympic, kupiliśmy bilety i dokonaliśmy zwiadu na wielkim pokazie kotów, z pięciuset wystawcami i tłumem najbardziej rozpieszczonych zwierzątek

domowych.

Chwyciłem ją za rękę i usiadłem na schodkach przed wejściem do kamienicy. Podwinąłem spodnie i dotknąłem wielkiego, podbiegniętego krwiaka, który już zaczął wzbierać.

– Spróbuję się przejść. Chyba... – wskazałem na policjantkę, która teraz skrętnie kierowała ruchem, przepuszczając sznury oczekujących na przejazd samochodów w stronę Kensington i Hammersmith Broadway. – Była złośliwa. Boję się pomyśleć o tym, jaka jest w łóżku.

– Okropna. Niech pan da spokój. – Angela patrzyła przez ulicę przymrużonymi oczami z całym moralnym oburzeniem, na jaki stać mieszkankę przedmieść. Dwie godziny wcześniej, gdy chodziliśmy po terenie wystawy, byłem pod wrażeniem jej niezłomnego oddania dobru tych luksusowych zwierzątek domowych. Wiece protestacyjne, w których ostatnio uczestniczyłem, przeciwko globalizacji, broni atomowej i Bankowi Światowemu, były wprawdzie burzliwe, ale dobrze przemyślane. W przeciwieństwie do nich, ta demonstracja, skierowana przeciwko wystawie kotów w Olympii, wydawała się ujmująco donkiszotowska w swoim oderwaniu od rzeczywistości. Próbowałem zwrócić na to uwagę Angeli, gdy szliśmy wzdłuż rzędu klatek.

– Angelo, one wyglądają na takie szczęśliwe... – wskazywałem na przepiękne okazy – persy, koraty, niebieskie rosyjskie, birmańskie i krótkowłose, drzemiące na nieskazitelnym sianku, z puchatymi futrami błyszczącymi od szamponów i kosmetyków. – Są tak wspaniale utrzymane. Próbujemy uratować je przed niebem.

Angela nie zmieniła kroku.

– Skąd wiesz?

– Po prostu na nie popatrz. – Zatrzymaliśmy się przed rzędem abisyńczyków tak głęboko zanurzonych w luksusie bycia sobą, że ledwie raczyły zauważać tłumy wielbicieli. – Chyba nie są nieszczęśliwe. Chodziłyby w kółko i próbowałyby się uwolnić z klatek.

– Zostały oszołomione narkotykami. – Brwi Angeli ściągnęły się. – Panie Markham, żadne żywe stworzenie nie powinno być trzymane w klatce. To nie jest wystawa kotów. To jest obóz koncentracyjny.

– I tak są wspaniałe.

– Hoduje sieje dla śmierci, nie dla życia. Reszta miotu jest topiona przy urodzeniu. To szkodliwy eksperyment eugeniczny w rodzaju tych, które przeprowadzał doktor Mengele. Proszę o tym pomyśleć, panie Markham.

– Myślę, Angelo...

Zakończyliśmy obchód górnej galerii. Angela zanotowała, gdzie są wyjścia, stare windy i schody, drogi ewakuacji przeciwpożarowej i kamery ochrony. Parter zdominowany był przez stoiska producentów, wystawy różnych specyfików dla kotów, zabawek i drabinek do wspinania, kosmetyków i przyborów do czesania. Każda ziemską przyjemność, której kot mógłby doświadczyć, była tu bogato reprezentowana.

Ale logika nie jest najmocniejszą stroną ruchów protestacyjnych, co odkryłem w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Następnego dnia po pogrzebie Laury zacząłem przeglądać czasopisma z wykazami organizacji i strony internetowe w poszukiwaniu szczegółów, dotyczących co radykalniejszych wieców, które mogły mnie doprowadzić do skrajnych ugrupowań, lubujących się w stosowaniu przemocy. Jedną z tych fanatycznych sekt, sfrustrowana niepowodzeniem w przebijaniu miękkiego podbrzusza mieszczańskiego życia, mogła podłożyć bombę na Heathrow.

Postanowiłem nie kontaktować się z majorem Tullochem i z Ministerstwem Spraw

Wewnętrznych. Na pewno mieli własne sprawy i zamach na Heathrow spisali już na straty, skoro nie służył ich celom. Policja, powiedział mi Henry Kendall, poczyniła niewielkie postępy w dochodzeniu. Nie brali już pod uwagę upchniętej w ubikacji niedaleko terminalu numer 2 torby podróźnej z kasetą magnetofonową. Mętne groźby, dotyczące turystyki do krajów Trzeciego Świata, były wytworem umysłu jakiegoś turysty z plecakiem, wracającego z Goa albo Katmandu, z głową w oparach trawki czy amfetaminy.

Ekipy kryminalistyczne przesiały każdy kawałek szkła, metalu i plastiku. Co ciekawe, nie znaleźli ani śladu detonatora ciśnieniowego, nastawionego na wybuch, gdy samolot znajduje się w powietrzu. Bomba była prostym urządzeniem zaopatrzonym w detonator kwasowy, prawdopodobnie nastawiony nie dłużej niż na pięć minut przed wybuchem. Śmierć, nie tylko Laury, była bezsensowna, ale zabójca też musiał się znajdować w tłumie uciekających, których widzieliśmy w telewizji.

Ruchy protestacyjne, zdrowe i obłąkane, rozsądne i absurdałne, dotyczyły prawie każdego aspektu życia w Londynie, organizowały ogromną sieć demonstracji, kanalizujących rozpaczliwą potrzebę nadania światu sensu. Mało było ludzkich działań, które nie stanowiłyby celu zatroskanych grup, gotowych poświęcać weekendy na pikietowanie laboratoriów, banków i magazynów paliwa jądrowego, wydeptywać błotniste uliczki w obronie borsuczych nor, kłaść się na autostradach, żeby powstrzymać naturalnego wroga wszelkich demonstrantów, silnik spalinowy.

Te grupy, dalekie od radykalizmu, stanowiły teraz część obywatelskiej tradycji kraju, wraz z paradnym przejazdem Lorda Majora Londynu, tygodniem na wyścigach w Ascot i regatami w Henley. Czasami, gdy przyłączałem się do demonstracji przeciwko doświadczeniom na zwierzętach albo zadłużeniu Trzeciego Świata, czułem, że rodzi się jakaś prymitywna religia, jakaś wiara szukająca bożka, którego będzie można czcić. Różne stowarzyszenia włóczyły się po ulicach, łaknąc charyzmatycznej postaci, która wcześniej czy później wyłoni się z gąszczy podmiejskich pasażerów handlowych, i węsząc, czy nie zawieje skądś obiecujący wiatr szaleństwa i łatwowierności.

Sally była moim pracownikiem terenowym, wyszukiwała w sieci informacje o planowanych wiecach protestacyjnych. Była bardzo chętna do pomocy. Śmierć Laury wstrząsnęła nami obojgiem. Sally przeżyła to bardziej, niż myślałem. Znowu korzystając z lasek, chodziła po domu z tą samą determinacją, którą okazała na oddziale fizjoterapii w St Mary, gdzie zacząłem zabiegać o jej względy. Wróciła do czasów, gdy miała obsesję na tle Fridy Kahlo i wypadków tramwajowych, których ofiarą padły. Musiałem rozwiązać zagadkę śmierci Laury choćby ze względu na dobro Sally.

Z zaplecza hal, zza barykad na mityngach, obserwowałem rzędy zaciętych twarzy, szukając prawdziwie zaburzonego umysłu, obłąkanego samotnika gotowego zrealizować swój sen o przemocy. Ale większość demonstrantów to byli dobrodusznicy członkowie klas średnich – zrównoważeni studenci, zawodowi opiekunowie medyczni, wdowy po lekarzach i babcie z kursów Uniwersytetu Otwartego. Jakieś uszczypnięcie sumienia, jakieś od dawna uspięte zasady, wypchnęły ich na chłód i deszcz.

Jedynymi przerażającymi ludźmi, z którymi się zetknąłem, byli policjanci i ekipy telewizyjne. Policjanci byli ponurzy i nieprzewidywalni, paranoicznie czuli na jakiegokolwiek naruszenie ich autorytetu. Reporterzy telewizyjni, nie gorzej od prowokatorów, niezmiennie usiłowali skierować pokojowy protest w stronę zamieszek. Neutralność była najbardziej konfrontacyjną postawą, a Angela, gospodyni domowa z Kingston i miłośniczka kotów, przedstawicielką najbardziej radykalnego nurtu politycznej przemocy.

Gdy tak siedziałem na schodkach, wyjęła z kurtki antyseptyczny atomizer i opatrunek. Oczyszczyła ranę i rozpyliła szczypiące opary. Przez cały czas złym okiem patrzyła na policjantkę, która teraz groziła aresztowaniem dwóm rowerzystom, bo zatrzymali się, żeby obejrzeć demonstrację.

– Lepiej? – Angela zgięła mi nogę w kolanie. – Musisz jak najszybciej pójść do lekarza.

– Czuję się świetnie. Powiniennem wnieść skargę, ale nie widziałem, jak mnie kopała.

– Tego nigdy się nie widzi.

Popatrzyłam na jej zestaw pierwszej pomocy.

– Spodziewałaś się kłopotów?

– Oczywiście. Wszyscy bardzo im współczuli.

– Kotom?

– One są więźniami politycznymi. Gdy ktoś zaczyna eksperymentować na zwierzętach, w następnej kolejności pójda ludzie. – Uśmiechnęła się z zaskakującą słodyczą i pocałowała mnie w czoło: medal dany na polu bitwy dzielnemu żołnierzowi. Pomachała mi ręką i pozwoliła zająć się własnymi sprawami.

Ujęty jej ciepłem, patrzyłem, jak protestujący przegrupowali się i dokonali drugiej próby zablokowania wejścia na teren wystawy i do kas biletowych. Afisze wzniosły się do góry, a wraz z nimi kij z klatką, w której siedział nadziewany kot z marcepanu z łapami skutymi za prętami klatki. Strumień żółtego plastikowego konfetti obsypał policjantkę i spłynął jej po kurtce mundurowej. Strząsnęła lepkie nitki z podbródka, podeszła do grupy demonstrantów i próbowała odebrać puszkę z aerozolem młodemu człowiekowi w masce tygrysa.

Wywiązała się nieczysta walka, blokująca ruch na Hammersmith Road. Była to seria starć, połączonych z bieganiną, po których kilkunastu ogłuszonych demonstrantów w średnim wieku usiadło przy kołach znieruchomiałych taksówek. Ale ja patrzyłem, jak Angela przechodzi przez jezdnię z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach kurtki. Zignorowała demonstrantów szarpiących się z policją i wzięła pod rękę mężczyznę z kucykiem, który zszedł z chodnika, żeby do niej dołączyć.

Wstałem i przepchnąłem się w kierunku hali wystawowej między wystraszonymi turystami i ciekawskimi przechodniami kręcącymi się po jezdni. Angela i jej towarzysz z kucykiem przeszli przez foyer, obejmując się w pasie rękami, jak kochankowie zatopieni we własnym świetle.

Szedłem za nimi obok kasy biletowej, kiedy usłyszałem głośny huk w hali wystawowej. Wystraszeni podmuchem i echem trzaskających drzwi, zwiedzający wzdrygnęli się i zaczęli się chować jeden za drugiego. Druga detonacja rozległa się na górnej galerii, rozświetlając lustra starych wind. Starsza para przede mną potknęła się i wpadła w piramidę ozdobnych obróżek przeciw pchłom, zrzucając na podłogę migotliwą kaskadę towaru.

Na głównym terenie wystawowym, między klatkami, odbywała się gwałtowna walka. Angela i mężczyzna z kucykiem przepychali się między biegnącymi w popłochu hodowcami i wyłamywali drzwi klatek. Zrozumiałem, że grupa bojowa czekała, aż policja zajmie się zamieszaniem na Hammersmith Road, by mieć czas na przeprowadzenie akcji.

Pokuśtykałem za Angela, wiedząc, że nie da sobie rady z rozwścieczonymi hodowcami. W tłumie wyprzedzili mnie sierżant policji i dwóch posterunkowych. Schowali głowy w ramionach na odgłos trzeciego wybuchu w pawilonie wypełnionym wyściełanymi koszykami.

Wielki kot, pięknie utrzymany *maine coon*, przemykał w naszą stronę. Zatrzymał się, żeby odnaleźć kierunek w lesie ludzkich nóg, wyrastającym z podłogi, i czmychnął między buciorami

sierżanta. Widok wyzwolonego zwierzęcia rozjuszył ich. Jeden z policjantów wpadł na mnie, odepchnął i pobiegł za Angela. Jej towarzysz z kucykiem wymachiwał puszką z gazem łzawiącym, trzymając w szachu półkole hodowców, podczas gdy Angela cążkami przecinała kłódki przy klatkach.

Sierżant odepchnął kolegę Angeli, wybił jej cążki z ręki i złapał ją od tyłu za ramiona. Uniósł w powietrze jak dziecko i rzucił sobie pod nogi, w trociny. Podniósł ją i znów chciał cisnąć małą oszołomioną kobietę o cementową podłogę. Podbiegłem i schwyciłem go za ramię.

W niecałą minutę później leżałem na podłodze z twarzą w trocinach i rękami skutymi od tyłu. Rozzłoszczeni hodowcy złośliwie kopali mnie, zakrzykując moje wołania, że wystąpiłem w obronie gospodyni domowej z Kingston, miłośniczki kotów i matki dwojga dzieci.

Przeturlałem się na plecy. Na Hammersmith Road wyły syreny, a głośniki w Olympii nawoływały gości do zachowania pokoju. Protest skończył się, resztki kordytowych oparów z petard unosiły się pod lampami. Hodowcy porządkowali klatki i pocieszali nastroszonych ulubieńców, sprzedawczynie odbudowywała piramidę obróżek przeciwpchelnych. Angela i mężczyzna z kucykiem uciekli, ale policja taszczyła kilku skutych demonstrantów w stronę wyjścia.

Dwóch funkcjonariuszy policji podniosło mnie i postawiło na nogi. Młodszy z nich, czarnoskóry, zakłopotany menażerią kotów i zainteresowaniem ludzi, strzepywał kurz z mojego ubrania. Czekał, aż nabiorę tchu, mimo poobijanych żeber.

– Ma pan coś przeciwko kotom? – zapytał.

– Tylko przeciwko klatkom.

– Niedobrze. Idzie pan do klatki.

Odetchnąłem głęboko, patrząc na światła nad głową. Uświadomiłem sobie, że zapach kordytu zastąpiła inna woń. Gdy wybuchły petardy, tysiąc wystraszonych zwierząt połączył się we wspólnym akcie paniki i wystawę wypełnił gęsty smród kociej uryny.

6. Ratunek

Głębszy zapach, woń winnych i niemytych, zawisł nad sądem pokoju w Hammersmith Grove. Czekałem z tyłu, na miejscach dla publiczności, próbując dosłyszeć, jaki wyrok zapadł w sprawie matki trojga dzieci, oskarżonej o zakłócanie spokoju przed Królewskim Klubem Tenisowym. Była załamana kobiecina po czterdziestce, ledwie piśmienną, rozpaczliwie potrzebującą terapii. Jej bełkotliwe błagania tonęły w nieustannym szumie sądu, gdzie adwokaci, oskarżeni, funkcjonariusze policji, woźni i świadkowie krążyli bez przerwy między przejściami, jak w powieściach Lewisa Carrolla. To, co ferowano, nie było sprawiedliwością, ale serią wyświechtanych kompromisów z losem, jakby gwizdkami znękanego sędziego podczas chaotycznego meczu piłki nożnej.

Ukarano mnie grzywną w wysokości stu funtów i odprawiono, żeby dalej zajmować się utrzymywaniem pokoju publicznego. Twierdzenie mojego obrońcy, że byłem niewinnym zwiedzającym, który próbował obronić uczestniczącą w demonstracji kobietę przed niesprowokowaną brutalnością policji, zostało zignorowane przez sędziów. Winę ludzi przyprawdzanych przed oblicze sądu – drobnych złodziejaszków, pijanych kierowców, bojowników o prawa zwierząt – uznawano za oczywistą. Tylko skrucha miewała jakiegokolwiek znaczenie. Mój adwokat wytrajkotał kwestię o moich zawodowych kwalifikacjach, o braku karalności i dobrej opinii. Ale sierżant policji, którego nigdy wcześniej nie widziałem, zeznał, że występowałem w licznych filmach nakręconych policyjnymi kamerami i często uczestniczyłem w demonstracjach ulicznych połączonych z użyciem przemocy.

Sędziowie popatrzyli na mnie ponuro, uznając, że jestem jednym z tych profesjonalistów z klas średnich, którzy zdradzili porządek społeczny i zasługują na najostrzejszy, z pozostałych w dyspozycji sądu, krótkich, ostrych wstrząsów. Przed zapadnięciem wyroku wyjaśniłem, że szukałem morderców mojej pierwszej żony i w tym momencie przewodniczący sądu zamknął oczy. – Na wystawie kotów?

Potem mój obrońca zaproponował, że mnie podwiezie do śródmieścia Londynu, ale ku jego uldze odmówiłem. Musiałem znaleźć jakieś miejsce, żeby odpocząć, choćby i w harmidrze sądu pokoju. Złośliwe kopniaki, które hodowcy kotów wymierzili w moją klatkę piersiową i genitalia trzy dni wcześniej i brutalne traktowanie w policyjnej furgonetce sprawiły, że miałem zebra i ramiona pokryte siniakami i – ku przerażeniu Sally – opuchnięte jądro. Fakt, że siedziałem na ławie oskarżonych, był niezwykle krępujący, ale byłem zbyt wyczerpany, żeby odczuć prawdziwy wstyd. Wielu pacjentów przechodzących terapię w Instytucie Adlera ma głębsze, choć całkiem bezpodstawne, poczucie winy. Skazani przez sąd pokoju nie okazywali najmniejszych objawów skruchy. Wymiar sprawiedliwości nie osiągnął niczego, policja zmarnowała czas i ośmieszyła się.

Usiadłem na drewnianej ławie. Sąd wysłuchiwał wniosku, żeby kolejna sprawa trafiła przed ławę przysięgłych. Pewna siebie kobieta, w szytym na miarę kostiumie, stanęła przed sądem,

gestykulując manierycznie plikiem trzymany w rękę dokumentów. Za nią, za stołem ofiarnym, który służył jako ława oskarżonych, stała młoda Chinka z czarną, równo obciętą grzywką i bojowym wyrazem twarzy i znerwicowany duchowny w koloratce i kurtce motocyklowej. Oczy miał spuszczone, a policzki zarośnięte. Byli oskarżeni o naruszenie porządku w centrum handlowym Shepherd's Bush i spowodowanie strat wycenionych na dwadzieścia siedem funtów.

Zobaczyłem ich na stopniach sądu, gdy tam przyjechałem, i doszedłem do wniosku, że dobrze ubrana kobieta jest ich adwokatem. Chodziła tam i z powrotem przed sędziami, od czasu do czasu przystając, żeby trzech czcigodni mogli za nią nadażyć. Kołysała się na wysokich obcasach, a popielate włosy wirowały jej wokół ramion, kołysała biodrami przed uważnie wpatrzonym w nią trybunałem a tak pewna była swego wyglądu, że bez skrępowania ściągnęła okulary na czubek nosa.

Zaintrygowany jej opanowaną postawą, żałowałem, że nie poprosiłem, aby reprezentowała moje interesy. Ludzie już zaczęli się śmiać z jej ciętych uwag, a ona grała pod publiczność jak utalentowana aktorka. Kiedy przewodniczący składu oddalił jej wniosek o proces przed ławą przysięgłych, odrzuciła papiery i nieomal groźnie podeszła do sędziowskiego stołu. Policjant zatrzymał ją i odprowadził do ławy oskarżonych, gdzie stanęła w buntowniczej postawie obok Chinki i przygnębionego duchownego.

A zatem ta żarliwa mecenas nie była adwokatem, ale jedną z oskarżonych. Patrzyła hardo na sędziów pokoju, świadoma, że jej czas minął. Zdjęła okulary z nadąsaną miną jak dziecko, któremu zabrano zabawkę. Domyśliłem się, że zarówno ona, jak i pozostali oskarżeni stanowili część jakiejś grupy ewangelicznej, jakiegoś nawiedzonego ruchu religijnego Nowej Ery, który próbował odprawić rytuał przesilenia zimowego z epoki kamienia w atrium centrum handlowego.

Wyszedłem z sali sądowej, pragnąc wrócić do normalności, do Sally i pracy w instytucie. Sally przystała na to, że nie będzie przysłuchiwać się rozprawie, czym oszczędziła mi jeszcze większego zakłopotania. Poszukiwanie zabójców Laury musi skierować się na inne tory albo znów należy je powierzyć policji i jednostkom antyterrorystycznym.

Przepchnąłem się przez tłum krewnych i świadków w korytarzu. Moja koszula wydzielala nieprzyjemny zapach – mieszaninę potu i poczucia winy. Przede mną stał szofer w liberii. Świadczył przeciwko swojemu szefowi, miejscowemu biznesmenowi, oskarżonemu o jazdę po krawężniku. Odwrócił się nagle i wpadł na mnie, uderzając mnie łokciem w klatkę piersiową. Przepraszając, złapał mnie za ramiona i dał nura w tłum.

Ból rozszedł się po mostku, jakby moje posiniaczone zebra wystawione były bezpośrednio na działanie powietrza. Nie mogłem oddychać. Wyszedłem na Hammersmith Grove i próbowałem zatrzymać przejeżdżającą taksówkę, ale wysiłek związany z podnoszeniem ręki sprawił, że zabrakło mi tchu. Oparłem się o kamiennego lwa balustrady, a policjant pełniący służbę gestem nakazał mi zejść ze stopni gmachu sądu, jakbym był zataczającym się pijaczną.

Wyszedłem w tłoczną godzinę lunchu, w tłum urzędników zdążających do barów kanapkowych. Powietrze zniknęło z ulicy. Byłem na progu utraty przytomności, nawiedziła mnie rozpaczliwa myśl, że gdybym położył się na chodniku, może ktoś pomyślałby, że umieram, i wezwał pogotowie.

Z dłońmi na kolanach usiadłem obok zaparkowanego samochodu. Udało mi się wciągnąć trochę powietrza w płuca. Wtedy poczułem, jak objęła mnie w pasie kobieca ręka. Oparłem się o biodro kobiety, odurzony mieszaniną zapachu perfum i wełnianego kostiumu, podkreśloną wonią potu i czystego oburzenia. Ta niepokojąca aura sprawiła, że podniosłem wzrok.

– Pan Markham? Myślę, że trzeba panu trochę pomóc. Nie jest pan pijany?

– Jeszcze nie. Nie mogę oddychać...

Patrzyłem w stanowczą twarz kobiety, która przed chwilą palnęła kazanie sędziom pokoju. Przyglądała mi się z niekłamaną troską, ale w jej wzroku tkwił też element kalkulacji. Drugą rękę trzymała na komórce leżącej w torbie, jakby myślała o zwerbowaniu mnie do swojego ewangelicznego bractwa.

– Niech pan spróbuje stanąć. – Oparła mnie o samochód i pomachała radośnie do obserwującego nas posterunkowego.

– Zaparkowałam gdzieś tutaj, o ile samochód nie został skradziony. Sądy policyjne rodzą własną falę przestępstw. Wygląda pan okropnie – co się panu stało?

– Mam połamane żebra – wyjaśniłem. – Ktoś mnie skopał.

– W Olympii? Idę o zakład, że to był but policyjny.

– Nie, to miłośnicy kotów. Są bardzo gwałtowni.

– Naprawdę? Co wyście robili tym biednym kocurom? – Uniosła mnie i spojrzała na rzędy zaparkowanych samochodów. – Zaprowadzimy pana w jakieś bezpieczne miejsce. Znam lekarza, który może się panem zająć. Niech mi pan wierzy, nic tak nie wzmaga agresji jak pokojowa demonstracja.

7. Dziwne spotkanie

Silne ręce wyciągnęły mnie z samochodu i pomogły dojść do drzwi obok wykuszu z oknem oblepionym ulotkami. Kay Churchill, kobieta, która przyszła mi z pomocą, pchnęła barkiem drzwi i otworzyła je gwałtownie, jakby dowodziła oddziałem szturmowym policji. Pomyślałem, że włamujemy się do niezamieszkanego domu, gdzieś w Chelsea, ale ona weszła pewnym krokiem do holu i rzuciła kluczyki pod wieszak na płaszcze. Wciągnęła nosem powietrze, niepewna, czy podoba się jej własny zapach, i skinęła ręką, żebym poszedł za nią.

W salonie wisały plakaty filmowe oprawione w ramki: nachmurzony samuraj z eposu Kurosawy, krzyżąca kobieta z *Pancernika Potiomkina*. Kay podniosła stos papierów z fotela i usadziła mnie na poduszkach, czekając z zachęcającym uśmiechem, aż zacznę oddychać. Chętna do niesienia pomocy koledze demonstrantowi brutalnie potraktowanemu przez policję, znalazła między papierami buteleczkę whisky i wyciągnęła z szuflady szklanekę. Z aprobatą kiwnęła głową, gdy inhalowałem odurzający opar.

- Biedaczysko, potrzebowałeś tego. Te dranie naprawdę ci dołożyły.
- To miłe z twojej strony... – oparłem się, usiłując nie oddychać. – Jeśli zadzwonisz po moją żonę, przyjedzie i zabierze mnie.
- Najpierw wezwiemy lekarza. Nie jestem pewna, czy żona powinna cię zobaczyć w takim stanie. – Nachyliła się. – Hej, panie Markham? Nadal tam jesteś?
- Jasne. Skąd znasz moje nazwisko?
- Słyszałam, jak wywoływał je urzędnik sądowy. – Usiadła na poręczy sofy. Obcisła spódnica ukazywała jej uda. Była wielkoduszna i miła, choć przesadnie skrepowana, przyzwyczajona, że sama jest ośrodkiem zainteresowania. Przy całej życzliwości była mną jakoś zaniepokojona, jakbym nie mógł jej do siebie przekonać. Podczas jazdy prowadziła, trzymając jedną rękę na kierownicy swojego polo, a drugą od czasu do czasu dotykała mojego ramienia, sprawdzając, czy jeszcze żyję. Gdy się przedstawiała, uważnie popatrzyła w lusterko wsteczne.
- Urzędnik? – pociągnąłem łyk ostrej whisky. – W sądzie było jak w domu wariatów. Cokolwiek tam serwują, to na pewno nie jest sprawiedliwość.
- Nie poszło ci tak źle. Wyrządzenie szkód, zdetonowanie materiałów wybuchowych, czynna napaść na policjanta? Nawet za pierwsze przestępstwo grzywna była dość niska.
- Nie wiem, dlaczego. Uwierz mi, nie jestem tajniakiem.
- Nie pomyślałam tak. – Kiwnęła do siebie głową, obdarzając mnie dobrodziejstwem wątpliwości. – Choć ostrożności nigdy dość. Nasza prastara demokracja ma oczy i uszy wszędzie – kamery w dzbankach do herbaty, mikrofony za zasłonami. Za każdym razem, gdy siusiasz, jakiś agent z MI5 robi notatki o twojej męskości. Wszyscy to robimy. Te twoje stare łachy to chyba przebranie?
- W pewnym sensie. – Próbowałem wygładzić kłapy błyszczącego garnituru w jodełkę. –

Kupiłem to od naszego ogrodnika. Nie chciałem wygłądać za bardzo na...

– Klasę średnią?

– Powszechnie się sądzi, że wszystko wiemy lepiej. W każdym razie jesteśmy obecnie szalenie niemodni. Ludzie uważają, że należy się nam solidny kopniak.

– Owszem – powiedziała rzeczowym tonem, jakby potwierdzając, że pogoda się zmieniła. – Twój adwokat odpuścił sprawę. David Markham, psycholog konsultant w Unilever i BP. Teraz walczysz z policją i usiłujesz zmienić świat. Masz szczęście, że cię nie zamknęli.

– A ty? A ta Chinka i ksiądz?

– To brzmi jak opera Bartoka. – Poszukała aparatu komórkowego. – Zadzwonię jeszcze raz do mojego przyjaciela lekarza. Powinien być teraz na sali.

– Operuje?

– Wystawia sztukę napisaną przez pacjentów. *Królowa Diana*.

– Wzruszające.

– Raczej smutne. To dzieci z zespołem Downa. Sztuka jest słodka, ale koszmarnie nudna. *Królowa Śnieżka* przerobiona przez Harolda Pintera.

– Interesujące... Może w takiej wersji miałyby więcej sensu. – Spróbowałem wstać. – Odwiedzę mojego internistę po drodze do domu.

– Nie. – Położyła mi mocną rękę na czole. – Twoja żona nie chciałaby, żebyś umierał na tylnym siedzeniu taksówki. Poza tym, jesteś mi potrzebny do pomocy w naszym kolejnym planie...

Patrzyłem, jak chodzi na eleganckich obcasach. Przywiozła mnie do swojego domu, powodowana niekłamaną troską, ale już czułem, że staję się więźniem. Rozłożyłem się w fotelu i przyglądałem się niechlujnemu, a zarazem atrakcyjnemu wnętrzu, tak różniącemu się od naszego eleganckiego gniazdka w St John's Wood, umeblowanego przez córkę bogatego ojca, obdarzoną nadmiarem dobrego smaku. Podobał mi się lekki zapach trawki, czosnku i wyzywających perfum. Do gzymsu kominka przypięte były dziecięce rysunki, poplamione winem wylewanym na palenisko, ale poza tym widać było, że Kay Churchill mieszka sama. Stolik i biurko pokryte były kurzem, jakby śladem niezemskiej istoty przybyłej z równoległego świata, pełnego własnych wspomnień i smutków.

Za oknem przejechał szkolny autobus z małymi dziewczynkami w filcowych kapeluszach i fioletowych blezerach, mundurkach ekskluzywnej szkoły podstawowej. Za chesne tych dzieci można by wykształcić cały bantustan East Endu. Znajdowałem się gdzieś w Chelsea Marina, osiedlu domków dyrektorskich, na południe od King's Road. Według mego głębokiego przekonania było tu jądro innego rodzaju ciemności.

Zbudowana na miejscu dawnej gazowni Chelsea Marina przeznaczona była dla wysokiej klasy profesjonalistów, gorliwie strzegących swoich plemiennych totemów – prywatnej edukacji, kultury obiadów proszonych i wstępu do „niższych” warstw: handlowców z City, doradców finansowych, producentów przemysłu fonograficznego oraz lumpen-inteligencji felietonistów i specjalistów od reklamy. I choć do tej fobii nie wolno było się przyznawać, to wszyscy kandydaci należący do tych kategorii zostaliby odrzuceni przez komitet mieszkańców, chociaż prawdę mówiąc większość z nich uznałaby osiedle Chelsea Marina za zbyt skromne i układne jak na ich frymuśne gusty.

Kay chodziła po holu, rozmawiając przez komórkę, a ja zastanawiałem się, jak udało jej się dopasować do tej enklawy mieszczańskiej przyzwoitości. Beształa nieszczęsną rejestratorkę szpitalną, podnosząc głos do wrzasku straganiarki, gdy opisywała urazy mojej klatki piersiowej i prawdopodobne uszkodzenia mózgu. Przez cały czas patrzyła z zachwytem na swoje odbicie

w lustrze przy wieszaku. Gdy nalewała whisky do szklaneczki, zauważyłem mocno poobgryzane paznokcie i wydatny nos, w którym zapewne dłużyła od dzieciństwa.

– Doktor Gould jest już w drodze. – Usiadła na poręczy fotela i badawczo spojrzała mi w oczy, przysuwając się przy tym. – Właściwie wyglądasz już lepiej.

– W porządku. Byle dalej od tego sądu. – Pokazałem na wykuszowe okno. – A więc to jest Chelsea Marina. Wygląda bardziej na...

– Fulham? To jest Fulham. „Chelsea Marina” to kant biura nieruchomości. Domy w sam raz na kieszeń ciulaczy średniego szczebla kierowniczego.

– A sama Marina?

– Ma rozmiar sedesu i taki sam zapachu. – Uniosła głowę, jakby doleciał ją smród obrzydliwych miazmatów wydzielających się z wody przystani. – Całą dzielnicę zbudowano z myślą o solidnej klasie średniej, ale zamieniła się w kosztowny slums. Nie ma tu dodatkowych korzyści City, nie ma akcji ani korporacyjnych kart kredytowych. Wielu z nas naprawdę ledwie wiąże koniec z końcem. Właśnie dlatego postanowiliśmy coś z tym zrobić. Przeprowadzamy serię demonstracji ulicznych.

– Problem polega na tym, że wszystkie ulice prowadzą do sądu.

– Jakoś sobie z tym radzimy. Pamiętaj, że policja jest neutralna – nienawidzi wszystkich. Przestrzeganie prawa nie ma nic wspólnego z byciem dobrym obywatelem. Chodzi o to, żeby nie przeszkadzać policji.

– Mądra rada. – Złapałem się na tym, że oddycham za głęboko i wypuściłem powietrze z płuc. – Naucz się zasad, a dasz sobie radę ze wszystkim.

– To zawsze jest wstrząs dla klasy średniej. – Przejechała palcem po zakurzonej blacie stolika, jak bakteriolog zaskoczony tym, co wyrosło na płycie Petriego. – Co się stało w Olympii?

– Nic... – poczekałem, aż Kay usadowi się na kanapie gotowa do wysłuchania mojej opowieści i zdałem sobie sprawę, jak bardzo ta silna i atrakcyjna kobieta jest samotna. Kusiło mnie, żeby opisać moje poszukiwania zamachowca z Heathrow, ale na to była trochę zbyt czujna. Słyszała moje zeznanie przed sądem pokoju i prawdopodobnie uznała, że jestem zaangażowany w ruchy protestacyjne na znacznie poważniejszym poziomie. – Wystawa kotów – to brzmi trywialnie – powiedziałem obronnym tonem – ale sprawa trafiła na pierwsze strony gazet. Nie spodziewano się tego, że ludzie zaczęli myśleć.

– Słusznie. – Pokiwała energicznie głową. – Musimy zaniepokoić ludzi. Nie wystarczy samo głębokie przekonanie – wtedy myślą, że jesteś jakimś marudnym trockistą albo innym stukniętym czubkiem. Trzeba nadstawić karku. Ja spróbowałam i jeden Bóg wie, jaką cenę za to zapłaciłam. Wskazałem szklanką na plakaty wiszące na ścianach.

– Jesteś krytykiem filmowym?

– Wykładam teorię filmu w South Bank University. A raczej wykladałam.

– Kurosawa, Klimow, Bresson...?

– To ostatni rzut na taśmę. Potem była już tylko komercja.

– Zgadza się. – Nadszedł czas pożegnania, ale trudno mi było podnieść się z fotela. Whisky tłumiła ból, dopóki siedziałem. Przyjrzałem się tytułom na setkach kaset wideo upchniętych na półkach za biurkiem. – Nie masz żadnych filmów amerykańskich?

– Nie lubię komiksów.

– A czarny film?

– Czerń to bardzo sentymentalny kolor. Można pod nim ukryć każdą brednię. Kino hollywoodzkie

jest śmieszne, jeśli twój pomysł na rozrywkę to zjedzenie hamburgera i popicie go koktajlem mlecznym. Ameryka wymyśliła filmy, więc nie będzie musiała dorosnąć. My mamy gniew, depresje i kryzys wieku średniego. Oni mają Hollywood.

– Dobrze im służy. – Wskazałem na skoroszyty leżące na stoliku. – Projekty scenariuszy?

– Moich studentów. Pomyślałam, że potrzebna im jest wycieczka w rzeczywistość. Wokół jest za dużo żargonu – „voyeuryzm i samcze spojrzenie”, „niepokoje kastracji”. Marksistowska nowomowa teoretyczna gryzie własny ogon.

– Ale ty ich wyleczyłaś?

– Kazałam im wziąć kamery do sypialni i zrobić film porno. Pierdolenie to jest to, co robią w wolnym czasie, więc dlaczego nie mieliby popatrzeć na to przez obiektyw kamery? Nie dowiedzą się wiele o seksie, ale sporo o filmie.

– I sprawiło im to przyjemność?

– Uwielbiali to, ale dziekan był innego zdania. Zostałam zawieszona do czasu, gdy przemyśla, co ze mną zrobić.

– No to mają o czym myśleć.

– Też tak uważam. A skoro mam tyle wolnego czasu, postanowiłam rozpocząć rewolucję.

– Rewolucję? – udawałem, że mi zaimponowała. Wyglądała na poirytowaną i sfrustrowaną. Patrzyła na wystrzępiony dywan jak aktorka, której zabrakło publiczności. Rewolucja, gdy już do niej dojdzie, będzie na pewno materiałem na dobry scenariusz.

– Dałaś dziś rano dobry występ – powiedziałem. – Prawdę mówiąc, byłem zdziwiony, że uznali cię za winną. A ukaranie grzywną kogoś, kto niesie kapłańską posługę...

– Stephen Dexter? To wikary w Chelsea Marina. Nie jestem pewna, czy to równoznaczne z kapłańską posługą.

– Więc protest w Shepherd's Bush był zorganizowany na tle religijnym?

– Nie ze względu na Stephana. Biedak, należy to tego typu kapłanów, którzy wątplenie w Boga uważają za swój obowiązek. Ale to sprawia, że jest przydatny, szczególnie podczas demonstracji.

– A szkody w wysokości dwudziestu siedmiu funtów? Podpaliliście kosz na śmieci?

– Zdarliśmy kilka plakatów. – Wzdrygnęła się z nieudawanym wstrętem. – Zgnilizna.

– Piekielna?

– Na swój sposób. W każdym razie bardzo uwodzicielska.

– W centrum handlowym? Co to było? Czytelnia dla zwolenników wiwisekcji?

– Nie, biuro podróży. – Uniosła brodę, patrząc na mnie. – Tak się składa, że jesteśmy przeciwni samej koncepcji turystyki.

– Dlaczego?

– Turystyka to środek odurzający. Wielkie oszustwo, które daje ludziom złudzenie, że w ich życiu dzieje się coś ciekawego. To gra w komórki do wynajęcia, tyle że na odwrót. Za każdym razem, gdy muzyczka przestaje grać, ludzie wstają i tańczą wokół kuli ziemskiej, a do kręgu dodawane są nowe krzesła, nowe Mariny, nowe hotele Marriotta, więc wszyscy myślą, że wygrali.

– Myślisz, że to jeszcze jeden szwindel?

– Stuprocentowy. Współcześni turyści podróżują donikąd. – Była pewna siebie jak wykładowca, któremu słuchacze nie przerywają wykładu. Rozwodziła się z żarliwością. – Wszelkie awanse życiowe wiodą do tych samych portów lotniczych i hoteli w tych samych miejscowościach wypoczynkowych, na tę samą *pina colada* i inne bzdury. Turyści cieszą się z opalenizny

i błyszczących zębów i myślą, że są szczęśliwi. Ale ta opalenizna skrywa to, czym naprawdę są – niewolnikami pracującymi za wynagrodzenie miesięczne, z głowami pełnymi amerykańskich śmieci. Podróże to ostatni z mitów, który nam pozostał po XX wieku, złudzenie, że wyjazd dokądś pozwala odkryć siebie na nowo.

– A tego nie da się zrobić?

– Nie ma dokąd jechać. Planeta jest pełna. Możesz równie dobrze zostać w domu i wydać pieniądze na czekoladowe krówki.

– Trzeci Świat zyskuje coś na tym...

– Trzeci Świat! – Jej głos podniósł się do szyderczego krzyku. – Bandy kulisów mieszają cement, żeby położyć pasy startowe, a wybrana garstka robi koktajle i nakrywa turystom do stołu.

– Ciężka harówka, ale daje się żyć.

– To oni są prawdziwymi ofiarami. Boże, jak chciałabym podłożyć bomby we wszystkich biurach podróży w całym kraju.

Złapałem się za zebra. Już nie myślałem o tym, czy uda mi się dojść do King's Road. Kay Churchill wpadła w dobrze wyćwiczoną tyradę, przesuwając poszczerbione paciorki różańca swoich obsesji. Według Henry'ego Kendalla taśma znaleziona w przewodzie wentylacyjnym na Heathrow zawierała podobną tyradę. Przypomniałem sobie amatorski film wideo z Laurą leżącą pośród szkła i walizek, Kay zwracającą się do swoich prawdziwych słuchaczy, sędziów pokoju, którzy w końcu wyślą ją do celi w Holloway. Trudno mi było uwierzyć, żeby ta ciekawa, choć niekonsekwentna kobieta miała dość siły wewnętrznej, by podłożyć bombę. A może dowiedziała się, pocztą pantoflową, od innych ruchów protestacyjnych, o zamachu na zrzutnię bagażu i dołączyła tragedię na Heathrow do swego żarliwego światopoglądu?

– Davidzie? – Usiadła obok mnie, po matczynemu kładąc mi dłoń na czole. – Miło mi z tobą gawędzić. Jestem pewna, że widzimy sprawy w podobny sposób. Potrzeba nam więcej zwolenników, szczególnie takich z Instytutu Adlera. Porozmawiamy o tym, kiedy ci się poprawi. Przechodzimy do poważniejszej fazy.

– Przemoc nie jest dla mnie, Kay.

– Aleja nie chcę przemocy. – Owionął mnie łagodny zapach jej oddechu. – Jeszcze nie. Ale ten czas może nadejść szybciej, niż wielu się wydaje.

Popatrzyłem na jej nieufną, ale stanowczą twarz, na nierówne zęby i baczne oczy. Domyśliłem się, że całymi latami odchodziła od realnego świata, a w jej umyśle pociąg-widmo jechał przez wesołe miasteczko, przez nią samą zbudowane.

– Na Heathrow podłożono bombę – przypomniałem. – Dwa miesiące temu. Zginęli ludzie.

– To było straszne. – Ścisnęła mi ręce z współczuciem. – I bezsensowne. Ludzie, którzy dokonują aktów przemocy, powinni za nie odpowiedzieć. To takie szczególne sprzężenie. Wszyscy marzymy o przemocy, a kiedy tylu ludzi śni ten sam sen, to znaczy, że coś strasznego wkrótce się wydarzy...

Charkot motocykla zakłócił spokój ulicy i odbił się drzeniem na szybach. Nastąpiła koda obowiązkowych manipulacji przy przepustnicy i harley davidson podjechał do krawężnika, zatrzymując się przy wozie Kay. Motocyklista, w pełnym oporządzeniu, wyłączył silnik i siedział, rozkoszując się ostatkami zapachu spalin. Za nim, na tylnym siodełku, tkwiła mała Chinka w bufiastej kurtce i hełmie zakrywającym twarz. Widziałem ich oboje przed sądem, ale teraz nie wyglądali tak potulnie.

Nie ruszali się, czarni astronauta szosy, nie spiesząc się ze zsiadaniem, jakby przygotowywali się do ponownego wejścia w świat pieszych. Kay pomachała do nich ręką z okna, ale żadne z nich nie odpowiedziało. Zatopieni byli w skomplikowanych formalnościach rozpinania klamer i zatrząsków, na których trzymały się ich ubiory.

– Muszę dotrzeć do domu. – Z ogromnym wysiłkiem udało mi się wstać i wyprostować, mimo ciężaru alkoholu. – To ten miejscowy wikary? Widziałem go rano w Hammersmith Grove. Ale ja potrzebuję lekarza, a nie ostatniego namaszczenia.

– Nie jestem pewna, czy Stephan go udziela. Nie wydał sobie zgody na start.

– Zgody na start? Jest pilotem?

– Tak się składa, że był. Ale nie o to mi chodziło. Był wędrownym duchownym na Filipinach, skakał z wyspy na wyspę ze Słowem Bożym. Potem miał twarde lądowanie na niewłaściwej wyspie.

– Nie może latać?

– Duchowo. Podobnie jak ty, nie jest niczego pewien.

– A ta Chinka?

– Joan Chang. Jest jego nawigatorem, prowadzi go przez ciemny las świata.

Przysłuchiwałem się odgłosowi ciężkich butów na kamiennej ścieżce. W głowie rozjaśniało mi się, zaś anestetyczne właściwości whisky gwałtownie blakły. Gdzieś, wewnątrz mojej klatki piersiowej, rottweiler bólu budził się z drzemki i zerkał na świat.

– Davidzie, spróbuj odpocząć. Lekarz wkrótce tu będzie... – Kay uśmiechnęła się do mnie miło, wzięła mnie za rękę i poprowadziła w stronę kanapy. Za drzwiami do saloniku wisiał plakat z *Trzeciego człowieka* z kadrem ukazującym Alidę Valli, udreńczoną europejską piękność, wyrażającą melancholię powojennej Europy. Ten film skojarzył mi się z innym filmem Carola Reeda o uciekającym rannym bandycie, manipulowanym i zdradzonym przez obcych, u których szukał schronienia.

Kay poszła otworzyć drzwi, a ja spróbowałem się uspokoić. Uświadomiłem sobie, że stałem się więźniem w skromnym domu, pośród snów o melodramatach, które przed laty oglądałem z Laurą w Filmotece Narodowej. Słyszałem, jak ktoś w holu rozpiną skórzaną kurtkę, odrywa paski na rzepy, a czyjeś głosy rozprawiają o tępotcie policji, o lekarzu bez nazwiska, a potem, bardzo wyraźnie o Heathrow. Gdy próbowałem uspokoić rottweilera w klatce piersiowej i opadłem na kolana, na pokryty kurzem dywan, dzwonek do drzwi zadzwonił znowu.

8. Lunatycy

Kobiety łagodnie chodziły wokół mnie, zdejmowały mi buty, rozluźniały krawat. Chinka pochyliła się nad kanapą i rozpięła mi koszulę. Między nami unosił się ledwie wyczuwalny zapach drogich perfum, woń jakiejś niezwyklej pasty do zębów, wspomnienia toalet pierwszej klasy w luksusowych airbusach Cathay Pacific, sobolowych futer i pensjonatów w Hongkongu.

Potem wmieszał się ostrzejszy zapach, szorstki odór benzyny i oleju silnikowego. Motocyklista- duchowny, Stephen Dexter, podłożył mi pod głowę sztruksową poduszkę wręczoną mu przez Kay. Grube kciuki dotykały mojego czoła jak uścisk kapłana wzywającego duszę do światła.

W saloniku był jeszcze ktoś, szczupły mężczyzna w czarnym garniturze. Twarzy tego człowieka nie byłem w stanie dostrzec. Domyśliłem się, że to lekarz, Richard Gould, którego wezwała Kay. Usiadł obok mnie, osłuchując płuca przez stetoskop. Gdy dawał mi zastrzyk, zobaczyłem jego blade ręce i niechlujne paznokcie. Poruszał ukradkiem dłońmi, jak filipiński uzdrowiciel.

Czekając, aż środek przeciwbólowy zacznie działać, położył mi rękę na ramieniu. Poczułem słabość ciała, które przysssało się do mnie jak inkub, zwiotczałe mięśnie lekarza po trzydziestce, wyrwanego przez Kay z popołudniowej drzemki; zapach, nie tak miły jak oleju silnikowego albo pasty do zębów linii Cathay Pacific, wydzielał się z poplamionych rękawów marynarki, jakby wspomnienie niemytych ciał dzieci z zespołem Downa.

Widząc, że prawie usypiam, skończył się mną zajmować i poszedł do kuchni. Pozostali umilkli, gdy zaczął coś mówić i usłyszałem tylko swoje nazwisko. Ktoś zamknął drzwi lodówki i rozległy się kroki, zmierzające korytarzem ku drzwiom frontowym. Krzesła szurały wokół stołu. Zapadając w nieprzytomny półsen, usłyszałem jeszcze dziennik telewizyjny, nadający informację o pożarze w księgarni w British Museum.

Kiedy się obudziłem, Joan Chang siedziała na krześle obok mnie i uśmiechała się przyjaźnie spod równo obciętej grzywki. W kuchni nadal szły wiadomości. Domyśliłem się, że spałem zaledwie kilka minut. Ale poczułem się zaskakująco dobrze, a ból w klatce piersiowej i przeponie był tylko słabym echem wcześniejszego. Przypomniałem sobie jednoznaczne napomknienie o Heathrow, które podsłuchałem, zanim zasnąłem, ale postanowiłem, że na razie nie pójdę tym śladem.

– Panie Markham? Wrócił pan do nas. – Joan pokiwała z ulgą głową, jakby spodziewała się, że ze snu ocknie się ktoś inny. – Kay naprawdę się martwiła.

– Boże, znów oddycham. Ten ból...

– Richard dał panu zastrzyk. – Starła coś z mojego podbródka. – Niech pan odpocznie pół godziny i pojedzie do domu. Jutro pójdzie pan do lekarza. Żebra nie są połamane, ale być może śledziona jest odbita. To chyba te policyjne buty.

– Nie, to zielone wellingtony – znacznie bardziej niebezpieczne.

- Miłośnicy kotów? Kay mi mówiła. – Skrzywiła się ze współczuciem, gdy usiadłem i schwyliłem ją za małe rączki. – Wygląda na to, że naprawdę panu dołożyli.
- Jedyne uświęcony gatunek to koty. – Rozejrzałem się po pokoju, który teraz zdawał się mniejszy i bardziej zamieszkały. Nawet zachmurzony samuraj wyglądał mniej groźnie. – Pani przyjaciel, lekarz, ma szczególne podejście do pacjenta.
- Richard Gould jest wspaniały, szczególnie kocha dzieci. Kay pojechała odwiedzić go do domu. – Ściszyła głos, uśmiechając się chytrze. – On nie lubi Instytutu Adlera. Prawdę mówiąc, powiedział, że wszystkich stamtąd powinno się powiesić. Myślę, że dla pana zrobił wyjątek.
- Dzięki za ostrzeżenie.
- Zawsze mówię prawdę. – Rozpromieniła się tryumfalnie. – To nowy sposób na kłamstwo. Kiedy mówi się prawdę, ludzie nie wiedzą, czy wierzyć. Pomaga mi to w mojej pracy.
- Gdzie? W Ministerstwie Spraw Zagranicznych? W Banku Anglii?
- Zbieram fundusze dla Królewskiej Akademii. To niełatwe zajęcie. Wszyscy ci dyrektorzy generalni wielkich spółek sądzą, że sztuka jest dobra dla duszy.
- A nie jest?
- Psuje im mózgi. Galeria Tate, Królewska Akademia, Hayward... to Walt Disney klasy średniej.
- Ale pani przełknęła te wątpliwości?
- Mam zamiar się zwolnić. Praca tutaj jest ważniejsza. Musimy uwolnić ludzi od całej tej kultury i wykształcenia. Richard mówi, że to tylko pułapka, żeby klasę średnią uczynić potulną.
- Więc prowadzicie wojnę wyzwolenczą? Chciałbym spotkać się z doktorem Gouldem.
- Spotkasz się, Davidzie. – Stephen Dexter wszedł do pokoju z piwem w ręku. – Potrzebni nam są nowi żołnierze, nawet psychologowie...

Duchowny zdjął swoje skóry. Miał teraz na sobie dzinsy i kraciastą, flanelową koszulę, na pierwszy rzut oka wyglądał na modnego pastora z Chelsea, który pasjonuje się tańcem na linie, weekendowym lataniem i żonami parafian. Był to wysoki mężczyzna o szczupłej twarzy, baczny spojrzeniu profesjonalisty i mocnej głowie, która we właściwym oświetleniu była prawie przystojna. Nie miał jeszcze czterdziestki. Setki godzin spędzone w otwartej kabinie samolotu spaliły mu twarz. Na czole miał poziomą bliznę, prawdopodobnie wspomnienie z jakiegoś zbyt krótkiego pasa startowego na Filipinach.

Ale blizna była trochę za świeża. Podejrzewałem, że celowo podtrzymuje stan zapalny. Gdy uśmiechnął się do mnie, zauważyłem, że brakuje mu jednego siekacza. Nie próbował nawet ukryć ubytku, jakby obnosił się z nią wszem wobec z wrodzoną skazą w swoim wizerunku. Kay wspominała o tym, że utracił wiarę, ale to było nieomal regułą we współczesnym duchowieństwie. Położył rękę na ramieniu Joan Chang i stali tak, jak nauczyciel z ulubionym uczniem. Jego uczucie było widoczne, ale pozbawione przekonania, co ujawniło głębiej skrytą niedyspozycję psychiczną.

– No cóż. – Stał przy kanapie, popijając piwo, jak aktor z rekwizytem. – Kay powiedziała, że skopali cię miłośnicy kotów. Do jutra poczujesz się lepiej. Potrzebujemy cię, Davidzie.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Ponieważ nie byłem pewien, na co się decyduję, dodałem: – Jeśli będę mógł jeszcze kiedyś chodzić.

– Chodzić? Będziesz biegać. – Dexter przesunął krzesło tak, że lampka na biurku oświetlała jego twarz. Grał zarówno śledczego, jak i podejrzanego, próbując sił w obu rolach. – Przyglądałem ci się dziś rano w sądzie. Sędziowie stanęli wobec czegoś, czego najbardziej nienawidzą – solidny

obywatel, gotów poświęcić się dla swoich zasad.

– Mam nadzieję, że taki jestem. Czyż nie dotyczy to nas wszystkich?

– Niestety, nie. Protest to jedno, działania to drugie. Dlatego potrzebujemy cię do naszego projektu.

– Jestem z wami. Ale co to za projekt, dokładnie rzecz biorąc? Pikietowanie biur podróży? Zakaz turystyki?

– Znacznie więcej. Nie robimy tego tylko po to, żeby zadośćuczynić obsesji Kay. – Wiedząc, że mogło to zabrzmieć zbyt ostro, wziął Joan za rękę. Pochylił się na krzesło, masując sobie policzki, żeby wywołać kolory na pociągłej twarzy. – Spójrz na świat, który cię otacza, Davidzie. Co widzisz? Niekończący się park tematyczny, w którym wszystko służy zabawie. Nauka, polityka, edukacja – tyle jest tych przejażdżek po naszym wesołym miasteczku. Smutne to, ale ludzie są szczęśliwi, kiedy uda im się kupić bilet i wejść na pokład.

– To jest wygodne, Stephen. – Joan nakreśliła palcem na dłoni znajomy chiński piktogram, duchowny uśmiechnął się. – To się robi bez wysiłku, nie ma co się dziwić.

– Nigdzie nie jest powiedziane, że ludzie mają wieść wygodne życie. Potrzebne są nam napięcie, stres, niepewność. – Dexter wskazał na plakaty filmowe. – Takie wyzwania, jak pilotowanie samolotu przy zerowej widoczności albo nakłonienie zamachowca-samobójcy do wyjścia ze szkolnego autobusu.

Joan zachmurzyła się, jej oczy pociemniały.

– Próbowalesz to zrobić na Mindanao. Cudem uniknąłeś śmierci.

– Wiem. Straciłem zimną krew. – Dexter uniósł głowę i zapatrzył się posepnie na samuraja z wykrzywioną twarzą. – Kiedy doszło do tego, mnie...

– Zabrakło jaj? – Joan wzruszyła ramionami z irytacją. – No to co? Każdemu by zabrakło. Byle idiota może dać się zabić.

– Jaj mi nie zabrakło... – Dexter uspokoił ją niespodziewanie chłopięcym uśmiechem. – Zabrakło mi nadziei albo wiary. Mogłem liczyć tylko na siebie. Dla mnie te dzieci już były martwe. Powinienem pamiętać, kim chcę być. Wtedy wszedłbym do autobusu i został z nimi aż do końca.

– Ale za to teraz jesteś tutaj. – Czekałem, aż Dexter się uspokoi. Rozluźnił mięśnie i szczęka znów przestała chodzić w przeciętej blizną twarzy. – A wracając do tego biura podróży, które próbowaliście zaatakować... Rozumiem, że teraz chodzi o większy cel – na przykład Chelsea Marina?

– Znacznie większy. – Dexter w końcu się odprężył i uniósł dłoń. – Jeden z największych. Dwudziesty wiek.

– Zdawało mi się, że właśnie minął.

– Zwleka z odejściem. Kształtuje wszystko, co czynimy i myślimy. Niewiele dobrego można o nim powiedzieć. Ludobójcze wojny, pozbawienie połowy świata środków do życia, podczas gdy druga połowa kręci się jak lunatyk pozbawiony mózgu. Zapadliśmy w dwudziestowieczny kiczowaty sen i nie możemy się z niego rozbudzić. Wszystkie te hipermarkety i ogrodzone osiedla, gdy drzwi się zamkną, nie umiemy już wyjść. Znasz to, Davidzie, przecież to twoi klienci z wielkich korporacji.

– Wiem. Ale jest pewien problem z cywilizacją śmieci. Klasa średnia ją lubi.

– Oczywiście – parsknęła Joan. – Ona ją zniewoliła. Są nowym proletariatem, jak robotnicy fabryczni sto lat temu.

– Więc jak mamy ich wyzwolić? Rzucić bomby do ich parków rozrywki?

– Bomby? – Dexter uniósł rękę, żeby przerwać Joan. – Mianowicie, jak?

– Siłą, w bezpośrednim ataku.

– Nie. – Dexter wpatrywał się w poplamiony dywan. – Żadnych bomb. Sądzę...

W pokoju zapadła taka cisza, że usłyszałem, jak w kuchni jęczy metalicznie silnik lodówki. Dexter puścił dłoń Joan i po skończonym przedstawieniu odwrócił się, żeby zgasić lampę na biurku. Coś go gnębiło, dotykał palcem blizny na czole i przez to czynił ją bardziej widoczną, jak udzielone sobie niejasne napomnienie. Jego chińska dziewczyna patrzyła na niego z mieszaniną irytacji i troski, wiedząc, że wszedł na niepewny grunt, który może go nie utrzymać. Zastanawiałem się, czy aby nie pozwolił wykorzystać się filipińskim wojskowym do przeprowadzenia ataków lotniczych na partyzantów. Gdy tak siedział obok mnie w odrapanym pokoiku, była w nim jakaś posępna godność, aleja byłem niemal pewien, że to oszust.

Stałem chwiejnie przy oknie, patrząc jak dosiadają harleya. Kay już wróciła i machała im od bramy na pożegnanie. W czarnych hełmach, na ciężkiej amerykańskiej maszynie, wydawali się całkowicie z tego świata: modny ksiądz-agnostyk i jego nadmiernie spostrzegawcza przyjaciółka, motocykliści rzucający wyzwanie spokojnym uliczkom.

W rzeczywistości, z tą swoją naiwną gadaniną o wywróceniu do góry nogami całego stulecia byli kompletnie oderwani od świata. Goniąc nowe millenium, zdarli plakaty biur podróży w centrum handlowym, a społeczeństwo oszacowało straty na dwadzieścia siedem funtów.

Mimo wszystkich moich kontuzji, czułem, że jestem bliższy celu niż oni. Większość demonstrantów, których spotkałem, takich jak Angela na wystawie kotów w Olympii, byli to zdrowi i zdyscyplinowani psychicznie ludzie, ale istniał też margines fanatycznych bojowników o prawa zwierząt, którzy podkładali bomby pod samochody naukowców i byli gotowi zabijać. Może jeden z nich skupił uwagę na turystyce i Trzecim Świecie, może zablądził do świata Kay, Dextera i Joan Chang? Musiałem rozwikłać ich obsesje i rozwinąć je w świetle dziennym jak tani dywanik.

Siedziałem obok Kay, która wiozła mnie na postój taksówek na King's Road. Zdawała się być zadowolona z mijającego dnia, a ja czułem do niej wdzięczność za to, że zajęła się kolegą-demonstrantem. Podziwiałem ją za sposób, w jaki obnosiła się ze swoimi lękami, jakby to była kolekcja ulubionej damskiej biżuterii.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Chelsea Marina, grupa mieszkańców zbierała się przy biurze administracji osiedla. Silni duchem i pewni siebie zakrzykiwali młodego kierownika, który próbował do nich przemówić. Głosy, wyćwiczone na setkach otwartych dni w szkołach i na konferencjach służbowych, niweczyły wszelkie jego usiłowania, żeby go usłyszeli.

– Co się stało? – zapytałem Kay, gdy przepychała się przez tłumek samochodem. – Wygląda poważnie.

– Bo jest poważne.

– Obława na pedofila?

– Chodzi o opłaty parkingowe. – Kay patrzyła surowo na nieszczęsnego kierownika, który szukał schronienia za szklanymi drzwiami. – Wierz mi, najbliższa rewolucja wybuchnie z powodu parkingów.

Wtedy jeszcze myślałem, że żartuje.

9. Kanapowa apokalipsa

Oni wszyscy są trochę szaleni – powiedziałem do Sally, wskazując wir podekscytowanych bąbelków w Jacuzzi. Dziwna grupka sekciarzy. Wielkie obsesje w przytulnym saloniku. To pożyteczne zobaczyć, jak dziwaczni bywają pozornie zdrowi na umyśle ludzie.

– Więc to nieszkodliwi maniacy?

– Nie jestem pewien, czy nieszkodliwi. Opanowały ich jakieś dziwaczne idee. Obalenie XX wieku. Zakaz uprawiania turystyki. Świat polityki, handlu, edukacji – wszystko jest zepsute.

– To jakiś punkt widzenia. Robią swoje.

– Sally... – uśmiechnąłem się do niej. Leżała wygodnie w kąpeli z bąbelkami, przeglądając stosik kolorowych magazynów, ucieleśnienie wygody i bezpieczeństwa. – Popatrz na to w szerszym kontekście To Kropotkin z koktajlem pink lady i luksusowym dywanem od ściany do ściany. Ci ludzie chcą zmienić świat, użyć przemocy, jeśli będą musieli, ale nigdy w życiu nie zdarzyło im się, żeby wyłączono im centralne ogrzewanie.

– Ale postawili cię na nogi. Od lat nie byłeś taki zaangażowany.

– To prawda. Zastanawiam się dlaczego...? – Gapiłem się na swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Włosy zwisały mi nad czołem, twarz miałem spiętą jak wielebny Dexter. Wyglądałem jakbym miał dwadzieścia lat mniej, jakbym był młodym absolwentem z krzywo zawiązanym krawatem i piekącym pragnieniem naprawiania świata. – Mógłbym napisać artykuł o tym fenomenie. *Kanapowa apokalipsa*. Klasa średnia przeszła od dobroczynności i odpowiedzialności obywatelskiej do fantazmatów o kataklizmie. Whisky i Armagedon...

– Przynajmniej zajęli się tobą. Ten lekarz, Richard Gould, szukałam go w sieci. Brał udział w wynalezieniu nowej kuracji dla dzieci z wodogłowiem.

– Ładnie z jego strony. Mówię to poważnie. Nie pozwolił, żebym zobaczył jego twarz – nie wiem dlaczego.

– Może cię tylko nabierali. – Sally chwyciła mnie za rękę, gdy kręciłem się po łazience. – Spójrzmy prawdzie w oczy, kochany. Tylko czekasz, żeby cię czymś zaszokować.

– Myślałem o tym. – Usiadłem na krawędzi wanny, wdychając oszałamiający zapach jej ciała. – Policja mną pomiatała, a oni widzieli, że jestem amatorem. Doświadczeni uczestnicy demonstracji nigdy nie pozwolą przewrócić się na ziemię – to zbyt niebezpieczne. Robią swoje i odskakują, zanim zaczniesz się bijatyka. Jak Angela, gospodyni domowa z Kingston w Olympii. Naprawdę była szybka i bez wahania zostawiła mnie na pastwę losu.

– Ta kobieta wykładająca teorię filmu pomogła ci. To słodkie.

– Kay Churchill. Była wspaniała. Kompletnie roztrzepana, ale uratowała mnie, gdy wyszedłem z sali sądowej. Było już ze mną źle.

Czekałem na objawy współczucia ze strony Sally, ale ona leżała biernie w kąpeli, bawiąc się

bąbelkami na piersiach. Prześwietlenie, które mi zrobiono w szpitalu Royal Free, nie wykazało złamań żeber, ale buciory miłośników kotów uszkodziły mi śledzionę, jak przewidziała Joan Cheng. Gdy Sally zabierała mnie ze szpitala, spojrzała tylko pobieżnie na zdjęcia. Zatopiona we własnej wiecznej rekonwalescencji, nie życzyła sobie dzielić monopolu na zwątpienie i dyskomfort z kimkolwiek, nawet z własnym mężem. W jej mniemaniu, moje siniaki były wyłącznie moją winą i nie dorównywały bezsensownym ranom, które zaciążyły nad jej życiem jak nierozwiązywalna zagadka.

– Davidzie, ręcznik... Kiedy wracasz do Chelsea Marina?

– Dam im spokój. To nie są ludzie, którzy podkładaliby bomby.

– Ale wspomnieli o Heathrow. Podśledziłeś ich, gdy myśleli, że śpisz. To pierwsza rzecz, jaką powiedziałeś, gdy taksówkarz pomógł ci wejść po schodach.

– Próbowali mi zaimponować. Albo sobie. Oni żyją konspiracją. Ten ksiądz-motocyklista boi się przemocy. Coś się stało, gdy był na Filipinach, na długo przed Heathrow.

– A co z doktorem Gouldem? Kiedy miał czternaście lat, został postawiony przed sądem dla nieletnich i oskarżony o podpalenie domu towarowego w Kilburn.

– Sally, podziwiam cię. – Patrzyłem jak zawiązuje sobie ręcznik pod pachami. – Powinnaś pracować dla brygady antyterrorystycznej.

– Wszystko jest w sieci. Doktor Gould ma własną stronę WWW. Załadował tam swoje zeznanie przed sądem dla nieletnich – najwyraźniej jest z niego dumny.

– Zatrzymanie przez policję daje dreszczyk emocji. Nauczyciel cię zagiął, a ty czujesz, że dzieciaki cię kochają.

– Dom towarowy w Kilburn zbudował ojciec Goulda. – Sally przyglądała się swoim zębom w lustrze. – Był architektem przemysłowym i budowniczym. Kiedy umarł, firma została wykupiona przez McAlpine's.

– Nie przejmuj się tym.

Stała tyłem do lustra, ciało i włosy miała spowite białym ręcznikiem, patrzyła na mnie przez unoszącą się w powietrzu parę jak kapłanka archaicznej świątyni morza. Patrząc w jej oczy, czułem, że widzę całą swoją przyszłość.

– Davidzie, posłuchaj mnie.

– Na litość boską... – otworzyłem okno, żeby wypuścić parę. – Sally, to ty masz na tym tle obsesję.

– Tak, mam. – Przytrzymała mnie za ramię i zmusiła, żebym usiadł na brzegu bidetu. – Musimy odkryć prawdę o bombie na Heathrow. Bo inaczej śmierć Laury będzie ci ciążyć przez całe życie. Z równym powodzeniem mógłbyś posadzić jej mumię w swoim gabinecie.

– Masz rację. Spróbuję podjąć trop.

– Nie poddawaj się. Chcę zamknąć przeszłość i przekręcić klucz.

Zadzwonił telefon komórkowy. Przywitała się z przyjaciółką i przeszła do sypialni, słuchając uważnie. Przykryła telefon dłońmi i powiedziała do mnie:

– Davidzie, twoje zdjęcie jest w „Kensington News”. – Usiadła na łóżku i radośnie wcisnęła się w poduszkę. – Ukarany grzywną. Sto funtów. Tak, wyszłam za mąż za kryminalistę...

Byłem zadowolony, że Sally cieszy się z mojej nowej sławy. Wziąłem tygodniowy urlop zdrowotny z instytutu, ale Henry Kendall zadzwonił i powiedział, że profesor Arnold jest

niezadowolony z wyroku. Klienci z wielkich firm mogą nie zechcieć korzystać z porad psychologa z przeszłością kryminalną. Moja pozycja najwyraźniej osłabła, a wraz z nią nadzieje na dyrektorski fotel.

Na szczęście istniała długa tradycja ekscentrycznych psychologów z upodobaniem do odlotowych zachowań. Moja matka była psychoanalitiką w latach sześćdziesiątych, przyjaciółką R.D. Lainga często widywaną podczas marszów na rzecz rozbrojenia atomowego. Przyłączała się do urządzanych przez Bertranda Russella okupacji budynków, skąd wyciągała ją siłą policja. Nadawane późno w nocy dyskusje telewizyjne były jej naturalnym środowiskiem w tym samym stopniu, co gabinet konsultacyjny.

Jako dziecko oglądałem ją w telewizorze babci. Bardzo mi imponowały jej kaftany, długie do pasa czarne włosy i pełne żaru wypowiedzi. Wolna miłość i zalegalizowanie narkotyków niewiele dla mnie znaczyły, choć domyślałem się, że mają jakiś związek z miłym, ale nieznanym mi mężczyzną, który pojawiał się podczas weekendów i ze skrętami, które matka uczyła mnie robić dla siebie i paliła, mimo protestów mojej znużonej tolerancją babci.

Mimo całego uznania, jakim ją darzono, mimo artykułów w czasopiśmie i wypowiedzi na temat Piageta i Melanii Klein, jej wiedza na temat macierzyństwa była prawie wyłącznie teoretyczna. Do trzeciego roku życia wychowywany byłem przez kolejne dziewczyny rekrutowane w poczekalni weekendowej darmowej kliniki, którą prowadziła matka. Były to humorzaste uciekinierki z prowincjonalnych uniwersytetów francuskich, neurotyczne amerykańskie absolwentki, niechętnie do zrozumienia potrzeb dzieciństwa, japońskie dziwolągi, wymagające głębokiej terapii, które zamykały mnie w sypialni i nalegały, żebym spał przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W końcu uratowała mnie babcia i jej drugi mąż, emerytowany sędzia. Musiało minąć parę lat, zanim, już w szkole, zauważyłem, że innym chłopcom nie jest obcy fenomen zwany ojcem.

Gdy wstąpiłem na Uniwersytet Londyński, faza hippisowska w życiu mojej matki dawno już się skończyła, ona zaś stała się statecznym i poważnym psychoanalitiką w Tavistock Clinic. Miałem nadzieję, że jej instynkt macierzyński, przytłumiony przez większość moich lat dziecięcych, znajdzie teraz późne ujście. Ale nigdy nie staliśmy się czymś więcej jak tylko przyjaciółmi, a jej nie udało się przybyć na ceremonię wręczenia mi dyplomu.

– Co za suka – współczuła mi Laura, zapraszając mnie do swojej rodziny na lunch po uroczystości. Odpowiedziałem jej zgodnie z prawdą:

– Ona jest wolnym duchem. Kochała mnie bardzo – przez dziesięć minut. Potem się skończyło.

W Instytucie Adlera, mając do czynienia z rodzinami dysfunkcyjnymi, stwierdziłem, że aż nazbyt wielu rodziców jest obojętnych wobec swoich dzieci. Popularny mit zakłada, że relacje dziecko – rodzice są głębokie i spełnione, ale w niektórych rodzinach ich po prostu nie ma. Laura wkroczyła w gotową na jej przyjęcie próżnię; z jej agresywnymi emocjami, gwałtownie skierowanymi za mną albo przeciw mnie, stanowiła przeciwieństwo matki. W porównaniu z moją łagodną babcią, traktującą najmniejsze nawet napady złości z pobłażliwą mądrością godną Salomona, Laura była jak tajfun oczyszczającej pasji.

Teraz, w podeszłym wieku, moja matka była pacjentką hospicjum Highgate, gdzie umierała na nieoperacyjny przypadek raka jajników. Jej wielki i ciągle wzbierający brzuch sprawiał, że wyglądała na ciężarną, siedemdziesięciokilkuletnią kobietę, nieświadomą, że nosi w sobie dziecko. Przesiadując przy łóżku tej ledwie żywej istoty, zrozumiałem ze smutkiem, że niewiele mnie już ona obchodzi.

– Davidzie... – Sally wyłączyła komórkę. – Zostałeś znakomitością. Bez przerwy napływają zaproszenia na obiady...

– Nie daj Boże. Musiałbym obmyślić kolejność przyjmowania zaproszeń.

– Nie wyśmiewaj się z siebie – za często ci się to zdarza. – Patrzyła na mnie z prawdziwym szacunkiem. – Walczyłeś z policją. Ilu ludzi może to o sobie powiedzieć?

– A ilu tego chce? Policja jest po naszej stronie.

– Prawie. A co z Heathrow? To jedyny realny trop, jakim dysponujemy. Davidzie, musisz zmienić zdanie.

– Niech ci będzie. Wrócę do Chelsea Marina i popytam tu i tam. O tego duchownego i ludzi kręcących się koło Kay Churchill. Zobaczę, czy uda mi się skontaktować z doktorem Gouldem.

– Dobrze. Musimy wiedzieć, co stało się z Laurą. Wiele od tego zależy, Davidzie...

W jej głosie brzmiało więcej niż nuta lekkiej pogróżki. Stała owinięta ręcznikiem i czekała, aż wyjdę z pokoju, żeby rzucić go na łóżko. Był to pewny znak, że między nami pojawiło się lekkie poczucie obcości. Uznała, że bezsensowna śmierć Laury niesie jakieś buntownicze przesłanie, które w końcu zamknie moje pierwsze małżeństwo.

Ale ja już wiedziałem, że poszukiwania mordercy Laury związane są z moim drugim małżeństwem. Unikając wzroku Sally, wspominałem jej wściekle zmarszczone czoło, gdy robiła pierwsze samodzielne kroki na oddziale ortopedycznym szpitala St Mary's. Była mokra od potu, koszula nocna przykleiła się jej do skóry, a ja patrzyłem, jak mięśnie ud budzą się do życia, kreśląc niechętną wolę chodzenia. Zbliżyliśmy się podczas moich wizyt, po przyjacielsku wykpiwając najmniejsze objawy flirtu. Ale w tym momencie, gdy kuśtykała w moją stronę o laskach, z nadgarstkami białymi z bólu i złości na siebie samą, wiedziałem, że zostaniemy kochankami.

Jak zwykle bywa, przewrotna odmiana losu odświeżyła i zdefiniowała świat na nowo.

10. Spotkanie z rewolucją

Jak wszyscy praworzadni profesjonaliści na spotkanie z rewolucją stawilem się punktualnie. W południe, trzy soboty później, gdy siniaki już zbladły, a śledziona się uspokoiła, zaparkowałem range rovera w uliczce odchodzącej od King's Road. Do Kay Churchill zadzwoniłem tuż po śniadaniu. Sally przyglądała mi się z zaciekawieniem. Kay zareagowała okrzykiem, w tle słychać było gniewne głosy. Powiedziała, że będzie na mnie czekać przy wjeździe do Chelsea Marina.

– Wybierzemy się na wycieczkę w teren. Zostaniesz Davidem Attenborough przedmieść...

Zadowolony, że mnie pamięta, szedłem wzdłuż King's Road. Skręciłem w lewo i natknąłem się na niewielką zadymę. Przy budce strażnika zaparkował samochód policyjny, światła na dachu migaly, a radio skrzeczało coś do siebie. Ponad stu mieszkańców kłębiło się wokół budynku zarządu osiedla. Większość stanowiły kobiety w weekendowych strojach, uwolnione z szytych na miarę kostiumów, które nosiły w gabinetach lekarskich i na korytarzach spółek handlowych. Dzieci towarzyszyły im z rozjaśnionymi buziami na widok matek, które wreszcie złoścą się na kogoś innego. Kilku ostrożnych mężów krążyło wokół, z rezerwą przyłączając się do ogólnego rozgardiaszu.

Dwóch policjantów przepychało się przez tłum, próbując uspokoić protestujących. Wołali coś do osoby, która perorowała do sąsiadów. Ale ich głosy nikły w gwizdach i szyderstwach. Jakiś pięciolatek, siedzący na ramionach ojca, próbował strącić wysoki hełm z głowy policjanta.

Popielate włosy, pociągła twarz w najlepszym telewizyjnym ujęciu, dekolt wystarczająco głęboki, żeby przyciągnąć nieśmiałe spojrzenia każdego mężczyzny w promieniu dwóch kilometrów – Kay Churchill w swoim żywiole. Stała chwiejnie na obrotowym krześle wyniesionym z biura zarządu, celowo popisywała się udami i nie zważając na nic, skupiła się na swojej zaciekłości. Aż przyjemnie było patrzeć na nią, kiedy tak rozgadała się na dobre. Studenci, którzy obserwowali ją podczas wykładów z Godarda i Nowej Fali, musieli układać scenariusze do filmów pornograficznych na długo, zanim przedstawiła im tę propozycję.

– Co się dzieje? – zapytałem stojącą obok mnie młodą kobietę. Spacerówka z dzieckiem stała obok w zapomnieniu. – Parkometry? Garby na drodze?

– Opłaty za konserwację. Poszły w górę. – Pokiwała z aprobatą głową. – Kay zamknęła kierownika w jego własnym biurze. Biedak musiał wezwać policję.

Zaniepokojona twarz mężczyzny wyglądała zza szklanych drzwi. Był najwyraźniej wstrząśnięty wrogością szydzącej z niego kobiety. Ten przerażający widok obracał w niwecz wszystkie korzyści płynące z zarządzania nieruchomościami. Kay wyjęła pęk kluczy i pomachała nimi przed kierownikiem, a potem przed nosami policjantów. Kiedy podeszli, grożąc jej zatrzymaniem, cisnęła klucze nad ich głowami. Z rękami na biodrach śmiała się do rozpuku, gdy ktoś złapał klucze w locie i odrzucił dalej, w tłum.

Dołączyłem się do ogólnego aplauzu, a potem postanowiłem odejść, zakładając, że Kay jest

zbytньо zajęta swoją kieszonkową rewolucją, żeby sobie zawracać głowę moją osobą. Nadjechał drugi samochód policyjny. Sierżant z gębą twardziela, siedzący w fotelu pasażera, mówił coś przez krótkofalówkę. Jeszcze parę minut i całe to środowiskowe przedszkole dla burżuazji zostanie odesłane do swoich zabawek.

– Panie Markham! Chwileczkę...!

Szczupła kobieta ubrana w białą lnianą marynarkę z włosami szczesanymi z wysokiego czoła zatrzymała mnie, zanim dotarłem do wyjścia. Jakoś udawało się jej jednocześnie uśmiechać i marszczyć brwi, co przypominało mi urzędowych przewodników podczas konferencji naukowych w Europie Wschodniej. Obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów, niezbyt przekonana do mojego tweedowego ubrania.

– Pan Markham? Jestem Vera Blackburn, przyjaciółka Kay. Powiedziała, że pan do nas dołączy.

– Nie jestem pewien. – Patrzyłem na tłum wygwizdujący policję. Sierżant wysiadł z samochodu i obojętnym wzrokiem patrzył na tłum jak dyrektor rzeźni patrzy na przebieg uboju. – To nie jest moja sprawa...

– Zbyt dziecinna? – Zatrzymała mnie, kładąc mocną rękę na klapie marynarki. Była szczupła, ale silna, miała umięśnione ciało, wyćwiczone na maszynach w siłowni. Jej wargi poruszały się, jakby nieustannie powstrzymywała się przed wypowiedzeniem jakiejś ostrej uwagi. – Czy zbyt mieszczańska?

– Coś w tym stylu. – Wskazałem na King's Road. – Mam własne problemy z parkometrami.

– To wygląda dziecinnie i prawdopodobnie takie jest. – Przyglądała się współmieszkańcom przymrużonymi oczami. – Nam naprawdę potrzebny jest pański wkład, panie Markham. Sprawy zaczęły się komplikować.

– Doprawdy? Nie jestem pewien, czy będę w stanie pomóc.

Odwróciłem się od niej w chwili, gdy większa liczba policjantów wkroczyła do osiedla. Byli to pokaźniejszej postury mężczyźni, jak posterunkowi przy Olympii. Jeden z nich przyglądał mi się tak, jakby rozpoznawał moją twarz z poprzedniej demonstracji.

– Musimy stąd iść. Chyba nie chce pan, żeby znów pana pobito. Poczekamy na Kay w moim mieszkaniu.

Wzięła mnie za ramię i pokierowała przez tłum. Koścista dłoń była twarda jak rumpel. Kay Churchill zeskoczyła z obrotowego krzesła pod skrzydła swoich wielbicieli. Dwaj posterunkowi stojący obok biura zawładnęli kluczami i wypuścili nieszczęśliwego kierownika, ukrywającego się za szklanymi drzwiami. Demonstranci rozsądnie zaczęli się rozpraszać.

Szliśmy wzdłuż Beaufort Avenue do centrum osiedla. Ogródki, radosne pokoje dziecięce, wypełnione dydaktycznymi zabawkami, dźwięki skrzypiec, na których ćwiczyły nastolatki, nadawały dziwny posmak nieuchronnie zbliżającej się rewolucji. Większość rewolucjonistów w ubiegłym stuleciu dążyła do takiego właśnie poziomu dostatku. Pomyślałem, że oto jestem świadkiem narodzin nudy wyższego rodzaju.

Dotarliśmy do Cadogan Circle, do miejsca, gdzie stał blok mieszkalny. Vera szła przede mną energicznym, rozkołysanym krokiem, jak dziwka z klientem, który wkrótce ma zostać oskubany, albo jak przewodnicząca samorządu klasowego w szkole dla dziewcząt udająca się po kryjomu na wycieczkę we własnych sprawach. Machnęła kartą z chipem przed automatem otwierającym drzwi i wprowadziła mnie do holu.

– Kay dołączy, jak tylko się przebierze. Całe to oburzenie sprawia, że człowiek paruje...

– Mogę czekać pół godziny, potem muszę iść, czy będzie rewolucja, czy nie.

– Nie ma sprawy. Przełożymy ją dla ciebie. – Zmusiła mnie do zdawkowego uśmiechu. – Pomyśl o tym, jak o swoim Dworcu Fińskim.

Pojechaliśmy małą windą na trzecie piętro. Z torby na ramieniu wyjęła pęk kluczy i otworzyła potrójne zamki drzwi frontowych jak wejście do krypty. Jej mieszkanie było oszczędnie umeblowane czarnymi fotelami bez poręczy, biurkiem ze szklanym blatem, przypominającym stół prosektoryjny, i lampami o niskiej mocy, ledwie rozświetlającymi półmrok. Nocny klub w południe. Nie było tu książek, a ja wyczułem, że ta inteligentna kobieta przybyła tutaj, żeby zniszczyć świat. Nad kominkiem wisiała fotografia w chromowanej ramce. Przedstawiała ją samą, w powiększeniu, w pozie Helmuta Newtona, z twarzą pozbawioną wszelkich uczuć. Pokój był świątynią rozpaczliwego narcyzmu.

Podeszła do okna i podwinęła rolety. Z okna rozciągał się doskonały widok na Beaufort Avenue. Wiec rozpraszał się, rodziny wracały do domu.

– No i po wszystkim. Przynajmniej daliśmy kierownikowi do myślenia.

– Zamykając go w biurze?

– A co, figiel godny licealistów? Ludzie muszą działać wedle konwencji, do których są przyzwyczajeni. Popijawy w internacie, fajki za szatnią przy boisku do krykieta, ściąganie kolegom spodni...

– Mówisz, jakby to był nowy rodzaj deprivacji.

– Bo na swój sposób jest. – Vera usiadła na replice fotela Eamesa, skąd mogła bez przeszkód podziwiać swój fotograficzny portret. Nie poprosiła, żebym usiadł.

– Może to się nie wydaje oczywiste – powiedziała – ale ludzie w Chelsea Marina są bardzo niespokojni. Coś tu się kotłuje.

– Naprawdę? Trudno w to uwierzyć. – Usiadłem na czarnej, skórzanej kanapie. – Wszyscy wyglądają na bardzo z siebie zadowolonych. Ani śladu krzywicy, skorbutu czy przeciekających dachów.

– To tylko naskórek. – Vera spojrzała w lusterko kosmetyczki. – Moi sąsiedzi to nowa biedota. Nie należą do elity z City, nie są chirurgami z własną kliniką i bogatymi arabskimi pacjentami zlatującymi się znad zatoki. Bardzo nieliczni pracują na swoim. To menedżerowie średniego szczebla, dziennikarze, wykładowcy, jak Kay, architekci zatrudnieni w wielkich pracowniach. Cholerna, biedna piechota armii zawodowców.

– Ale żyje im się nieźle?

– Nie. Płace nie rosną. Pojawiło się zagrożenie wcześniejszą emeryturą. Jeśli masz czterdziestkę, taniej jest zamiast ciebie zatrudnić jakąś promiennooką absolwentkę, ściskającą czule dyplomik.

– A to budzi gwałtowną reakcję. Ale dlaczego właśnie tutaj, w Chelsea Marina? To modna okolica, blisko King's Road...

Vera spojrzała na mnie z ironią.

– Jesteś agentem handlu nieruchomościami? To miejsce to wysypisko śmieci. Remonty i konserwacja prawie równe zeru, ale opłaty ciągle idą w górę. Mieszkanie kosztuje mnie rocznie więcej, niż mój ojciec zarobił przez całe życie.

– Stąd jest wspaniały widok. Nie jesteś tu szczęśliwa?

– Myślałam o tym. – Powąchała czarny lakier do paznokci. – Szczęście? Podoba mi się ten pomysł, ale chyba nie jest wart wysiłku.

– Nie jest dosyć intelektualny?

– Właśnie. – Pokiwała głową z aprobatą. – Potrzebne są nam jakieś zasady. Przy okazji, jedna z wind nie działa od miesiący. Przez dwie godziny dziennie w kurkach nie ma wody. Człowiek musi planować, kiedy ma wysrać.

– Porozmawiaj ze spółką zarządzającą osiedlem. Twoja umowa najmu powinna gwarantować szybkie naprawy.

– Rozmawialiśmy. Nie chcą słuchać. Są w zмовie z deweloperem, który najchętniej wyrzuciłby stąd wszystkich. Chcą obniżyć standard osiedla, wykupić nas i zburzyć wszystko do gołej ziemi. Potem sprowadzą Fostera i Richarda Rogersa, żeby zaplanowali wielkie bloki z luksusowymi apartamentami.

– Dopóki tu zostaniecie, jesteście bezpieczni. Po co martwić się czymś, co może nigdy się nie zdarzyć?

– To już się dzieje. Naciskają na nas, ręka, która łapie za jaja, nie jest subtelna. Rada gminy kazała już wszędzie wymalować podwójne żółte pasy.

– Mają do tego prawo?

– Mogą robić, co chcą. Ulice są publiczne. Więc łaskawie zaopatrzyli nas w parkometry. Kay płaci za to, że parkuje przed swoim domem.

– Czemu się nie przeprowadzicie?

– Nie możemy. – Jej gniew narastał, uniosła pięści i spojrzała na sufit, szukając tam współczucia. – Na litość boską, utopiliśmy wszystko w Chelsea Marina. Wszyscy jesteśmy spętani ogromnymi kredytami hipotecznymi. Ludzie płacą niebosiężne czesne i czują oddech banków na plecach. Zresztą, dokąd mielibyśmy się przeprowadzić? Do Surrey? O dwie godziny drogi, do Reading albo Guilford?

– Boże broń. Więc wpadliście w pułapkę?

– Oczywiście. Jak górnicy w swoich familiokach. Zawody oparte na wykształceniu to jeszcze jedna forma wyzysku przemysłowców. Gdy szwy puszcza, zostaniemy bez grosza przy duszy, z kupą przestarzałego software'u. Wierz mi, rozumiem dlaczego górnicy strajkują.

– To robi wrażenie. – Staralem się zachować poważny wyraz twarzy – Chelsea Marina ramię w ramię z górnikiem...

– To, do cholery, nie jest żart. – Popatrzyła na mnie ponuro, kości twarzy uwydatniały się pod jej bladą skórą. – Robimy się niespokojni. Klasa średnia jest, w teorii, podporą społeczeństwa, całe to pełnienie służby i odpowiedzialność. Ale lina kotwiczna zaklinowała się. Kwalifikacje zawodowe nie są nic warte – stopień naukowy to jak dyplom z origami. Bezpieczeństwo socjalne nie istnieje. Jakiś komputer w Ministerstwie Finansów decyduje o tym, czy stopy procentowe mają pójść w górę o punkt, a ja zawdzięczam dyrektorowi banku jeszcze jeden rok ciężkiej pracy.

– Przepraszam. – Patrzyłem, jak jej palce zmagają się z puderniczką, a brwi marszczą surowo. Choć jej spokojny gniew sprawił, że poczułem się nieswojo, stwierdziłem, że prawie ja polubiłem. – A gdzie pracujesz? W federacji związków zawodowych? W centrali Partii Pracy?

– Jestem... swego rodzaju konsultantem. – Machnęła beztrósco ręką, ale twarz miała pustą. – W Ministerstwie Obrony – jestem pracownikiem naukowym. Analizowałam osady uranowe zeszkrobane ze wzgórz Kosowa.

– Ciekawa praca. I ważna.

– Ani ciekawa, ani ważna. Teraz mam inne zajęcie. Znacznie istotniejsze.

– A jakie?

– Robię bomby dla Richarda Goulda.

Czekałem na ciąg dalszy, wiedząc, że jednocześnie drażni mnie i usiłuje mi coś powiedzieć. Ale siedziała w milczeniu, z uniesionymi brwiami, jakby delektowała się tym, co powiedziała.

– To niebezpieczne i dla ciebie, i dla innych – powiedziałem. – Jakiego rodzaju bomby robisz?

– Dymne, hukowe, zapalające o opóźnionym zapłonie. Nikt nie zostanie ranny.

– To dobrze. Ale nie takie, jak bomba na Heathrow?

– Heathrow? – Była zaskoczona, ale pamiętała, żeby zamknąć usta. – Zdecydowanie nie. Tamtą zrobiono po to, żeby zabijać. Bóg wie po co. Richard mówi, że ludzie, którzy uważają, że świat jest bez sensu, znajdują sens w bezsensownej przemocy.

– Richard? Doktor Richard Gould?

– Jeszcze się z nim spotkasz, kiedy będzie na to gotowy. Jest przywódcą rebelii klasy średniej. Ma zaskakująco jasny umysł, jak te dzieci z uszkodzeniami mózgu, którymi się opiekuje. Na swój sposób jest jednym z nich.

Uśmiechnęła się do siebie, jakby pomyślała o kochanku, ale ja spostrzegłem przezroczyisty pot, który zebrał się na jej górnej wardze, lśniący jak duch innej istoty, jej tajnego ja. Zaniepokoiła się, że wspomniałem o Heathrow.

– A jaki jest cel twoich bomb? – zapytałem.

– To było na początku. Centra handlowe, multikina, sklepy dla majsterkowiczów, cały ten dwudziestowieczny chłam. Wymiociny, które ludzie nazywają cywilizacją konsumpcyjną. To nie są prawdziwe bomby – dodała, niemal pedantycznie. – To prowokacje akustyczne. Jak petardy, które twoi przyjaciele odpalili w Olympii. Raz zdarzyło mi się zrobić prawdziwą bombę. Lata temu.

– Co się stało?

– Zabiła kogoś. Zamierzony cel.

– Na zlecenie ministra obrony? Dla SAS? Dla Wydziału Specjalnego?

– Na swój sposób dla obrony. Broniałam swojego ojca. Po śmierci matki spotkał tę okropną kobietę. Nienawidził jej, ale był pod jej pantoflem. Prawdziwa alkoholiczka, która chciała, żebym zniknęła. Miałam dwanaście lat, ale byłam bystra.

– Skleciłaś bombę domowej roboty?

– Używając środków czyszczących kupionych w supermarkecie. Razem z moim ojcem w niedzielne popołudnie chadzała do pubu. Wracala opita jak bąk, z pęcherzem gotowym wybuchnąć. Gdy byli poza domem, zdjęłam przykrywę rezerwuaru w ubikacji, zatkałam odpływ i wylałam całą wodę. Potem napełniłam rezerwuar wybielaczem, odetkałam odpływ i nałożyłam przykrywę. Nasypałam kryształków sody kaustycznej do muszli klozetowej i mieszałam, aż otrzymałam skoncentrowany roztwór. Gdy to zrobiłam, zesłam na dół i czekałam.

– Bomba była gotowa?

– Wszystko czekało tylko na zapłon. Wrócili z pubu i ona poszła prosto do toalety. Zamknęła drzwi i wypróżniła pęcherz. Potem nacisnęła rączkę spłuczki.

– I to zdetonowało bombę?

– Wodorotlenek sodu i nadchlórek sodu tworzą mieszanę wybuchową, szczególnie gdy gwałtownie siebie zmiesza. – Vera uśmiechnęła się do siebie, znów była małą rezolutną dziewczynką gotową na wszystko. – Reakcja wytwarza ogromne ilości chloru. To śmiertelna trucizna dla alkoholika z osłabionym sercem. Wyszłam ubrana w najlepszą sukienkę. Ojciec spał przed telewizorem. Minęły dwie godziny, zanim wylał drzwi.

– Była martwa?

– Jak kamień. Przez ten czas gaz się rozszedł, a rezerwuar znów napełnił się wodą. Moja skromna

bomba splukala się sama. Orzeczenie: zgon z przyczyn naturalnych.

– Imponujący debiut. To doprowadziło cię do...?

– Stopnia naukowego z chemii i do Ministerstwa Obrony. – Vera spojrzała na mnie spod przymrużonych powiek. – Rozsądny wybór kariery, sądzę, że się ze mną zgodzisz.

Uśmiech satysfakcji pojawił się na jej ustach. Kropelki potu znikły, a ja doszedłem do wniosku, że wymyśliła tę historię, żeby zyskać na czasie i dojść do siebie. Ale pomyślałem też, że ta mordercza opowieść może być jednak prawdziwa. Gadanina o robieniu bomb chodziła mi po głowie jak fragment większej przygody, która zaczęła się, kiedy półprzytomny leżałem na kanapie u Kay Churchill. Otworzyły się kolejne drzwi w bocznym korytarzu. Mogły mnie doprowadzić do terminalu numer 2 na lotnisku Heathrow.

Domofon zabrzączał dwa razy, a po przerwie trzeci raz. Vera wstała, powiedziała coś do słuchawki i zapięła żakiet.

– Davidzie, idziesz? Kay jest na dole. Wybieramy się na wycieczkę za miasto...

11. Jądro ciemności

Pomyśl o Josephie Conradzie i Kurtzu – powiedziała Kay, gdy przekroczyliśmy most Richmond.

– Wjeżdżasz na obszar nieomal całkowitego ubóstwa.

– Twickenham? Jako jądro ciemności?

– Będziesz wstrząśnięty.

– Kluby tenisowe, dyrektorzy banków, mekka rugby?

– Twickenham – strefa głębokiej nędzy duchowej.

– To prawda... choć trudno w to uwierzyć. – Kay prowadziła ostrożnie, z obiema rękami na kierownicy. Na chodniku przelewały się tłumy zamożnych tubylców wyłaniających się z delikatesów i piekarni albo wpatrzonych w witryny pośredników handlu nieruchomościami.

– Nie widzę żebraków potrząsających puszkami ani niedożywienia.

– Być może fizycznego – powiedziała Kay pewnym tonem. – Nędza dotyczy ich umysłów, zwyczajów i wartości. Zgodzisz się, Vero?

– Całkowicie. – Vera Blackburn siedziała obok mnie, rękę zaciskając na wielkiej torbie sportowej. Ostrożnie sprawdzała stan swoich zębów. Należało to do rytuału nieustannej inspekcji własnego ciała, pochłaniającego większość jej przytomnych momentów. Spojrzała przelotnie na radosne forsycje i wypolerowane samochody. – Z duchowego punktu widzenia to ogromna potiomkinowska wioska...

Skręciliśmy z głównej ulicy i wjechaliśmy w obszar mieszkalny Twickenham, wysadzone drzewami drogi i oddalone od siebie domy z ogrodami tak wielkimi, że mogłyby pomieścić kort tenisowy albo namiot weselny. Dostrzegłem bentleya na podjeździe. Jego białe opony osiadły w świeżo splukanym żwirku.

– Możemy się tu zatrzymać – zaproponowałem. – W powietrzu czuć wyraźnie Trzeci Świat.

– Davidzie, to nie są żarty. – Kay popatrzyła na mnie ze znużeniem, brwi miała ściągnięte. – Choć raz zdejmij klapki z oczu...

Poranne starcie pod biurem zarządu osiedla zaostriżyło w niej apetyt na kolejną walkę. Przypominałem sobie, jak zdominowała sąd w Hammersmith, wykorzystując swoją krnąbrną osobowość jak utalentowana aktorka. Podziwiałem siłę jej ducha i umysłu, który zasklepił się wokół jednej obsesji. Ani ja, ani jej studenci nie mieliśmy u niej żadnych szans. Jednocześnie pomyślałem o dziecięcych rysunkach przypiętych obok plakatów Bressona i Kurosawy i o fotografii córki, mieszkającej teraz po drugiej stronie globu. Tylko najgłębsza obsesja może złagodzić ten rodzaj smutku.

Vera Blackburn siedziała za nami, patrząc z niechęcią na szybujące liście. Przypominała mi przyzwoitkę, która zna swoje miejsce i zawsze gotowa jest się zgadzać. Ale czułem, że ma własny plan działania i będzie słuchać Kay dopóty, dopóki będzie to po jej myśli. Za każdym razem, gdy

spoglądałem na nią, ścisnęła kolana, ten gest był zarówno wyprzedzającym ostrzeżeniem, jak i niewyraźną zachętą.

– Przypatrz się dobrze. – Kay wskazała przez przednią szybę na rząd wielkich domów, zbudowanych częściowo z drewnianych bali. – Twickenham to Linia Maginota angielskiego ustroju klasowego. Jeśli się przez nią przedrzemy, wszystko mnie.

– A więc to ustrój klasowy jest celem. Czy te ustroje nie są uniwersalne – w Ameryce, w Rosji...

– Oczywiście. Ale tylko tutaj ustrój klasowy jest narzędziem kontroli politycznej. Jego prawdziwym zadaniem nie jest ucisk proli, ale tłumienie klasy średniej, żeby była potulna i służalcza.

– A Twickenham jest jednym ze sposobów na wprowadzanie tego w życie?

– Oczywiście. Tutejsi mieszkańcy żyją w okowach potężnego złudzenia, marzenia całej klasy średniej. Temu poświęcają życie – liberalnej edukacji, obywatelskiej odpowiedzialności, szacunkowi dla prawa. Mogą uważać, że są wolni, ale zostali złapani w pułapkę i wywłaszczeni.

– Jak biedota w kamienicach czynszowych Glasgow?

– Właśnie. – Kay z uznaniem kiwnęła głową i poklepała mnie po nadgarstku. – Zaczynaj tu mieszkać, a ku swemu zdziwieniu napotkasz rozmaite ograniczenia. To nie jest dobre życie, pełne możliwości. Wkrótce natkniesz się na przeszkody wzniesione przez system. Spróbuj się upić podczas inauguracji roku szkolnego albo opowiedzieć łagodny kawał na tle rasistowskim podczas rautu dobroczynnego. Spróbuj pozwolić, żeby twój trawnik zarósł i nie odmaluj domu przez kilka lat z rzędu. Spróbuj współżyć z nastolatką albo uprawiać seks z pasierbem. Spróbuj powiedzieć, że wierzysz w Boga i Trójkę Świętą albo oddać wolny pokój rodzinie uchodźców z czarnej Afryki. Spróbuj zrobić sobie wakacje w Benidorm albo jeździć nowiutkim cadillakiem z tapicerką w zebnę. Spróbuj mieć zły gust.

– A jaka jest alternatywa? Co się stanie, gdy Linia Maginota padnie?

– Zobaczymy.

– Spalimy wszystkie książki, młotki do krykieta i darowizny na cele dobroczynne? Co zajmie ich miejsce?

– Zdecydujemy o tym, gdy nadejdzie czas. No wreszcie, jesteśmy na miejscu. Powinno nam dobrze pójść.

Kay skręciła w alejkę z dwupiętrowymi domami, wielkimi ogrodami, labradorami i land cruiserami. Słysząc było mlaskanie piłek do tenisa i dyszenie matek zawzięcie próbujących pokonać swoje piętnastoletnie córki. Obok nas, gdy zaparkowaliśmy przy krawężniku, zastukały kopytami konie dosiadane przez nastolatków, bezpiecznych w tym sanktuarium klasy średniej. Tak się składało, że był to świat mojej babki, identyczny z przedmieściem Guildford, w którym spędziłem dzieciństwo. Pogarda wielkomiejskiej inteligencji sphywała po tych murach, ale taki styl życia kopiowano na całym świecie. Oburzenie Kay nie skrzywiłoby tu jednego płątka ostróżki.

Wysiadła, zabierając z sobą podkładkę do pisania z klipsem. Zostawiła Verę, żeby pilnowała samochodu, i przypięła do zakietu odznakę firmy badającej opinię publiczną. Drugą, z fotografią wielebnego Dextera, wpięła mi w klapę.

– W porządku. Spróbuj uchodzić za Stephena. Jesteś do niego dość podobny. Nawiedzony, trochę zagubiony. I niezbyt pobożny...

– To powinno być łatwe.

Podeszliśmy do pierwszego domu, wygodnego dworku w stylu tudoriańskim. Musieliśmy

przekroczyć dziecięcy rowerek blokujący drzwi wejściowe. Terenowy mercedes z nalepką lekarza parkował przed garażem.

Przywitała nas miła kobieta po czterdziestce. Wycierała ręce w kuchenną ścierkę. Kay przesłała promienny uśmiech znad podkładki do pisania i przedstawiła nas.

– Czy moglibyśmy zająć pani chwilę? Przeprowadzamy badania dotyczące lokalnych zwyczajów.

– Oczywiście. Obawiam się, że nasze zwyczaje są godne ubolewania. Nie wiem, czy będziemy pasować.

– Jestem pewna, że tak. Szczególnie interesują nas rodziny o wysokich dochodach.

– Pani mi pochlebia. – Kobieta złożyła ścierkę. – Muszę powiedzieć mężowi. Będzie zaskoczony.

Kay uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Państwo, jak widać, macie nieskazitelnie czysty dom. Wszystko jest takie wymyte i wypolerowane. Czy byłaby pani w stanie oszacować, ile godzin dziennie spędza pani na pracach domowych?

– Ani chwili. – Kobieta udawała, że gryzie się w wargę. – Mamy gosposię, która z nami mieszka, i pomoc dochodzącą codziennie. Jestem internistką i mam zbyt wiele zajęć w ośrodku zdrowia, żeby ścierać kurze. Przepraszam, jeśli to się państwu nie przyda.

– To znaczy... – Kay, pewna, że znalazła kandydatkę do nawrócenia, pochyliła się do przodu i ściszyła głos. – Czy jako lekarka, sądzi pani, że nastąpiła przesada w utrzymywaniu domowej higieny?

– I tak, i nie. Ludzie miewają obsesję na punkcie zarazków, choć większość bakterii jest nieszkodliwa. – Przerwała, gdy obok przeszedł powoli kilkunastoletni chłopiec, gromiony za coś z kuchni przez siostrę. – Za chwilę się pobiją.

– Ostatnie pytanie. – Kay popatrzyła na podkładkę do pisania, trzymając ołówek w gotowości. –

Jak często, według pani, czyszczone są wasze toalety?

– Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że codziennie.

– Czy rozważyłaby pani możliwość czyszczenia ich raz na trzy dni?

– Co trzy dni? To dość ryzykowne.

– Albo raz na tydzień?

– Nie. – Kobieta spojrzała na plakietkę w klapie Kay. – To nie jest dobry pomysł.

– Jest pani pewna? Czy zmartwiłoby panią, gdyby muszla klozetowa nie była śnieżnobiała? Co pani sądzi o powszechności toaletowego tabu w środowisku specjalistów należących do klasy średniej?

– Tabu toaletowe? Czy pani pracuje dla wytwórcy papieru toaletowego?

– Sporządzamy mapę zmian społecznych – mówiła Kay kojącym głosem. – Higiena osobista to podstawa oceny innych ludzi. Czy pani rodzina mogłaby się kąpać rzadziej?

– Rzadziej? – Lekarka sięgnęła do klamki, potrząsając głową. – To niemożliwe. Proszę posłuchać...

– A pani, osobiście? – naciskała Kay. – Czy byłaby pani skłonna kąpać się rzadziej? Naturalne zapachy ciała są istotnym czynnikiem porozumiewania się, szczególnie w obrębie rodziny. Miałaby pani czas na odpoczynek, zabawę z dziećmi, przyjęłaby pani bardziej swobodny styl życia...

Drzwi zatrzasnęły się nam przed nosem. Kay, niezrażona, patrzyła na dębową boazerię. Gdy odchodziliśmy podjazdem, a stopy tonęły nam w głębokiej warstwie żwiru, zaznaczała odpowiedzi

na podkładce do pisania.

– To było bardzo pouczające. – Dała znak Verze, żeby uruchomiła samochód i jechała za nami ulicą. – Nazywam to obiecującym początkiem.

– Możliwe. Nie sędzę, żeby zrozumiała, do czego zmierzasz.

– Będzie o tym myślała, kiedy każe synowi wziąć prysznic i zmienić skarpetki. Wierz mi.

– Wierzę. Jesteś tu po raz pierwszy?

– Przyjeżdżam tu od miesięcy. – Kay kroczyła chodnikiem, ponaglając, żebym dotrzymał jej kroku. – Pamiętaj, że klasa średnia musi być trzymana pod kontrolą. Oni o tym wiedzą i sami się terroryzują. Nie za pomocą karabinów i gułagów, ale kodeksu społecznego. W odpowiedni sposób należy uprawiać seks, traktować żonę, flirtować na meczach tenisowych albo rozpoczynać romans. Są niepisane zasady, których wszyscy musimy się nauczyć.

– A ty nigdy ich nie przestrzegając?

– Oduczam się ich. Nie przejmuj się, nadal codziennie biorę prysznic...

Sto metrów dalej, przy tej samej alejce, stał kolejny dom, willa w stylu georgiańskim, z basenem w tylnym ogrodzie. Światło odbite przez wodę tańczyło między liśćmi wysokiego dębu, osłaniającego podjazd. Drzwi otworzyła sześciolatka dziewczynka w mokrym stroju kąpielowym. Uwiesiła się obroży airedale teriera zachwyconego, że znalazł nas na progu.

Uśmiechnięta kobieta przed czterdziestką podeszła do drzwi. W czarnej, satynowej sukience i wampowatym makijażu była gotowa do wieczornego wyjścia.

– Cześć, nie wyglądacie na opiekunki do dzieci.

Kay wyjaśniła cel naszej wizyty.

– Przeprowadzamy badanie zwyczajów związanych z czasem wolnym. Ile czasu ludzie spędzają na podróżach zagranicznych, na oglądaniu filmów, uczęszczaniu na przyjęcia...

– Za mało.

– Naprawdę? – Kay zaczęła coś zapisywać na podkładce. – Ile razy w roku wyjeżdżają państwo na wakacje za granicę?

– Pięć albo sześć razy. Plus wakacje letnie. Mój mąż jest pilotem w British Airways. W ten weekend leci do Cape Town.

– Więc macie tanie loty? Czy nie uważa pani, że podróże lotnicze to trochę naciąganie ludzi?

– To jedna z korzyści ubocznych. – Kobieta wyciągnęła zza drzwi dzin z tonikiem i popijała go w zamyśleniu, wpatrując się w fotografię Stephena Dextera, tkwiącą w klapie mojej marynarki. – Żony robią się niespokojne, kiedy mężowie zgarniają całą przyjemność dla siebie.

Kay mądrze pokiwała głową.

– Chodziło mi o podróże generalnie. Czy nie jest to rodzaj oszustwa? Te same hotele, te same przystanie, firmy wynajmujące samochody. Z równym powodzeniem można zostać w domu i oglądać to w telewizji.

– Ludzie lubią jeździć na lotniska. – Kobieta patrzyła w niebo, jakby przyszło jej na myśl, że mąż może wrócić wcześniej. – Lubią parkingi, punkty odpraw, sklepy wolnocłowe, okazywanie paszportów. Mogą udawać, że są kimś innym.

– Nie sądzi pani, że to rodzaj prania mózgow?

– Chcę, żeby mi prano mózg. – Uwagę kobiety odwróciło szczekanie, dobiegające od basenu. – Muszę iść. Próbujać utopić psa. Porozmawiajcie z sąsiadami. On jeździ na wózku...

– Nie za dobrze – przyznała Kay, gdy stanęliśmy na chodniku. Postukała ołówkiem o zęby. – Nie można być aż tak pasywnym.

– No to masz problem – powiedziałem. – A jeśli ci ludzie lubią, że jest tak, jak jest? Może z uśmiechem na ustach dają się oszukiwać?

– Więźniowie polerujący swoje łańcuchy? Nie godzę się na to.

Vera jechała za nami, a my szliśmy spokojną alejką, jak prowokatorzy gotowi wywołać rewolucję. Ale brakowało katalizatora, takiego, który zradyzował Chelsea Marina. Nie było zwolnień z pracy, niemożliwych do udźwignięcia długów, niesprawiedliwości, podwójnych żółtych linii na jezdni. Zamożne przedmieścia stanowiły jeden z przejawów końca historii. Gdy już się do tego doszło, to tylko zaraza, powódź albo wojna jądrowa mogły im zagrozić. Mimo to Kay nie zrażała się, kroczyła przede mną wzdłuż umocnień Linii Maginota przy Arcadia Drive, szukała transzei, w której mogłaby założyć swoje miny.

W trzecim domu przywitała nas szczupła, siwowłosa kobieta o jasnych oczach i cienkich ustach wyższego urzędnika państwowego. Przypominała mi trzech sędziów w sądzie pokoju. Wewnątrz dostrzegłem starszego mężczyznę, siedzącego w salonie. Przy jego łokciu stała szklanka whisky, a on mrużył oczy nad krzyżówką.

Kay przedstawiła nas, pomijając mój duchowny tytuł.

– Przeprowadzamy badania dotyczące stylu życia.

– Nie jestem pewna, czy mamy styl życia. Bo czy ktokolwiek w dzisiejszych czasach ma styl? – Kobieta wysłuchiwała, co wykrzykuje jej mąż, i odkrzyknęła: – Style życia, kochanie!

– Nie potrzebuję żadnego! – wrzasnął małżonek. – Nie mam żadnego od trzydziestu lat.

– No cóż, sami widzicie. – Wzrok kobiety badał makijaż Kay, jej obgryzione paznokcie i nitki wyciągnięte z żakietu. – Nie potrzeba nam stylu życia.

Kay brnęła dalej ze sztucznym uśmiechem. Dołączył do nas spaniel i zaczął obwąchiwać jej kolana.

– Nie sądzi pani, że w dzisiejszych czasach zbyt wiele uwagi zwraca się na czas wolny? Podróże zagraniczne, prozione obiady...?

– Tak. Prozonych obiadów jest stanowczo za dużo. Nie rozumiem, o czym ludzie mogą tam rozmawiać. – Powtórzyła przez ramię, na użytek męża: – Prozione obiady, kochanie.

– Nie znosimy ich, prawda, Judith?

– Tak właśnie powiedziałam.

– Co?

Kay postukała w podkładkę do papieru.

– Czyli byłaby pani za zdelegalizowaniem prozonych obiadów?

– To trudne do przeprowadzenia i niemożliwe do wyegzekwowania. Dziwaczny pomysł.

– Tańce w klubach tenisowych? – zapytała Kay. – Podmienianie się żonami? Czy to powinno być zabronione? Czy też jest to opium, które trzyma pod kontrolą klasę średnią?

– Judith?

– Podmienianie się żonami, kochanie. – Kobieta popatrzyła na mnie niepewnie. – Nie, nie jestem przeciwna podmienianiu się żonami.

Kay nabazgrała coś na podkładce do papieru.

– Pani jest liberalna w sprawach dotyczących seksu?

– Tak. I zawsze byłam, prawdopodobnie nie zdając sobie z tego sprawy. Ale...

Kay odepchnęła spaniela.

– Co pani sądzi o seksie za obopólną zgodą?

– Z własnym mężem? Teoretycznie to doskonały pomysł. Proszę powiedzieć, kto sponsoruje te badania?

– A zwierzęta?

– Bardzo je lubię, oczywiście.

– Potrzebują naszego uczucia?

– Jak najbardziej.

– Więc podpisałyby pani petycje o odwołanie praw przeciwko stosunkom seksualnym ze zwierzętami?

– Słucham?

Kay uśmiechnęła się słonecznie do spaniela.

– Mogłaby pani uprawiać seks ze swoim Burkiem...

Bez szwanku dotarliśmy do ulicy i wsiedliśmy do samochodu. Kay rzuciła podkładkę i usiadła obok mnie na tylnym siedzeniu. Wyczerpana wzięła mnie za rękę. Pomachała w stronę domu, gdy przejeżdżaliśmy obok. Spaniel czekał, a mąż z żoną stali w drzwiach, patrząc na poruszony żwirek.

– Niedobrze – zamyśliła się Kay. – Ona nie chce pierdolić Burka. Ale ta myśl może kiedyś pojawić się w jej głowie.

– Jak poszło? – zapytała Vera. – Były jakieś problemy?

– Poszło dobrze. Prawda, Davidzie?

– Zaskakująco dobrze. Z pewnością dałaś im materiał do przemyśleń.

– Na tym polega ten pomysł. Namieszać. Sprawić, żeby zaczęli widzieć w sobie ofiary. – Pochyliła się i poklepała Verę po ramieniu. – Zatrzymaj się tutaj. To będzie tylko chwilka.

Spostrzegła, że na podjeździe stoi właściciel domu i zmywa szlauchem błoto z rolls royce'a. Schwyciła podkładkę do papieru i wysiadła z samochodu, zanim się zatrzymał. Poszedłem w jej ślady. Obciągając spódnice, zbliżyła się do mężczyzny w podkoszulku. Miał krzepkie ciało i wyglądał na budowniczego, któremu powiodło się w życiu.

– Dobry wieczór panu. To błoto na roysie wygląda raczej na robotę dla żony. Badamy nowy produkt dla dyskryminowanych kierowców.

– Pani i pastor? – Mężczyzna przeczytał napis na mojej plakietce. – Zmienił pan zawód? Całe to klęczenie przy modlitewniku musi być cholernie męczące.

– Wielebny Dexter to przyjaciel rodziny. Proszę mi powiedzieć, co pan sądzi o błocie w sprayu?

– Błocie...?

– W sprayu. Syntetyczne, płynne błoto w wygodnych do użycia puszkach z aerozolem. – Kay przyjęła jednostajną manierę mówienia sprzedawców z domów handlowych, demonstrujących nowe towary. – Efektywny sposób, żeby wyrzucić wrażenie w poniedziałek rano, na parkingu przed biurem. Szybko rozpylamy błoto i koledzy myśią o pergolach z różami i krytych strzechą chałupach.

– Moi koledzy pomyśleliby, że nadają się do domu wariatów. – Mężczyzna odwrócił się do swojego szlaucha. – Wariatka. Nie będę się modlił z wami. Potrzeba do tego więcej niż ten ksiądz...

– Kay, na litość boską... – złapałem ją za ramię i zaciągnąłem do samochodu. Gdy wpychałem ją na tylne siedzenie, trzęsła się z wyczerpania i podniecenia. Ruszyliśmy, a ona rozsiadła się, kładąc głowę na moim ramieniu. Ryczała ze śmiechu.

– Błoto w sprayu. Wybacz, Davidzie, nie mogłam się temu oprzeć. Przemyśl to. Moglibyśmy zarobić milion – to produkt naszej ery...

12. Wypożyczalnia wideo

Wysłuchaliśmy sprawozdań nad wielkimi szklanicami dżinu w pubie niedaleko Harlequin. Kay siedziała na stołku barowym, z podciągniętą spódnicą i czesała włosy, pewna, że wszyscy kibice rugby, mężczyźni w średnim wieku, zerkają na nią znad kufli. Nasza wyprawa do ziem zamieszkałych przez klasę średnią miała swoje absurdalne aspekty, ale uszły one jej uwagi. Nawiązała walkę z wrogiem – nie z mieszkańcami, ale z kulturowym więzieniem, w których marnieli.

Przyglądałem się jej z niekłamanym podziwem. Nic, z czym zetknąłem się w Instytucie Adlera, nie przygotowało mnie na to spotkanie. Psychiatria święci triumfy, gdy ma do czynienia z porażką, ale nie daje sobie rady z sukcesem. W Kay płonął autentyczny zapach fanatyczki, wiara, którą wyznawał tylko jeden konwertyta, ona sama. W wielu sprawach miała rację. Konwencje społeczne, które wiążą ludzi z ich ostrożnym i rozsądnym trybem życia, powinny zniknąć.

– Dziś Twickenham, jutro cały świat – oznajmiła Kay, kiedy na jej polecenie zamówiłem jeszcze jedną kolejkę. – Prawda, Vero?

– Byłaś wspaniała. – Vera powąchała swój dżin, odgarniając włosy z wysokiego czoła. Nie chciało się jej patrzeć w oczy kibicom rugby. – Dlaczego to zawsze kobiety otwierają drzwi? Gdzie, do diabła, są mężczyźni?

– Wymierają. Siedzą w dźwiękoszczelnych pokojach i zastanawiają się, co się dzieje. – Kay poklepała mnie po policzku. – Takich jak ty, Davidzie, jest zdecydowanie mniej.

– Powiem swoim przyjaciołom od Zielonych. Potrzebne nam bezpieczne schronienie.

Vera dokończyła pić, wymieniła spojrzenia z Kay i wyszła, żeby poczekać na nas w samochodzie. Patrzyłem, jak kroczy z kamienną twarzą, jak przechodzi przez drzwi przytrzymywane z kpiarską galanterią przez uprzejmego piwosza, wysuwającego ramię, żeby podeprzeć damę.

– Humorzysta osóbką – powiedziałem. – Pewnie tęskni za Ministerstwem Obrony. Tyle tam miała paskudnych zabawek.

– Lubię ją. – Kay zdarła górną kartkę z podkładki do papieru – Jest słodka. Pełnej krwi socjopatka domowego chowu. Opowiedziała ci swoją zabójczą historię?

– Zła macocha i zestaw małego chemika? Potrząsała mi tym przed oczami.

– Sprawdźmy, czy dobry z ciebie psycholog. Mówiła prawdę?

Zawahałem się, przypominając sobie porozumiewawczy uśmiezek Very.

– Tak.

– Masz rację... Postanowili nie ścigać tej zbrodni. Tak niebezpieczne dziecko powinno być przydatne dla społeczeństwa. – Kay wreszcie się odprężyła. Wzięła mnie za rękę. – Cieszę się, że wróciłeś. Potrzebujemy ludzi, którzy nie są omotani swoją własną małą nienawiścią.

– Nie byłem pewien, czy chcę wrócić. Ale w Chelsea Marina coś się dzieje i muszę być przy tym.

– Nie zapomnij o nas. To popołudnie troszeczkę przypominało farsę; wiem, że tego nie pochwalasz. Mimo to jesteś bardziej zaangażowany, niż ci się wydaje. – Zeszła ze stołka i obciągnęła spódnicę, uśmiechając się do piwozsy. – No, jeszcze ostatnia wizyta, a potem prosto do gorącej kąpieli – możesz mi wyszorować plecy, Davidzie...

Ruszyliśmy, Vera prowadziła wieczornymi ulicami. Twickenham przemieniło się w telewizyjne przedmieście, w którym niebieskie ekrany jarzą się w salonach bungalowów, a nastolatki przygotowują się w sypialniach na wyjście do klubów. Przejechaliśmy obok małego supermarketu, obsługującego okoliczne domy, zaparkowaliśmy na zjeździe, o trzydzieści metrów od wypożyczalni wideo.

Supermarket właśnie zamykano i ostatni klienci szli już do samochodów. Kay czekała, aż zostaniemy sami na zjeździe, otworzyła sportową torbę i wyciągnęła z niej trzy kasyety wideo.

– Davidzie, bądź kochany. Jestem kompletnie wykończona. Oddaj je w moim imieniu.

– Oczywiście. – Otworzyłem drzwi i spojrzałem na kasyety w świetle latarni. – *Dzień Niepodległości, Diva, Armagedon...*? To nie w twoim stylu.

– Wypożyczyłam je w ubiegłym tygodniu – piszę tekst dla „Sight and Sound” o sztuce na kasetach wideo. Po prostu połącz je z powrotem na półce.

– A jeśli mnie zobaczy sprzedawca?

– Powiesz, że je znalazłeś w supermarkecie. – Kay wypchnęła mnie z samochodu. – Dzieciaki ciągle je podkradają. Nie patrz w kamery ochrony.

W wypożyczalni panował spokój. Dwudziestoletni młodzieniec siedział za ladą zatopiony w ekranie komputera. Trzymając się tyłem do kamer, wsunąłem kasyety z filmami science fiction na półki największego stoiska i podszedłem do skromnej wystawy z filmami obcojęzycznymi, trzymając kasetę z *Diva* pod marynarką.

Przyjrzałem się rzędowi klasycznych filmów Truffauta, Herzoga, Felliniego i pomyślałem o głębokim zainteresowaniu filmem, które tak zbliżyło mnie i Laurę. Nękaliśmy personel FilMOTEKI Narodowej, szukając jakiegoś nieznanego reżysera z Portugalii czy Korei. Tragiczny przypadek sprawił, że ostatnie chwile życia Laury utrwalone zostały na amatorskiej taśmie wideo. Pomyślałem, że powinienem wytropić właściciela tej kamery.

– Boże, co...? – Poczułem ostre ukłucie na posiniaczonych żebrach. Gwałtowne gorąco paliło mnie w klatkę piersiową, a spod marynarki zaczął się wydobywać dym, dławiący węglowodorowy opar. Dziesięć kroków dalej, tam gdzie zostawiłem kasetę z *Armagedonem*, znad półki unosił się gryzący dym. Błysnęła magnezja. Niebieskobiały promień intensywnego gorąca.

Kaseta pod kurtką kopciła. Wytrząsałem ją na podłogę, odskoczyłem, kiedy zaczęła skwierczeć i iskrzyć. Gdy próbowałem znaleźć drzwi, na półkach rozległa się druga eksplozja. Dym wypełnił wypożyczalnię i przyćmił lampy pod sufitem, które teraz żarzyły się słabo w ciemności. Młody sprzedawca przebiegł obok mnie, zakrywając rękami usta, znalazł drzwi i wytoczył się w noc.

Wysoki mężczyzna, w hełmie motocyklisty, przeszedł chwiejnie przez dym, osłaniając oczy przed rozbłyskami światła. Zobaczył mnie i złapał silną ręką za ramię.

– Markham! Wychodź!

Próbowałem osłonić twarz, czułem, że ktoś pcha mnie w stronę drzwi. W jaśniejszym świetle rozpoznałem biały pasek koloratki.

– Dexter? Szukaj gaśnicy... dzwoń pod 999.

– Jazda!

Smolisty dym, gęsta czarna chmura, buchał kłębami na ulicę. Ksiądz puścił moją kurtkę i pobiegł na zjazd, spod jego skór wydobywał się dym, który dostał się tam w wypożyczalni. Pomachał ręką, samochód Kay podjechał pędem w jego stronę, za kierownicą siedziała Vera. Czekałem, aż się zatrzyma, ale wóz przyspieszył i odjechał, rzucając Dextera na kolana.

Pomogłem mu wstać i podążyłem za nim truchtem. Tylne światła samochodu Kay, dwie krwiste smugi, gwałtownie skrzyły w ciemności, zmierzając w stronę mostu Richmond. Pastor oparł się o mnie, dysząc, mimo flegmy wypełniającej jego usta. Odsunął osłonę hełmu i łykał nocne powietrze. W ostrym świetle magnezji widziałem jego nerwową twarz i grymas gniewu. Patrzył za samochodem, aż zniknął z pola widzenia, a ja zrozumiałem, że Kay Churchill od początku miał zamiar mnie zostawić.

13. Neurochirurg przygląda się Bogu

Gdy wróciliśmy na harleyu Dextera, w Chelsea Marina było spokojnie. Obok budki strażnika stali policjanci. Kierowali ruch na King's Road i czujnym okiem przyglądali się mieszkańcom idącym do okolicznych restauracji. Spodziewałem się, że zobaczę kilka nieustępliwych pikiet, koksownik rozgrzany do czerwoności i puszkę na dary bożonarodzeniowe. Ale rewolucję wyraźnie przesunięto na wygodniejszy termin. Buntownicy z klasy średniej cenili sobie dni wypoczynku, toteż koncerty, wyprawy do teatru i przyjemności płynące z konsumpcji świeżych owoców morza sprawiły, że odłożono budowę barykad na później.

Dexter zasalutował policjantowi, który machnięciem dłoni dał nam znak, że możemy wjechać do osiedla. Ksiądz już miał mnie ostrzec, żebym zdjął hełm, ale posterunkowy przepuścił nas zakładając, że jestem nową owieczką w trzódce, uratowaną od pokus ulicy, którą świątobliwy harleyowiec prowadzi do lepszego życia.

Wietrząc się z resztek oparów, zdałem sobie sprawę, że widok posterunkowego sprawił mi przyjemność. Próba kulturowego sabotażu dokonana przez Kay łatwo mogła się przerodzić w nieszczęście. Stephenowi Dexterowi i mnie ledwie udało się ujść cało. Harley stał zaparkowany w ślepej uliczce, o jakieś sto metrów od wypożyczalni. Dexter zwymiotował w skórzane rękawice, a potem włączył silnik gładko pracującej amerykańskiej maszyny. Patrzyliśmy, jak wozy strażackie wyciągają węże w stronę magnezjowego pożaru. Tysiące kaset leżały na ulicy, parowały w świetle ulicznych jarzeniówek, taśmy wiły się wśród potłuczonego szkła.

Ruszyliśmy w stronę mostu Richmond, zanim policja zdołała nas wypatrzeć. Odchyliłem się na siodełku, pozwalając, by nocne powietrze owiało mnie, wypędzając cały gniew i panikę. Nigdy nie ufałem Verze, ale Kay postąpiła znacznie bardziej bezwzględnie, niż się spodziewałem. Nie wyszedłem natychmiast z wypożyczalni, zwlekałem, myśląc o Laurze i naszych wieczorach w FilMOTECE Narodowej. Gdy nie wróciłem do samochodu, kazała Verze odjechać i zostawiła mnie z moimi wspomnieniami.

Przejechaliśmy przez Chelsea Marina i zatrzymaliśmy się przy Nelson Lane, rzędzie domków stojących nad wodą. Dwa jachty przycumowane razem do pomostu wyglądały jak dwoje kochanków szukających schronienia. Obok ostatniego domu, na podwyższeniu stała mała kaplica. Jej skromne rozmiary dokładnie odzwierciedlały potrzeby duchowe mieszkańców Chelsea Marina.

Biały garbus z zapalonymi światłami postojowymi stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Zza okna po stronie kierowcy machała do nas Joan Chang. Zdjęła słuchawki walkmana i uśmiechnęła się do Dextera, rada, że widzi go w domu. Potem włączyła silnik i odjechała, klekocząc chłodzoną powietrzem maszyną.

Pastor patrzył za nią, uśmiechając się posępnie w chmurze gazów spalinowych. Dotykał

nerwowo manetek motocykla.

– Wchodzisz?

– Dziękuję. Wypiję u ciebie drinka.

– I to dużego. Można powiedzieć, że sobie zasłużyłeś.

Czekał, aż zejść z siodełka, ale najwyraźniej bez entuzjazmu zaprosił mnie na plebanię. Gdy stawiał harleya na nóżkach, ja przyglądałem się przystani. Doszedłem do wniosku, że ksiądz był czujką wystawioną przez Kay przy wypożyczalni, a teraz jego zadaniem jest wytknięcie mi niewłaściwego postępowania.

Wziął hełm i ruszył do domu. W wąskim korytarzu poczułem gryzący zapach mojego ubrania.

– Szatańska mikstura – powiedziałem. – Coś takiego stawia się jako zasłonę dymną.

– To właśnie to. Vera Blackburn pracowała dla Ministerstwa Obrony. Gdyby jej pozwolić, żeby zrobiła to po swojemu, całą ulicę zakryłby dym.

Salonik był oszczędnie umeblowaną celą. Biurko i skórzany fotel przysunięte do ściany, środek pokoju zajmowało łóżko polowe i wzniesiony nad nim niski, płócienny namiot. Na dywanie stał prymus, a obok niego kilka puszek i pudełek z płatkami zbożowymi. Na metalowej ramie wietrzyła się sutanna, a na składanym, drewnianym stoliku na jednej nodze stał wybór mszałów i książek z hymnami, własnej roboty kalendarz adwentowy dla dzieci i egzemplarz publikacji BBC *Neurolog przygląda się Bogu*, książki opartej na serialu telewizyjnym, w którego powstaniu uczestniczyłem. Na zgniętej poduszce leżącej na łóżku polowym spoczywała fotografia w ramkach przedstawiająca wielebnego Dextera w czarnej sutannie i okularach lotniczych, stojącego obok dwupłatowca typu Steerman przy polowym lotnisku na skraju lasu. Wraz z Dexterem sfotografowano wodza wioski, jego filipińską żonę i cztery uśmiechnięte córki.

Reszta domu – korytarz, otwarta jadalnia i kawałek kuchni, który widziałem ze swego miejsca – była najwyraźniej niezamieszka. Zrozumiałem, że pastor założył sobie obozowisko we własnym domu, jakby wygodę foteli klubowych, sprężynowych materacy i elektrycznych piecyków były przyzwyczajeniami, których postanowił się wyrzec, ślubując częściową rezygnację z doczesnego świata. Tym polowym łóżkiem, prymusem i namiocikiem przypominał sobie, że jego przydział do Chelsea Marina jest tymczasowy.

Czekał, aż przywyknę do dziwacznej scenerii. W okutych metalem buciorach i motocyklowych skórkach wyglądał bardzo dziarsko. Ale twarz miał ziemistą i strapioną, a na ulicę patrzył z niepokojem jak uciekinier, który w każdej chwili spodziewa się, że nadjedzie policja i wyłamię drzwi do domu. Zastanawiało mnie, jak nawiązał znajomość z Kay Churchill, kobietą, która sama w sobie stanowiła receptę na załamanie nerwowe.

Byłem gotów stawić mu czoło w kwestii wieczornej akcji i zapytać, dlaczego zniszczyliśmy wypożyczalnię wideo. Nasza misja wśród klasy średniej zakończyła się bezsensownym aktem wandalizmu. Ale on zniknął w namiocie i wyłonił się z niego z butelką hiszpańskiego wina i dwiema szklankami.

– Proszę. – Napełnił moją szklankę, patrząc jak płyn podchodzi do brzegu. – Powiniennem wyrzucić cię przy budce strażnika. Musisz wypocząć, zanim będziesz w stanie poprowadzić samochód.

– Wezmę taksówkę. Nadal jestem roztrzęsiony.

– Jasne. Wpadniesz do Kay?

– Czeka na mnie?

– Tak myślę. Trochę gniewu stymuluje gruczoły. Mówią, że jest interesującą kochanką.

– No, to minęła mnie uczta. Jedna zdrada wystarczy jak na jeden wieczór.

– Racja.

Próbowałem utrzymać szklanekę w ręku. Nadal drżałem z napięcia i strachu, z poczucia, że wyszedłem poza swoją rolę i zostałem terrorystą-amatorem.

– A więc... – Popijałem wino i czekałem, aż puls wróci mi do normy. – Czy misja zakończyła się sukcesem?

– Jestem pewien, że Kay tak uważa.

– Cieszy mnie to. Mogłem zarobić rok więzienia. Ty też.

– Więcej. – Dexter patrzył na kurz na pustych półkach. – Wszyscy byliśmy już karani.

– Narobiliśmy szkód na tysiące funtów. – Uniosłem głos, zirytowany biernością tego muskularnego księdza. – Wężę z wodą musiały zniszczyć cały towar.

– I kamery. Przynajmniej nikt nie będzie wiedział, że tam byłeś. Te filmy to niewielka strata, ale rozumiem twój punkt widzenia.

– Powiedz, jak to wyjaśnisz swojemu biskupowi?

– Nie wyjaśnię. Duchowny ma bardzo dużą swobodę w swojej parafii.

– Swobodę? Wygodny pomysł. Jesteś w stanie pogodzić to ze swoim.. sumieniem?

– Tego słowa nie używa się często w twoim zawodzie. – Dexter po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Zauważyłeś, jak słownictwo dostosowuje się do naszej potrzeby usprawiedliwiania?

– Dexter... – Zirytowany rąbnąłem okularami o gzymś kominka. – Wykorzystałeś mnie do popełnienia przestępstwa.

– Niezupełnie... – Dexter próbował mnie uspokoić. Patrzył przez okno, żeby sprawdzić, czy słychać mnie po drugiej stronie ulicy. – Myślałem, że to były bomby dymne, a nie zapalające. Poza tym, nie byłem nawet pewien, czy przyjdiesz.

– Nie stałeś na straży?

– Nie. Działalem na własną rękę. Kay do tej pory nie wie, że tam byłem. Powiedziała mi, że planowana jest akcja na wypożyczalnię wideo, domyśliłem się, że możesz wziąć w niej udział i potrzebna ci będzie pomoc.

– I była potrzebna. – Opanowałem się: – Cieszę się, że tam czekałeś. Ale po co to ryzyko ze mną? Jestem amatorem. Mogli mnie aresztować.

– Kay chciała, żeby cię aresztowali. – Dexter wypił wino i spojrzał na butelkę stojącą na podłodze między nami. – Nadal nie jest pewna, kim jesteś albo po co tu jesteś. Pójście z tobą do łóżka nie dałoby wiele. Gdybyś został skazany na rok, to wiedzielibyśmy, po czyjej stronie stoisz.

– Nie sądzisz, że to trochę bezwzględne?

– Odwiedziłaby cię w Wandsworth. – Uniósł dłoń, zanim zdołałem odpowiedzieć. – Dzieją się tu rzeczy, którym trzeba się przyjrzeć. Pozornie to wszystko jest nieco absurdalne, ale ma i ciemną stronę. Kay to niezwykła kobieta, tylko wpadła w pułapkę eskalacji wymagań wobec siebie. Inni ludzie to wykorzystują. Niebezpieczni ludzie.

– Tacy jak Vera Blackburn? I ten doktor Gould? To były zapalniki magnezjowe, potrafią stopić stal. Miałbyś sporo kłopotu, żeby pogodzić się ze ślepotą jakiegoś dziecka.

– Nie pogodziłbym się. To niewybaczalne.

– Powinienem pójść na policję. I wiesz, poważnie o tym myślę.

– Nie zatrzymałbym cię. Chętnie zeznawałbym jako świadek oskarżenia.

– Więc dlaczego bierzesz w tym udział? Jesteś zamieszany w jakieś poważne przestępstwa?

Dexter pochylił głowę i zagapił się na łóżko polowe i namiocik, swoją ucieczkę od posępnego probostwa.

– Chelsea Marina to moja parafia. Gdybym był pastorem w osiemnastowiecznej Kornwalii i stwierdził, że wszyscy mieszkańcy wioski biorą udział w rabowaniu statków sprowadzonych celowo na skały, to popełniłbym błąd, gdybym trzymał się od tego z dala. Musiałbym się do tego przyłączyć.

– Stałbyś na skałach i machał latarnią?

– Mam nadzieję, że nie. Ale przynajmniej zrobiłbym wszystko, żeby rozbitkowie nie zostali wymordowani albo wrzuceni do morza.

– I to właśnie robisz w Chelsea Marina? Zamykając kierownika administracji w jego biurze? Biedak przeżył wstrząs.

– Nie użalaj się nad nim za bardzo. Tutejsi ludzie to co prawda klasa średnia, ale w praktyce są tylko wyrobnikami pracującymi na kontrakcie.

– „Nowy proletariat”? Z tymi prywatnymi szkołami i bmw?

– Tu panuje prawdziwa rozpacz. Wiele rodzin nie wie już, co ma począć. Słuchają Kay i Richarda Goulda i zaczynają kwestionować swoje dotychczasowe życie. Widzą, że prywatne szkoły urządzają ich dzieciom pranie mózgu i przyuczają je do społecznej pokory, tworząc z nich klasę profesjonalistów, którzy będą obsługiwać konsumpcyjny kapitalizm.

– Złowrogi pan Bigs?

– Nie ma żadnego pana Bigsa. System sam się reguluje. Opiera się na naszym zmyśle obywatelskiej odpowiedzialności. Bez tego społeczeństwo zawaliłoby się. Faktycznie, katastrofa mogła się już nawet zacząć.

– Tutaj, w Chelsea Marina?

– Nie, to zaczęło się lata temu. – Pastor stał przy oknie, patrząc, jak policyjny śmigłowiec patroluje rzekę, przesuając plamy światła rzucanego przez reflektory po milczących biurowcach. – Wszystkie te ruchy protestacyjne: „Odzyskać ulice”, „Chronić krajobraz”, demonstracje przeciwko genetycznie modyfikowanej żywności i Światowej Organizacji Handlu. To szlachetne cele, ale zarazem część rewolty klasy średniej, rewolty, która zaczęła się czterdzieści lat temu wraz z kampanią na rzecz rozbrojenia nuklearnego. To, co dzieje się teraz, to początek końcowej rozgrywki – rezygnacji z obywatelskiej odpowiedzialności. Ale ty o tym wiesz – dlatego jesteś tutaj.

– Niezupełnie. Prowadzę własne śledztwo w sprawie bomby na Heathrow. Zginęła tam moja żona.

– Twoja żona? Wiem. Straszna tragedia. Kompletnie szaleństwo.

– Moja pierwsza żona. – Zły na siebie za to przejęzyczenie dodałem: – Ożeniłem się ponownie i jestem szczęśliwy. Ale muszę dojść do tego, kto podłożył bombę na konwejerze. Mam poczucie obowiązku, rodzaj moralnego zobowiązania, jakby tam, w terminalu numer 2, była jakaś część mnie.

Dexter odwrócił się do mnie plecami, patrzył w ciemność nad przystanią, w studnię nicości. Twarz miał bladą i nieomal bezkrwistą, oczy utkwione w jeden punkt, jak żałobnik na pogrzebie, który stara się nie patrzeć na pusty jeszcze grób pod stopami. Dotykał palcem szramy na czole, jakby próbował wyłączyć lampkę ostrzegawczą.

– Przepraszam. – Zebrał się do kupy, dotknął koloratki. – Myślałem o Heathrow. Trudno to pojąć. Jestem pewien, że policja znajdzie zamachowców.

– Nikt nie przyznał się do zamachu. W ubikacji męskiej był transparent – jakieś nudziarstwo przeciwko turystyce.

– Rozumiem. Myślisz o Kay i Joan, i sądzie w Hammersmith. Ale wierz mi, to nie ma związku.

– Ufam ci – powiedziałem. – Mimo to w powietrzu wisi przemoc. To nie tylko gadanie.

Dexter pokręcił głową, policzył palcem puszkę stojące wokół prymusa.

– Atak na wypożyczalnię przeprowadzony dzisiaj – to było wyjście poza ramy. Przemoc została usunięta z arsenału klasy średniej przed wielu laty.

– Czy to dotyczy także doktora Richarda Goulda? Był zamieszany w podpalenie. Podłożył ogień pod dom towarowy wybudowany przez swojego ojca.

– Znalazłeś to na stronie internetowej? Internet to nasz konfesjonał. Był dzieckiem, targanym konfliktami nastolatkiem. – Z głową nadal zwieszoną, żeby uniknąć mojego wzroku, wziął mnie za ramię i zaprowadził do holu. – Davidzie, potrzebny jest nam sen i czas, żeby przemyśleć sprawę. Wiele czasu. Nikomu nie mów o wypożyczalni. Nie wyrzucam cię, ale muszę się przygotować do nabożeństwa.

– Miło mi to słyszeć. – Staliśmy przed drzwiami. Wskazałem ręką ciemną kaplicę. Jej drzwi zamknięte były na klucz, a na schodach leżał niedbale rozrzucony stosik ulotek. – Nie odprawiasz nabożeństwa w Chelsea Marina?

– Mieliśmy kłopoty z dachem. – Uczynił niedbały gest. – I inne problemy. Czasem mam zastępstwo u Świętego Jakuba na Piccadilly.

– Kay Churchill uważa, że straciłeś wiarę.

Dexter objął mnie silnym ramieniem. Czuł się lepiej w ciemnościach. Uniósł głowę, żeby popatrzeć na ciche ulice. Wiedział, że próbuję go sprowokować, ale odzyskał już pewność siebie.

– Moja wiara? Powiedziałbym, że została ze mnie wybita. Agnostycy przypisują zbyt wielkie znaczenie wierze. To nie to, w co wierzysz – któż o tym wie? Znacznie ważniejsza jest mapa, którą rysujesz sobą. Moja była błędna, w każdym znaczeniu. Paskudny wypadek wykoleił mnie na jakiś czas...

– Na Filipinach?

– Na Mindanao. Straciłem namiary i wylądowałem na pasie startowym kontrolowanym przez miejscowych partyzantów. Przez dwa tygodnie bili mnie co dzień. Powiedzieli, że nawracają mnie na islam.

– Opierałeś się?

– Nie za długo. – Dotknął blizny na czole. – Myślałem o powrocie do zawodu nauczyciela, ale trzymają mnie tu obowiązki. Niepokoje społeczne zawsze wyrzucają na wierzch paru naprawdę niebezpiecznych typów. Ludzi, którzy używają skrajnej przemocy, żeby wyrazić siebie, tak jak niektórzy korzystają w tym celu z ekstremalnego seksu.

– Kay Churchill?

– Nie. Kay jest za bardzo wspaniałomyślna wobec siebie.

– A co z Verą Blackburn?

– To większy problem. Przyglądam się jej.

– A doktor Gould?

Dexter odwrócił się i zatopił wzrok w czarnej wodzie przystani.

– Richard? Trudno powiedzieć. Stoi przed ogromnym niebezpieczeństwem – przed sobą samym. Zanim się rozstaliśmy, powiedziałem:

– Ostatnie pytanie. Dlaczego sąd nie zapuszkował nas na dobre? Kay, Very, ciebie i mnie, i wszystkich innych. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych musi wiedzieć, co jest na rzeczy.

– Wiedzą. Pozwalają nam biec za piłką. Chcę wiedzieć, do czego to doprowadzi. Nic ich tak nie przeraża, jak myśl o prawdziwej rewolcie klasy średniej...

Patrzył, jak odchodzę, jego stroskana twarz przysłonięta była cieniem, a potem wrócił pod swój dach, który przed niczym go nie osłaniał.

14. Z Guilford do terminalu numer 2

Sally odrzuciła laski na podłogę i przeszła przez salon, wstrząśnięta moją pozorną beztrioską.

– Davidzie! Mogłeś trafić do więzienia...

– To możliwe. Ale nie martw się. Prawdopodobnie nic na mnie nie mają.

– Ci ludzie to szaleńcy. Trzymaj się od nich z daleka.

– Mam taki zamiar, kochanie. Wszystko, co zrobiłem, to jedno popołudnie spędzone w ich towarzystwie.

– Jedno popołudnie? Podpaliłeś Twickenham.

– To brzmi jak tytuł z obrazu Johna Martina. *Twickenham w ogniu*. Stadion płonie, korty tenisowe zwęglone, baseny zaczynają wrzeć – to naprawdę byłby koniec świata.

– Davidzie... – Sally spróbowała innej metody. Usiadła na poręczy fotela. Spała, kiedy dotarłem do domu, ale przy śniadaniu opisałem jej mój chrzest na terrorystę z Chelsea Marina. Nic nie powiedziała. Krzywiła się tylko, jedząc grzankę. Myślała o tym przez godzinę, a potem podjęła gwałtowne starania, żeby doprowadzić mnie do zdrowych zmysłów. Gniew, wylewany na głupkowatego męża, ustąpił miejsca pochlebstwu. Wzięła moją twarz w dłonie.

– Davidzie, jesteś zbyt zaangażowany. Zapytaj siebie, dlaczego. Z jakiegoś powodu tym ludziom zależy na tobie. Podpalenia, wandalizm, bomby zapalające? Na przedmieściach filmy wideo są, praktycznie, obiektem kultu. Ale wybuch – to wprost niewiarygodne.

– To były bomby dymne. Ogień zaproszył się przypadkiem. Zapalniki były za silne – nie wiem dlaczego.

– Nie wiesz? Bo ten, kto je robił, był na prochach. – Sally skrzywiła się, przypominając własne uzależnienie od środków przeciwbólowych. – To jest twoje Chelsea. Jak u mojej matki w latach siedemdziesiątych. Lesbijki, heroina, zwariowane sklepiki otwarte okrągłą dobę, dziwacy udający gwiazdy popu. Od tej pory unikaj Chelsea.

– Właściwie to Fulham. Nie ma tam żadnych twardych narkotyków, tylko protestancka etyka w pełnym rozkwicie. Kierownicy średniego szczebla, księgowi, urzędnicy. Wyżej nie awansują, siedzi im teraz na karku tłum komorników.

– Powinni mieszkać w Milton Keynes. – Sally gładziła mi włosy, próbując doprowadzić mnie do jako tako przyzwoitego wyglądu. Przeżycia z poprzedniego dnia sprawiły, że włosy sterczały mi jak u Mohawka. – Chelsea, Fulham... Ty jesteś z północnego Londynu. Z Hampstead.

– Socjalizm w starym stylu? Psychoanaliza i żydowscy uczeni? To nie dla mnie. Spodobaliby ci się ludzie z Chelsea Marina. Mają jakąś pasję. Nienawidzą swojego trybu życia i chcą z tym coś zrobić. Rewolucję francuską zapoczątkowała klasa średnia.

– Rewolucja? Z napadem na wypożyczalnię wideo?

Wziąłem ją za rękę i zacząłem rozmyślać nad jej liniami życia, drogami zmierzającymi ku

wieczności, z ciągle widocznymi odciskami od lasek.

– Nie myśl o tej wypożyczalni. Interesujące jest to, że właściwie protestują przeciwko sobie samym. Tam nie ma wroga, oni wiedzą, że sami są wrogiem. Kay Churchill uważa Chelsea Marina za reedukacyjny obóz pracy, coś takiego, jak w Korei Północnej, tyle że okraszone bmw i prywatnymi ubezpieczeniami zdrowotnymi.

– To wariatka.

– Troszeczkę tak. Robi to celowo. Nakręca się, jak dziecko zabawkę, zaciekawione, dokąd pójdzie. Te wille w Twickenham to otrzeźwienie. Kulturalni ludzie, węszący za złotem, ale każdy z tych domów to scena. Mieszkają w dekoracjach. Te domy przypominają mi dom mojej babki w Guildford.

– Byłeś tam szczęśliwy. – Sally uszczypnęła mnie w ucho, próbując mnie otrzeźwić. – Pomyśl, jaka była alternatywa – włóczenie się za matką, sypianie w obcych łóżkach w północnym Oksfordzie, palenie trawki w wieku ośmiu lat, picie whisky z R.D. Laingiem. Nigdy nie zostałbyś psychologiem.

– Nie musiałbym.

– No właśnie. Zostałbyś architektem z Chelsea Marina. Uświetniałbyś małe przyjęcia i zamartwiałbyś się swoim volvo i czesnym. Teraz przynajmniej dobrze ci się powodzi.

– Dzięki twojemu ojcu.

– To nieprawda. Nigdy go nie lubiłeś.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Sally. Myśl, że musielibyśmy żyć z moich zarobków w instytucie, jest dla mnie nieznośna. Dywidendy z jego spółki stanowią połowę naszych dochodów. To uprzejmy sposób, żeby dać ci pokaźny zasiłek, bez narażania mnie na utratę szacunku do samego siebie.

– Wykonujesz dla niego użyteczną pracę. Ten problem z parkingiem w fabryce w Luton. Sprawileś, że kierownictwo ma dalej do biur niż inni.

– Po prostu zdrowy rozsądek. Najużyteczniejsza praca, jaką wykonuję dla twojego ojca, to uszczęśliwianie ciebie. Za to mi płaci. W jego oczach jestem po prostu sławnym terapeutą małżeńskim i doradcą medycznym.

– Davidzie! – Sally była bardziej zakłopotana, niż wstrząśnięta. Patrzyła na mnie jak dziesięciolatka, która znalazła pajaka w szufladzie ze skarpetkami. – Więc tak widzisz nasze małżeństwo? Nic dziwnego, że tak ci spieszo do Chelsea Marina.

– Sally...

Próbowałem wziąć ją za rękę, ale przeszkodził nam dzwonek do drzwi. Sally, klnąc pod nosem, poszła do holu. Ja siedziałem w fotelu, rozglądając się po mieszkaniu, podarowanym przez matkę Sally. Przypominało mi o roli, którą w moim życiu odgrywały pieniądze. Pieniądze innych ludzi. Jak słusznie zauważyła Sally, odczuwałem coraz większą bliskość z mieszkańcami Chelsea Marina, z neodpowiedzialną nauczycielką akademicką, wykładającą teorię filmu, i niechętnym do zwierzeń pastorem z harleyem i chińską dziewczyną. Podobała mi się szczerłość, z jaką patrzyli na siebie i wyrzucali zbędne bagaże przez okno.

Zbyt wiele bagaży należących do innych ludzi podjąłem się nosić – poniżające proste ze strony dyrektorów spółki mojego teścia, spotkania komitetu zakładu poprawczego w Hendon, gdzie pełniłem funkcję członka zarządu, odpowiedzialność za starzejącą się matkę, do której czułem coraz mniej sentymentu, żmudne zbieranie funduszy na Instytut Adlera, niewiele odbiegające od nagabywania bogatych klientów.

Z chodnika docierały jakieś głosy. Wstałem z fotela i podszedłem do okna. Henry Kendall stał

przy samochodzie z teczką w rękę. Obok niego stał wysoki rangą policjant w mundurze i spoglądał w górę, rozmawiając z Sally. Niewiele myśląc, doszedłem do wniosku, że przyjechał mnie aresztować i poprosił Henry'ego, bliskiego kolegę, żeby odegrał rolę przyjaciela więźnia. W teczce powinno być zatem kilka przedmiotów, które pozwolono by mi zabrać na posterunek.

Stałem za zasłonami, serce skakało mi w piersi jak schwyte zwierzę rzucające się na pręty klatki. Kusilo mnie, żeby uciec, przebiec przez bramę od strony ogrodu i udać się do sanktuarium Chelsea Marina. Uspokoilem się i sztywno podszedłem do drzwi.

Henry przywitał się ze mną przyjaźnie. Często jadaliśmy lunch w stołówce instytutu, ale dopiero teraz spostrzegłem, jak świetnie się prezentuje. Wymizerowaną postać spod szpitala Ashford zastąpił pewny siebie psychoanalityk i powiernik dyrektorów, już gotów objąć posadę profesora Arnolda. Wobec mnie stał się nieco protekcyjny, a zarazem bardziej podejrzliwy, przekonany, że w Chelsea Marina realizuję jakiś swój prywatny program.

Policjant wrócił do samochodu, usiadł w fotelu obok siedzenia kierowcy i zabrał się do przeglądania białej teczki z krzyżem, znakiem Instytutu Adlera. Henry i ja zaczęliśmy przechadzać się chodnikiem.

– Nadinspektor Michaels – wyjaśnił Henry. – Jadę z nim do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nadinspektor zajmuje się sprawą z Heathrow.

– Myślałem, że przyjechał, żeby mnie aresztować. – Uśmiechnąłem się. Przyszło mi to trochę zbyt łatwo. – Są jakieś postępy?

– Nieoficjalnie? Nie. To przestępstwo niemal pozbawione sensu. Nikt nie przyznał się do zamachu i nie ma żadnego wyraźnego motywu. Przykro mi, Davidzie. Obaj winni jesteśmy Laurze, żeby sprawę wyjaśnić.

– A co z odłamkami bomby? Muszą wam coś powiedzieć. – Są dziwne. Detonatory wojskowe ściśle tajnego typu. Używają ich SAS i tajni agenci operacyjni. Nikt nie wie, w jaki sposób zamachowiec wszedł w ich posiadanie.

Pomachałem do Sally, która stała na schodkach ganku i uśmiechała się do Henry'ego za każdym razem, gdy na nią spojrzał.

– Zeszłej nocy w Twickenham wybuchła bomba – powiedziałem bez ogródek.

– Skąd wiesz? Nie było tego w wiadomościach porannych. – Henry spojrzał na mnie ostro, jak pointer wystawiający ukrytego gdzieś ptaka. – Myślą, że to jakiś prymitywny żart. Aż dziwne, jak się namnożyło tych nieistotnych incydentów – większość „pożarów”, o których się czyta, to w rzeczywistości wybuchy bomb. Cele są też dziwne.

– Podmiejskie kina, McDonaldy, biura podróży, prywatne szkoły podstawowe...?

– Dobrze się domyślasz. – Henry uniósł podbródek jeszcze wyżej i spojrzał na mnie z góry. – Znasz kogoś w Scotland Yardzie?

– Nie. To... jest w powietrzu, którym oddychamy.

– Najwyraźniej spodobali ci się wywrotowcy. – Wręczył mi teczkę. – Kilka rzeczy po Laurze. Sprzątałem dom razem z jej siostrą. Artykuły, które razem napisaliście, parę książek, które jej dałeś, fotografie z konferencji. Pomyślałem, że chciałbyś to mieć.

– No... – Trzymałem teczkę, zaskoczony, że jest taka lekka. Wszystkie dokumenty z dziesięciu lat znajomości. Ostatnie świadectwa małżeństwa i pamięci. Gdy ją tak trzymałem pod wzrokiem Henry'ego, czułem, jak robi się coraz cięższa.

Sally schodziła ze schodów i żeby było trudniej, podparła się laskami. Był to pewny znak, że podejmuje właśnie ważną decyzję. Poczekaliśmy z Henrym, aż do nas dołączy, ale minęła nas i weszła na jezdnię, z wysiłkiem obchodząc samochód. Nadinspektor Michaels zobaczył ją w lusterku bocznym i wystawił ramię, żeby zatrzymać nadjeżdżającą taksówkę. Próbował wysiąść z samochodu, ale Sally oparła się o drzwi z łokciami na dachu.

Henry czekał na nią, zapomniawszy o naszej rozmowie. Wyjął z kieszeni kluczyki.

– Chcesz, żeby cię podwieźć, Sally?

Zignorowała go, patrzyła nad dachem samochodu. Jej oczy napotkały mój wzrok. Stałem z teczką pełną pamiątek po pierwszej żonie. Zrozumiałem, że właśnie miała zamiar powiedzieć nadinspektorowi Michaelsowi o moim udziale w podpaleniu wypożyczalni wideo. Patrzyła na mnie bez uśmiechu, jakby widziała całe nasze wspólne życie w wypolerowanym samochodzie Henry'ego, oddzielającym nas jak Hellespont.

Zaskoczony jej obecnością, nadinspektor otworzył drzwi. Sally widziała jego zmieszanie, a ja usłyszałem, jak przeprasza, że nie zaprosiła go na drinka. Pomachali do siebie, gdy samochód odjeżdżał.

Później, w kuchni, patrzyłem, jak Sally popija sherry, wdychając ulotny zapach trunku. Jej twarz jakby się wyostrzyła i po raz pierwszy zobaczyłem w niej kobietę mniej zepsutą i mniej pewną zarówno swojego męża, jak i świata.

– Sally... – odezwałem się cicho. – Chciałaś powiedzieć nadinspektorowi...

– Tak. – Zamieszała sherry palcem. – Myślałam o tym.

– Dlaczego? Natychmiast by mnie aresztował. Gdyby doszło do rozprawy, mógłbym skończyć w więzieniu.

– No właśnie. – Sally pokiwała smutno głową, jakby to była moja pierwsza sensowna myśl. – Jeśli nadal będziesz się upierał przy tych bzdurach z Chelsea Marina i tak skończysz w więzieniu. I to na długie lata, jeśli ktoś zostanie zabity. A ja tego nie chcę. Może właśnie nadeszła chwila, żeby z tym skończyć.

– Nie trafię do więzienia. – Chciałem wziąć ją w ramiona, ale zdałem sobie sprawę, że nadal trzymam teczkę Laury. – Wierz mi, z tym koniec.

– O nie. – Sally ze znużeniem odstawiła szklanekę. – Popatrz tylko na siebie. Potargane włosy, posiniaczona twarz i ta stara teczka. Wyglądasz jak nielegalny imigrant.

– I jestem nim na swój sposób. Dziwaczny pomysł. – Położyłem teczkę na krześle. – Zobaczyłem już wszystko, co chciałem. Chelsea Marina prawdopodobnie nie ma związku z zamachem na Heathrow. Nie grają w tej samej lidze.

– Jesteś pewien? Ci ludzie to amatorzy, nie mają pojęcia o tym, co robią. A nawiasem mówiąc, nie wracasz do Chelsea ze względu na bombę z Heathrow.

– Nie? Więc po co?

– Znalazłeś tam jakiś trop. Myślisz, że to pomoże ci się odnaleźć. Może nawet powinieneś odszukać nowe ego. I dlatego nic nie powiedziałam nadinspektorowi.

Odsunąłem szklaneczkę z sherry i przycisnąłem jej dłoń do stołu.

– Sally, nie ma żadnego tropu i nie mam tam już czego szukać. Jestem szczęśliwy z sobą i z tobą. Ludzie z Chelsea Marina nie potrafią sobie poradzić ze swoimi długami. Mają dosyć siebie i zwalają

winę na podwójne żółte pasy zakazu parkowania.

– Zastanów się, dlaczego. Właśnie w takim świecie żyjemy – ludzie będą detonować bomby za sprawę swobody parkowania. Albo i bez powodu. Wszyscy jesteśmy znudzeni, Davidzie, koszmarnie znudzeni. Jesteśmy jak dzieci zostawione za długo w pokoju z zabawkami. Po jakimś czasie musimy zacząć niszczyć zabawki, nawet te, które lubimy. W nic nie wierzymy. Nawet ten wędrowny pastor, którego tam spotkałeś, odwrócił się chyba plecami do Boga.

– Dexter? Nie odwrócił się, ale utrzymuje go na dystans. Trudno stwierdzić co, ale on coś knuje.

– Ty też. – Sally wstawiła szklaneczkę z sherry do zlewu. Uśmiechnęła się dzielnie, tym samym podnoszącym na duchu uśmiechem, który widziałem w sali szpitalnej. Zachęcała mnie teraz do działania jak kiedyś siebie do chodzenia. – Dowiedz się, co to jest, Davidzie. Idź za tym tropem. Z Guilford do terminalu numer 2. Gdzieś po drodze spotkasz siebie...

15. Magazyn marzeń

Rebelia nowego proletariatu rozpoczęła się, ale czy byłem przyjacielem, czy wrogiem? Zaskoczony swoją postawą, pomagałem zaciągnąć skutych strażników do biura kierownika, starając się osłonić ich twarze przed kopniakami. Kay Churchill podtrzymała mnie, gdy potknąłem się o wyciągnięte nogi strażnika i posadziła w fotelu.

– Davidzie, zdecyduj się!

– Już się zdecydowałem. Kay, jestem z tobą.

– Weź się natychmiast w garść. – Wielkie oczy z poszerzonymi źrenicami patrzyły na mnie przez otwory w masce narciarskiej. – Wiesz, co masz robić?

– Zostaję w biurze, dopóki wszyscy nie wyjdą. Upewnię się, czy drzwi są zamknięte, i nikogo nie wpuszczę. Wszystko przećwiczyłem.

– Dobrze. Teraz przestań ćwiczyć. To dzieje się naprawdę.

Vera Blackburn, chłodna i podejrzliwa w niebieskim kombinezonie, stała w korytarzu, czekając, aż bojówkarze zajmą miejsca. Uniosła w moją stronę dłoń w rękawiczce i zacisnęła ją gwałtownie, jakby miażdżyła mi jądra.

– Dobrze... – Kay zawahała się. Poprawiła maskę, którą dostarczył, podobnie jak gaz oraz kombinezony dla naszego oddziału porywaczy, były kochanek Very z policji w Surrey. Akcja przeciwko Filmotece Narodowej, zaplanowana w saloniku Kay, przedyskutowana nad niezliczonymi butelkami bułgarskiego wina, zapowiadała się na coś więcej niż studencki psikus. Nie spodziewałem się, że ci mieszczańscy sabotażyści sięgną po tak bezwzględną przemoc. Korciło mnie, żeby wezwać policję, więc trzymałem się z tyłu, gdy gazowali i ogłuszali trzech strażników.

Dwaj z nich byli dorabiającymi na boku studentami Wydziału Filmowego z City University. Leżeli twarzami do dołu, wykastując zieloną od gazu flegmę na dywan. Obaj łkali, zaszokowani tym, że znaleźli się w centrum brutalnego dramatu wprost z gangsterskich filmów, które przecież tak uwielbiali.

Trzeci strażnik był zawodowcem z firmy ochroniarskiej, pięćdziesięcioletnim mężczyzną o ciężkich barach i krótko przystrzyżonych włosach byłego wykidajły z klubu nocnego. Siedział przy konsoli w sąsiednim gabinecie obok i patrzył w monitory kamer nadzoru, Vera Blackburn cicho stanęła za nim. Dostał strumieniem gazu prosto w twarz, ale podjął walkę i wyrwał puszkę z rąk Very. Odsunęła się, zaskoczona tym pokazem niewdzięczności, wyciągnęła pałkę i zabiła go z nóg. Leżał teraz u moich stóp w biurze kierownika, krew spływała mu po głowie, a mętne oczy patrzyły w sufit.

– Kay... – uklęknąłem obok strażnika, szukając pulsu poprzez krew i wymiociny. – Ten człowiek potrzebuje pomocy. Gdzieś tu musi być apteczka.

– Później! Musimy iść.

Zarzuciła mi na ramiona kurtkę ochroniarską, wepchnęła ręce w rękawy, a potem pognęła na korytarz. W pokoju z kamerami Joan Chang wyrywała kasety z taśmami i wrzucała je do worka marynarskiego. Twarz miała białą ze strachu, ale odwróciła się i energicznie podniosła kciuki do góry.

Na korytarzu zakołysały się drzwi. Dwóch członków naszego zespołu weszło do FilMOTEKI Narodowej I. Aplikanci adwokacy, sąsiedzi Kay, nieśli teczki z ładunkami zapalającymi i zapalnikami czasowymi. Równym krokiem weszli do cichej sali jak rekieterzy po haracz.

Gdy doszliśmy do holu, Kay stanęła, żeby się skupić. Przez wysokie, szklane drzwi widać było halę z kasami i betonową noc kompleksu South Bank. Pod klatkami schodowymi i filarami bunkra kultury biegła pochylnia prowadząca do parkingu w Hayward Gallery. Furgonetka firmy ochroniarskiej parkowała w pobliżu wejścia dla artystów w Queen Elisabeth Hall, ale jej załoga była przy automacie z kawą w foyer na górze, gapiała się przez rzekę na Big Bena i odliczała długie godziny do końca zmiany.

Przytrzymałem ją za ramię, zanim zdążyła odejść.

– Chyba zanadto ryzykujemy? Każdy mógł mnie zobaczyć.

– Jesteś teraz ochroniarzem. Działaj tak, jak oni. – Ściągnęła mi maskę narciarską z głowy. – Verze potrzebny jest czas.

– Pięćdziesiąt minut? Dlaczego tak długo?

– Musi wyłączyć alarmy przeciwpożarowe. Jest ich mnóstwo. – Uszczypnęła mnie w policzek, w ten sposób przelotnie okazując uczucie. – Postaraj się, Davidzie.

– A jeśli ktoś będzie chciał wejść?

– To nie wejdzie. Zasalutuj i odejdz. Jesteś znudzonym ochroniarzem.

– Znudzonym? – Wskazałem na oprawione w ramki plakaty filmowe. – To miejsce pełne jest wspomnień.

– Więc zacznij o nich zapominać. Za godzinę wszystkie wspomnienia zamienią się w popiół.

– Czy musimy to robić? Burt Lancaster, Bogart, Lauren Bacall... to przecież tylko gwiazdy filmowe.

– Tylko? Zatruli całe stulecie. Zniszczyli ci umysł, Davidzie. Musimy ich zniszczyć, zbudować rozumniejszą Anglię...

Zniknęła w cieniu, pozbawiony twarzy zabójca najśłynniejszych twarzy, jakie znał świat. Nasza szóstka przybyła parami na South Bank, udając entuzjastów czarnego kryminału. Przyszło mi to z łatwością, gorzej było z Kay, która w hollywoodzkich filmach akcji widziała zaprzysięgłego wroga. Zajęliśmy miejsca w FilMOTECE Narodowej II, żeby obejrzeć nocny seans *Poza przeszłością*. Siedzieliśmy pośród fanów Mitchuma. Trudno było mi uwierzyć, że kino, w którym spędziłem tyle pouczających godzin, wkrótce zamieni się w zgliszcza. Byłem zbyt rozstrojony, żeby skoncentrować się na akcji, ale Kay, pochylona w fotelu do przodu, chłonęła brutalną opowieść o miłości i zdradzie. W pewnym, wyjątkowo ekscytującym momencie, gdy główna bohaterka udawała rozpacz, poczułem nawet uścisk dłoni Kay na moim nadgarstku. Na pół godziny przed napisami końcowymi wyslizgnęliśmy się z sali i poszliśmy do nieczynnego muzeum sztuki filmowej, zamienionego teraz na skład wypakowany skrzyniami. Tam dołączyliśmy do pozostałych członków zespołu i przebraliśmy się w policyjne kombinezony i maski. Vera Blackburn trzymała straż przy zamkniętych na klucz drzwiach. Klucz skopiowała, gdy pracowała jako ochotniczka przy katalogowaniu filmów o tematyce

religijnej.

Przykucnięci w ciemnościach czekaliśmy, aż seans się skończy i budynek się opróżni. W otwartych skrzyniach wokół mnie wyczuwałem stare kamery i rozmontowane reflektory w wodoodpornych opakowaniach, kostiumy Margaret Lockwood i Annę Neagle, scenariusze *Bariery dźwięku* i *The Winslow Boy*, niezapomniane rekwizyty największego snu XX stulecia, które wkrótce miały ulecieć z dymem.

Marzenia umierają na różne sposoby, wychodzą przez nieoczekiwane drzwi z naszego życia. Próbując udawać znudzonego ochroniarza, przemierzałem chodnik przed kasą, myśląc o niezliczonych godzinach, które spędziłem tutaj z Laurą. Klóciłem się z Kay i Verą, nastając, żeby oszczędzić Filmotekę Narodową i obrać za cel podmiejskie multikino. Jednak Kay uparła się na zniszczenie filmoteki.

Mimo łatwości, z jaką mnie zdradziła w wypożyczalni w Twickenham, Kay przyjęła mnie zyczliwie w Chelsea Marina. W walce o lepszy świat, powiedziała bez żenady, najłatwiej jest poświęcić przyjaciół. Gdyby przyjaciele nie byli przygotowani na to, że zostaną zdradzeni, żadna rewolucja nie zakończyłaby się sukcesem.

Podczas wizyty w Chelsea Marina, w tygodniu po naszej wyprawie do Twickenham, przysłuchiwałem się sąsiedzkim rozmowom w drzwiach, próbując wyłapać jakąkolwiek aluzję do bomby na Heathrow. Byłem zaskoczony wzrastającą liczbą grup protestu. Pozbawione przywództwa i nieskoordynowane w działaniach objawiały się podczas proszonych obiadów i spotkań komitetów rodzicielskich. Jeden z komitetów planował okupację biur spółki zarządzającej nieruchomościami, odpowiedzialnej za fatalną obsługę Chelsea Marina, ale większość zdecydowana była znacznie bardziej radykalnie walczyć ze społecznym złem, przerastającym lokalne problemy osiedla. Wyznaczyli sobie większe cele – bary z gotowymi daniami na King's Road, galerię sztuki nowoczesnej Tate, restaurację Conrad, wpisaną na listę zabytków British Museum, koncerty na promenadzie, księgarnie Waterstone'a, a wszystkie dlatego że instytucje te wykorzystywały łatwowierność klasy średniej. Ich szalbiercza fikcja omamiła całą kastę ludzi wykształconych, dostarczając niebezpiecznego pokarmu, zatruwającego karmioną łyżeczką inteligencję. Począwszy od sandwicza, po szkołę letnią, wszystkie były symbolami podporządkowania i wrogami wolności.

W Filmotece Narodowej było cicho, bladoniebieskie światło wypełniało milczące korytarze. Obejrzałem swoją kurtkę w lustrze za ladą kasy. Smużka zmieszanych z krwią wymiocin wysychała na identyfikatorze przypiętym do kieszonki na piersi. Albo zrobiło mi się niedobrze ze strachu, albo jeden ze strażników był w gorszym stanie, niż mi się wydawało.

Naciągnąłem maskę narciarską i poszedłem do biura. Więźniowie leżeli na dywanie obok biurka. Dwaj studenci byli przytomni i zbliżyli się do siebie plecami, żeby ukryć próbę poluzowania kajdanek. Starszy strażnik ledwie dyszał, jego głowa spoczywała bezwładnie na zarzyganym dywanie. Wyglądał na nieprzytomnego, oddychał płytko przez poplamione krwią zęby.

W korytarzu przed biurem wisiał dym, rozpraszał się pod lampami na suficie. Pomyślałem, że Vera postanowiła zapalić papierosa, gdy tylko wyłączyła alarmy przeciwpożarowe. Gdzieś dalej otwarto okno i chłodniejsze, nocne powietrze przepływało wokół mnie, niosąc uliczne zapachy ropy do diesli, deszczu i tłuszczu do smażenia z nocnych kafejek w pobliżu stacji Waterloo.

Opuściłem biuro i poszedłem korytarzem do FN I. Gdy odsunąłem zasłony, zza sceny uniosła się

chmura chemicznych oparów, gryząca mgła, tocząca się nad pustymi fotelami jak widmo uwolnione z thrillera. Opary poszybowały smugami pod sufit, znalazły ujście i zaczęły opływać mnie wirującymi pętlami.

Nie chcąc zakrztusić się plastikowym smrodem, zamknąłem drzwi i pobiegłem do FN II. Przeszukiwałem jedno przejście za drugim, wypatrując Kay albo Very. Ekran wisiał nade mną jak zamglone lustro wyprane z wszelkich wspomnień. Po jego metalicznej skórze pływał blady cień mojego odbicia, duch złapany w pułapkę. Kwaśny opar wypełniał widownię, a na scenie błyskało światło. Ściany żarzyły się elektryczną bielą pieca łukowego, a za fotelami drgały setki cieni.

Szklane drzwi w holu były otwarte. Dym szybował nad moją głową i rozpraszał się w nocnym powietrzu, unosząc się do promenady Hayward Gallery. Dwaj studenci wpadli przez dym do korytarza. Ręce mieli skute za plecami.

– Uciekaj! Biegnij! – Jeden z nich zatrzymał się, żeby unieść w moją stronę kajdanki, a ja schwyciłem go za ramię. – Biegiem!

Uklęknąłem w biurze przy starszym strażniku, próbując unieść mu głowę. Oczy miał otwarte, ale był półprzytomny, skrzepnięta krew plamiła podbródek i koszulę. Schwyciłem go za kostki i pociągnąłem po dywanie, przyciskając jego potężne nogi do swoich ud.

Przy drzwiach zatrzymałem się, próbując osłonić twarz od dymu. Nogi strażnika wyslizgnęły mi się z rąk. Nachyliłem się, żeby je schwycić, ale on przyciągnął je do siebie, wygiął się w łuk nad podłogą i kopnął mnie w klatkę piersiową skórzanymi butami.

Upadłem na drzwi, całkiem bez tchu. Strażnik, zupełnie przytomny, utkwiał wzrok w mojej twarzy. Mimo nadgarstków skuty za plecami, przysunął się po dywanie i znów przyciągnął kolana do siebie, gotów kopnąć mnie w głowę.

But otarł się o moje lewe ucho, wytoczyłem się na korytarz. Strażnik oparł się o drzwi, odwrócił na bok i wstał.

– Uciekaj stąd! – krzyknąłem przez dym wypełniający biuro. – Biegnij do holu...

Stał pewnie na obu nogach, pochylił ramiona i runął na mnie, wylaniając się z mgły jak rugbista z parującego młyna. Zawadził głową o oprawiony w ramy plakat z Robertem Taylorem i Greer Garson i zrzucił go na ziemię. Stał na szkle, kopnięciem usunął odłamki z drogi i runął na mnie.

Gnał za mną aż za drzwi do holu, na pochylnię prowadzącą do Hayward Gallery, z rękami skutymi na plecach i dymiącym ubraniem. Biegłem jakieś sześć metrów przed nim, obiegłem furgonetkę ochroniarzy, szukając schodów prowadzących na piętro. Studenci stali odwróceny do siebie plecami, nadal próbując uwolnić się z kajdanek. Strażnik runął na nich, głową do przodu, rozrzucając ich potężnymi barkami na boki.

Jego buty dudniły na betonowych stopniach, gdy dotarłem do promenady Hayward Gallery. Dwaj ochroniarze zobaczyli przez szklane drzwi, jak przebiegam, a za mną najwyraźniej ranny ich kolega. Dostrzegli słup dymu unoszącego się nad dachem Filmoteki. Obaj jednocześnie zaczęli coś mówić do krótkofalówek, a ja usłyszałem pierwsze syreny policyjne, zawodzące przy nabrzeżu niedaleko mostu Westminsterkiego.

Przebiegłem górny taras przy Festival Hall, dysząc w wilgotnym rzeczonym powietrzu. Nie mogłem już biec, na szczęście mój prześladowca zaprzestał pogoni. Zgięty w pół opierał się, wyczerpany, o chromowaną rzeźbę, śluz kapął mu z ust, ale nadal wpatrywał się we mnie.

Ruszyłem w stronę Młyna Tysiąclecia. Wysoko na nocnym niebie gondole okrążały ramię wspornika, białą kratownicę wyciętą z mrozu, łabędzią szyję szybującą w pociemniałym powietrzu.

W trzech gondolach odbywało się przyjęcie dla pracowników jakiejś firmy. Goście przyłgnęli do krzywizny szyb, przyglądając się, jak pierwsze płomienie pojawiają się nad dachami Filmoteki Narodowej.

Wyglądziłem ochroniarską kurtkę, strzepnąłem z niej sadzę i przeszedłem obok furgonetek cateringowych zaparkowanych pod Kołem. Kelnerki uprzątały tace z nadjedzonymi kanapkami. Złapałem drobiowy paluszek i pociągnąłem łyk niedopitej butelki. Razem patrzyliśmy, jak wóz strażacki, wyjąc, skręca w Belvedere Road. Samochód policyjny zatrzymał się przed Festival Hall, a plama światła z jego reflektora zaczęła krążyć po Hayward Gallery. Strażacy i policjanci wysiadali i pieszo kierowali się do Filmoteki. Wkrótce znajdą skutych strażników.

Obok mnie przesunęła się pusta gondola z otwartymi drzwiami. Przyjęcie dla pracowników firmy skończy się za godzinę. Kiedy goście pójdą przez trawnik w stronę swoich samochodów, ukryją się między nimi.

Wszedłem do gondoli i oparłem o balustradę od strony rzeki. Byłem tak zmęczony, że prawie nie mogłem oddychać. Gdy gondola znalazła się na wysokości podestu dla pasażerów, kelner, który skończył pracę, wskoczył przez drzwi. Na dłoni niósł tacę z dwiema buteleczkami szampana. Postawił ją na siedzeniu i usiadł obok, szukając w kieszeniach papierosa.

Gdy wznieśliśmy się ponad ratusz, ogień oświetlał już noc i zdawał się płonąć na ciemnych wodach Tamizy. Ogromny cień pojawił się za mostem Waterloo i zdawał się połykać South Bank Center. Kłęby dymu spływały nad rzekę, mogłem dojrzeć odbicia płomieni w odległych oknach parlamentu, jakby cały Pałac Westminsterski zajął się ogniem od środka.

Kelner wskazał kieliszek szampana stojący na tacy. Nie dziękując, skosztowałem ciepłego wina. Bąbelki kęsały mnie w wargi spieczone w piekielnym gorącu sali kinowej. Pomyślałem o zadymionych korytarzach, obwieszonych portretami najśłynniejszych gwiazd filmu. Ogień podłożony przez Verę Blackburn płonął gwałtownie w całej Filmotece, pochłaniał uśmiechy Jamesa Stewarta i Orsona Wellesa, Chaplina i Joan Crawford. Moje wspomnienia związane z nimi zdawały się olbrzymieć wraz z obrotami Młyna. Uciekały z magazynu marzeń jak duchy wyrrywające się w noc.

Przeszedłem na drugą stronę gondoli, odwrócony plecami do palącego kelnera i Tamizy. Zacząłem przeszukiwać wzrokiem ulice wokół ratusza. Niemal spodziewałem się zobaczyć Kay i Joan Chang śmigające od jednej bramy do drugiej obok pędzących radiowozów, przy nocnym zawodzeniu syren. Nie muszę dodawać, że nie uprzedzając mnie, uciekły przez wejście do kawiarni od strony rzeki. Zostawiły drzwi otwarte, żeby wywołać przeciąg, podsycający ogień.

Pierwsze kłęby dymu dotarły do okien gondoli, otulając wypukłe szyby. Zacząłem kaszleć, poczułem w ustach gryzący dym, wydobywający się z biura. Zwymiotowałem na balustradę i rozlałem szampana na podłogę.

Zaniepokojony kelner stanął za mną i pokiwał głową, gdy odchrząknąłem z dziwnym uśmiechem współnika w zbrodni. Był tak blisko mnie, że prawie spodziewałem się z jego strony jakichś propozycji. Przyszło mi na myśl, że Młyn Tysiąclecia mógłby być doskonałym miejscem podrywu dla gejów.

Próbowałem odsunąć go gestem, ale on wyjął mi pusty kieliszek z ręki. Był szczupłym, wysportowanym mężczyzną o silnym czole, kościstej, niemal wychudzonej twarzy, bladej jak u gruzlika. Musiało mu to przeszkadzać w znalezieniu sobie pracy w zawodzie. Wyobraziłem go sobie, jak przesuwają się chyłkiem po obrzeżach zanurzonego w półmroku światła firmy. Jak wielu

znanych mi kelnerów, był przyjacielski, ale trochę obcesowy. Cieniutka warstewka ogłady oblekała ledwie ukrywaną rezerwę.

W jego zachowaniu było coś pokrętnego, co przypominało mi inną niewyraźną postać, ukrywającą twarz. Czuję ten sam zapach zapomnianych sal szpitalnych i marniejących dzieci. Ale jego ruchy były szybkie i stanowcze. Mogłem go sobie wyobrazić nachylającego się nad małym pacjentem za plecami niezgrabnej pielęgniarki, ze strzykawką w jednej i zabawką w drugiej ręce.

– Doktor Gould? – odwróciłem się, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Próbowałem przejrzeć ten rozbrajający uśmiech. – Już się spotkaliśmy.

– Zgadza się, u Kay Churchill. – Przytrzymał mnie, gdy gondola zakołysała się w kłębach dymu i przegrzanym powietrzu. – Dzielnie się spisałeś, Davidzie.

– Pamiętasz mnie?

– Oczywiście. Chciałem, żebyśmy się spotkali we właściwym miejscu, o właściwym czasie. Muszę ci pokazać tyle rzeczy. – Schwycił mnie mocno za ramię, gdy gondola zaczęła opadać. – Ale wynośmy się stąd, zanim ktoś inny przypomni sobie o tobie...

Oświetlone płomieniami budynki nad Tamizą rzucały blask na jego niespokojne oczy. Próbowałem się od niego uwolnić, ale powstrzymał mnie twardą ręką.

Podpełzał mroczniejszy ogień.

16. Dziecięce sanktuarium

Gdy się obudziłem, spoglądał na mnie radosny fryz dziecięcych rysunków, pełen życia patchwork z bezrękich ludzi, dwunogich tygrysów i pudełkowatych domów, łuszczący się ze ścian pustej sali szpitalnej jak strzępy nieuporządkowanych snów.

Leżałem na wytartym materacu, pokrytym starymi plamami z moczu i środków dezynfekcyjnych. Byłem zadowolony, że ta wesoła galeria patrzyła na mnie, gdy spałem. Gruba warstwa kurzu pokrywała wiktoriańska boazerię, drżąc w nieustającym brzęku samolotów pasażerskich lądujących na Heathrow. Upośledzone dzieci w swoich łóżeczkach musiały myśleć, że cały świat cierpi na wieczny ból głowy.

Usiadłem i postawiłem stopy na podłodze. Smacznie spałem cztery godziny, ale aż podskoczyłem, gdy przypomniałem sobie szaloną noc w FilMOTECE Narodowej. Potok obrazów przesunął mi się przez umysł, jak przewijana do przodu kasetka – widmowy dym wdzierający się w korytarze, twarde pieści Very Blackburn, drżące cienie na widowniach, rozpaczliwa ucieczka do Młyna Tysiąclecia i Richard Gould w kurtce kelnera, częstujący mnie kieliszkiem szampana po podpaleniu Tamizy. Wstałem, chwiejąc się lekko na niestabilnej podłodze, i czekałem, aż moje kości znów zaczną stanowić zespół. Marząc o Sally i gorącej kąpieli w St John's Wood, przeszedłem między zniszczonymi materacami. Domyśliłem się, że niewielu rodziców odwiedzało tu swoje zapóźnione w rozwoju dzieci. Ale rysunki były wzruszające i pełne nadziei, optymistyczne echo świata, którego upośledzona dzieciarnia nigdy nie pozna. Cierpliwy i łagodny nauczyciel poprowadził ich ku kredkom i ku barwnej ścieżce, wiodącej w głąb ich umysłów.

Za drzwiami znajdował się kamienny podjazd do sąsiedniej sypialni, kolejnej zakurzonej, wysoko sklepionej sali. Na krótko pojawił się ciemnowłosa mężczyzna w białym fartuchu. Nie podnosząc głowy, pomachał do mnie i szybko wszedł po schodach na wyższe piętro.

– Doktorze Gould! Musimy... – zawołałem za nim. Mój głos gubił się w nieskończonej przestrzeni opuszczonego szpitala. Nasłuchiwałem odgłosu kroków Goulda, wspinającego się ku dachowi. Stara, imponująca architektura, kryjąca osąd moralny w każdym posępnym kroksztynie, przywiodła mi na myśl inne sale, te, w których ferowano sprawiedliwość. Chciałem ostrzec Goulda, nieuchwytnego autora rebelii w Chelsea Marina, że wkrótce zacznie nas ścigać policja i zatrzyma nas na najbliższe pięć lat.

Klepnąłem się po udach, żeby uspokoić podrażnione nerwy. Byłem współwinny poważnemu przestępstwu skierowanemu przeciwko muzeum filmu i wspomnieniom o pierwszej żonie, ale czułem się dziwnie niezaangażowany w to wszystko jak aktor zastępujący moje prawdziwe „ja”, śpiące u boku Sally w St John's Wood. Sen o przemocy, wywołany obietnicą przemiany, wymknął mi się z głowy na ulice.

Pamiętałem naszą ucieczkę przez Londyn przed paru godzinami. Samochód Goulda stał

zaparkowany przed hotelem Marriott w starym ratuszu. Był to citroen kombi z naklejkami hospicjum de Beaune na tylnej szybie. Ze sposobu, w jaki Gould patrzył na deskę rozdzielczą, domyśliłem się, że nie prowadził jeszcze wozu z tak skomplikowaną hydrauliką. Dał mu go pewien frankofil z Chelsea Marina. Zaniepokojony wyciem syren i samochodami policyjnymi, które blokowały most Westminsterki, zaproponowałem, że poprowadzę, ale Gould tylko machnął ręką i uspokoił mnie pełnym dystansu, choć niezłomnie przyjaznym uśmiechem. To poszukiwanie stacyjki wśród przełączników i dźwigni przypomniało mi Sally, gdy po raz pierwszy zasiadła za kierownicą swojego saaba i natknęła się na geometryczne odwzorowanie własnych ułomności.

Ruszyliśmy z szarpnięciem, podskakując wzdłuż krawężnika. Rzadko wychodziliśmy poza drugi bieg, kiedy samochód przyspieszał w ciemnych uliczkach po południowej stronie rzeki. Widziałem strach w oczach Goulda i pomyślałem o tym, jak podawał drinki klientom z bankietu firmowego w Młynie Tysiąclecia. Prosto z dymu i ognia trafiłem przypadkiem na jego posterunek obserwacyjny, ale mój widok chyba przyniósł mu ulgę. Gdy gwałtownie skręciliśmy w okolicach Lambeth Palace, uderzyłem głową w słupek między oknami, a on przytrzymał mnie za ramię ze zdumiewającą troską, jakbym był przestraszonym dzieckiem w wesołym miasteczku.

Przejechaliśmy przez most Chelsea i skręciliśmy w ciemniejsze ulice prowadzące do King's Road. Reflektory szukały drogi w labiryncie zakrętów, prowadząc nas wzdłuż wystaw wypełnionych wyposażeniem kuchennym i kompletami sypialń, meblami biurowymi i armaturą do łazienek, żywym obrazem drugiego miasta, gotowym zastąpić to, które płonęło za nami. Gould zamknął się w sobie, jakby szukając schronienia za chudą twarzą. Gdy spoglądał w tylne lustro, wyglądał jak zmęczony absolwent wyższej uczelni w wyświechtanym garniturze, niedożywiony i zaniedbany.

Przejechaliśmy przez stiukową ciszę South Kensington z jego majaczącymi w ciemności muzeami, domami towarowymi czasu, i skierowaliśmy się na zachód wzdłuż Cromwell Road. Centrum Londynu zostało za nami, gdy opuściliśmy estakadę Hammersmith i wjechaliśmy na autostradę do Heathrow. Dwadzieścia minut później dotarliśmy do strefy lotniska, zajętej przez biura frachtu lotniczego i wypożyczalnie samochodów, wokół której, jak pole magnetyczne, rozciągały się rzędy świateł lotniska, widmowe parkingi dla ciężarówek i zabudowania przemysłowe. Był to nocny świat nawiedzany przez strażników i psy obronne.

Gdzieś w pobliżu lotniska zatrzymaliśmy się przy grupie wiktoriańskich budynków, stojących obok wielkiego placu budowy. Gould przepchnął się citroenem między pokrytymi błotem kadłubami równiarek i traktorów i zaparkował na placu wypełnionym kontenerami mieszkalnymi i pakietami pustaków, spoczywającymi na drewnianych paletach.

Wysiedliśmy z samochodu i Gould poprowadził mnie do opuszczonego budynku przez rozpadający się hol obwieszony znakami wskazującymi drogę do przeniesionych oddziałów szpitala. Żelaznymi schodami wspięliśmy się na czwarte piętro. Wyczerpany poszedłem za Gouldem do sali z zakurzonymi, niezasałanymi łózkami. Byłem zbyt zmęczony, żeby się opierać, pozwoliłem temu dziwnemu człowiekowi, troskliwemu fanatykowi o delikatnych dłoniach, wybrać dla mnie materac. Zapadłem w głęboki sen pośród rysunków obłąkanych dzieci.

Gould stał na dachu, z twarzą uniesioną ku słońcu, osłoniętą od wiatru przedpiersiem wiktoriańskich kominów. Przy uchu trzymał telefon komórkowy, najwyraźniej słuchając najświeższego sprawozdania z nocnej akcji przeciwko Filmotece Narodowej, ale bardziej go interesowały żurawie budowy pod parapetem. Z jego ziemistej twarzy odczytywałem lata

pospiesznych obiadów w stołówkach i noce spędzone na niespokojnych drzemkach w szpitalnych dyżurkach. Na kitlu nosił lekarski identyfikator z nazwiskiem, jakby nadal był pediatrą zmarłych dzieci.

Patrzyłem na policyjny helikopter lecący wzdłuż autostrady i obmyślałem plan wyjścia z opuszczonego szpitala. Przyglądałem się badawczo wielkim budynkom, ogromnym kamieniarskim piramidom ze szczytami jak nadbudówki pancerników. Była to architektura więzień, przedzalni bawełny i odlewni stali, pomniki wytrzymałości cegły i wiktoriańskich dogmatów. Trzy budynki jeszcze stały obok zaniedbanego parku, po którym kiedyś wykrochmalone obsesyjnie pielęgniarki wozily pacjentów na wózkach inwalidzkich.

Gould wyłączył telefon w pół zdania i odwrócił się, żeby mi się przyjrzeć, jak zapracowany konsultant, któremu przyprowadzono nieoczekiwanego pacjenta.

– Czujesz się znacznie lepiej. Widzę to.

– Naprawdę? To dobrze...

Wiedziałem, że w oczach Goulda wyglądam na wyczerpanego i rozmazganego, że koniecznie potrzeba mi kawy i że zupełnie nie pasuję do roli weekendowego rewolucjonisty, której się podjąłem. W przeciwieństwie do mnie, on był zaskakująco spokojny, jakby wstrzyknął sobie silny środek uspokajający przed snem i silny stymulant po przebudzeniu. Mięśnie twarzy nie były już tak napięte. Poruszał się niemal dziarsko w ten spokojny niedzielny poranek. W dawnym szpitalu psychiatrycznym czuł się jak w domu, a mnie przyszło na myśl, że nie był tu lekarzem, lecz pacjentem. Wypuszczony, gdy zamknięto szpital, mógł przybrać nową osobowość, która łatwo przekonała mieszkańców Chelsea Marina. Strona w sieci z historią opisującą pożar w domu towarowym mogła być sprytnym kamuflażem. Był trochę zbyt przyjacielski, przyglądał mi się uważnie kątem oka, ale widać też było szczerłość, która mogła się podobać, i nerwowy autorytet, jakiemu ulegał każdy w Chelsea Marina. Począł, aż helikopter policyjny zniknie z pola widzenia, i poklepał mnie po ramieniu.

– Jesteś niespokojny, Davidzie. Operacje takie, jak zeszłej nocy, sprawiają, że serce łomocze przez kilka dni. Ale dojdiesz do siebie i wtedy poczujesz się silniejszy.

– Bogu dzięki. To byłby koszmar, gdybym miał zostać taki na resztę życia.

– Nie ma obaw. Nie ma niczego lepszego niż działanie wynikające z prawdziwego przekonania.

– Nie jestem całkiem pewien, czy mam do tego przekonanie. – Patrzyłem na pokaleczone ręce. –

O mało nie oddałem się w ręce policji.

– Bo inni nie zaczęli na ciebie? Daj spokój... – Gould potrząsnął głową, z wyraźnym współczuciem. – Tych rewolucjonistów z klasy średniej tłumiono przez całe lata. Teraz mogą zakosztować bezwzględności i podoba im się jej smak.

– Będą więc kosztować zimną owsiankę, zanim się obejrzą.

– To konieczne ryzyko, ale jesteśmy bezpieczni, dopóki utrzymujemy element zaskoczenia. – Gould zmarszczył się, patrząc w słońce, jakby zazdrościł mu sprawnej kontroli nad wydarzeniami, a potem dotknął palcem identyfikatora, przypominając sobie własną tożsamość. – Nie martw się więzieniem. Przynajmniej na razie.

– A więc wszyscy wrócili. Co z Filmoteką?

– Ogień strawił ją całkowicie. Niestety, niektóre wczesne filmy Fritza Langa uległy zniszczeniu. Vera Blackburn zna się na rzeczy.

– Jest niezrównoważona. Musisz na nią uważać.

– Vera? – Gould odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, a potem pokiwał głową na znak, że całkowicie się zgadza. – To zaburzone dziecko, które stara się nadać sens światu. Robię co mogę, żeby jej pomóc.

– Wyciągając ją z domu? Dając szansę jej naturalnym talentom?

– Coś w tym stylu. – Rozbawiony sarkazmem w moim głosie, Gould wskazał białą ręką na puste budynki wokół nas. – Davidzie, kogo obchodzi Filmoteka Narodowa? Popatrz, co oni tutaj zrobili. Dla trzystu dzieci to był jedyny dom, jaki znały.

Bezkrwiste palce wskazały oddzielnie stojące skrzydła, wysokie mury zamaskowane rododendronami, rosnącymi wokół każdego z budynków, podwórka w podwórkach i zakratowane okna na wyższych piętrach.

– Mury i kraty – zauważyłem. – To wygląda jak więzienie. Gdzie jesteśmy?

– W szpitalu Bedfont. Dwa kilometry na południe od Heathrow. Dobre miejsce na dom wariatów – nie słyszy się krzyków. – Gould skłonił się ironicznie. – Ostatni z wielkich, wiktoriańskich domów dla obłąkanych.

– Szpital psychiatryczny? Więc te dzieci były...?

– Miały uszkodzenia mózgu. Zapalenia mózgu, źle leczone przypadki odry, nieoperacyjne guzy, wodogłowie. Wszystkie były ciężko upośledzone i porzucone przez rodziców. Służby socjalne nie chciały się z tym borykać.

– To smutne.

– Nie. – Gould był zaskoczony moją odruchową odpowiedzią. – Niektóre z nich były szczęśliwe.

– Pracowałeś tutaj?

– Przez dwa lata. – Patrzył na pusty dach, uśmiechając się, jakby zobaczył dzieci chowające się za kominami. – Mam nadzieję, że daliśmy im dobre życie.

– Dlaczego odszedłeś?

– Zostałem zawieszony. – Złapał ręką muchę, potem puścił ją i patrzył jak odlatuje. – Główna Rada Medyczna ma wszędzie swoich szpiegów. Są jak gestapo. Czasem zabierałem kilkoro dzieci do parku rozrywki w Thorpe. Uwielbiały to, z chęcią ładowały się do starego mikrobusu. Pozwalałem im biegać swobodnie, przez kilka minut przeżywały cud.

– I co się stało?

– Kilkoro z nich zablądziło i policja powiadomiła służby socjalne.

– Fatalnie. Ale to jeszcze nie brzmi zbyt poważnie.

– Tak ci się zdaje, ale w dzisiejszym klimacie?... – Odchylił głowę do tyłu, zamykając oczy na myśl o szaleństwach biurokracji. – Była jeszcze jedna sprawa, o której nikt nie chciał mówić.

– Coś z seksem?

– Dobrze myślisz, Davidzie. Nazwali to molestowaniem genitalnym. Widzę, że jesteś wstrząśnięty.

– Bo jestem. Nie wygląda to...

– Na mnie? To nie ja. Ale wiedziałem, że tak jest.

– Robił to inny lekarz?

– Jedna z pielęgniarek. Słodziutka, młoda Jamajka. Była jak prawdziwa matka. Niektóre z dzieci miały guzy mózgu i zostało im tylko kilka tygodni życia. Wiedziała, że mała stymulacja seksualna nie zrobi im krzywdy. Był to ich jedyny promyk szczęścia. Zapewniała im zatem troszeczkę masturbacji, po zgaszeniu światła. Kilka sekund przyjemności, zanim umarły.

– Byłeś lekarzem dyżurnym?

– Broniłem jej, ale dla zarządu to było za wiele. Pół roku później władze medyczne zamknęły szpital. Do planowego przekazania prawnego. – Gould pokazał coś po drugiej stronie parku. – Sprzedali cały plac spółce handlującej nieruchomościami. Przyjrzyj się uważnie, a zobaczysz, jak przyszłość zbliża się ku tobie.

Wpatrywałem się w ekran z topoli na zachodnim krańcu parku. Po trawnikach nadciągały rzędy domów z cegieł i drewna, awangarda wielkiego osiedla. Kładziono już pierwsze drogi, diagramy z cementu, wiodące do przystani dla samochodów i malusieńkich ogródków.

– To domy dla początkujących – wyjaśnił Gould. – Królicze klatki dla ambitnych małżeństw. Pierwszy posmak życia klasy średniej. Niskooprocentowane marzenie bez zaliczki, wypichcone przez dawną firmę mojego ojca. Pewnego dnia pokryją całą Anglię.

– Niezły punkt.

– Ten stary szpital psychiatryczny?

– Heathrow. – Osłaniając oczy, byłem w stanie dostrzec nad dachami terminalu towarowego pionowe stateczniki ogonowe odrzutowców pasażerskich. – Osiedle usytuowane przy lotnisku.

– Im się to podoba. Lubią wyobcowanie. – Gould wziął mnie za ramię jak nauczyciel, zadowolony, że znalazł inteligentnego ucznia. – Nie ma tu przeszłości ani przyszłości. Gdyby mogli, wybieraliby zawsze strefy pozbawione treści – porty lotnicze, centra handlowe, autostrady, parkingi. Uciekają przed rzeczywistością. Pomysł o tym, Davidzie, a ja tymczasem zrobię kawę. Potem odwiozę cię z powrotem do Londynu.

– Dobrze. – Zadowolony, że zejść z dachu, sięgnąłem po komórkę Goulda leżącą między nami na parapecie. – Powiniennem powiedzieć żonie, gdzie jestem.

– Nie martw się. – Gould wsunął komórkę do kieszeni i poprowadził mnie do drzwi na klatkę schodową. – Dzwoniłem do niej w nocy, kiedy spałaś.

– Do Sally? Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. Wyjaśniłem jej, że zostajesz w Chelsea Marina. Inaczej mogłaby zadzwonić na policję. – Gould poklepał mnie po plecach, gdy schodziłem wąskimi schodami. – Ciekawe, zapytała mnie, czy będziesz nocował u Kay Churchill.

Zatrzymałem się, próbując nie stracić równowagi. – I co jej powiedziałaś?

– Hm... Davidzie, nie należę do ludzi dyskretnych.

Słuchałem, jak serdeczny śmiech odbija się echem od kamiennych ścian i niesie przez ciche sypialnie, jakby wzywał duchy zmarłych dzieci i zwoływał je na zabawę.

17. Zero absolutne

Sally jest urocza, Davidzie. – Owszem, jest.

– To dobrze. Wypadki często sprawiają, że ludzie stają się źli.

– Powiedziała ci o swoim...?

– Kalectwu? – Gould powoli pokręcił głową. – To okropne słowo, Davidzie. Nie myśl tak o niej.

– Ależ wcale tak nie myślę. Jej „kalectwo” nie jest natury fizycznej. Może chodzić równie dobrze jak ty czyja. To jest jej sposób wyrażenia sprzeciwu wobec świata, przypomnienie o złu, jakie jest on w stanie wyrządzić.

– Jestem poruszony. Ta kobieta ma duszę.

Usiedliśmy przy stole w szpitalnej aptece na czwartym piętrze. Nie ruszając się z krzesła, Gould przeszukiwał stojące w rzędzie lodówki. Elektryczność wyłączono wiele miesięcy temu i każda z lodówek była jaskinią Aladyna, pełną zepsutych ciastek i mocnych alkoholi. Znalazł butelkę wody mineralnej z nienaruszoną zakrętką i zaczął podgrzewać rondelka nad puszką z żelatynową rozpałką.

– Chciałbym ją spotkać. – Gould dodał kawy rozpuszczalnej do rondelka i nalał ciemnego wywaru do papierowych kubków z postaciami z Disneya. – Przyrowadź ją do Chelsea Marina.

– Lepiej nie. – Patrzyłem, jak Gould chciwie sączy gorący płyn, parząc sobie wargi. – To nie jest miejsce, które by jej się spodobało. Zresztą, ma trochę za złe...

– Lekarzom? – Gould pokiwał tolerancyjnie głową. Zerknął na moją kawę i wytarł usta grzbietem dłoni. Pozostał po tym ślad jak krew na białej skórze. – Woli te wasze komputery diagnostyczne i lekarzy wirtualnych. Naciśnij guzik „Z”, jeśli masz załamanie nerwy. Tak?

– Nie całkiem. Dziwne, ale ludzie wolą rozmawiać z ekranem. Są znacznie bardziej otwarci. Twarzą w twarz z prawdziwym lekarzem nigdy się nie przyznają, że mają chorobę weneryczną, a jak dasz im guzik do przyciskania, z miejsca rozkrzyżują nogi.

– Nadzwyczajne. – Gould wydawał się dogłębnie zadowolony. Wyjął kubek z kawą z moich dłoni i zaczął popijać zachęcająco. – Nie zdajesz sobie z tego sprawy, Davidzie, ale jesteś apostołem nowej alienacji. Powinieneś przeprowadzić się do jednego z tych domów dla karierowiczów. Widziałem cię w serialu telewizyjnym, jak on tam się nazywał. Coś w rodzaju majsterkowania przy Wszechmocnym.

– To było bardzo płytkie. *Neurochirurg przygląda się Bogu?* Telewizja w pełnym rozkwicie. Teleturniej.

– O Bogu? – Gould uśmiechnął się do sufitu. – Co za pomysł. Ale pamiętam to i owo z tego, co powiedziałaś – idea Boga to wielka próżnia wyobraźni, największa nicość, jaką ludzki umysł jest w stanie wymyślić. Nie wielkie coś gdzieś tam, ale wielka nieobecność. Powiedziałaś, że tylko psychopata może uporać się z pojęciem zera na milionowym miejscu po przecinku. Pozostali z nas wzdragają się przed próżnią i muszą ją wypełnić jakimkolwiek dostępnym balastem – trikami

czasoprzestrzeni, starymi brodatymi mędrkami, wszechświatami moralności...

– Nie zgadzasz się z tym?

– Absolutnie się nie zgadzam. – Gould dokończył kawę i popchnął w moją stronę pusty kubek. – Nie tylko psychopata może pojąć ideę absolutnej nicości. Nawet bezsensowny wszechświat ma sens. Zaakceptuj to, a wszystko nabierze nowego znaczenia.

– Ale to trudne do przyjęcia bez wciągania się we własne obsesje. – Wstawiłem kubek do pełnego naczyn zlewu. – Wszyscy niesiemy jakiś bagaż, a psychopata jest wyjątkowy w tym sensie, że nie boi się siebie. Nieświadomie wierzy w nic.

– To prawda. – Gould zamachał rękami nad stołem jak licytujący, który wyklada karty. – Masz rację, Davidzie. Jestem zbyt realistą. Zresztą tu były prawdziwe otchłanie, nieograniczone przestrzenie w tych małych czaszkach. Szukanie Boga to brudny interes. Znajdujesz go w dziecięcej kupce, w smrodzie niewietrzonych korytarzy, w zmęczonych stopach pielęgniarki. Psychopaci nie dają sobie z tym rady. To miejsca takie jak szpital Bedfont są prawdziwymi świątyniami, a nie katedra św. Pawła albo...

– Filmoteka Narodowa? – Zanim Gould zdążył odpowiedzieć, dokończyłem: – Płonący budynek to niezłe widowisko, szczególnie jeśli nie można z niego wyjść. A tak, dla ciekawości: musieliśmy go spalić?

– Nie. – Gould machnął ręką, jakby wyrzucając pytanie do kosza pod zlewem. Kawa nadała kolory jego twarzy, ale skórę miał nadal bladą jak niemyte kafelki. Niedożywiony od lat, trzymał się na nogach dzięki oddaniu nieszczęśliwym dzieciom. – Filmoteka Narodowa? Oczywiście, że nie. To był absurd – komentarz bezsensowny. I niebezpieczny.

– Więc po co wam te bomby zapalające?

Wielkimi rękami Gould zakreślił w powietrzu koło.

– To kwestia momentu impetu. Koła muszą się obracać. Ambicja żywi się sama sobą. Kay, Vera Blackburn i inni z Chelsea Marina chcą po prostu zmieniać świat. Łatwy wybór na wpół szalonych istot. Właśnie dlatego potrzebuję ludzi takich jak ty, Davidzie. Możesz uspokoić ich gorące głowy i masz inne motywy.

– Miło mi to słyszeć. Ale jakież to są te moje motywy? Może powinienem to wiedzieć, na wypadek gdyby mnie zapytała policja.

– Hm... – Gould uprzątnął stół, umieszczając papierowy kubek w zlewie i odkładając rondel wraz z rozpałką do kredensu. – Twoje motywy są całkiem jasne – głęboko dotknęła cię śmierć twojej pierwszej żony na Heathrow.

– I to wszystko?

– Nie należy tego nie doceniać. Pierwsza żona to rytuał przejścia w dorosłe życie. Z różnych względów ważne jest, żeby pierwsze małżeństwo było nieudane. Tak uczymy się prawdy o sobie.

– Rozwiedliśmy się.

– Rozwód z pierwszą żoną nigdy nie jest całkowity. To proces, który trwa do śmierci. To znaczy, do twojej śmierci, nie jej. Bomba na Heathrow była tragedią, ale nie ta bomba doprowadziła cię do Chelsea Marina.

– A co mnie tam przywiodło? Zakładam, że wiesz.

– Coś znacznie bardziej przyziemnego. – Gould odchylił się do tyłu, próbując przybrać zyczliwą pozę, i po jego martwej twarzy przebiegły rywalizujące ze sobą grymasy. – Przyjrzyj się sobie dokładnie w lustrze. Co widzisz? Kogoś, kogo zbyttno nie lubisz. Kiedy miałeś dwadzieścia lat,

akceptowałeś siebie z wszystkimi wadami. Potem nadeszło rozczarowanie. Przed trzydziestką twoja tolerancja prawie się zużyła. Nie byłeś już w pełni godny zaufania i wiedziałeś, że jesteś podatny na kompromis. Przyszłość zaczęła się kurczyć, pogodne marzenia znikwały za horyzontem. Teraz jesteś postacią z papieru. Jedno pchnięcie i wszystko się wali. Czasami masz uczucie, jakbyś żył cudzym życiem, w dziwnym domu, który wynająłeś przez przypadek. „Ja”, którym się stałeś, nie jest twoim prawdziwym „ja”.

– Ale dlaczego właśnie Chelsea Marina? Banda zawodowców latających pierwszą klasą, którzy kłócą się o miejsce, żeby móc wygodnie usiąść i wyciągnąć nogi? Kay Churchill, która próbuje strząsnąć z burżuazji jej toaletowe obyczaje?

– No właśnie. – Gould pochylił się do przodu z uniesionymi ramionami, jakby chciał mnie objąć. – Ten cały protest jest śmieszny – zrozumiałem to od początku. Podwójne żółte linie, stałe opłaty... tu plotka, tam pogłoska. Wszyscy zareagowali, chociaż wiedzieli, że opór jest bezcelowy. To był ostatni rzut kośćmi, a im bardziej bezsensowna gra, tym lepiej. Właśnie to spowodowało cię do Chelsea Marina. Ten globalny symbol, beznadziejny zakład, szalony gest, za którym idzie jakieś przesłanie. Wysadzenie w powietrze wypożyczalni wideo, podłożenie ognia pod Filmotekę Narodową – to kompletny absurd. Ale tylko to sprawia, że czujesz się wolny.

– Ale Kay i inni widzą w tym sens. Warunki życia klasy średniej pogorszyły się. – Wstałem, próbując uniknąć bladych dłoni Goulda, sięgających po moje nadgarstki. – Tanie wakacje, za drogie mieszkania, wykształcenie, które nie daje już poczucia bezpieczeństwa. Ten, kto zarabia mniej niż trzysta tysięcy funtów rocznie, prawie się nie liczy. Jesteś po prostu prolem w modnej marynarce.

– I za to nie lubimy siebie. Ani ja, ani ty, Davidzie. – Gould patrzył, jak próbuję odkręcić kurek nad przepelnionym zlewem. – W dzisiejszych czasach ludzie nie lubią sami siebie. Jesteśmy klasą rentierów, spadkiem po minionym stuleciu. Tolerujemy wszystko, ale wiemy, że wartości liberalne są po to, żebyśmy pozostali bierni. Wydaje się nam, że wierzymy w Boga, ale przeraża nas tajemnica życia i śmierci. Jesteśmy skoncentrowani na sobie, ale nie dajemy sobie rady z myślą, że kiedyś nas nie będzie. Wierzymy w postęp i potęgę rozumu, ale prześladowają nas ciemne strony natury ludzkiej. Jesteśmy opętani seksem, ale boimy się wyobraźni seksualnej i musimy być chronieni seksualnymi tabu. Wierzymy w równość, ale nienawidzimy niższych od siebie. Boimy się naszych ciał i, nade wszystko, boimy się śmierci. Jesteśmy wybrykiem natury, ale wydaje nam się, że stanowimy środek wszechświata. Jesteśmy o kilka kroków od wymarcia, ale mamy nadzieję, że jakoś tam jesteśmy nieśmiertelni...

– I temu wszystkiemu winny jest... XX wiek?

– Po trosze. – Pomógł zamknąć za nami drzwi. – Mieszkamy w więzieniach o łagodnym reżimie, zbudowanych przez poprzednie pokolenia więźniów. Musimy się jakoś z tego wyrwać. Atak na World Trade Center w 2001 roku był śmiałą próbą uwolnienia Ameryki z XX stulecia. Śmierć ludzi to tragedia, ale poza tym był to akt bezsensowny. I w tym właśnie rzecz. Jak w przypadku ataku na Filmotekę Narodową.

– Albo na Heathrow?

– Heathrow... tak. – Gould spuścił wzrok, pilnując się, żeby nie spojrzeć mi w oczy. Przyglądał się własnym dłoniom, leżącym przed nim jak białe rękawiczki chirurga. Zauważył smugę po kawie. Polizał kciuk i próbował zetrzeć plamę. Robił to tak intensywnie, jakby mnie nie było.

– Heathrow? Trudno ci o tym myśleć. Rozumiem to, ale śmierć twojej żony niekoniecznie była pozbawiona sensu.

Patrzyłem, jak znów się rozsiada, jak spogląda na zegarek, żeby się zdecydować, czy już czas na nas. Czy odegrał jakąś rolę w zamachu bombowym na Heathrow? Był tak ograniczony swoim odrapanym wszechświatem, tym szpitalem w ruinie i wspomnieniem o dzieciach, że wątpiłem w to. Prawie uwierzyłem, że był inicjatorem protestu w Chelsea Marina jako buntu przeciwko władzom medycznym. Jednocześnie stwierdziłem, że go lubię, a krnąbrne przekonania pociągają mnie. Wyświechtany garnitur i zaniedbane ciało mówiły o swego rodzaju integralności, rzadkiej w świecie kularowej polityki, pochłaniającej nasze życie.

Zdawał się być świadom moich uczuć, bo kiedy schodziliśmy po żelaznych stopniach, nagle zatrzymał się i uścisnął mi rękę, uśmiechając się do mnie gorąco, prawie chłopięco.

Poczułem jego rękę, kości czekające na swój dzień.

18. Czarne millenium

Gdy dotarłem do St John's Wood, było już południe, a późne wydania niedzielnych gazet przynosiły jaskrawe, kolorowe fotografie pożaru w Filmotece Narodowej. To samo inferno jarzyło się w kioskach w Hammersmith i Knightsbridge. Na światłach zerkałem z taksówki na ogniste, pomarańczowe płomienie. Ledwie do mnie dochodziło, że po trosze jestem za to odpowiedzialny. Jednocześnie czułem dziwną dumę ze swojego czynu.

Gdy dojechaliśmy do Hyde Park Corner, powodowany kaprysem, poprosiłem kierowcę, żeby zjechał z trasy i pojechał do Trafalgar Square i Enbankment. Ostatnie pasma dymu unosiły się nad rumowiskiem Filmoteki Narodowej, wzgórzem popiołów, które pozbyły się marzeń. Wężę wodne śmigły po zwęglonych ruinach, wzbijając słupy oparów nad Hayward Gallery. Technicy, stojąc na rusztowaniach pod mostem Waterloo, sprawdzali, czy łuki nie uległy uszkodzeniu. Młyn Tysiąclecia zwiślał w bezruchu obok ratusza, z gondolami pociemniałymi od dymu, jak łabędź, który zrzucił upierzenie. Milczący tłum stał wzdłuż Enbankment i patrzył ponad martwą wodą, jakby czekał, że Młyn zacznie się obracać, niby machina z obrazu Boscha, krusząca czas i śmierć.

Ruszyliśmy do St John's Wood, przejeżdżaliśmy obok powtarzających się wizerunków katastrofy, zwisających z kiosków na Charing Cross Road. Londyn ubrał się na okazję apokaliptycznego dnia. Podpalenie biblioteki filmowej najwyraźniej poruszyło głębokie warstwy niepokoju, jakby nieświadome lęki wyświetlane w tysiącu hollywoodzkich filmów w końcu przyoblekły się w realną postać. Pomyślałem o Kay Churchill, jak zajada jajecznicę i ogląda dzienniki w telewizji. Vera Blackburn była pewnie w swoim mieszkaniu, bawiła się markotnie lontami i zapalnikami czasowymi, gotowa podjąć walkę z kolejnym bastionem zniewolenia klasy średniej. Hatchards albo Fortnums, albo V&A. Dzień Sądu zaplanowały neurotyczki z poobgryzаныmi paznokciami, a wprowadzili w życie zadyszani psycholodzy z kompleksem winy i umierającymi matkami.

Taksówka dotarła do naszego domu i zatrzymała się za samochodem Sally. Postanowiłem nie mówić o roli, jaką odegrałem w zamachu na Filmotekę. Sally niczego by nie zrozumiała i wkrótce podzieliłaby się nowiną z przyjaciółkami – następnego ranka, gdy zjawiłbym się w Instytucie Adlera, profesor Arnold czekałby już na mnie z nadinspektorem Michaelsem u boku.

Wszedłem do domu, podnosząc ze stopni gazety. Czekałem, aż Sally mnie zawoła, ale w powietrzu nie było ani śladu porannego prysznic, aromatu ręczników i porannej kawy. I brakowało tego łagodnego, małżeńskiego królestwa, w którym teraz czułem się jak intruz. Kuchnia była nietknięta, naczynia z kolacją dla jednej osoby – omlet i kieliszek wina – stały przy zlewie.

Wchodząc po schodach, zdałem sobie sprawę z tego, jaki jestem wyczerpany, posiniaczony i pobity, jakbym spędził noc z brutalną policjantką. Nikt nie spał w naszym łóżku, ale odcisk ciała Sally widniał na jedwabnej narzucie. Telefon leżał na środku mojej poduszki, redukując moją męzowską rolę do serii cyfr i wiadomości bez odpowiedzi. Uznałem, że Sally czekała na mnie,

oglądała nocne informacje z Filmoteki i nie domyśliła się, że mąż był jednym z podpalaczy. Ale telefon od Richarda Goulda prawdopodobnie wyprowadził ją z równowagi. Zaniepokojona przez ekscentrycznego lekarza postanowiła spędzić noc z przyjaciółką.

Czekając na telefon od niej, leżałem przez godzinę w kąpieli, a potem obejrzałem południowe wiadomości. Atak na Filmotekę Narodową nadal był w czołówkach. Nie pojawił się żaden wiarygodny motyw, ale mówiono o grupach islamskich protestujących przeciwko szkalowaniu Arabów w hollywoodzkich filmach. Jeszcze raz, dzięki szczęściu i partactwu, uszło nam na sucho.

Wybierając parę czystych butów, spostrzegłem torbę podróżną Sally leżącą na dnie szafy. Jej szlafrok wisiał nadal obok mojego, ale zabrała środki przeciwbólowe z nocnego stolika razem z foliową saszetką z pigułkami antykoncepcyjnymi.

Siedziałem na łóżku, gapiąc się w otwartą szufladę. Podniosłem słuchawkę i nacisnąłem guzik ponownego wybierania, spoglądając na numer, pod który dzwoniła.

Cyfry były boleśnie znajome, ten numer często sam wykręcałem, dawno ugruntowany prywatny kod uczucia straty i żalu. To był numer, który wybierałem za każdym razem, gdy dzwoniłem do Laury, żeby porozmawiać o ślimaczących się procedurach naszego rozvodu, rok po tym, jak przeprowadziła się do Henry'ego Kendalla.

Po serii skomplikowanych i wyczerpujących manewrów, zaparkowałem saaba przy krawężniku i rozparłem się wygodnie w fotelu, ukrywając twarz za gazetą opartą o kierownicę. O piętnaście metrów ode mnie stał mały domek z tarasem, należący do Henry'ego. Ta willa z czerwonej cegły w Swiss Cottage nigdy mi się nie podobała. Krótki przejazd z St John's Wood stanowił próbę wytrzymałości zarówno dla ruchu w północnym Londynie, jak i dla mojego humoru. Ale opanowując trudny i zawzięty samochód, w jakiś sposób uzyskałem kontrolę nad jego wiarołomną właścicielką.

Przejeżdżając przez Maida Vale, próbowałem zmienić bieg i pociągnąłem za hamulec, zatrzymując wóz na oczach stojącego w pobliżu policjanta. Podeszedł do mnie, patrząc mi poważnie w oczy, ale rozpoznał zaadaptowany układ kierowniczy. Uznał, że jestem niepełnosprawny, zatrzymał ruch do czasu, gdy znów włączyłem silnik, i kazał mi jechać dalej.

Zanim dojechałem do Swiss Cottage, prawie poczułem się inwalidą – bardziej niż Sally, która obydwała się bez lasek, kiedy była w dobrym nastroju i bez problemów dawała sobie radę z moim range roverem.

Przypominałem utalentowanego baletmistrza, któremu kazano wykonać tango na rękach. Siedząc jak znękany mąż w samochodzie niewiernej żony, z manetkami ocierającymi mi kolana i łokcie, stawałem się wypaczoną wersją samego siebie, wytworem mojej dobrej, czulej i rozwiązłej żony.

Czekałem godzinę, wpatrując się w żółtą feerię forsycji rosnących obok puszek na śmieci. Niedzielny ruch niósł rodziny w stronę Hampstead Heath. Przyjałem, że Sally spędziła z nim noc, chociaż prawdopodobnie wcześniej próbowała mnie odnaleźć, dzwoniąc na mój numer. Bomby terrorystów sprawiły, że nie znosiła samotnego sypiania. Ale nie zadzwoniła po taksówkę i ktoś musiał przyjechać do St John's Wood, żeby ją zabrać.

Wiedziałem doskonale, że Sally chciała mieć wolną rękę w kwestii romansów. Przez wszystkie te lata było ich tylko kilka, żaden nie przetrwał dłużej niż tydzień, a niektóre trwały krócej niż prywatki, na których podrywała samotnego mężczyznę, żeby wyslizgnąć się z nim w noc. Często zdążyła wrócić do domu jeszcze przede mną. Zawsze przeproszała, uśmiechając się boleśnie nad swoją gafą towarzyską, jakby miała stłuczkę moim samochodem albo zniszczyła mi nową elektryczną

maszynkę do golenia.

Przyjmowała za pewnik, że ma prawo do takich impulsywnych gestów. Wypadek tramwajowy upoważnił ją, podobnie jak Fridę Kahlo, do zaspokojenia kaprysów, rzucania wyzwania losowi i tolerancyjnemu mężowi. Znoszenie tych miłostek stanowiło cenę za to, że byłem taki miły i pełen zrozumienia. W swoim pojęciu pozostała wieczną rekonwalescentką, która może sobie pozwolić na małe okrucieństwa, takie jakich dopuszczała się w szpitalu St Mary's. Wiedziałem, że jej miłostki skończą się, gdy znajdzie przekonujące wytłumaczenie wypadku, który o mało jej nie zabił.

Skulony na fotelu kierowcy, oparłem się o kierownicę, ułożyłem kolana i łokcie między dźwigniami dla inwalidów, w wypaczonym świetle, który zdawał się odwzorowywać jakieś zboczone pożądanie seksualne. Naciskałem pistoletowy uchwyt gazu i słyszałem łańcuchy, które stuknęły i napinały się, na zmianę łącząc się i rozdzielając.

Moje życie było pod wieloma względami zniekształcone jak ten samochód, kontrolowane przez zdalne sterowanie, wyposażone w zabezpieczenia i łatwo dostępne hamulce. Wcisnąłem się w wąski kokpit pracy zawodowej w Instytucie Adlera, z jej bezmyślną rywalizacją i stresującymi potrzebami emocjonalnymi.

Podpalenie Filmoteki stanowiło całkowite przeciwieństwo. Było jak przebłysk realnego świata. Nadal czułem dym ze skazanych na zagładę sal kinowych, toczący się nad moją głową jak natrętny sen, słyszałem gorący oddech satyra ścigającego mnie do Festival Hall i widziałem uspokajający uśmiech kelnera ze szklanką szampana w gondoli Młyna. Mój pościg za zabójcą Laury był poszukiwaniem życia ważniejszego i pełniejszego w treści. Część mego ja, schowana w głębi umysłu, pomogła umieścić bombę na Heathrow.

Taksówka zatrzymała się sześć metrów od saaba. Wszedł z niej Henry Kendall i zapłacił szoferowi. Był zmęczony, ale uradowany, jego przystojną twarz rozpromieniało coś więcej niż dobry lunch. Pochylił się przy drzwiach od strony pasażera i pomógł wysiąść atrakcyjnej kobiecie o włosach do ramion, z różą na długiej łodydze w dłoni. Gdy tak prowadził ją od taksówki, zdawał się unosić ją nad chodnikiem, jak mąż przenoszący świeżo zaślubioną żonę nad progiem Sally wzięła go za ramię z lekko drwiącym uśmiechem, jakby oboje splatali sprytnego figla. Śmiejąc się, stanęli, żeby popatrzeć na dom Henry'ego, z przyjemną niepewnością, czy są we właściwym miejscu.

Sally przeszła przez trotuar, gdy Henry szukał kluczy, ale jej wzrok przykuły nagłówki z pierwszej strony gazety przykrywającej moją twarz. Zatrzymała się, rozpoznała swój samochód i tabliczkę informującą o niepełnosprawności kierowcy, przylepioną do przedniej szyby.

– David...? – odczekała, aż otworzę okno i kiwnęła na Henry'ego, który gapił się na mnie, jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkali. – Właśnie byliśmy na lunchu.

– To dobrze. – Pomachałem do Henry'ego. Nie poruszył się. – Wszystko w porządku?

– Czemu nie? Dziękuję, że przyprowadziłeś wóz. – Nachyliła się i pocałowała mnie z nieklamany ucuciem, naprawdę zadowolona, że mnie widzi. – Skąd wiedziałeś, że jestem tutaj?

– Domyśliłem się. W końcu jestem psychologiem.

– Henry też. Podwiozłabym cię do domu, ale...

– Wezmę taksówkę. – Wysiadłem z samochodu, wyplątując się spomiędzy dźwigni i manetek i wręczyłem jej kluczyki. – Wkrótce się zobaczymy. Wiele się zdarzyło. Filmoteka...

– Wiem. – Przyjrzała się mojej twarzy, dotknęła małego zadrapania na czole. – Nie walczyłeś znowu z policją?

– Ależ nie. Nadal zajmuję się sprawą bomby na Heathrow. Pojawiły się nowe tropy – myślę, że są ważne. Możesz powiedzieć o tym Henry’emu.

– Powiem. – I odeszła, odsłaniając Henry’ego, który wyraźnie czekał na pokaz mężowskiej furii. Kiedy nie zareagowałem, powiedziała: – W porządku, przyjadę do domu później.

– Dobrze. Kiedy będziesz gotowa...

Patrzyłem, jak odchodzi pospiesznie, ze spuszczonego wzrokiem, utkwionym w chodniku. Choć raz nie udało się jej mnie sprowokować. Henry stał przy drzwiach z różą w ręce. Pomachał nią do mnie, ale zignorowałem go.

Idąc w stronę St John’s Wood, wydłużyłem krok. Poniosłem niewielki uszczerbek na męskiej dumie, ale opłaciło się to sowicie. Atak na Filmotekę Narodową otworzył drzwi mojej celi. Znowu czułem się wolny, po raz pierwszy, odkąd zatrudniłem się w Instytucie Adlera i dołączyłem do wolnomularstwa klasy zawodowców. Jej duszące regalia nadal wisały w szafie mojego umysłu, wina, uraza, zwątpienie w siebie, wymaganie, żeby mnie zauważono i przyprowadzono przed najbliższe lustro, postulat obowiązku obywatelskiego i odpowiedzialności. Ale te regalia były już na prostej drodze do śmietnika. Już nie czułem urazy do matki za jej bezceremonialną samolubność ani do kolegów z instytutu za wyłamujące szczęki nudziarstwo, którym obdarzali świat. I nie czułem już urazy do Sally za drobne miłostki. Kochałem ją i nic dla mnie nie znaczyło, że zostałem jej prywatną pielęgniarzką za pieniądze jej ojca.

Przeszedłem przez Maida Vale i zasalutowałem policjantowi zaskoczonemu, że teraz idę sobie prawie w podskokach. Myślałem o Chelsea Marina i pożarze na South Bank, i czarnym Młynie Tysiąclecia gotowym kręcić się nad ruinami. Przypominałem sobie Kay Churchill, Vere Blackburn, Joan Chang i, nade wszystko, doktora Richarda Goulda i wiedziałem, że znowu ich muszę zobaczyć.

19. Obleżenie Domu Radia

Nieprzewidywalna jak zwykle policja postanowiła nie interweniować. Stałem w tłumie demonstrantów przed Domem Radia, na próżno czekając, aż rozlegną się syreny, a furgonetki policyjnej gwałtownie zahamują przed naszymi szeregami. Ale, z rozkazu komisarza, panował spokój. Piętrowe autobusy jechały po Langham Place, turyści spoglądali na nas, zaintrygowani jednym z historycznych londyńskich rytuałów, polegającym na podnoszeniu pieści przeciwko establishmentowi.

Po drugiej stronie ulicy dwóch policjantów patroloowało chodnik przy chińskiej ambasadzie. Trzeci strzegł drzwi hotelu Langham, gawędząc z kierowcą limuzyny. Żaden z nich nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany ponad setką protestujących, którzy blokowali teraz wejście do kwatery głównej BBC. A my, bez policji i dynamicznej konfrontacji, nigdy nie umieliśmy zdobyć się na akcję. Musieliśmy stracić panowanie nad sobą, by odepchnąć ochronę i opanować budynek.

– Im się chyba wydaje, że jesteśmy wielbicielami – mruknąłem do pięćdziesięcioletniej kobiety w kożusku stojącej obok mnie. Była lekarzem weterynarii, ochotniczym kościelnym kaplicy w Chelsea Marina i sąsiadką wielebnego Dextera. – Pani Templeton, jak to jest, że nigdy nie można znaleźć policjanta, kiedy jest potrzebny? Mysią chyba, że przyszliśmy tu witać jakąś gwiazdę popu...

– Znów pan mówi do siebie, panie Markham...

Jak większość uczestników protestu, pani Templeton słuchała przenośnego radia nastrojonego na kanał czwarty, transmitujący komentarz do naszej demonstracji. Reporter, z mikrofonem przy ustach, stał za plecami ochrony w foyer Domu Radia. Rozległy się wybuchy śmiechu i gwizdy, gdy wysłuchano jakiegoś absurdałnego komentarza na temat motywów wystawienia pikietki przed BBC.

Patrząc na skupione twarze ludzi stojących wokół mnie z uchem przy radiu, rozumiałem, że przyjmujemy rozkazy od organizacji, przeciwko której demonstrujemy. Przez ostatnie trzy dni wiadomości nadawane o pierwszej prowadziły śledztwo w sprawie zamieszek w Chelsea Marina i innych ognisk niepokoju wśród średnio zamożnych warstw Bristolu i Leeds.

Jak można się było spodziewać, dziennikarze niczego nie zrozumieli. Rewoltę składali na karb głębokiego niezadowolenia pokolenia wyżu demograficznego, klasy niestroniącej od przyjemności, nadmiernie wykształconej, niezdolnej do obrony przed młodszą wiekiem grupą dążącą do opanowania ich zawodów. Różne mądrale, drugorzędni parlamentarzyści, a nawet wiceminister spraw wewnętrznych, sypali podobnymi perełkami intelektu. Słuchając ich w kuchni, gdy Kay kroїła ogórka na sałatkę, doszliśmy do wniosku, że i ja wygłaszałbym takie komunały, gdybym nie trafił do Chelsea Marina.

Kay, zirytowana protekcjonalnym tonem BBC, aż skaleczyła się w palec i zajęła się projektowaniem kolejnej demonstracji: Zalejemy Portland Place demonstrantami, wdrzemy się do budynku i przejmemy kontrolę nad studiem jedyńki. Potem nadamy prawdziwą relację z rebelii

rozwijającej się w środkowej Anglii.

Wielki ładunek krzywd czekał, aż ktoś zapali lont. Kay, zwracając się do tłumu zgromadzonego przed jej domem przez megafon, mówiła, że przez ponad sześćdziesiąt lat BBC odgrywało główną rolę w praniu mózgowi klasy średniej. Zasada umiaru i zdrowego rozsądku, oddanie celom edukacji i oświecenia były kunsztowną przykrywką osłaniającą narzucanie ideologii bierności i samoograniczenia się. BBC nadało kształt kulturze narodowej, szwindlowi, w którym uczestniczyła także klasa średnia, uznając, że umiar i obywatelska odpowiedzialność leżą w jej własnym interesie.

Podtrzymałem Kay chwiejącą się na kuchennym taborecie i przytakiwałem z przekonaniem jej tyradom. Przedstawiła dwóch współmieszkańców, byłych producentów programów humanistycznych z BBC, obecnie zwolnionych z pracy. Znali Dom Radia i mogli poprowadzić atak na studio. Jedyne, czego nam brakowało, kiedy następnego ranka jechaliśmy różnymi trasami przez Londyn, to zdecydowany i bezwzględny wróg.

Aleja nadal byłem zafascynowany rewolucją. Zostawiłem Sally i Henry'ego Kendalla przed jego domem i kazałem czekać taksówce w St John's Wood, a sam spakowałem małą walizkę. Nie miałem pojęcia, na jak długo zostanę w Chelsea Marina ani jaki bagaż miał Lenin, gdy wysiadał na Dworcu Fińskim, ale uznałem, że rewolucjoniści nie obciążają się kuframi.

Poczułem ulgę, gdy dotarliśmy do King's Road, jak dziecko wracające do szczęśliwego domu przybranych rodziców. Wziąłem trzytygodniowy urlop, wytłumaczywszy profesorowi Arnoldowi, że potrzebuje mnie moja umierająca matka. Znał ją, gdy była młoda i – co rozumiałe – nastawił się do tego sceptycznie. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł później zobaczyć Sally, gdy już osłabi Henry'ego swoimi egoistycznymi potrzebami. Teraz znacznie większe znaczenie miało to, co działo się w osiedlu mieszkaniowym w zachodnim Londynie. Na swój sposób był w tym klucz do mojej przyszłości.

Taksówkarz, Pakistańczyk, odmówił wjazdu do osiedla i zatrzymał się przy domku strażników.

– To zbyt niebezpieczne, proszę pana – policja radzi, żeby trzymać się z daleka. Furgonetka od Harrodsa została obrzucona kamieniami.

– Obrzucona kamieniami? Z jakiego powodu?

– To kwestia rywalizacji etnicznej. Ludzie mają tu swój własny, mały problem kaszmirski. Toczy się tu walka o dominację między tradycyjnymi zwolennikami „Guardiana” i nową klasą średnią zatrudnioną w dziedzinie usług finansowych.

– Interesujące. – Dostrzegłem egzemplarz „Economist” na przednim siedzeniu. – A po której ja jestem stronie?

Kierowca odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

– Niezrzeszony, proszę pana. Bez wątpienia...

Zapłaciłem z napiwkami i zostawiłem go z własnymi myślami. Przeszedłem na piechotę obok zasłoniętych deskami okien biura administracji osiedla. Samochód policyjny patrolował Beaufort Avenue, tropiony przez dwóch mieszkańców w poobijanym mini, błyskającym ostrzegawczo reflektorami. Spodziewałem się, że dom Kay będzie pod ścisłą obserwacją, ale ślepa uliczka była pusta, ciszę mąciło tylko ciachanie nożyc, którymi Kay przystrzygała żywopłot.

Objęła mnie mocno, wzięła za ręce i przyłożyła je do swoich piersi, a potem chwyciła moją walizkę. Spędziliśmy szczęśliwe popołudnie nad kilkoma butelkami wina, wysłuchując wzajemnych

sprawozdań z ataku na Filmotekę Narodową. Kay zdążyła już zapomnieć, że mnie zostawiła z nadzieją – jak teraz podejrzewałem – że zostanę złapany i wydam ją. Męczeństwo należało do jej ambicji, gdyż mogło obdarzyć ją sławą. Malowniczo opisała plan kolejnego ataku na South Bank, placówkę nowej tyranii, zniewalającej tych, którzy szukają kulturowego schronu w jej tyrańskich murach.

– Goły beton, Davidzie. Zawsze należy się wystrzegać wskrzeszenia Alcatraz. Zbudowane przez ludzi z rodzaju tych, którzy lubią Annę Neagle i Rekxa Harrisona...

Byłem zachwycony, że mogłem obcować z Kay i jej chaotycznym entuzjazmem. W nocy spałem głębokim snem na kolejnym dziecięcym materacu w sypialni jej córki, otoczony radosnymi rysunkami przedstawiającymi wojnę trojańską. Zauważyłem, że Troja wyraźnie przypomina Chelsea Marina. Moją uwagę przyciągnął drewniany koń z sosnowym penisem. Wkrótce po świcie Kay, rozbudzona przez policyjny helikopter, wślizgnęła się do łóżka i położyła obok mnie. Leżała spokojnie w szarym londyńskim świetle, wdychając zapach poduszki córki. Potem odwróciła się do mnie.

Przez następne dwa tygodnie rebelia w Chelsea Marina poczyniła znaczące postępy. Ponad połowa mieszkańców zaangażowała się w akcje protestacyjne. Jak zauważył w artykule wstępnym „Daily Telegraph” – obecnie podstawowy dziennik rewolucji – wielu działaczy było wyższymi rangą fachowcami. Lekarze, architekci i notariusze wzięli wydatny udział w okupacji ratusza Chelsea, protestując przeciwko nowym opłatom za parkowanie. Emerytowany adwokat przewodził demonstracjom przed biurami spółki zarządzającej, domagając się wydania tytułów nieograniczonej własności.

Pierwsza konfrontacja z policją zdarzyła się w tydzień po moim powrocie. Komornicy próbowali przedrzeć się do domu należącego do młodego księgowego, jego żony i czworga dzieci. Małżeństwo odmówiło płacenia oburzających rachunków za usługi komunalne, więc zagrożono im przejęciem własności.

Ale komornicy natknęli się na tłum wygadanych i wściekłych kobiet, które zaatakowały ich furgonetkę, zanim zdążyli wyładować młoty do wyważania drzwi. Dwadzieścia minut później przybyła policja z francuską ekipą telewizyjną na ogonie. Posypał się deszcz pocisków, kamieni z miłością zebranych na Seszelach, Mauritiusie i Jukatanie. Policja taktownie wycofała się, przekonana przez urzędnika z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którego siostra mieszkała w Chelsea Marina. Ale ujęcia telewizyjne przedstawiające, jak wystraszone dzieci księgowego krzyczą z okien swojej sypialni, podpowiedziały niemiłe skojarzenia z przemocą w Belfaście.

Wielu rodziców zabrało dzieci z płatnych szkół, odrzucając w całości etos prywatnej edukacji, jako ogromnego spisku wdrażającego do posłuszeństwa. Wielu zaniepokojonych mieszkańców wzięło bezpłatne urlopy z nadzieją, że znajdzie czas na przemyślenie całej sprawy. Ich żony i dzieci zaczęły popełniać drobne kradzieże w supermarketach i delikatesach przy King's Road. Wleczeni przed sądy pokoju odmawiali płacenia grzywien, a „Daily Mail” ochrzcił ich mianem „pierwszych Cyganów klasy średniej”.

Kiedy urząd skarbowy z Fulham musiał zaniechać działalności po odejściu głównych administratorów sieci komputerowej, władze wreszcie obudziły się z drzemki. Dalszy bojkot cywilizacji konsumpcyjnej ze strony klasy średniej mógłby wywołać katastrofalne skutki w systemie podatkowym. Inspektorzy wydziału zdrowia zaczęli włóczyć się po Chelsea Marina z kwestionariuszami, próbując wyodrębnić leżące u podstaw buntu żale.

Szeroki wachlarz celów sprawiał, że znalezienie wspólnego mianownika psychologicznego było trudne. Pikiety blokujące wejścia do Petera Jonesa i London Library, Legolandu i British Museum, biur podróży i Victoria and Albert Museum, centrum handlowego Hendona i prywatnych szkół podstawowych nie miały ze sobą nic wspólnego, poza faktem odrzucenia stylu życia klasy średniej. Dwie bomby dymne na bazarze w Selfridge i w dziale dinozaurów Muzeum Historii Naturalnej, choć niezwiązane ze sobą, spowodowały zamknięcie tych obiektów na jeden dzień. Okrzyk futurystów spod znaku Marinettiego: „niszczyć muzea”, znalazł zaskakujący oddźwięk.

Podczas lokalnych wyborów uzupełniających Kay i Vera wybrały się do lokalu wyborczego, żeby zbeczczyć głosowanie, i dowiedziały się, że odrzucenie postawy obywatelskiego współdziałania stało się poważnym zagrożeniem demokracji. Wybory parlamentarne od dawna obsługiwane były przez ochotników z klasy średniej. Decyzja o pozostaniu w domu, podjęta przez kilku nawet doświadczonych rachmistrzów wyborczych, wymusiła odroczenie, któremu przyklasnęli mieszkańcy Chelsea Marina, uznając, że demokracja parlamentarna to niezbyt subtelny sposób neutralizowania klasy średniej.

Zadowolona z tego Kay wysłała mnie, żebym kupił gazety i nad butelką wina odczytał pełne zaniepokojenia wstępniaki. „Times” i „Guardian” martwiły się, że tak wielu ich czytelników odłączyło się od społeczeństwa. Oba tytuły cytowały zastępcę dyrektora szkoły, mieszkańca Chelsea Marina, który w wywiadzie telewizyjnym powiedział:

– Jesteśmy zmęczeni zaniedbywaniem nas. Jesteśmy zmęczeni wykorzystywaniem nas. Nie podoba się nam to, czym się staliśmy...

Przed Domem Radia demonstranci skupili się bliżej drzwi, obalili drewniane zapory, które ochrona BBC ustawiła przed wejściem. Tłum liczący teraz jakieś dwieście osób wsłuchiwał się w radia, gdzie w programach informacyjnych omawiano wydarzenia rozgrywające się przed oknami BBC.

Badawczo przyglądałem się znajomym twarzom mieszkańców Chelsea Marina, ale nie było siadu Kay, Very Blackburn czy Richarda Goulda. Wiedziałem, że zaplanowany został protest przed Victoria and Albert Museum, który Kay nazwała „składnicą kulturalnych złudzeń”. Celem była sala z kopią Dawida dłuta Michała Anioła. Postanowiono zrzucić go z cokołu, tak jak obalano posągi Stalina i Lenina po zburzeniu Muru Berlińskiego. Dawid, utrzymywała Kay, ludzi klasę średnią, że rozwinięta wrażliwość „kulturalna” obdarza ją moralną wyższością, niedostępną dla kibiców piłki nożnej albo entuzjastów krasnali ogrodowych.

– O, mój Boże... – pani Templeton zachwiała się na obcasach. Ludzie wokół nas śmiali się z niedowierzaniem.

– Pani Templeton? Coś się stało?

– Na pewno tak. – Straciła muchę z rękawa kożuska. – Chelsea Marina to „pierwsze osiedle klasy średniej, które poszło na dno”. Jesteśmy „gorszą klasą” burżuazji. Dobry Boże...

Próbowałem wymyślić jakąś odpowiedź, ale między ochroną a grupą demonstrantów, która przewróciła drewniane bariery, rozpoczęła się gniewna konfrontacja. Szybko wywiązała się przepychanka. Ochroniarze twierdzili, że bariery stanowią własność BBC, i zarzucali demonstrantom, że nie uiszczają opłat za odbiorniki.

Petarda wybuchła obok wejścia, ostry huk eksplozji trzepnął nas po uszach. W roztrzęsionej ciszy chmura niebieskiego dymu uniosła się nad naszymi głowami. Biorąc panią Templeton za ramię,

zobaczyłem wóz transmisyjny telewizji zmuszony do wjechania na chodnik na Portland Place. Białe furgonetki policji z włączonymi syrenami przedzierały się przez tłum. Zatrzymały się dopiero przy kościele Wszystkich Świętych na Langham Place. Funkcjonariusze w ubiorach ochronnych, z tarczami i pałkami gotowymi do użycia, wyskakiwali z furgonetek i przepychali się przez tłum gapiów.

Bomba dymna wyrzuciła w powietrze kłęby czarnych oparów. Wystraszony ochroniarz potknął się o jedną z barier i upadł na ziemię. Demonstranci skorzystali z okazji i rzucili się nad nim, forsując drzwi. Nadal trzymałem panią Templeton za ramię, czułem, jak napór policji wpycha mnie do holu.

Hol wypełniała już setka demonstrantów, przytłaczając liczbą strażników, próbujących chronić windy. Grupka gości kryła się między fotelami, morale nareszcie zostały skonfrontowane z rzeczywistością. Dym petard zawlókł się za nami do holu, zakłębił w szybach wind, gdy zaczęły wwozić forpoczty demonstrantów na wyższe pietra. Prowadzeni przez jednego z producentów BBC, który przeszedł na naszą stronę, planowali najechać redakcję i nadać manifest rebelii klas średnich do rodaków, którzy z ustami rozdziawionymi nad kanapkami z bekonem i jajkiem, słuchali wiadomości.

Inny pracownik BBC, Anglo-Hindus ze szczupłą twarzą, zapędził nas w stronę schodów na lewo od holu. Piętro wyżej wpadliśmy przez drzwi z napisem Pokój Rady, do wysoko sklepionej sali z półkolistą południową ścianą, obwieszoną portretami dyrektorów naczelnych BBC, którzy kierowali dobroczynną tyranią firmy.

Jak rewolucyjny motłoch, który wdarł się do salonów *ancient regime* 'u i napotkał tam podobizny zepsutej arystokracji, patrzyliśmy z przerażeniem na portrety, wśród których dominował główny architekt BBC, lord Reith. Spostrzegłem, że głowy na portretach stawały się coraz większe wraz z upływem lat i wzrostem potęgi BBC. Kulminację stanowił uśmiechnięty balon głowy ostatniego mianowanego dyrektora, ogromny zeppelin samozadowolenia.

Nerwowy rządzący młodszych producentów i inżynierów, niezbyt chętnych do czynów wymagających poświęcenia, zagroził nam drogę. Poddawali się bezwładnie, gdy przepychaliśmy się między nimi. Pani Templeton wyciągnęła z torebki puszkę z aerozolem. Gdy do sali wpłynął dym z holu, ze znanostwem wycelowała strumień farby w portrety, zaopatrując je w serię wąsików i baczków a la Hitler.

Pięć minut później było po wszystkim. Gdy ochroniarze wlekli nas korytarzem, wiedzieliśmy już, że atak na studio jedyńki nie powiódł się. Na długo przed naszym przybyciem cała ekipa programu przeniosła się do bezpiecznego studia w piwnicy. Oddziały policji weszły do Domu Radia bocznymi drzwiami z Portland Place. Czekali na nas z gotowymi do użycia pałkami w dłoni. Nie patyczkowali się z tymi, którzy zagubili się w labiryncie korytarzy. Spędzono nas i wyrzucono z budynku, a BBC kontynuowało swoją historyczną misję oszukiwania klas średnich.

Zauważyłem, że gwałtowność działań policji była wprost proporcjonalna do znudzenia, a nie do oporu stawianego przez demonstrantów. Przed prawdziwą brutalnością ochroniły nas własna niekompetencja i szybkie zakończenie demonstracji. Wspomagani kopniakami i uderzeniami pałek, zostaliśmy wypchnięci na przesiąknięty dymem Portland Place. W ciągu pół godziny zostaliśmy przewiezieni do West Endu, oskarżeni i wypuszczeni za kaucją, żeby pojawić się przed sądem pokoju. Pani Templeton pewnie zostanie zwolniona, aleja byłam całkowicie pewien miesiąca odsiadki.

Wyrzucony za drzwi przez spoconego posterunkowego, potknąłem się o drewnianą barierkę. Jakaś sierżant policji podeszła i złapała mnie za ramię. Gdy pomagała mi wstać, rozpoznałem

zawziętą twarz uczestniczki demonstracji w Olympii, która zabandażowała mi zranioną nogę.

– Angela...? – Zajrzałem pod opuszczone rondo kapelusza. – Wystawa kotów, Olympia...

– Wystawa kotów?

– Kingston, dwoje dzieci...

– Zgadza się. – Gdy mnie rozpoznała, zwolniła mocny uścisk na moim ramieniu. – Pamiętam.

– Wstąpiłaś do policji?

– Na to wygląda. – Poprowadziła mnie w stronę kościoła, gdzie obrabiano zatrzymanych. –

Daleko pan zaszedł od Olympii, panie...?

– Markham. David Markham. – Wpatrywałem się w jej stalowe oczy. Obok nas przejechała furgonetka policyjna. – Cóż za zmiana poglądów. Kiedy to się stało?

– Cztery lata temu. Czuję się bardzo dobrze.

– Więc była pani... tajnie?

– Coś w tym stylu. – Poprowadziła mnie wzdłuż tłumu policjantów z psami i kierowców radiowozów. – Bardzo się pan wciągnął. Niech pan sobie znajdzie inne hobby.

– Tajnie? – Przypomniałem sobie moją grzywnę, sto funtów za to, że przyszedłem jej z pomocą.

– Ktoś musi dbać o bezpieczne ulice.

– Ma pani rację. Tak się składa, że ja też byłem tam tajnie.

– Doprawdy? Dla kogo?

– Trudno to wyjaśnić. Ma to związek z bombą na Heathrow. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych jest tym zainteresowane.

Wskazała ostatnich demonstrantów wypędzanych z Domu Radia. Pani Templeton w podartym kożuszkę skarżyła się na coś bezbarwnemu inspektorowi.

– A dzisiaj? Czy to część pańskiego zadania?

– Nie. To poważniejsze niż się wydaje. Musimy dołożyć starań.

– Być może mówisz poważnie, ale niewiele trzeba starań. Marnujesz czas policji i dajesz uzasadnienie ludziom, którzy chcą poczynić poważne szkody.

Straciła zainteresowanie moją osobą. Zobaczyła, że nastrój jej kolegów zmienił się. Policjanci z psami zaganiali swoich pupili do furgonetek, kierowcy włączali silniki. Poza kilkoma funkcjonariuszami, którzy pilnowali demonstrantów na stopniach kościoła, reszta pobiegła do wozów. Angela zostawiła mnie bez słowa i wskoczyła na przednie siedzenie samochodu policyjnego, który na chwilę zatrzymał się przy nas.

Konwój odjeżdżał, syreny zawodziły na Upper Regent Street. Prawie cała policja zniknęła, a próżnię wypełnili spacerujący wolnym krokiem turyści, którzy zaczęli robić nam zdjęcia. Demonstranci spędzeni na stopniach kościoła znów przyłożyli uszy do odbiorników, potem rozproszyli się, gdy posterunkowi kazali im odejść.

Pani Templeton podeszła do mnie z radiem przy uchu. Była nastroszona i zmieszana, nie zwracała uwagi na podarty kożuszek i farbę na podbródku.

– Pani Templeton? Weźmiemy razem taksówkę. Myślę, że się nam upiekło.

– Co? – Popatrzyła na mnie dziko, jej uwagę przykuwało radio. Zgubiła obcas prawego buta, a ja, powodowany dziwnym odruchem członka klasy średniej, uznałem, że się kompromituje w tym stanie.

– Jesteśmy bezpieczni, pani Templeton. Czy policja zrobiła pani jakąś krzywdę?

– Niech pan posłucha... – wręczyła mi radio. – W galerii Tatę wybuchła bomba. Zginęli ludzie...

Słuchałem natarczywego głosu reportera, a wokół mnie wszystkie dźwięki ulicy ucichły. Turyści

przechodzili obok Domu Radia, patrząc na mapy prowadzące donikąd. Gońcy stali wyczekująco na światłach, obracając manetkami gazu, gotowi śmigać od jednego bezsensownego zlecenia do drugiego. Miasto było ogromną, nieruchomą karuzelą, na stałe obsadzoną przez miliony niedoszłych pasażerów, którzy zajęli miejsca, czekali, a potem umarli. Myślałem o bombie rozrywającej się w kolejnej świątyni oświecenia, uciszającej niekończący się szmer rozmów w kafejkach. Wbrew sobie poczułem przypływ podniecenia, jakbym brał w tym udział.

20. Biała przestrzeń

Jeśli środki są wystarczająco desperackie, usprawiedliwiają cel. Kay objęła mnie. Staliśmy w jej kuchni i oglądaliśmy poranne informacje. Mimo bliskości i uczuć wywołanych wiadomością o bombie w galerii Tate, czułem, jak palce jej drżą, jakby próbowały oderwać się ode mnie. Myślałem o nocy, którą spędziliśmy razem, o godzinach przegadanych w ciemności, gdy każde z nas rozpakowywało życiowe wspomnienia. Ale zniszczenie galerii Tate podrażniło na nowo nerwy odrętwiałe od gadania o przemocy, konspiratorski czek in blanco, który pewnego dnia mógł zostać zrealizowany. Protest dodał blasku wszystkim szczytnym ideałom Kay, ale przemoc odebrała im wartość, sprawiła, że z niepokojem uświadomiła sobie, jaka rzeczywistość czeka nas za otwartymi właśnie drzwiami.

Ścisnęła mi ramiona, patrząc przez okno saloniku na konwój samochodów sąsiadów wyjeżdżających, żeby wesprzeć strajk czynszowy w północnym Londynie.

– To demonstracja w Mill Hill, chcesz do nich dołączyć?

– Powinam. – Jej palce wyczuły kości w moim karku. – Musimy wiele przemyśleć.

– My dwoje? – próbowałem ją uspokoić.

– Kto?

– Ty i ja. Czy musimy coś jeszcze omawiać?

– Znowu? Powtórki w zwolnionym tempie denerwują mnie. Kino umarło, gdy wymyślono wsteczne ujęcia. – Litując się nade mną, masowała mi palcami skronie. – To wszystko właśnie zaczyna się dziać. Można wyczuć, że jesteśmy na skraju.

– Oczywiście. Dziesięciu lat więzienia.

– Nie żartuj. – Opiekuńczo, jak matka, przytuliła moją głowę do swojej piersi. – Możesz zrobić coś naprawdę ważnego. Zawsze myślałam, że jesteś policyjnym tajniakiem. Tyle razy ryzykowałeś i wracałeś, mimo że zostawialiśmy cię po uszy w gównie. Albo jesteś bardzo nieostrożny, albo masz jakichś szczególnych przyjaciół, którzy troszczą się o ciebie. Ale tak wcale nie jest – dowiedziałam się o tym wczoraj. Byłeś taki zaangażowany.

– Mówisz o demonstracji przed BBC?

– Nie. To głupstwo. Nawet Peggy Templeton nie dałaby się aresztować. Miałam na myśli bombę w galerii Tate.

– Kay...? – odwróciłem się i objąłem ją w pasie i zajrzałem w jej wzburzoną twarz. – Galeria Tate? To straszne, ale ja nie byłem w to zaangażowany pod żadnym względem.

– Straszne, ale byłeś zaangażowany. – Usiadła bokiem do mnie, patrząc na moją twarz z profilu, jak frenolog próbujący odczytać charakter z kątów czoła. – W łóżku po prostu szalałeś na myśl o gwałtowności tego czynu, potworności śmierci. Udał ci się najlepszy seks w życiu.

– Ależ Kay...

– Bądź uczciwy. Ile razy szczytowałeś? Przestałam liczyć. – Złapała mnie za nadgarstki. – Chciałeś mnie pieprzyć i bić. Na litość boską, wiem, kiedy facetowi płoną jaja. A twoje wprost się paliły. Myślałeś o tej bombie, która nagle wybuchła i rozerwała wszystko na sztuki. I to cię podnieciło, ta bezsensowna przemoc.

– Nieświadomie? Może. Kiedy poszliśmy do łóżka, nie mówiłem o tym.

– Nie musiałeś. Wstałeś, żeby się wysiusiać i spojrzaleś w lustro w łazience. Mogłeś to zobaczyć w swoich oczach. – Zła na siebie i na swoje zbyt szczere reakcje, Kay wyłączyła telewizor. Oskarżycielsko wskazała na pusty ekran. – Troje ludzi zginęło. Pomyśl o tym, Davidzie, jakiś biedny strażnik oddający życie za Damiana Hirsta...

Poprzedniego wieczoru, naładowani adrenaliną po demonstracji w BBC i informacji o wybuchu w galerii Tate, wypiliśmy za dużo wina. Bomba, urządzenie z semteksem ukryte w wielkim albumie, wybuchła w pobliżu księgarni o 1.45. Zabiła zwiedzającego, który niósł książkę, i zmiotła wielki kawał kamiennej konstrukcji nad wejściem. Francuski turysta i strażnik także zostali zabici, a około dwudziestu zwiedzających odniosło obrażenia. Policja odgrodziła okolicę kordonem, a zespół kryminalistyczny przeszukiwał pył i rumowiska, pokrywające okoliczne trawniki i zaparkowane samochody.

Nikt nie przyznał się do zamachu, ale bomba dodała ostrości szaremu i mdłemu londyńskiemu powietrzu. Nuda i niestabilność stały się cechami przyszłości. Bomba wybuchła w tym samym dniu, gdy odbywała się demonstracja pod Domem Radia i zdawała się wskazywać na Chelsea Marina i jego zbuntowaną klasę średnią, ale Kay ostro potępiła zamach na galerię Tate. Widzowie telefonujący do studia telewizyjnego podczas wywiadu z nią uwierzyli jej, choćby dlatego że złowroga sprawność twórcy bomby najwyraźniej wskazywała na to, że pochodzi z innej grupy społecznej. Architekci i notariusze z Chelsea Marina, z ich bombami dymnymi i petardami, twierdzili, że nigdy nie próbowali nikogo zabić. Po raz pierwszy, Kay uznana została za osobę umiarkowaną.

Może dlatego, żeby zrównoważyć ten swój nowy wizerunek, powiedziała mi, gdy rozbierała się przed pójściem do łóżka, że sypiała ze wszystkimi swoimi lokatorami, poczynając od osiemnastoletnich studentów wydziału filmowego, a kończąc na karykaturzyście-alkoholiku wygnanym z domu obok przystani przez zrozpaczoną żonę.

– Wszystkie gospodynie po czterdziestce uprawiają seks ze swoimi lokatorami. To ostatnie ogniwo, które łączy nas z matriarchatem...

Kay wyjęła wino z lodówki i postawiła dwie szklanki na stole. Oparła twarz na dłoniach i zagapiła się na mnie.

– Nie za wcześnie, Kay?

– Potrzebujesz tego. Tak się składa, że ja też. Będę za tobą tęsknić.

– Wyrzuć to z siebie.

– Wracaj do Sally. Wsiądź do samochodu i jedź prosto do St John's Wood. Otrzyj z kurzu teczkę i znów zostań psychologiem dla klientów z wielkich firm.

Jej łagodny ton zaskoczył mnie.

– Dlaczego, na litość boską? Ze względu na ostatnią noc?

– Po części. – Upiła wina i powąchała sobie palce, jakby zapach moich jąder przyłgął do jej paznokci. – Ale to nie jedyny powód.

– Byłem nadmiernie podniecony. Ta demonstracja pod BBC, sponiewieranie przez policję. Bomba w galerii Tatę. A gdybym był impotentem?

– Żałuję, że nie jesteś. Tak bym wolała. Impotencja byłaby normalną reakcją. A ty byłeś jak Kolumb, który zobaczył Nowy Świat. To właśnie dlatego musisz wrócić do Sally. Nie jesteś stąd. – Sięgnęła po moją dłoń. – Jesteś domatorem. Przez cały czas krążą wokół ciebie setki małych uczuć. Zamieszkują każdą poduszkę i wygodne krzesło jak bóstwa domowe. Razem składają się na wielką miłość, wystarczająco wielką, żeby zignorować tego głupca, który czepia się spódnicy twojej żony.

– Domatorem...? – Patrzyłem na swoje odbicie drżące na powierzchni wina. – Mówisz o mnie jak o jakimś przeżuwaczu pasącym się na spokojnej łące. Chelsea Marina mogłoby to wszystko zmienić.

– To prawda. Ale dla nas przemoc jest tylko środkiem prowadzącym do celu. Dla ciebie jest celem. Otworzyła ci oczy i wydaje ci się, że zobaczyłeś ekscytujący świat. Żadnych wygodnych poduszek, żadnych miękkich kanap, na których siadujesz z Sally i oglądasz wieczorne wiadomości. To nie bomba w Tatę sprawiła, że byłeś taki ostatniej nocy.

– Kay... – próbowałem wziąć ją za rękę, ale odsunęła się ode mnie. – To właśnie próbowałem powiedzieć.

– To była bomba na Heathrow. – Kay przerwała i patrzyła, jak przygryzam bliznę z dzieciństwa na wardze. – Miałeś to w sobie przez cały czas. To dlatego przyszedłeś do Chelsea Marina.

– Ty mnie tu sprowadziłaś. Pamiętasz – znalazłaś mnie przed budynkiem sądu. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek przedtem tutaj był.

– Ale szukałeś kogoś takiego. Wcześniej czy później znalazłbyś nas na jakiejś demonstracji czy marszu protestacyjnym. Bomba z Heathrow nadal huczy ci w głowie; będziesz ją słyszał w St John's Wood. To sygnał nowego świata.

– Kay... zabito moją żonę. – Machnąłem ręką na powtarzające się przejęzyczenie. – Laure. Chcę znaleźć tego, kto podłożył bombę.

– Ale dlaczego? Jesteś szczęśliwy w małżeństwie, chociaż chyba o tym nie wiesz. Laura to sprawa sprzed lat, a ty nawet za bardzo jej nie lubiłeś. Nie tak, jak lubisz Sally – albo mnie, jeśli o to chodzi.

– Fakt, że się kogoś lubi, nie ma związku z prawdziwym uczuciem. – Próbowałem uśmiechnąć się do Sally. – Laura prowokowała świat. Prawie wszystko, co czyniła, najmniej istotne rzeczy, które mówiła, jakoś trochę mnie zmieniały. Dziwne, ale nie potrafię zrozumieć, jak to się działo. Ona otwierała przede mną drzwi.

– A bomba na Heathrow to największe z nich. Nie było za nimi nic, tylko wielka biała przestrzeń, która znaczy wszystko i nic. To cię zafascynowało, Davidzie. Jesteś jak człowiek, który za długo patrzył w słońce. Teraz wszystko kojarzy ci się z Heathrow.

– Chelsea Marina? Wypożyczalnie wideo i gipsowe rzeźby?

– Jesteś tym wszystkim znużony. – Odsunęła butelkę wina i nasze szklanki, uprzątnęła stół, żeby móc pomyśleć. – Jesteś znużony tak samo, jak Richard Gould. Szukasz prawdziwej przemocy i wcześniej czy później ją znajdziesz. I właśnie dlatego musisz wsiąść do samochodu i wrócić do Sally. Tobie są potrzebne podwójne żółte linie, płatne parkingi i spotkania komitetów, bo to cię uspokaja.

– Sally? Chciałbym do niej wrócić, ale jeszcze nie teraz. – Dotknąłem warg i przycisnąłem palec do gniewnego czoła Kay. Byłem jej wdzięczny. – Ona musi się uporać z własnymi problemami. Pod pewnymi względami jest równie mocno zaangażowana w sprawę bomby z Heathrow jak ja. Musi

znaleźć w tym sens.

– Sens? Nie ma w tym sensu. Na tym rzecz polega.

– Niełatwo to jednak przyjąć. Tylko psychopata jest w stanie to zrozumieć, choć Richard Gould uważa, że się mylę.

– Richard? – Kay, wzbudzona, spojrzała sponad obgryzionych paznokci. – Trzymaj się od niego z dala. On jest niebezpieczny, Davidzie. Możesz tu jeszcze trochę zostać, ale nie zadawaj się z nim.

– Niebezpieczny? – Wskazałem stary komputer stojący na jej biurku, częściowo zagrzebany pod stosem nieprzeczytanych studenckich scenariuszy. – To ty prowadzisz jego stronę w sieci.

– Tak było na początku, ale on poszedł dalej. Doprowadził się do Chelsea Marina. – Spróbowała wyjąć korek z butelki wina, ale zrezygnowała. – Richard Gould czeka na ciebie, Davidzie. Nie wiem dlaczego, ale jest z nami przez cały czas. Kiedy dzwoniłam do niego z sądu, prosił, żebym cię tu przywiozła...

Myślałem o tym, gdy przebierałem się w tweedowy garnitur, który wisiał w szafie w sypialni między panterkami Kay i jej sukienkami wizytowymi. Kay była rozczarowaną entuzjastką, która niegdyś spijała każde słowo z ust charyzmatycznego doktora Goulda, gdy krzykiem wzywał mieszkańców Chelsea Marina, żeby walczyli o swoje prawa. Ale teraz to ona stała się postacią polityczną, broniącą swojej sprawy w polemicznych artykułach na łamach niedzielnych gazet, wspieraną przez dysponujących czasem młodych, ambitnych prawników. Gould był Piotrusiem Panem, duchowo osamotnionym na psychiatrycznej wyspie, szukającym zagubionych chłopców, a tymczasem rzeczywistość podchodziła ku niemu pod groźną postacią tysięcy domków jednorodzinnych.

Kiedy wyruszyłem do Instytutu Adlera, po raz pierwszy od trzech tygodni, Kay patrzyła za mną od drzwi. Opierała się na jednej nodze jak bileterka oglądająca film o nieprzekonywującej fabule.

– Davidzie? Robisz doskonałe wrażenie mężczyzny idącego do biura.

– Bo tak jest. Muszę pocieszyć moją sekretarkę, spotkać się z jednym, dwoma klientami.

– A siniaki?

– Nie mam zamiaru się rozbierać. Powiem, że nurkowałem i zderzyłem się z jakąś dziwną rybą.

– Bo się zderzyłeś. – Pozwoliła się pocałować i poprawiła mi krawat. – Wyglądasz jak oszust.

– Taki jest los każdego, kto jest zbyt szczerzy, Kay. Dopóki mogę przekonać siebie samego, wszystko jest w porządku. Kiedy sobie nie uwierzę, zrozumiem, że czas wrócić do St John's Wood.

Stałem w słońcu, myśląc o Sally, której nie widziałem od czasu, gdy zostawiłem ją przed domem Henry'ego Kendalla w Swiss Cottage. Tęskniłem za nią, ale zaczęła odchodzić w przeszłość, jak część życia, którą chce się odrzucić, twierdza zobowiązań trzymana w kupie bluszczem mieszczańskiej niepewności.

21. Życzliwość światła

Pomachałem Kay, jak mąż wyjeżdżający do pracy. Przyglądało się temu kilku zdumionych mieszkańców. Gapili się na mnie, jakbym był aktorem ćwiczącym coś w rodzaju tańca przy maiku. Skrępowany dobrze skrojonymi tweedami, przeszedłem przez ulicę do range rovera. Kiedy otworzyłem drzwi, zauważyłem, że mam pasażera. Ubrany w czarny garnitur i brudną białą koszulę mężczyzna rozpierał się na przednim skórzanym fotelu, drzemiąc w porannym słońcu. Obudził się i przywitał mnie wielkodusznym uśmiechem, pomagając mi usiąść za kierownicą. Był zaniedbany jak zwykle.

– Doktor Gould?

– Wchodź na pokład. – Przerzucił sportową torbę na tylne siedzenie. – Miło cię widzieć, Davidzie. Pozwolisz, że to ty będziesz kierował?

– To mój samochód. – Zawahałem się przed włożeniem kluczyka w stacyjkę, na wypadek gdyby zabezpieczenie zostało podłączone do prądu w ramach jakiegoś psikusa. – Jak się tu dostałeś?

– Był otwarty.

– Bzdura.

– Wcale nie. Klasa średnia nie kradnie samochodów. To plemienny obyczaj, jak nienoszenie brązowych garniturów.

– Myślałem, że to wszystko ma się zmienić.

– Właśnie. Po rewolucji klasa średnia stanie się niemrawa, niechlujna, będzie miała lepkie ręce i przestanie się myć. – Zajrzał mi w oczy, udając, że coś zobaczył. – Jako lekarz twierdzę, że jesteś w zaskakująco dobrym stanie.

– Zaskakująco? Po Domu Radia?

– Nie. Po Kay Churchill. Seks z Kay to jak nie do końca udana reanimacja. Jesteś głęboko wdzięczny, ale jakaś część ciebie nigdy nie będzie taka sama.

Gould mówił do siebie, zadowolony ze swoich słów. Zachowywał się swobodniej niż jako nawiedzony pediatra w szpitalu psychiatrycznym w Bedfont. W wyświechtanym czarnym garniturku przypominał gangstera-nieudacznika, którego zgubiły intelektualne upodobania. Rozzłościł mnie, włamując się do samochodu, ale wiedział, że miło mi było go zobaczyć.

– Jadę do biura – powiedziałem. – Gdzie mam cię wyrzucić? Na West Endzie?

– Nie... Za dużo tam policjantów, włączających się po okolicy. Potrzebny jest nam dzień na wsi.

– Richardzie, muszę się spotkać z moimi klientami.

– Ze swoim teściem? Spotkaj się z nim jutro. Miejsce, które odwiedzimy, jest ważne. Może nawet rzucić światło na zamach z Heathrow...

Ruszyliśmy do Hammersmith i wjechaliśmy na wiadukt prowadzący do ronda przy browarze,

minęliśmy dom Hogartha i pojechaliśmy na zachód trasą M4. Gould rozparł się w fotelu, przyglądając się jednopiętrowym fabrykom, biurom firm kopiujących kasety wideo i tablicom świetlnym nieznanym stadionów. To było jego terytorium, strefa bez przeszłości i bez przyszłości, bez obowiązków obywatelskich i odpowiedzialności. Jej puste parkingi nawiedzały stewardesy po służbie i kierownicy agencji bukmacherskich. Było to królestwo pozbawione pamięci nawet o sobie.

– Powiedz mi, Davidzie, jak poszło wczoraj pod BBC?

– Na chwilę włamaliśmy się do środka. Wszyscy świetnie się bawili, próbując dać się aresztować. Moralne oburzenie opanowało całą Regent Street. Kilka osób wypuszczono za kaucją.

– Niedobrze. Masowe aresztowania sprawiłyby, że Chelsea Marina zaistniałoby w świadomości ludzi.

– Policja została odwołana. Bomba w galerii Tatę przytłumiła wszystko.

– Ponura sprawa. Naprawdę ponura. Vera i ja byliśmy w Dunstable, w szkółce szybowcowej. – Gould zakrył ręką oczy, przeszedł go dreszcz. – Wróćmy jednak do demonstracji przed BBC. Co o niej sądzisz?

– Wszyscy przyszliśmy punktualnie i wiedzieliśmy, co mamy robić. Trudno było zaparkować. Kiedy nadejdzie Armagedon, podstawowym problemem będzie parkowanie.

– Ale co sądzisz o samej akcji?

– Dziecinada.

– Mów dalej.

– I zupełnie bez sensu. Kupa dorosłych, odpowiedzialnych ludzi, udających, że są chuliganami. Impreza studencka dla czterdziestolatków. Policja nie brała tego ani przez sekundę na poważne.

– Widzieli już za dużo demonstracji okupacyjnych. Łatwo się nudzą – musimy o tym pamiętać.

– Więcej fajerwerków? Spalenie Filмотeki Narodowej było czynem nieodpowiedzialnym. I przestępczym. Mogli zginąć ludzie. Gdybym o tym wiedział, nigdy nie wziąłbym w tym udziału.

– Nie poinformowano cię do końca. Łamanie prawa to wielkie wyzwanie dla profesjonalistów takich jak ty. To dlatego klasa średnia nigdy nie stanie się prawdziwym proletariatem. – Gould pokiwał do siebie głową i położył stopę na desce rozdzielczej. – Tak się składa, że zgadzam się z tobą.

– Co do Filмотeki?

– Co do wszystkiego. Co do Fortnuma, BBC, Harrodsa, Legolandu. Bomb dymnych i pikiet.

Całkowita strata czasu. – Sięgnął do kierownicy. – Ostrożnie, nie tutaj chcę umrzeć.

Za nami rozległ się klakson i w tylnym lusterku rozbłysły reflektory. Zaskoczony wypowiedział Goulda przyhamowałem. Jechaliśmy dwupasmową trasą szybkiego ruchu na wysokości Hiltona w Heathrow. Dodałem gazu i zjechałem na pas wolniejszego ruchu.

– Wydawało mi się, że to ty zaplanowałaś całą kampanię.

– Tak. Kiedy zaczynaliśmy. Teraz Kay z kumplami wybierają cele.

– Więc rewolucja została odroczone?

– Jest w toku. Dzieje się coś znaczącego i ty to wyczuwasz, Davidzie. Chelsea Marina to tylko początek. Cała klasa społeczna zrywa aksamit z krat i wgryza się w stal. Ludzie rezygnują z dobrze płatnych zawodów, odmawiają płacenia podatków, zabierają swoje dzieci z prywatnych szkół.

– Więc co poszło nie tak jak należy?

– Nic z tego nie będzie. – Gould oglądał sobie zęby w lusterku umieszczonym w osłonie przeciwsłonecznej. Widok zainfekowanych dziąseł sprawił, że zamknął oczy. – Burza ucichnie

i wszystko stopniowo się skończy w mżawce telewizyjnych dyskusji. Jesteśmy zbyt uprzejmi i zbyt frywolni.

– A gdybyśmy byli poważni?

– Zabiliśmy ministra. Albo przemycili bombę do Izby Gmin. Zastrzelilibyśmy kogoś z rodziny królewskiej.

– Bombę? – Patrzyłem na jezdnię, kątem oka widziałem jednak stery samolotów pasażerskich zaparkowanych kilkaset metrów dalej, na Heathrow. – Nie jestem pewien...

– To poważny krok, ale może się okazać niezbędny. – Gould dotknął mojej ręki bezkrwistymi palcami. – Czy zrobiłbyś to, Davidzie?

– Czy zabiłbym ministra? Chyba jestem zbyt uprzejmy.

– Zbyt potulny? Za dobrze wychowany?

– Oczywiście. Już dawno temu oduczono mnie gniewu. Jestem żonaty z córką bogacza, słodką i kochającą, która traktuje mnie jak jednego z dzierzawców swojego ojca. W pogoni za lisem trąca moje ziemniaki i nawet o tym nie pomyśli. A ja tylko się uśmiecham i reguluję jej rachunki.

– Przynajmniej o tym wiesz.

– Nie mógłbym podłożyć bomby w Izbie Gmin czy gdziekolwiek indziej. Za bardzo bym się bał, że zrobię komuś krzywdę.

– Jakoś to przebolejesz, Davidzie. – Gould mówił bezceremonialnie, jak lekarz, który nic sobie nie robi z błahych niepokojów pacjenta. – Jeśli masz zdrowe motywacje, wszystko jest możliwe. Czekasz na większe wyzwanie. Nie znalazłeś go jeszcze, ale znajdziesz...

Pochylił się do przodu, gładząc rękami bezbarwną twarz, jakby chciał wydobyć trochę kolorów z policzków. Zjechaliśmy z drogi na lotnisko i skręciliśmy do East Bedford. Za małym parkingiem znajdowało się hospicjum dla dzieci, które przejęło maluchy ze szpitala Bedford.

Gould wskazał mi wysypyany żwirem podjazd, prowadzący do dwupiętrowego domu w stylu georgiańskim. Na szerokim, nietkniętym ludzką stopą trawniku rosły starannie przyszczyżone krzewy. Na trawie stały kolorowe huśtawki i zjeżdżalnie, ale dzieci nie było. Na siedzeniach leżały liście i zbierała się deszczówka. Domyśliłem się, że z tego placu zabaw nigdy nie korzystało żadne dziecko.

Goulda nic to nie obchodziło. Gdy zatrzymaliśmy się przy tylnym wejściu do hospicjum, sięgnął po swoją torbę spoczywającą na tylnym siedzeniu. Otworzył ją na kolanach, pokazując zbiór plastikowych zabawek. Miło zaskoczony zaczął je oglądać. Twarz mu pojaśniała, gdy jedna z lalek zaczęła do niego przemawiać głosem z taśmy magnetofonowej.

Szybko wysiadł z samochodu, jak zatroskany ojciec chrzestny w urodziny chrześniaka i wyciągnął z torby biały kitel. Narzucił mi go na garnitur, poszperał po kieszeniach i znalazł identyfikator z nazwiskiem, który przypiął mi do kłapy.

– Udawaj lekarza, Davidzie. Aż dziwne, że tak łatwo jest wcielić się w rolę konsultanta.

– Doktora Livingstone'a?

– To zawsze działa. Jesteś moim kolegą ze szpitala Ashford. Teraz... polubisz dzieci, Davidzie.

– Wpuszczą nas?

– Oczywiście. To moje dzieci. Świat nie ma dla nich sensu, więc potrzebują mnie, żeby wiedziały, że istnieją. Na swój sposób przypominają mi ciebie...

Weszliśmy korytarzem obok kuchni, gdzie przygotowywano lunch dla nielicznego personelu.

Gould ucałował pielęgniarkę dyżurną, przystojną czarną kobietę, bardzo bezpośrednią w zachowaniu. Trzymał ją za rękę, gdy wchodzili po schodach, jakby należeli do wspólnego spisku.

W trzech nasłonecznionych salach leżało trzydzieścioro dzieci, prawie wszystkie z nich przykute były do łóżek, bierne małe paczuszki, przesłane śmierci zaraz po urodzeniu. Ale Gould powitał je jak własną rodzinę. Przez następną godzinę patrzyłem, jak bawi się ze szkrabami, robi pacynki ze starych skarpetek i ozdobnej taśmy, biega po sali z uniesionymi ramionami i rozdaje zabawki z torby, przebrany w płaszcz Świętego Mikołaja, pożyczony od pielęgniarki. Powiedziała mi, że przyspieszył Boże Narodzenie dla dzieci, które nie przeżyją następnego tygodnia.

Wyszedłem za nią z sali, gdy zostawiła Goulda jego zabawom. Przyjęła papierosa i sama go zapaliła.

– Robicie wspaniałą rzecz – powiedziałem. – Dzieci wyglądają na bardzo szczęśliwe.

– Dziękuję... doktorze Livingstone? Robimy, co możemy. Wiele z tych dzieci wkrótce nas opuści.

– Jak często doktor Gould tu przychodzi?

– Co tydzień. Nigdy ich nie zawodzi. – Uśmiech przemknął po jej szerokiej twarzy jak podświetlona przez słońce chmura. – Bardzo się angażuje. Czasem zastanawiam się, co będzie robić, gdy ostatecznie z nich odejdzie...

Kiedy wróciłem do sali, Gould siedział obok łóżeczka trzyletniego chłopca z ogoloną głową. Szeroka, niedbale zszyta blizna przecinała ją jak skalp. Oczy miał zapadnięte, ale wpatrzone, bez mrugnięcia, w gościa. Gould zsunął bok łóżeczka, siedział pochylony do przodu z ręką pod wełnianym kocykiem. Podniósł na mnie wzrok, czekając, żebym sobie poszedł. Dawał mi jasno do zrozumienia, że zakłócam czyjąś prywatność.

Później, gdy pojawił się na parkingu, powiedziałem:

– Niesamowite. Żaden komputer by tego nie wymyślił. Jedno czy dwoje niemal cię rozpoznały.

– Mam nadzieję. Davidzie, one mnie znają. Jestem jednym z nich, naprawdę.

Rzucił pustą torbę i kitel na tylne siedzenie i zagapił się na trawnik z pustymi huśtawkami i zjeżdżalniami. Na swój irytujący sposób zdawał się młodszy, ale poważniejszy od terrorysty, którego spotkałem w gondoli nad Filmoteką Narodową.

Próbowałem go pocieszać:

– Pomagasz im, Richardzie. To coś znaczy.

– Nie. – Gould grzał swoje bezcielesne dłonie o dach samochodu. – Nie są świadome mojej obecności. Jestem niewyraźną plamką na siatkówce oka. Ich mózgi są wyłączone.

– Mogą cię słyszeć. Przynajmniej niektóre.

– Wątpię. One odeszły, Davidzie. Natura popełniła wobec nich zbrodnię. Ponadto, niektóre sprawy nie mają sensu. Za całą teorią, za całym łańcuchem przyczyn i skutków kryje się twarde jądro bezsensu. Możliwe, że to jedyny sens, który jesteśmy w stanie odnaleźć...

Odczekałem chwilę, zanim włączyłem silnik, a Gould patrzył w okna sali na pierwszym piętrze.

– Powiedz, dotykałeś tego chłopca?

Odwrócił głowę i spojrzał na mnie z wyraźnym rozczarowaniem.

– Czy to ma znaczenie, Davidzie?

– No, wiesz, sprawa jest dyskusyjna.

– Omów ją ze Stephenem Dexterem.

Ze zniecierpliwieniem sięgnął do stacyjki i przekręcił kluczyk.

Po godzinie jazdy dotarliśmy do małej szkoły szybowcowej, mieszczącej się wysoko na Marlborough Downs. Gould zapisał się na kurs za pośrednictwem poczty elektronicznej, ale sekretarka szkoły wydawała się zdziwiona, gdy zobaczyła niedożywioną i zaniedbaną postać młodego, ekscentrycznego lekarza o bladej skórze i w wyświechtanym garniturku. Chciałem poręczyć za Goulda, ale on odesłał mnie do samochodu. Tak, jak się spodziewałem, wkrótce przekonał sekretarkę do swojej przemożnej potrzeby latania.

Siedziałem w sali klubu i patrzyłem, jak Gould bada dwuosobową kabinę szkoleniowego szybowca. Przez otwarte okna słuchałem wiatru świszczącego nad trawiastym lotniskiem. Kadłuby parkujących szybowców drżały w chłodnym powietrzu. Gould kiwał głową pod adresem kobiety-instruktora, oczy miał skierowane w niebo, jakby już planował przelot na gapę promem kosmicznym.

– Doskonale – powiedział, gdy wracaliśmy do samochodu. – Próbnny lot w przyszłym tygodniu. Możesz przyjść popatrzeć.

– Może.

– To wyzwanie, Davidzie. – Dotknął ucha. – Mam trochę kłopotów z błędniakiem. Dziwne, ale porywacze samolotów często mają skłonność do tej dolegliwości. Można spojrzeć na takie porwanie jak na nieświadomą próbę rozwiązania problemu.

– Naciągane tłumaczenie.

– Dlaczego? – Patrzył jak szybowiec wznosi się w powietrze, zwalnia linę holowniczą i szybuje z lodowatą gracją kondora. – Poza tym, to część wielkich poszukiwań.

– Czego?

– Tego i owego. Rodzaj wstępnych wyjaśnień. Tajemnica czasoprzestrzeni, mądrość drzew, łaskawość światła...

– Szybowanie? To coś więcej niż lot ze śmigłami?

– Nie ma porównania. Świat zamienia się w hałas; życie i śmierć mierzone są przestrzenią na wyciągnięcie nóg.

– A szybowanie?

– Jesteś ponad niebem.

Rozparł się w fotelu, gdy zmierzaliśmy do autostrady, z koszulą rozpiętą do pasa wystawiał się na słońce.

Włączyłem odbiornik, pochlebając sobie, że najście na Dom Radia będzie pierwszą wiadomością. Informacje mówiły jednak o bombie w galerii Tate, najpopularniejszym ośrodku kultury w Londynie spełniającym rolę, którą wcześniej przypisywano katedrom. Żadne ugrupowanie nie przyznało się do zamachu, a w British Museum i National Gallery zastosowano wzmocnione środki bezpieczeństwa.

– Od tej chwili będzie znacznie trudniej – skomentowałem informację. – Muzeum Nauki, British Library...

– Davidzie, to są niewłaściwe cele. – Gould zamknął w słońcu oczy, zatopiony w marzeniach o skrzydłach i lataniu. – Ludzie oczekują, że właśnie tam uderzymy. Protesty, żeby oznakować dużymi literami przejścia dla pieszych, demonstracje wykształconych matek w kwestii ograniczenia prędkości przed szkołami. To właśnie robi klasa średnia.

– Czy w tym jest coś złego?

– Są zbyt łatwe do przewidzenia, zbyt rozsądne. Musimy wybierać cele, które nie mają sensu. Jeśli twoim celem jest globalny system monetarny, nie atakujesz banku. Atakujesz sklep dobroczynny, który masz po sąsiedzku. Bezczęścisz cenotaf, rozpylasz gaz w ogrodzie botanicznym, podpalasz londyński ogród zoologiczny. Nasze zadanie to tworzenie niepokoju.

– A bezsensowny cel będzie najlepszym celem?

– Dobrze powiedziane. Rozumiesz mnie, Davidzie. – Gould dotknął mojej ręki, zadowolony, że to ja go wiozę. – Kay i jej kompania są ograniczeni uczciwością i dobrymi manierami. Wszyscy ci architekci i prawnicy – najbardziej radykalna rzecz, jaką są w stanie wymyślić, to spalenie szkoły dla dziewcząt pod wezwaniem św. Pawła. Nie zdają sobie sprawy z tego, że ich życie jest puste.

– Czy tak? Większość z nich kocha swoje dzieci.

– DNA. Pierwsze przykazanie biologii. W waszej miłości do dzieci nie ma niczego lepszego niż w budowaniu gniazd przez ptaki.

– A postawa obywatelska?

– Straż sąsiedzka zasobów genetycznych. Popatrz na siebie, Davidzie. Zaangażowany, troskliwy, uprzejmy, ale to co robisz jest diabła warte.

– Masz rację. No a religia?

– Umiera. Tu i ówdzie przysiada i chwyta przedsiębiorcę pogrzebowego za rękę. Bezsensowny czyn ma szczególne znaczenie sam przez się. Spokojnie dokonany, nietknięty uczuciem akt absurdu to pusta przestrzeń większa od wszechświata, który go otacza.

– A więc unikamy motywów?

– Całkowicie. Zabij polityka, a powiążą cię z motywem, który skłonił cię do naciśnięcia spustu. Oswald i Kennedy, Princip i arcyksiążę. Ale jeśli zabijesz kogoś przypadkowego, wypalisz z rewolweru do McDonalda – wszechświat stanie i wstrzyma oddech. A jeszcze lepiej, jeśli zabijesz piętnastoro przypadkowych osób.

– Lepiej?

– Metaforycznie. Ja nie chcę nikogo zabijać. – Śpiesząc z zapewnieniem, Gould najpierw przećwiczył rozbrajający uśmiech, spoglądając w lusterko w osłonie przeciwsłonecznej, a potem uraczył nim mnie. – Rozumiesz to wszystko, Davidzie. Pojąłeś, na czym to polega. Dlatego ci ufam. Ludzie robią się nerwowi, gdy chodzi o przemoc. To ich, rzecz jasna, podnieca, ale i niepokoi.

– A ciebie nie?

– Zauważyłeś to? Myślę, że tak. Przemoc jest jak pożar buszu, niszczy mnóstwo drzew, ale odświeża las, usuwa dławiące poszycie, więc więcej drzew może wyrosnąć. Musimy pomyśleć o właściwych celach. Muszą być zupełnie bezsensowne.

– Dom Keatsa, Bank Anglii, Heathrow?

– Nie, nie Heathrow. – Gould, rozproszony znakiem drogowym, sięgnął do kierownicy. – Zwolnij, Davidzie, tu jest coś, co chciałbym zobaczyć...

Przejeżdżaliśmy przez miłe miasteczko odległe o kilka kilometrów od wjazdu na autostradę. Ruch był zaskakująco duży, turyści wyglądali przez okna samochodów. Na obrzeżach miasteczka ciągnęły się wysadzone drzewami uliczki i rosły wysokie jawory, a Gould patrzył na odległe konary jak współczesny Samuel Palmer wypatrujący okna nieba w poszukiwaniu odblasku światłości z tamtej strony. Przesuwał bladą dłońią po konturach gałęzi, jakby szukał drogi w labiryncie.

Samo miasteczko było nijakie, domki ze sztucznymi strzechami, zamienione w pralnie chemiczne

i wypożyczalnie wideo, chińskie bary z daniami na wynos, sklepiki z pamiątkami i bary kawowe. Las znaków wiódł zmotoryzowanych gości na parkingi, chociaż nie było jasne, skąd w tym miasteczku tylu zwiedzających i po co, właściwie, chcą tu zostać dłużej.

Ale Gould zdawał się zadowolony, uśmiechał się przez ramię, gdy zbliżaliśmy się do autostrady.

– Czarujące miejsce, Davidzie. Nie sądzisz?

– Hm..

– To jest coś szczególnego. Widziałeś wszystkich tych turystów. To prawie miejsce święte.

– Trudno uwierzyć. – Z podjazdu włączyłem się do ruchu na autostradzie. – Gdzie właściwie byliśmy?

– To jest przy A4, po drodze do Newbury. – Gould rozparł się i oddychał głęboko, jakby wstrzymywał wcześniej oddech. – Hungerford... tam chciałbym zakończyć moje dni.

Hungerford? Podczas drogi powrotnej do Londynu ta nazwa trzepotała wokół mnie jak złapana ćma. Zaskoczyła mnie reakcja Goulda i zacząłem podejrzewać, że nasza wizyta w szkole szybowcowej była pretekstem, żeby przejechać się miasteczka ulicami. Gdyby został pilotem szybowca, mógłby przelecieć nad jego parkingami i sklepami pamiątkarskimi i spełnić jakieś swoje głębokie marzenie o wiejskiej idylli.

Dziecięcy podpalacze przenoszą swoje apokaliptyczne fantazje w dorosłe życie. Ogień i latanie zdawały się wypełniać umysł Goulda. Patrzyłem, jak drzemie obok mnie. Poruszył się, gdy dojechaliśmy do Heathrow. Lotnisko mocno ciążyło na jego wyobraźni, podobnie jak i na mojej, łącząc nas w niezwykłą parę. Zmarnowałem pół dnia, wożąc go na wieś z nadzieją, że bardziej się ujawni. Ale w rzeczywistości usidlił mnie w dziwnym świecie, wciągając w swoją pokawałkowaną osobowość, podając się jak zestaw do montażu. Mogłem zbudować z niego postać, której brakowało w moim życiu. Podziwiałem go za oddanie umierającym dzieciom, a on umiejętnie wykorzystał zarówno to, jak i moją słabość do siebie. Pociągały mnie zarówno on, jak i sposób, w jaki poświęcał wszystko w poszukiwaniu prawdy. Był bohaterskim kapitanem, gotowym wrzucać maszty do kotła okrętowego.

Wszystkie te myśli odeszły ode mnie, gdy wysadziłem Goulda w Chelsea Marina i poszedłem do instytutu. Kupiłem wieczorną gazetę, w której na pierwszej stronie pisano o bombie w galerii Tatę. Przeczytałem nazwiska trojga ofiar, strażnika, francuskiego turysty i młodej Chinki, mieszkającej w zachodnim Londynie, Joan Chang, przyjaciółki wielebnego Dextera, dziewczyny w bufiastej kurtce...

22. Wizyta w bunkrze

Tamiza wpychała się pod most Blackfriars, zniecierpliwiona starymi przesłami. Nie był to już ten bierny strumyczek, który prześlizgiwał się przez Chelsea Marina, ale nawał ohydnej wody, która poczuła otwarte morze i parła, by dotrzeć do niego. Poniżej Westminsteru z Tamizy robi się osisek o twardych pięściach, jak ludzie z ujścia, nieczuli na finansowe tarasy City.

Sale, w których dokonywano transakcji, były ułudą, tylko rzeka była prawdziwa. Pieniądze były tykaniem, strumieniem zakodowanych woltów, płynącym przez ukryte obwody pod podłogami zagranicznych giełd. Naprzeciwko nich, po drugiej stronie rzeki stały kolejne ułudy, replika Globe Szekspira i galeria sztuki nowoczesnej Tate, stara elektrownia przerobiona na dyskotekę dla klasy średniej. Przechodząc obok wejścia do Globe, nasłuchiwałem echa bomby, która zabiła Joan Chang. Było to jedyne sensowne wydarzenie w całym krajobrazie.

Zaparkowałem na Summer Street, sto metrów za tyłami galerii. Budynek otoczony był policyjnymi wozami, a taśmy odgradzały wejście dla publiczności. Wybrałem długie obejście, wzdłuż Park Street do Globe, potem skręciłem na nabrzeże. Szedłem między turystami, tłoczącymi się przy Młynie Tysiąclecia, żeby zobaczyć szkody, jakie poniosła ta bombastyczna budowla, bardziej bunkier niż muzeum, z której Albert Speer mógłby być dumny.

Sally i ja, podobnie jak wszyscy nasi przyjaciele, oglądaliśmy każdą wystawę w tej ogromnej krypcie. Budynek triumfował wizualną zręcznością, psychologicznym trikiem, który rozumiałby każdy faszystowski dyktator. Z zewnątrz symetria fasady sprawiała, że wyglądał na mniejszy, niż był w istocie, a ogromne rozmiary hali turbin porażały oko i mózg. Rampa wejściowa była wystarczająco szeroka, żeby przyjąć paradę czołgów. Moc, kilowatogodzin czy mesjanistycznej doktryny, promieniowała z odległych ścian. Był to pokaz sztuki, jak któryś ze spektakli Hitlera, być może wczesne ostrzeżenie, że klasa średnia zwraca się ku faszyzmowi.

Przeszedłem między turystami ku głównemu wejściu i przyglądałem się przez trawnik zniszczeniom dokonany przez bombę. Wybuch nastąpił o 1.45, gdy sierżant Angela wyprowadzała mnie z Domu Radia.

Świadkowie zeznali, że młoda Chinka kręciła się koło księgarni. Najwyraźniej zrozpaczona, schwyciła z półki wielki album i pobiegła do hali turbin. Personel gonił ją, ale zrezygnował, gdy zrozumiał, że ostrzega ludzi. U szczytu rampy wejściowej książka wybuchła jej w rękach, a pochyła podłoga wzmocniła siłę eksplozji. Szkło i kamienie leżały w trawie i pokrywały samochody zaparkowane na Holland Street.

Pomyślałem o Joan Chang, wesoło siedzącej za Stephenem Dexterem na harleyu. Domyśliłem się, że po obejrzeniu wystawy spędziła kilka minut w księgarni i tragicznym zbiegiem okoliczności zobaczyła terrorystę podkładającego bombę, śmiertelne urządzenie, którego zadaniem było spowodować jak największą liczbę ofiar. Policja zidentyfikowała rannych, ale Stephena Dextera nie

było wśród nich. Pastor zniknął z Chelsea Marina, zostawiając swojego harleya na deszczu przed kaplicą. Kay zadzwoniła do przyjaciela w dziale filmowym galerii Tate, ale nikt nie pamiętał, żeby widział Dextera w księgarni albo w którejś z galerii. Kay opłakiwała śmierć chińskiej dziewczyny i uznała, że Dexter uciekł z Londynu i udał się do jakiejś religijnej samotni.

Wspominając spustoszenia na Heathrow, wiedziałem teraz, że Dexter i ja mamy coś wspólnego. Bomba terrorysty nie tylko zabija swoje ofiary, ale też gwałtownie przedziera się przez czas i przestrzeń i załamuje logikę trzymającą świat w jedno. Na kilka godzin grawitacja nas zdradza, nieważnia prawa Newtona, zawraca bieg rzek i przewraca drapacze chmur, budząc od dawna uspiomy strach w naszych umysłach. Terror rzucił wyzwanie łagodnemu samozadowoleniu codziennego życia, jak obcy, który występuje z tłumu, żeby uderzyć kogoś w twarz. Siedząc na ziemi z zakrwawionymi ustami, człowiek zdaje sobie sprawę, że świat jest niebezpieczniejszy, ale niewykluczone, że znacznie bardziej sensowny. Jak powiedział Richard Gould, niewytłumaczalny akt przemocy ma w sobie zażartą autentyczność, której nie dorówna żadne rozsądne zachowanie.

Ulewa, nasłana przez dumną rzekę, chłostała twarz galerii. Tłum rozproszył się w bocznych uliczkach, zostawiając ekipy policyjne przy pracy, przesiewaniu szczątków i przelewaniu potłuczonego szkła do plastikowych toreb.

Jakiś policjant krzyknął coś do dwóch Niemek, które przeszły za taśmy policyjne i poszukały schronienia za furgonetką. Zapinając płaszcze przeciwdeszczowe, przebiegły obok małego samochodu pokrytego kurzem i fragmentami muru.

Poszedłem za nimi, ale zatrzymałem się przy samochodzie, volkswagenie garbusie. Pod pokrywą brudu i gruzu zobaczyłem biały lakier karoserii taki sam jak w samochodzie Joan Chang. Obserwowałem policjanta pilnującego podjazdu; przestępował z nogi na nogę i mówił coś do kryminalistów, szukających schronienia w bramie.

Postanowiłem przeprowadzić dochodzenie na własną rękę.

Dziesięć minut później wróciłem z Summer Street ubrany w biały kitel, który Gould rzucił na tył range rovera, kiedy opuszczaliśmy hospicjum dla dzieci. Policjant zajęty był turystami, ośmielonymi niepewnym słońcem. Faceci z ekipy wyjmujący swoje kołki i sznurki ledwie na mnie spojrzeli, zakładając, że jestem śledczym z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych albo może patologiem, szukającym ludzkich szczątków.

Zbliżyłem się do garbusa i schwyciłem za klamkę, gotów zbić łokciem szybę po stronie kierowcy. Gdy podniosłem ramię, poczułem, że mechanizm otwiera się gładko pod naciskiem ręki. Joan wysiadła z samochodu i zapomniała go zamknąć, być może rozproszył ją przejeżdżający pojazd albo jakiś znajomy, z którym się tu umówiła.

Otworzyłem drzwi i wsunęłem się na fotel, rozpoznając bladą woń jaśminu i olejku z korzenia fiołkowego. Na oknach grubą warstwą osiadł pył ceglany, strumienie błota w kolorze ochry chroniły mnie przed policją, stojącą dwadzieścia metrów dalej. Odwróciłem się i obejrzałem dokładnie tylną kanapę, mnóstwo chusteczek, fiołki z perfumami i przewodnik turystyczny po Chinach otwarty na pięciodniowej wycieczce łodzią po przełomach Jangcy.

Nacisnąłem pedały gazu i hamulca, ale ledwie byłem w stanie ich dosięgnąć. Fotel został odsunięty do tyłu, żeby zrobić miejsce dla nóg dłuższych niż nogi Joan Chang. Jadąc garbusem, filigranowa Chinka dotykała podbródkiem kierownicy.

Ktoś inny, prawie na pewno Stephen Dexter, przywiózł Joan do galerii Tate. Z wyciągniętymi

nogami czułem się niewygodnie, sięgnąłem pod fotel i zacząłem szukać dźwigni.

Rozległ się słaby pisk elektronicznego protestu. Trzymałem w ręku telefon komórkowy. Czekając, aż zadzwoni, przyłożyłem go do ucha, prawie spodziewając się, że usłyszę piskliwy głosik Joan. Telefon milczał, leżał pod fotelem przez ostatnie dwa dni, niezauważony przez policjantów.

Przez zamazaną przednią szybę patrzyłem na ekipę kryminalistyczną przy pracy, jak dzieli podjazd na wąskie działki, mozolną anatomię, zawierającą zapewne jakieś szczątki mechanizmu bomby. Zadzwoiłem pod ostatni wybierany numer i słuchałem dzwonka.

– Dzwonisz do galerii Tatę – przemówił nagrany głos. – Galeria jest zamknięta do odwołania. Dzwonisz do...

Wyłączyłem telefon przyjmując, że Joan zadzwoniła do Tatę przed przyjazdem, być może po to, żeby zarezerwować stolik w restauracji. Gdy siedziałem w samochodzie z jej komórką w dłoni, odniosłem wrażenie, że ożywiłem ostatnie chwile życia tej miłej, młodej kobiety.

Jakaś ręka zaczęła majstrować przy drzwiach od strony kierowcy, zdrapując wilgotny kurz z szyby. Zamknąłem drzwi od wewnątrz, wciskając kołek zabezpieczający. Palce macały szybę po omacku jak pazury wielkiego psa. Widziałem rozmazaną twarz i ramiona mężczyzny w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, prawdopodobnie jednego z detektywów.

Odkręciłem okno. Znów padał lekki deszcz, ale rozpoznałem nerwową, zmiętą twarz człowieka, który na mnie patrzył.

Włożył rękę i przyciągnął mnie do słupka drzwi.

– Markham? Co tu robisz?

– Stephen... pozwól, że ci pomogę. – Oderwałem jego rękę od ramienia, ale zawahałem się, zanim otworzyłem drzwi. Pot spływał po czole pastora, skupiając się w kropelki wokół wielkich oczu. Zgubił koloratkę, zdartą gdzieś w panice, a nieogolone policzki były zaczerwienione i nabrzmięte, jakby płakał, biegnąc przez całą noc po przeklętych i pustych ulicach. Kiedy tak zaglądał do samochodu, świadom próżni nie do zniesienia, wyobraziłem go sobie biegnącego wzdłuż rzeki w noc, która przychodzi na zawsze.

Popatrzył mi w twarz zbity z tropu białym kitlem i pokazał pęk kluczyków, najwyraźniej sądząc, że podszedł do niewłaściwego samochodu.

– Markham...? Szukam Joan. Jej samochód jest tutaj...

Odepchnąłem drzwi i wysiadłem w deszcz. Położyłem ręce na ramionach Dextera, próbując go uspokoić.

– Stephen... Przykro mi z powodu Joan. To straszne dla ciebie.

– Dla niej. – Dexter odsunął mnie na bok i spojrzał na pokryte gruzem wejście do galerii. – Chciałem do niej zadzwonić.

– Co się stało?

– Wszystko. Wszystko się stało. – Patrzył w moją twarz, dopiero teraz rozpoznając mnie w pełni, odsunął się, wzdragając przed kontaktem ze mną, jakbym to ja był odpowiedzialny za śmierć Joan Chang. Wyrzucił z siebie potok słów, ostrzeżenie przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, krzyczał:

– Wracaj do żony. Uciekaj przed Richardem Gouldem. Uciekaj...

Odwrócił się ode mnie, jedną ręką nadal trzymając mnie za ramię, i wskazał coś ponad dachem samochodu. Dziesięć metrów od nas, na nabrzeżu, stała młoda kobieta z przemoczonymi deszczem włosami. Jej kurtka z lakierowanej skóry spływała wodą, jakby dziewczyna dopiero co wyłoniła się

z rzeki albo zeszła z ciemnej barki stojącej pod powierzchnią wody przy wysokim przypiływie. Patrzyła na księdza gniewnym wzrokiem skrzywdzonej parafianki, pałającej żądzą zemsty.

Dexter wzmacnił uścisk na moim ramieniu. Najwyraźniej bał się tej młodej kobiety, która wyglądała jakby już go ukarała i wkrótce miała to znów zrobić. Patrząc na zaognioną bliznę na jego czole, pomyślałem o filipińskich partyzantach, których bicze złamały jego ducha.

– Wy dwaj... jazda! – Policjant krzyczał do nas od wejścia do galerii, odpędzając nas od skonfiskowanego samochodu. Zasalutowałem mu i odwróciłem się, żeby odprowadzić Dextera za taśmę policyjną. Ale pastor zostawił mnie. Ze spuszczoną głową, z dłońmi w kieszeniach płaszcza przeciwdeszczowego, ruszył szybko Summer Street w stronę mostu Blackfriars.

Młoda kobieta z gołą głową szła pośpiesznie w stronę teatru Globe. Od tyłu rozpoznałem jej kapryśny krok trochę grymaśnej uczennicy, trochę znużonej przewodniczki. Była elegancka, chociaż przemoczona, i domyśliłem się, że krążyła po ulicach wokół Tatę od wielu godzin, czekając aż pojawi się Dexter.

Syrena holownika dała sobie upust na rzece, opróżniając pojemne płuca groźnym grzmotem, odbijającym się od budynków biurowych w okolicach katedry św. Pawła. Vera potknęła się na swoich wysokich obcasach. Złapałem ją, zanim upadła i podprowadziłem do wejścia do teatru Globe, gdzie przyłączyliśmy się do grupki amerykańskich turystów, chroniących się tam przed deszczem.

Vera nie próbowała stawiać oporu. Oparła się o mnie ze słodkim uśmiechem, zatopiona w sobie, martwa emocjonalnie, narowiste i śmiertcionośne maleństwo. Patrząc, jak mierzy mnie wzrokiem, znów zobaczyłem uzdolnione chemicznie cudowne dziecko z podmiejskiego domu, które awansowało na sztandarową dziewczynę Ministerstwa Obrony, dominę z marzeń każdego wojownika za biurkiem.

– Jesteś zadyszana, Vero.
– Doktor Livingstone? Jesteś bardzo przekonywający. Któżby mógł przypuszczać?
– To jedno z przebrań Richarda Goullda. Zostawił je w moim samochodzie.
– Pozbądź się tego. – Jej palce rozpięły górny guzik. – Ludzie będą myśleli, że uciekłam z domu wariatów.

– Bo uciekłaś.
– Naprawdę? – Jej ręka zatrzymała się na guzikach. – Czy to komplement, Davidzie?
– W twoim przypadku, tak. W przypadku Joan Chang tragedia.
– To straszne. Była taka miła. Musiałam tu przyjść.
– Widziałaś Stephena Dextera?

Twarz pozostała opanowana, ale z lewej brwi spadła kropla deszczu, sygnalizując ukryte przesłanie. Była bardziej niespokojna, niż przypuszczała, na górnej wardze pojawił się tik. Choć raz mocno zderzyła się z realnym światem.

– Stephena? Nie jestem pewna. Czy stał przy samochodzie?
– Jesteś pewna. – Wilgotni turyści weszli do teatru i gapili się na wychłostane deszczem galerie. Uniosłem głos. – Szłaś za nim. Dlaczego?
– Niepokoiśmy się o niego. – Wzięła ode mnie biały kitel i złożyła go starannie, a potem wrzuciła do kosza na śmieci. – Jest bardzo rozstrojony.
– To nie jest powód. Czy wiedział o bombie?
– Skądże! – Dotknęła mojego podbródka. – Nigdy nie pozwoliłby Joan znaleźć się w pobliżu. Ludzie widzieli, jak z nią biegła.

– Zdumiewające, jak ją znalazła. Tysiące książek, a jej udało się wybrać właśnie tę jedną z kilogramem semteksu między okładkami. – Patrzyłem, jak deszcz cofa się za rzekę. – Myślę, że to Stephen siedział w samochodzie.

– Kiedy bomba wybuchła? Dlaczego?

– Siedzenie było odsunięte do tyłu. Stopy Joan nie dotknęłyby pedałów. Prawie na pewno podwiózł ją do Tate.

– Myślisz, że Stephen był zamachowcem?

– To tylko przypuszczenie. Mogli pracować razem. Zabrała bombę do sklepu i zostawiła ją na półce. Z jakiegoś powodu zmieniła zdanie.

Vera otworzyła puderniczkę i przyjrzała się dokładnie makijażowi. Zerknęła na mnie, niepewna, czy jestem taki naiwny, czy próbuję ją zwodzić.

– Zmieniła zdanie? Trudno w to uwierzyć. A w ogóle po co Stephen chciałby podłożyć bombę w galerii Tate?

– To doskonały cel dla klasy średniej. On jest księdzem, który utracił wiarę.

– A zdetonowanie bomby...?

– ...przywraca mu tę wiarę. W jakiś samotniczy, obłąkany sposób.

– Jakie to smutne. – Vera pochyliła wypukłe czoło, gdy dwóch policjantów przechodziło nabrażem. – Dobrze, że przynajmniej nie sądzisz, że ja mam z tym coś wspólnego.

– Nie jestem taki pewien. – Złapałem Verę za ramię i wyczułem puls nad łokciem. – Jakichś bardzo niebezpiecznych ludzi kusi przemoc. Ty mogłaś zrobić bombę, ale nigdy byś jej nie dała parze amatorów. Jesteś profesjonalistką.

– To wyszkolenie z Ministerstwa Obrony. Wiedziałam, że okaże się przydatne. – Zadowolona pojaśniała, a jej uśmiech był jak słońce wychodzące zza chmur. – Ale biedny ten Stephen.

– Dlaczego chciałaś się z nim tutaj spotkać? On się ciebie boi.

– Jest w niebezpiecznym stanie umysłu. Pomyśl, jakie musi mieć poczucie winy, nawet jeśli to nie on podłożył bombę. Mógł rozmawiać z policją i coś palnąć.

– Co mogłoby być niebezpieczne dla ciebie?

– I dla ciebie, Davidzie. – Strzepnęła kilka okruchów zaprawy z mojej kurtki. – I dla nas wszystkich z Chelsea Marina...

Patrzyłem, jak odchodzi, godnie mijając policjantów. Podziwiałem jej opanowanie. Jak powiedział Richard Gould, bezsens ataku na galerię Tate wyróżnia ją od innych aktów terroru. Przesłanie żadnego z dzieł sztuki w galerii nawet w niewielkim stopniu nie mogło się równać z bezgranicznym potencjałem niesionym przez bombę terrorysty. Próbowałem sobie wyobrazić, jak Vera Blackburn uprawia miłość, ale żaden kochanek nie dorównałby kusicielskiej sile i zmysłowej potencji uzbrojonego semteksu.

Wróciłem na Summer Street i usiadłem za kierownicą range rovera. Patrzyłem, jak bilet parkingowy łopocze na przedniej szybie. Czuję, że jestem bliżej prawdy o bombie na Heathrow, niż byłem, kiedy zawitałem w Chelsea Marina. Kay była zadowolona, że dzielę z nią łóżko, choć ciągle namawiała mnie, żebym wrócił do Sally i St John's Wood. Aleja musiałem spędzić więcej czasu z Kay i Vera, a przede wszystkim z Richardem Gouldem. Spoza granic Chelsea i Fulham wyłoniła się dziwna logika, która rozprzestrzeni się daleko, dojdzie może nawet do zrzutni bagażu w terminalu numer 2, gdzie Laura spotkała się ze śmiercią.

Podniosłem słuchawkę telefonu w samochodzie i wykręciłem numer Instytutu Adiera. Gdy zgłosiła się recepcjonistka, poprosiłem profesora Arnolda.

23. Ostatni obcy

– Henry przychodzi – powiedziała mi Sally. – Nie zmartwi cię to, Davidzie?

Siedziała w moim fotelu, pewna siebie, wyciągnęła nogi, laski dawno wróciły do stojaka na parasole w korytarzu. Była taka ładna w tym przytulnym pokoju, uśmiechała się do mnie z niekłamaną przyjemnością, jakbym był jej ukochanym bratem, który przyjechał do domu z frontu na przepustkę. Musiałem przyznać, że separacja ze mną znacząco poprawiła jej stan zdrowia.

– Henry? Nie ma sprawy. Rozmawiałem z nim wczoraj.

– Mówił mi. Dzwoniłeś gdzieś z okolic galerii Tatę. Straszne, prawda?

– Ponure. Koszmarne. Nie do pojęcia.

– Ta chińska dziewczyna – znałeś ją?

– Joan Chang. Była czarodziejką. Rodzaj eleganckiej hippiski na motorze, platynowy amex, z pastorem w charakterze chłopaka.

– Żałuję, że jej nie spotkałam. Ta bomba nie była częścią...?

– Kampanii z Chelsea Marina? Nie. Przemoc jest nam obca. Jesteśmy zbyt mieszczańscy.

– Tak jak Lenin i Che, i Czou enlai, wedle tego, co mówi Henry. – Sally nachyliła się i ujęła moje ręce nad stolikiem. – Zmieniłeś się, Davidzie. Nie jestem pewna, czy ci to służy. Kiedy wracasz do domu?

– Wkrótce. – Miała ciepłe palce, a ja zdałem sobie sprawę, że wszyscy w Chelsea Marina mieli zimne dłonie. – Muszę mieć na wszystko oko. Wiele się dzieje.

– Wiem. To jest jak przedszkole, które wyrwało się spod kontroli. Księgowi i notariusze rzucają pracę. I to w takich miejscach jak Guildford. Na litość boską, to coś znaczy.

– Owszem. Rewolucja stoi u drzwi.

– Nie w St John's Wood. Przynajmniej na razie. – Sally zadrżała, jej wzrok powędrował ku zabezpieczeniom przy oknach. – Henry mówi, że chcesz zrezygnować z pracy w instytucie.

– Potrzebny mi jest półroczny urlop. Arnoldowi to się nie podoba – będę musiał zakończyć konsultacje dla twojego ojca. Nie martw się, podwoi twoje kieszonkowe.

Sally dotykała opuszków palców, chodziło o coś więcej niż arytmetykę.

– Damy sobie radę. Przynajmniej raz poczujesz się ucziwy. Z tym był problem, prawda? Tatuś płaci za wszystko.

– Tatuś płaci... – przypomniałem sobie te słowa z uniwersytetu i studentów pierwszego roku z ich drogim bagażem, wysiadających z tatusiowych jaguarów. – Tak czy inaczej, czas, żebym stanął na własnych nogach.

– Tego się nie da zrobić. Nigdy nie zrozumiesz. Henry mówi...

– Sally, proszę... i tak sypia z moją żoną, ale nie mam ochoty wysłuchiwać jego ostatnich wypowiedzi na temat wszystkiego. Jak się czuje?

– Martwi się o ciebie. Wszyscy chcą, żebyś wrócił do instytutu. Wiedzą, że ta „rewolucja” wypali się, a wielu rozsądnych ludzi zmarnuje sobie życie.

– To może się zdarzyć. Ale jeszcze nie teraz. Nadal rozpracowuję sprawę bomby z Heathrow. Wskazówki zaczynają się zazębiać.

– Naprawdę, zrobiłeś dla Laury wszystko, co mogłeś. – Sally czekała, bo próbowałem uniknąć jej wzroku. – Właściwie nigdy się z nią nie spotkałam. Henry powiedział mi mnóstwo rzeczy, o których nie wiedziałam.

– O Laurze? Jakie to szarmanckie z jego strony.

– I z twojej. Mężowie to ostatni obcy. Czy jesteś gotów odwiedzić swoją matkę? Kierownik domu opieki dzwonił kilka razy. Zaczęła o tobie mówić.

– Naprawdę? Niedobrze. To nie jest mój ulubiony temat. – Wstałem i obszedłem kanapę, próbując zrozumieć zmieniony rozkład mebli.

Wszystko było na tym samym miejscu, ale perspektywa się zmieniła. Posmakowałem wolności i pojąłem, jak nierealne stało się życie w St John's Wood, jak absurdalnie dystygowane.

– Zabrzmi to bezdusznie, ale zdjąłem sobie z pleców mnóstwo ciężkiego bagażu – winę, fałszywe uczucia, Instytut Adlera...

– Żonę?

– Mam nadzieję, że nie. – Zatrzymałem się przy kominku i uśmiechnąłem do Sally w lustrze, po męzowsku rozpromieniając się do jej odbicia budzącego skojarzenia z Alicją.

– Czekaj na mnie, Sally.

– Spróbuję.

Ktoś parkował samochód przed domem, wpychał się na wolne miejsce za range roverem, manewrując, jakby kierowca za punkt honoru wziął, że nie dotknie mojego tylnego zderzaka. Henry Kendall, szykowny, ale niezbyt pewny siebie, jak pośrednik sprzedaży nieruchomości w ekskluzywnej okolicy, gdzie funkcjonują odmienne reguły gry.

Po rozmowie z profesorem Adlerem zadzwoniłem do Henry'ego spod galerii Tatę i zapytałem, czy nadal dysponuje znajomościami w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Musiałem wiedzieć, czy zamachowiec zadzwonił z ostrzeżeniem do galerii na kilka minut przed wybuchem. Henry, zadowolony, że mógł się wykpić jednym telefonem, obiecał, że odnowi kontakty.

Teraz staliśmy twarzą w twarz, po obu stronach domowego ogniska, zastanawiając się, który z nas pierwszy powinien prosić drugiego, żeby usiadł. Henry chętnie ustąpiłby mi pierwszeństwa i był zdziwiony, że jestem skłonny przekazać mu obowiązki gospodarza. Patrzył na mnie z paniką kochanka, który nagle zdaje sobie sprawę, że mąż-rogacz jest szczęśliwy, bo może mu zostawić żonę na własność.

Kiedy te zasady zostały już ustalone, Sally zostawiła nas i usiedliśmy nad szkocką z wodą sodową.

– Zmieniłeś się, Davidzie. Sally to zauważyła.

– Tak. A co się zmieniło?

– Wyglądasz na silniejszego. Nie jesteś taki wyrachowany ani skłonny do uników. Rewolucja ci służy.

Uniosłem szklanke do jego szklanki i pomyślałem, że do tej pory nie pojmowałem w pełni, jakim Henry jest nudziarzem i jak bardzo mam mu za złe te lata, które spędziłem w jego towarzystwie.

– Masz rację, miałem pogmatwane życie. A przy okazji, nie odgrywam tam żadnej istotnej roli.

– Byłeś pod Domem Radia.

– Ktoś ci o tym powiedział?

– Ministerstwo Spraw Wewnętrznych żywo się wszystkim interesuje.

– Muszą się martwić.

– Martwią się. Wiesz, że ludzie na kluczowych pozycjach w Whitehall rezygnują z posad?

Wyrzucają przez okno wysługę, prawa emerytalne, szlachectwo, wszystko. To podkopuje morale, zrywa łańcuchy zawiści i rywalizacji, które trzymały wszystko.

– Na tym polega idea rewolucji.

– Ale to dość głupie, prawda? – Henry uraczył mnie pełnym zrozumienia uśmiechem. – Bomby dymne u szkolnych dostawców...

– To urażona duma klasy średniej. Czujemy się wykorzystywani. Wszystkie te liberalne wartości i humanizm dotyczą tylko gorszych od nas. Naszą rolą jest trzymanie niższych warstw społecznych w szachu, ale praktycznie sami zostaliśmy własnymi strażnikami.

Henry patrzył na mnie wyrozumiale znad whisky.

– Wierzysz w to wszystko?

– Kto wie? Ważne, że ludzie w Chelsea Marina w to wierzą. To amatorstwo i dziecinada, ale klasy średnie też są amatorskie i nigdy nie rozstały się ze swoim dzieciństwem. Ale tam dzieje się coś znacznie ważniejszego. Coś, co powinno zaniepokoić twoich przyjaciół w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

– Co takiego?

– Przyzwoici i zrównoważeni ludzie marzą o przemocy.

– Ponura sprawa, jeśli to prawda. – Henry odstawił whisky. – Przeciw czemu skierowanej?

– To nie ma znaczenia. Prawdę mówiąc, idealny akt przemocy nie jest skierowany przeciwko czemuś.

– Czysty nihilizm?

– Wprost przeciwnie. To w tej sprawie myliliśmy się wszyscy – ty, ja, Instytut Adlera, liberalna opinia publiczna. To nie jest poszukiwanie nicości. To poszukiwanie sensu. Jeśli wysadzisz giełdę, odrzucasz globalny kapitalizm. Jeśli rzucisz bombę na Ministerstwo Obrony, to zaprotestujesz przeciwko wojnie. Nie musisz nawet rozdawać ulotek. Ale prawdziwie bezsensowny akt przemocy, strzelanie na chybił trafił do tłumu, przykuwa naszą uwagę na miesiące. Nieobecność racjonalnego motywu niesie własny sens.

Henry nasłuchiwał odgłosu kroków Sally w sypialni nad naszymi głowami.

– Tak się składa, że ludzie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych myślą podobnie. Rewolta w Chelsea Marina to impreza towarzysząca. Naprawdę niebezpieczni ludzie czają się w innym kącie parku. Weź na przykład tę bombę z Tate, najwyraźniej to robota zagorzałego terrorysty – renegata z IRA, jakiejś obłąkanej grupy muzułmańskiej. Uważaj, Davidzie...

Kiedy pół godziny później wychodziłem, słyszałem, jak Sally napuszcza wodę do wanny. Pomyślałem o niej, wyłaniającej się z obłoków talku i perfum, gotową dla Henry'ego na długie i przyjemne popołudnie.

– Henry, pożegnaj ode mnie Sally.

– Ona za tobą tęskni, Davidzie.

– Wiem.

– Oboje mamy nadzieję, że wrócisz.

– Wróć. Jestem wplątany w coś, co wymaga wyjaśnienia. Wszystkie te obowiązki są jak cegły w plecaku.

– Katedry bywają zbudowane z cegieł – Henry poprawił krawat na widok dwóch przechodzących moich sąsiadek. Skazany na wieczny los intruza, nadal nie był w stanie pogodzić się z faktem, że udał mu się pozamałżeński wypad. Nachylił się do okna samochodu, gdy usiadłem za kierownicą. – A przy okazji, miałeś rację. Był telefon z ostrzeżeniem.

– Do galerii?

– Na kilka minut przed zdetonowaniem bomby. Ktoś dzwonił do głównej recepcji.

– Kilka minut? – Pomyślałem o Joan Chang biegnącej jak szalona wokół księgarni. – Dlaczego nie opróżnili budynku?

– Dzwoniący powiedział, że bomba jest pod mostem Millenium. Personel doszedł do wniosku, że to głupi żart.

– Kto dzwonił? Musieli go, cholera, namierzyć.

– Oczywiście, ale zachowaj to dla siebie. Dzwoniono z telefonu komórkowego ukradzionego jakiś tydzień temu z Lambeth Palace. Zebrał się tam oddział specjalny kościoła anglikańskiego, żeby omówić niepokoje społeczne w klasie średniej. Telefon ukradziono biskupowi Chichester...

Włączyłem silnik i patrzyłem, jak Henry wraca do domu. Sally stała przy oknie z rękami zawiązanymi pod ramionami. Pomachała do mnie, jak dziecko patrzące na rodziców wybierających się w długą podróż, stęskniona mimo nadziei, że jeszcze mnie zobaczy. Zaczęła sobie zdawać sprawę, że mała rewolucja, choćby i błędząca, amatorska, w końcu dotyczy i jej.

Zaprosiła mnie do domu, ale nie podjęła poważnej próby, żeby mnie odzyskać, zostawiła mnie samego, żebym porozmawiał z Henrym. Gdy tak stała przy oknie, wyczułem jej zadowolenie z tego, że może przypomnieć sobie o moim niewytłumaczalnym zachowaniu, pozostającym w całkowitej niezgodzie z moją naturą. Że ktoś tak prostolinijny i staroświecki jak jej mąż mógł wbrew swemu charakterowi pomóc jej wyjaśnić okrutne i pozbawione sensu wydarzenie z lizbońskiej ulicy. Gniew i uraza rozpląwały się, wepchnięte wraz z laskami do stojaka na parasole. Na swój sposób pomagałem Sally uwolnić się od niej samej. Świat ją prowokował, a irracjonalne czyny były jedynym sposobem na rozładowanie zagrożenia.

24. Obrona Grosvenor Place

Chelsea Marina było gotowe do ostatecznej walki. Trzy tygodnie później, z okien salonu Kay, patrzyłem, jak komitet mieszkańców organizuje obronę Grosvenor Place. Pięćdziesięcioro dorosłych, prawie wszyscy sąsiedzi z zaułka, zebrało się przed numerem 27 i rozmawiało, podnosząc coraz głośniejsze pewne siebie głosy. Oburzenie osiągało masę krytyczną, wybuch zagrażał porządkowi publicznemu w Chelsea i Fulham.

Komornicy mieli nadjechać za parę minut, żeby eksmitować Alana i Rosemary Turnerów, entomologów z Muzeum Historii Naturalnej, i ich troje nastoletnich dzieci. Turnerowie byli jedną z wielu rodzin, które odmówiły uiszczania opłat remontowych, nie spłacały kredytu hipotecznego i ignorowały wezwania ze strony spółek komunalnych i miejscowej rady. Sprawa Turnerów stała się teraz precedensowa. Przeróżająca koalicja banków, spółek deweloperskich, urzędników gminnych i administratorów postanowiła dać im przykładową nauczkę.

Spotykałem się z Turnerami, ludźmi szlachetnymi, a przy tym sympatycznymi i czasem pomagałem ich młodszemu synowi w algebrze, której uczyła go matka. Przez miesiąc żyli bez wody i elektryczności, ale sąsiedzi pospieszyli im z pomocą, przekładając kable i końcówki węży nad murkami ogrodów. Turnerowie, nie będąc w stanie opłacić czesnego za dzieci, wywiesili z balkonu sypialni wielki transparent – Jesteśmy NOWĄ BIEDOTĄ.

Niestety, była to prawda. Kay zorganizowała zrzutkę, ale tydzień później pani Turner i jej córka zostały przyłapane na kradzieży w sklepie na King's Road. Po wysłuchaniu listy skradzionych przedmiotów, od płatków śniadaniowych po sok pomarańczowy, sędziowie byli gotowi wypuścić panią Turner po udzieleniu jej ostrzeżenia. Gdy usłyszeli, że mieszka w Chelsea Marina, zamknęli serca przed litością i wygłosili ponurą perorę o bandach Faginów – złodziejskich hersztów rodem z *Oliviera Twista*. Przewodnicząca składu orzekającego, dyrektorka miejscowej państwowej szkoły średniej, zrobiła pani Turner wykład o niebezpieczeństwach płynących z odrzucenia przez klasę średnią przypisanych jej obowiązków i ukarała ją grzywną pięćdziesięciu funtów. Zapłaciłem i pani Turner wróciła do wiwatującej na ulicy grupy sąsiadów, pierwsza męczennica z Grosvenor Place.

Pani Turner nie była sama. Mieszkańcy Chelsea Marina stali się sprawcami niewielkiej fali przestępstw w okolicy swoich domów. Od czasu, jak dyrektorzy i kierownicy zaczęli porzucać posady, wzrosła liczba drobnych kradzieży w delikatesach i sklepach monopolowych. Zniszczono wszystkie parkomaty w Chelsea Marina, a pracownicy zakładu oczyszczania, tradycyjna do bólu klasa robotnicza, odmówili wchodzenia do osiedla, odstraszeni atmosferą zagrożenia. Zabroni z drogich szkół znudzeni nastolatki zaczęli wędrować w okolicach Sloane Square i King's Road, próbując sił w sprzedaży narkotyków i kradzieżach samochodów.

Furgonetki japońskiej i amerykańskiej telewizji krążyły wokół Chelsea Marina, węsząc krew. Ale policja trzymała się na odległość, zgodnie z poleceniami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych,

żeby nie prowokować otwartej konfrontacji. Ministrowie wiedzieli już świetnie, że jeśli klasa średnia nie okaże dobrej woli, struktura społeczna się zawali.

Tymczasem siły prawa i porządku wróciły, gotowe do lekkiego ataku. Z okna u Kay naliczyłem trzy wozy policyjne, zaparkowane przy wejściu na Grosvenor Place. Policjanci siedzieli pod oknami, przyjmując filiżanki herbaty od okolicznych mieszkańców. Jedna z policjantek wrzuciła funtową monetę do puszek po herbatnikach z napisem Datki dla ubogich. Dowodzący operacją sierżant konferował z komornikami, palącymi się do eksmitowania Turnerów. Miejscowa firma ochroniarska stała w pogotowiu, gotowa zmienić zamki w drzwiach Turnerów i zabić deskami okna na parterze.

Ekipa telewizyjna wieczornych wiadomości czekała w napięciu z kamerą wycelowaną w Turnerów, stojących dzielnie w drzwiach wejściowych, bladych, ale nieugiętych, jak rodzina górników na podszybiu podczas lokautu. Ich sąsiedzi wzięli się pod ramiona pod bramą, a na balkonie zawisł kolejny transparent – Uwolnić nowy proletariat.

Sierżant uniósł megafon i wezwał tłum do rozejścia się. Jego słowa utonęły w gwizdach i krzykach. Kay Churchill przepychała się niezmiernie przez tłum, wzywała do walki, całowała mężów i żony. Z twarzą płonąca świętą dumą wyrwała się i pobiegła w stronę domu. Podziwiałem ją, jak zawsze, za jej pasję i upór. Często bywała sama, pisywała długie listy do córki w Australii, ale nic tak nie dodawało jej ducha jak perspektywa heroicznej porażki.

– David? Cieszę się, że tu jesteś. Możesz okazać się potrzebny. – Objęła mnie żarliwie, jej ciało drżało.

– Co robisz?

– Zmieniam bieliznę. Wierz mi, policja może być brutalna.

– Nie aż tak... – Poszedłem za nią do kuchni. Otarła ręcznikiem ręce i naląła dużą porcję dzinu. –

Co właściwie się dzieje?

– Jak do tej pory nic. Dopiero ma się zacząć. Może być ciężko.

– Nie ciesz się. Zakładam, że masz jakiś plan?

Rzuciła we mnie ręcznikiem, pachniał strachem i seksem.

– Zna go tylko kilka osób. Oglądaj wieczorne wiadomości.

– Demonstracja na siedząco? Masowy striptiz?

– Podobałoby ci się to. – Przesłała mi pocałunek, ściągając pasek. – To nasza pierwsza konfrontacja, twarzą w twarz z policją. To schody odeskie, pierwsze związki zawodowe.

– Wszystkich tych prawników i specjalistów od reklamy?

– A kogo obchodzi, co robią? Liczy się to, czym są. Pierwszy raz bronimy swojej ziemi. Chcą wyeksmitować całą społeczność. Czas, żebyś spoważniał, Davidzie. Skończ z tym statusem obserwatora.

– Kay... – próbowałem przyglądać jej rozwiane włosy. – Nie spodziewaj się po sobie zbyt wiele. Komornicy codziennie zajmują domy w Londynie.

– Ale my świadomie postanowiliśmy nie spłacać kredytu hipotecznego. Chcemy doprowadzić do ostatecznej rozgrywki, żeby każdy w Harrow i Purley, i Wimbledonie mógł się sobie przyjrzeć. Każdy nauczyciel i internista, i kierownik. Zdadzą sobie sprawę, że stali się nowym rodzajem pańszczyźnianego chłopstwa. Kulisami w sportowych butach i dresach. – Kay wyrwała mi ręcznik i osuszyła sobie pachy. – Przestań go obwąchiwać. Nikt już nie może stać z boku, Davidzie. Nikt już nie będzie stał i patrzył. Kupowanie ciabatty z oliwą to akt polityczny. Potrzebujemy wszystkich do pomocy.

- Dobrze... Dołączę do was, gdy akcja się rozpocznie. – Poklepałem komórkę w kieszeni koszuli.
- Czekam na telefon od Richarda Goulda. Ma jakieś plany.
- Powinien być tutaj. Bez niego trudno będzie wszystko utrzymać jak należy. – Zirytowana wspomnieniem nazwiska lekarza Kay rozejrzała się po pokoju. – Gdzie on jest? Nikt go nie widział od wielu dni.
- Nadal nas popiera, ale...
- Trochę to zbyt ekscentryczne? Okupacje, pikiety, nagie emocje. On jest jak śnięta ryba.
- Próbuje odnaleźć Stephena Dextera, zanim zrobi to policja. Bomba w galerii Tatę może wszystko zepsuć.
- Świat oszalał. – Kay skrzywiła się i przycisnęła zaniedbane dłonie do twarzy, jakby próbując wygładzić zmarszczki. – Biedny Stephen. Nie mogę uwierzyć, że podłożył bombę.
- Pobiegnę na górę, żeby się przebrać i szybko wrócić do swojej rewolucji.

Megafon grzmiał, gdy wróciłem do okna, przesłanie gubiło się w tłumie, odbijało od dachów domów. Policjanci wysiedli z furgonetek i poprawiali paski hełmów. Uformowali szyk za komornikami, sześcioma krępymi mężczyznami w skórzanych kurtkach.

Mieszkańcy odwrócili się, żeby stanąć do nich twarzami, trzymali się za ręce. Gdy komornicy spróbowali odepchnąć ich na boki, spadł grad ciosów. Jakiś łysiejący ortodonta upadł na kolana z rozkrwawionym nosem, pocieszany przez rozwścieczoną żonę. Z okna na piętrze, z głośników rozległ się fragment z Verdiego, chór więźniów z *Nabucco*. Na ten znak, jak publiczność, która do tej pory stojąc, słuchała hymnu, wszyscy mieszkańcy usiedli na ulicy.

Policja, nic sobie z tego nie robiąc, ruszyła do przodu. Silne ręce wrywały protestujących z tłumy i odciągały na bok. Przeciągly skowyt rozległ się na Grosvenor Place, wyraz wściekłości profesjonalistów obojga płci, którzy do tej pory nie zaznali bólu, a ich miękkie ciała okładane bywały pięściami tylko przez kochanków i kręgarzy.

Odwróciłem się w stronę drzwi wejściowych, gotów się do nich dołączyć, ale usłyszałem, jak w kieszeni dzwoni mi komórka.

- Markham? – głos był bezbarwny, słaby i metaliczny, jak kopia nagrania. – Davidzie, słyszysz mnie?
- Kto mówi?
- Co się dzieje?
- To ty, Richardzie...? – Ulżyło mi, że Gould zadzwonił. Zamknąłem drzwi. – Nic takiego. Kay zorganizowała małe zamieszki. Policja właśnie eksmituje Turnerów.
- Ach, tak... – Gould wydawał się roztargniony, jego głos zanikał i uciekał. – Musisz mi pomóc. Widziałem Stephena Dextera.
- Stephena? Gdzie? Możesz z nim rozmawiać?
- Czuję się dobrze. Porozmawiam z nim później, jeśli będę miał okazję.
- Hałas tłą zagłuszał jego głos, były to dźwięki ruchliwego holu portu lotniczego.
- Richardzie? Gdzie jesteś? Na Heathrow?
- Te kamery bezpieczeństwa... Muszę uważać. Jestem w Hammersmith, w centrum handlowym King Street. W konsumenckim piekle konsumentów.
- Co ze Stephenem?
- Ogląda wyroby szklane. Spróbuję podejść bliżej. Znowu jakaś cholerna kamera...

Przycisnąłem komórkę do ucha, wychwytyjąc wrzawę przechodniów. Gould był podniecony, ale też dziwnie marzycielski, jakby dzielił budkę telefoniczną z atrakcyjną młodą kobietą. Śmierć Joan Chang wstrząsnęła nim, przeraziła go prawdziwa przemoc, która wydarzyła się zaraz po jego niezobowiązującej gadaninie o aktach pozbawionych sensu. Teraz pomyślałem o Stephenie Dexterze, nawiedzonym pastora czającym się w centrum handlowym, może z kolejną bombą, z nadzieją, że rozpędzi smutek po śmierci Joan.

– Dexter nadal tam jest?

– W całej okazałości.

– Jesteś pewien? Poznajesz go?

– To... on. Potrzebuję cię tutaj. Dotrzesz do samochodu?

– Stoi zaparkowany za rogiem.

– Porządny z ciebie chłop. Daj mi godzinę. Czekaj na mnie na Rainville Road przy River Cafe.

To jest przy Fulham Palace Road.

– Wiem. Bądź ostrożny. Zobaczy cię, jeśli podejdziesz za blisko.

– Nie martw się. Na tym świecie jest zbyt dużo kamer...

Kiedy kilka minut później wychodziłem z domu, protest prawie się zakończył. Bunt Kay, który wedle jej nadziei miał ogarnąć Chelsea Marina, okazał się lokalną bijatyką między policją i kilku bardziej agresywnymi mieszkańcami. Inni siedzieli na ziemi, wymieniając zniewagi z policjantami próbującymi oczyścić ulicę. Za bardzo ulegający racjonalnym argumentom i poczuciu pozycji społecznej buntownicy z Chelsea Marina nie mieli szans z policjantami z prewencji. Teraz, inaczej niż w przypadku marszów rozbrojeniowych i protestów przeciwko rozmieszczaniu pocisków cruise, w grę wchodziły prawa własności. Miejsce w wielkiej brytyjskiej szalupie, choćby ciasne, było nienaruszalne, bez względu na to, czyj tyłek je zajmował.

Komornicy dotarli do drzwi domu Turnerów i dobrali się do zamków wytrychami. Szukałem Kay, spodziewając się, że zobaczę ją na czele akcji, jak rzuca gromy na sierżanta albo wymyśla jakiejś młodszej stopniem posterunkowej. Turnerowie znaleźli schronienie u sąsiadów i ich dom wydawał się pusty, ale ja dostrzegłem wiecheć popielatych włosów w sypialni od frontu. Pomyślałem, że Kay wróciła do domu przez okno od ogrodu, żeby odzyskać jakieś drobiazgi pani Turner, zanim znikną w kieszeniach komorników.

Gdy szedłem w stronę Beaufort Avenue z kluczykami w dłoni, spostrzegłem przysadzistego, rudego mężczyznę ze szcotokowatym wąsem, stojącego obok policyjnych suk. Po raz ostatni widziałem go wśród żałobników na kremacji Laury. Major Tulloch, kiedyś z policji gibraltarskiej, kontakt Henry'ego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, miał oko na Chelsea Marina, na te pewne siebie żony i ich leniwych mężów. Na jego twarzy malowały się znużenie i pragmatyzm ambitnego trenera rugby, któremu powierzono trzecioliigowy zespół. Patrzył na zniszczone parkometry i zaśmiecone ulice, na amatorskie transparenty zwisające z sypialnianych okien z cierpliwością charakterystyczną dla wszystkich funkcjonariuszy policji stojących w obliczu bezsensownego przestępstwa.

Za moimi plecami tłum siedział w milczeniu, megafon inspektora umilkł. Komornicy zeszli na jezdnię i patrzyli na dach. Z okien na piętrze wznosił się dym. Sznury czarnych oparów szukały sobie drogi przez szczeliny w skrzydłach okiennych, zawęzły się w grubsze wstęgi i mknęły ku pseudotudoriańskiemu szczytowi domu. W sypialni gwałtowny żółty żar przebijał się przez sufit.

Pierwszy ze spalonych przez właścicieli domów w Chelsea Marina stał w ogniu, stając się znakiem prawdziwego buntu, który wprowadził w takie zakłopotanie majora Tullocha i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Dotarłem do Beaufort Avenue i po raz ostatni obejrzałem się, świadom wagi tego kroku. Ruch protestacyjny nie był już odmową płacenia należności, ale stał się powstaniem na pełną skalę. Kay Churchill stała przed drzwiami swojego domu z uniesionymi triumfalnie ramionami, wrzeszcząc na komorników i policję.

Zaparkowałem na Rainville Road, pięćdziesiąt metrów od wejścia do River Cafe. Tuż nad Tamizą wznosiła się baryłkowata, szklana krypta biurowca projektu Richarda Rogersa, przezroczyście baldachim, sprytnie kryjący zadziorne plany architekta co do przyszłości Londynu. Była czwarta, ale eleganccy goście restauracji, telewizyjni przywódcy i piętnastominutowe sławy świata polityki nadal opuszczali lokal po spożyciu lunchu, w aromacie odurzającej sławy, rozpraszającej się w obojętnych ulicach zachodniego Londynu.

Rozglądałem się, szukając nad dachami domów śladu dymu z Chelsea Marina. Farsa i tragedia obejmowały się, jak dawno niewidziani przyjaciele, ale Turnerowie rozplynęli się na wietrze. Średnio zamożni mieszkańcy osiedla dawno już nadużyli gościnności dzielnicy. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych mogło się obawiać niepokoju społecznych, ale inwestorzy budowlani rządzący londyńską ekonomią byłiby radzi, gdyby cała ludność Chelsea Marina wyemigrowała do gorszych przedmieść, ponurych ceglanych enklaw wokół Heathrow i Gatwick. Nieustanny ryk samolotów wypłoszyłby wszelkie myśli o rewolucji.

Richard Gould miał rację. Niewytłumaczalne i bezsensowne protesty mogły być przydatne tylko w jednym celu: żeby przyciągnąć uwagę opinii publicznej. Przez ostatnie miesiące grupy działaczy zainspirowanych przez Richarda zaatakowały pewną liczbę „absurdalnych” celów – sadzawkę z pingwinami w londyńskim zoo, dom towarowy Liberty, muzeum Soane i grobowiec Karola Marksa na cmentarzu Highgate. Urzędnicy resortu spraw wewnętrznych i publicyści byli zdumieni i zakłopotani. Zlekceważyli te ataki jako niepoważne figle. Ale cele zamachów były ważnymi podporami stadnej mentalności klasy średniej, począwszy od afektowanego wybiegu dla pingwinów autorstwa Lubetkina, skończywszy na przeładowanych wzornictwem tkaninach w dusznym wnętrzu Liberty. Nikt nie został ranny, a bomby dymne i petardy z farbą, zmajstrowane przez Verę Blackburn, poczyniły niewielkie szkody. Ale opinia była zaniepokojona, uświadomiła sobie istnienie obłąkanej piątej kolumny, pozbawionej motywów i niemożliwej do spenetrowania. Absurd zawitał w mieście.

Ostatni raz widziałem Goulda tego wieczoru, kiedy rzucono bombę dymną na Albert Hali. Nie było go przez tydzień, pomagał grupie wolontariuszy w urządzeniu nad morzem wakacji dla nastolatków z zespołem Downa i poprosił mnie, żebym zabrał go ze schroniska w Tooting. Uszczęśliwione dzieci dreptały do domu z trofeami wyniesionymi z wesołego miasteczka i maskami potworów. Gould zwałił się do samochodu cuchnący karbolem, wyczerpany po nocy spędzonej na czyszczeniu ubikacji. Spał, oparty o okno, z gruźliczo bladą twarzą.

Ożywił się po prysznicu i zmianie ubrania w mieszkaniu Very, gdzie teraz przemieszkiwał. Zaproponował, żebyśmy pojechali do Ogrodów Kensingtonskich. Wyjeżdżając z Chelsea Marina, zabraliśmy dwoje młodych mieszkańców, udających się na ostatni wieczór koncertów promenadowych w Royal Albert Hali. Nosili kapelusze w kolorach flagi narodowej i peleryny a la Robin Hood, gotowi przyłączyć się do chórów i pantomimy.

Wyrzuciliśmy ich na miejscu i poszliśmy o zmierzchu przez park. Gould opowiadał mi po drodze,

że obawia się o Richarda Dextera. Pastor nadal nie wrócił do swojego domu przy przystani. Koroner wydał ciało Joan Chang, które samotnie odleciało do Singapuru. Gould obawiał się, że zamach na galerię Tatę zostanie przypisany ludziom z Chelsea Marina i wykorzystany do zdyskredytowania rewolucji. Od tej chwili należy wybierać wyłącznie cele całkowicie pozbawione sensu, stanowiące zagadkę, z której rozwiązaniem borykać się będzie opinia publiczna.

Gdy przechodziliśmy obok Round Pond, usłyszałem syreny samochodów strażackich i zobaczyłem jasnoczerwony dym unoszący się nad dachem Albert Hall. Zanim dotarliśmy do Kensington Gore, cała ulica wypełniona była spacerowiczami w maskaradowych przebraniach, członkami orkiestry, trzymającymi instrumenty muzyczne, policją i strażakami. Spacerowicze rozpoczęli wspólny, uduchowiony śpiew, pokazując, że ich patriotyzmu nie da się zastraszyć, kłęby białego dymu wznosiły się z górnych galerii hali koncertowej, a kakofonia klaksonów rozbrzmiewała z zakorkowanej ulicy.

Później dowiedziałem się, że dwaj mieszkańcy, których podwoziliśmy, działali z błogosławieństwem Goulda. Przemycili bomby dymne na salę i zostawili je w ubikacjach nastawione tak, żeby wybuchnąć przy pierwszych taktach *Ziemi nadziei i chwały*. Ale Gould był zbyt zmęczony i rozstrojony, żeby rozkoszować się tym widowiskiem, tak dziecinny i absurdalny. Zostawił mnie przy schodach Albert Memorial i zniknął w tłumie. Wyprosił podwiezienie od kierowcy furgonetki wyrobami gastronomicznymi. Uznałem, że myśli o podskakujących radośnie dzieciach z zespołem Downa i o absurdzie, na który przyroda nigdy nie udzieli odpowiedzi.

Czekałem wciąż na Goulda, gdy ostatni z gości River Cafe usadowił się w swojej limuzynie. Mój czas na parkowanie minął; wrzucając kolejne drobniaki do parkometru, o mało nie przeoczyłem dzwonek komórki.

- David? Co się dzieje? – Gould mówił wysokim głosem, jakby trzymał się za gardło.
- Jestem przed River Cafe. Nic się nie stało. Widziałeś Dextera?
- Uciekł. Tam było dużo kamer.
- Nie złapałeś go?
- Trzymaj się z dala od kamer, Davidzie.
- Jasne. Gdzie jesteś?
- Przy Fulham Palace. Spotkajmy się tu natychmiast. – Mówił, łapiąc oddech, a ja słyszałem w tle syrenę karetki pogotowia ratunkowego i głosy kobiet rozmawiających w kolejce. – Dexter gdzieś tutaj jest...

W ciągu pięciu minut dotarłem do Fulham Palace i stanąłem na parkingu, nasłuchując wrzawy ruchu ulicznego dochodzącej od Fulham Palace Road. Samochody policyjne gnały przez most Putnam, syreny przecinały powietrze. Oczyszczono dla nich pas ruchu i autobusy stały teraz jeden za drugim na całej długości przęsła. Pasażerowie wyglądali przez okna.

Czy Gould poinformował policję? Był zbyt słaby i niedożywiony, żeby powstrzymać Stephena Dextera. Przypomniałem sobie, jak pastor potrzęsnał mną brutalnie w garbusie Joan Chang przed galerią Tatę. Widząc Goulda, śledzącego go jak nieudolny detektyw, pastor mógł z łatwością wyjść z centrum handlowego i złapać autobus na Fulham Palace Road, gdzie ulegając jakiejś atawistycznej chęci, poszukał schronienia w okolicach pałacu biskupiego.

Wysiadłem z range rovera i podeszedłem do rodziny debatującej wokół tylnej klapy samochodu.

Rodzice powiedzieli, że nikt przypominający Goulda czy Stephen'a Dextera nie szedł drogą w stronę parkingu od godziny.

Wszedłem do Bishops Park, rozciągającego się między pałacem a Tamizą, i zacząłem się rozglądać, czy na szerokich trawnikach i drewnianych ławkach nie zobaczę gdzieś zrozpaczonego duchownego, być może z torbą ze szklankami. Starsze małżeństwo, pozapinane pod szyję, mimo że wrzesień był ciepły, spacerowało po biegnącej wokół parku ścieżce. Poza nimi był tam tylko jeden gość, przechadzający się wzdłuż nabrzeża mały mężczyzna w czarnym garniturze. Szedł między wysokimi bukami i jaworami rosnącymi nad rzeką. Po kilku krokach zatrzymał się i podniósł rękę, żeby dosięgnąć gałęzi. Nawet z drugiej strony parku mogłem dojrzeć w świetle jego blade dłonie.

Poszedłem ścieżką, kryjąc się za starszym małżeństwem. Rozpoznałem Goulda, gdy znalazłem się dziesięć metrów od niego. Stał tyłem do mnie, wypatrując kołyszących się gałęzi, zaciskał puste dłonie jak pobożny seminarzysta wpatrzony w rozetę wielkiej katedry.

Począł, aż przejdzie spacerująca para, i dopiero wtedy odwrócił się do mnie. Słońce oświetlało jego chudą twarz, bladą latarnię kołyszącą się między pniami drzew. Zapatrzony ponad moją głowę, skupiony był na punkcie daleko poza zasięgiem jego wzroku. Ostre kany kości policzkowych i szczęk wrzynały się w przezroczystą skórę, jakby czaszka rozpaczliwie dążyła do światła. Wyświechtany garnitur przesiałł potem, a koszula była tak wilgotna, że przez tanią bawełnę mogłem policzyć mu żebra. Z niemal ekstatycznym wyrazem twarzy, podążał wzrokiem dziecka za wirującymi gałęziami. Najwyraźniej za chwilę on miał doznać ataku epilepsji.

– Davidzie... – Mówił łagodnie, przedstawiając mnie drzewom i światłu. Z dala niego dochodził jęk syren w ruchu ulicznym, jakby ulice wokół nas kogoś oplakiwały.

25. Zabójstwo

Zawodząca od wielu dni syreny, melancholijna toksyna, znak zachodniego Londynu, przyćmiły rewolucję w Chelsea Marina. Wszystkie ekipy telewizyjne i fotoreporterzy stolicy zbiegli się na Woodlawn Road, ulicy z domami mieszkalnymi w Hammersmith, zaledwie o kilkaset metrów od miejsca, w którym zaparkowałem przy River Cafe. Okrutne morderstwo dokonane na młodej prezenterce telewizyjnej mocno ugodziło w jeden z obnażonych nerwów narodu. Problemy klasy średniej, odmawiającej płacenia czesnego i rachunków za prywatnych lekarzy, straciły na znaczeniu.

Miła blondynka po trzydziestce była jedną z najbardziej uwielbianych postaci telewizyjnych. Od dziesięciu lat prowadziła poranne programy publicystyczne, rodzinne panele dyskusyjne i audycje poświęcone opiece nad dzieckiem, zawsze gotowa służyć rozsądną poradą, pełna uroku i dowcipu. Nigdy jej nie widziałem i nie mogłem przypomnieć sobie jej nazwiska, ale śmierć, którą poniosła na progu własnego domu, wywołała wybuch żalu, który kojarzył mi się z księżną Dianą.

Kamery ochrony w centrum handlowym przy King Street pokazywały ją, jak tuż po czwartej opuszcza sklep Habitat. Weszła na schody ruchome i odebrała samochód z wielopoziomowego parkingu za sklepami. Strażnik przy wyjeździe nie mógł jej sobie przypomnieć, ale na bilecie, który włożyła do bramki, był odcisk jej kciuka. Pojechała na Woodlawn Road, gdzie samotnie mieszkała w piętrowym domu z tarasem. Jej sąsiadami byli urzędnicy i aktorzy, profesjonalści z klasy średniej, tacy jak ci w Chelsea Marina. Prawie wszyscy byli w ciągu dnia w pracy.

Nikt nie widział morderstwa, ale sąsiad mieszkający obok, technik filmowy, powiedział policji, że około 4.30 usłyszał rurę wydechową motocykla. Kilka minut później zobaczył, jak dwie przerażone kobiety stoją przy furtce ogrodowej i pokazują drzwi wejściowe. Wszedł i znalazł prezenterkę leżącą na jej własnym progu. Biała lniana garsonka przesiąkła krwią, lecz on próbował ją ocucić. Inna sąsiadka, położna ze szpitala Charing Cross na Fulham Palace Road, przyłączyła się do niego i zastosowała oddychanie usta-usta. W końcu uznali, że kobieta nie żyje.

Strzelono jej w tył głowy, gdy otwierała drzwi. Umarła niemal natychmiast. Klucz nadal tkwił w zamku, a policja głowiła się, dlaczego zabójca strzelił do niej w biały dzień, kiedy każdy mógł go zobaczyć z okien okolicznych domów, zamiast wejść za nią do domu.

Nikt nie widział, jak zabójca przyjechał na miejsce zbrodni, i nikt nie pamiętał człowieka, który włóczyłby się po Woodlawn Road i czekał, aż ofiara nadjedzie samochodem. To, że udało mu się uniknąć zwrócenia uwagi, stanowiło zagadkę nie do rozwiązania.

Prezenterka miała kilku przyjaciół i często wyjeżdżała na całe dni podczas zdjęć plenerowych do jej programów. Fakt, że zabójca nadszedł tuż po tym, jak wróciła z centrum handlowego przy King Street, sugerował, że dobrze orientował się w jej planie dnia. Dokładnie przepytano pracowników i współpracowników centrum telewizyjnego BBC w White City, ale nikt nie znał jej planów na ten dzień. Stały kochanek, z którym spędziła poprzednią noc w jego mieszkaniu w Notting Hills, zeznał, że po porannych zakupach zamówiła sobie manicure w salonie piękności przy Knightsbridge.

Gdy sprawca dokonał zabójstwa, odszedł lub został zabrany przez zmotoryzowanego współnika. Kilkoro świadków zeznało, że czarny range rover krążył po okolicznych ulicach na godzinę przed strzałem. Kamery ochrony na Putney High Street zarejestrowały obraz podobnego samochodu, przejeżdżającego obok Burger Kinga, ale komputerowi nie udało się odczytać numeru rejestracyjnego.

Kilka dni później, podczas odpływu, na odsłoniętym dnie rzeki poniżej mostu Putney, znaleziono rewolwer marki Webley. Broń, będąca na wyposażeniu wojska podczas II wojny światowej, zaplątała się w sieć rybacką leżącą wokół przebitej gumowej łodzi. Porównanie gwintu lufy ze siadami na kuli znalezionej w czaszce ofiary wskazywało, że była to broń zabójcy.

Okrutne morderstwo dokonane na atrakcyjnej młodej kobiecie stało się impulsem do zakrojonej na wielką skalę operacji policyjnej. Jako osobistość medialna dziewczyna opanowała uprzejmą nijakość, tak cenioną przez widzów. Miała miliony wielbicieli i żadnych wrogów. Jej śmierć była niewytłumaczalna, wyglądała na przypadkowe zabójstwo, dokonane bez związku z jej sławą.

Trzy tygodnie po morderstwie oglądałem w kuchni Kay Churchill mszę żałobną transmitowaną przez telewizję. Kay, jak wszyscy zasmucona tą śmiercią, oglądała relację z kaplicy w Brompton, trzymając mnie za rękę. Nie widziała żadnego z programów ofiary i nie rozpoznała jej zdjęcia na pierwszej stronie „Guardiana”, ale sława sama definiuje swoje potrzeby. Wytarła słone łzy na policzkach wilgotną chusteczką.

– Kto mógł dokonać takiego zabójstwa? Zastrzelić inną ludzką istotę...?

– Jakiś maniak... aż trudno to sobie wyobrazić. Podobno aresztowali kogoś.

– Tego odmieńca z sąsiedniej ulicy? – Kay wyrzuciła chusteczkę do kosza. – Nie wierzę. Musieli kogoś znaleźć. Jaki miał motyw?

– Policja nic nie mówi. W dzisiejszych czasach motyw nie jest potrzebny. – Wskazałem na ekran.

– To ten, za policyjną furgonetką.

Parada znanych telewizyjnych twarzy, niepewnych, czy mają się uśmiechać do tłumu pod kaplicą, czy patrzeć uroczyście pod nogi, została przerwana fragmentem przedstawiającym oskarżonego, prowadzonego między posterunkami policji. Teleobiektyw wycelowany z dachu nad West Endem pokazywał, jak wyciągają go z opancerzonej furgonetki. Był to otyły młodzieniec o tłustych białych ramionach, z kocem narzuconym na głowę. Gdy się potknął, można było zauważyć pulchne policzki i niesmaczną bródkę.

– Ponura sprawa... – Kay przebiegł dreszcz obrzydzenia. – Jest niedojrzały, jak wielkie dziecko. Kto to jest?

– Wypadło mi z pamięci jego nazwisko. Mieszka za rogiem Woodlawn Road. Jest kolekcjonerem broni. Policja znalazła u niego arsenał kopii broni palnej. Lubił fotografować osobistości wychodzące z River Cafe.

– Była za blisko, stała w kolejce do kasy. Prawdopodobnie zobaczył ją, jak wysiada z samochodu. Niektórzy ludzie nie potrafią sobie dać rady z taką bliskością sławy...

Kay oparła się o mnie i chwyciła pilot gotowa cisnąć nim w ekran. To morderstwo głęboko nią wstrząsnęło. Widok spalonego domu Turnerów po drugiej stronie ulicy przypominał jej o dotykanej obecności zła i umocnił w chęci naprawy wszelkiej niesprawiedliwości w jej zasięgu.

Przycisnąłem znękaną troskami rękę Kay do policzka i poczułem przyływ uczucia do tej pełnej napiętości kobiety, idealistycznej marzycielki tak rozrzutnie uprawiającej seks. Kay wiodła życie

na wielu płaszczyznach – kochanki, podpalaczki prowokującej kieszonkową rewolucję, podmiejskiej Joanny d'Arc. Próbowala te role kontrolować jak zaprzęg niesfornych klaczy. Gdybym odszedł z jej życia, tęskniłaby za mną bardzo – przez dziesięć minut. Potem pojawiłby się następny lokator i też wziąłby udział w jakiejś przygodzie wiodącej do jej sypialni.

Zaczęła się msza żałobna, dostojny rytuał odpowiadający najniższym potrzebom telewidzów. Kay, niezbyt religijna, za to wściekle antyklerykalna, wyłączyła odbiornik. Przeszła do salonu i patrzyła na zwęglone belki domu Turnerów. Tę śmierć trzeba pomścić, a wypożyczalnie wideo trzeba obrzucić bombami i gospodynie domowe w Barnes i Wimbledonie należy wyrwać z poddaństwa.

Siedziałem w kuchni z wygasłym ekranem za towarzystwo. Miałem już podejrzenia co do tego, kto zabił prezydentkę. Richard Gould czynił wystarczająco dużo aluzji w parku Fulham Palace. Gdzieś w Londynie, w wynajętym pokoju, siedział pastor, oglądał mszę w innym telewizorze i próbował wyrzucić z głowy wspomnienie bezsensownego zabójstwa, którego dokonał. Czy Stephen Dexter zabił młodą prezydentkę, żeby wymazać pamięć o śmierci Joan Chang w galerii Tate? I czy Gould, wyczerpany pościgiem od centrum handlowego przy King Street, był na miejscu zbrodni, gdy jej dokonywano?

Przypominałem sobie twardą ziemię pod stopami w parku przy Fulham Palace. Wziąłem Goulda za ramię i wyprowadziłem go spośród wielkich drzew, więżących niebo w konarach. Potykał się w swoich tanich butach, a ja objąłem go ramieniem i poczułem wilgotny materiał garnituru i zimną gorączkę płonącą mu pod skórą. Starsze małżeństwo przestało się nam przyglądać, zakładając najwyraźniej, że Gould jest narkomanem w ostatnich stadiach abstynencji.

Bezwładnie leżał na tylnym siedzeniu, ale na krótko uniósł się i wskazał na most Putney. Wyjechaliśmy z parku i skręciliśmy w Fulham Palace Road, przez rzekę przejechaliśmy w gęstym korku. Syreny zawodziły, samochody policyjne pędziły obok nas w stronę Hammersmith. Gould spał, gdy wracaliśmy do Chelsea Marina. Zaprowadziłem go do przypominającej trumnę windy w domu przy Cadogan Circle, wyjąłem klucze z jego przesiąkniętej wodą kieszeni i zostawiłem go przed drzwiami mieszkania Very Blackburn. W pustej windzie ślady jego spoconych dłoni lśniły na powierzchni lustra.

Zanim się rozstaliśmy, błędny wzrok Goulda nagle nabrał ostrości. Dostrzegł mnie.

– Davidzie, uważaj na Stephena Dextera. – Chwycił mnie za rękę, jakby chciał mnie wybić z głębokiego snu. – Żadnej policji. On będzie zabijał, Davidzie. Znów zabije...

Wtedy po raz ostatni widziałem Richarda Goulda. Tego samego wieczoru wyjechał wraz z Verą Blackburn z Chelsea Marina. Kiedy wróciłem do domu Kay, wszyscy mieszkańcy Grosvenor Place stali w milczeniu na ulicy, patrząc, jak dwa wozy strażackie gaszą popioły, które zostały po domu Turnerów. Już wtedy w radiach strażaków można było usłyszeć pierwsze doniesienie o morderstwie w Hammersmith. Ludzie rozeszli się, gdy dowiedzieli się, kto był ofiarą, jakby między tym morderstwem a wydarzeniami w Chelsea Marina był jakiś tajny związek.

Następnego dnia policja i komornicy wycofali się z Grosvenor Place. Przed domem na Cadogan Circle jeden z mieszkańców powiedział mi, że Gould i Vera odjechali citroenem. Nic nie powiedziałem Kay, ale doszedłem do wniosku, że Gould widział, jak Dexter zabija swoją ofiarę. Było już za późno, żeby ratować młodą kobietę, więc poszedł za obłąkanym księdzem do Fulham Palace, gdzie Dexter wyrzucił rewolwer do Tamizy i zniknął w niekończących się przestrzeniach Wielkiego Londynu, na terytorium nieopisanym na mapach.

Przez chwilę kusilo mnie, żeby pójść na policję, skorzystać z usług Henry'ego Kendalla i zaaranżować spotkanie z wysokim oficerem Scotland Yardu. Ale moja przyjaźń ze Stephenem Dexterem, pogłoski o range roverze widzianym w pobliżu Woodlawn Road na Putney High Street, nasze spotkanie przy galerii Taty wkrótce sprawiłyby, że zostałbym uznany za współnika tego pastora i pilota, któremu odmówiono zgody na wzbicie się do nieba. Z czasem w Dexterze zwycięży sumienie i wtedy sam odda się w ręce policji, gotów na spędzenie nadchodzących dziesięcioleci w Broadmoor.

Wkrótce potem o zabójstwo prezenterki telewizyjnej został oskarżony sflaczały samotnik i podglądacz. Nie powiedział nic sędziemu pokoju, który orzekł postawienie go przed ławą przysięgłych. Był jak pustka po człowieku, niemal martwy w swojej bierności. Jego opętany gwiazdami aparat fotograficzny, obsesyjne zbieranie replik broni i osobowość tak bezbarwna, że nikt nie zauważył go przed drzwiami, gdzie dokonano morderstwa, razem wzięte wskazywały na skrajną formę zespołu Aspergera.

To aresztowanie tygodniami nie schodziło z pierwszych stron gazet. Sława i sławne osobistości znów znalazły się pod pręgierzem, jakby sam fakt, że jest się sławnym, stanowił podniecie dla gniewu i pragnienia zemsty, grając na niespokojnych snach utajonego świata, ciemnej górze lodowej niemocy i wrogości.

Ale ja myślałem o Richardzie Gouldzie, drżącym i wyczerpanym, gdy stał pod drzewami w Bishop's Park. Myślałem o dzieciach umierających w hospicjum w Bedfont i o nastolatkach z zespołem Downa, które zabrał na wakacje, i o jego desperackich próbach znalezienia sensu w pomyłkach natury. Świat odsunął się od Stephena Dextera, ale runął na Richarda Goulda, zgłodniały czasu i przestrzeni.

26. Żonine troski

Tymczasem zbliżała się konfrontacja na mniejszą skalę. W Chelsea Marina po cichu i ukradkiem rosły barykady. Okres ciszy w działaniach policji po morderstwie w Hammersmith dał mieszkańcom czas na zorganizowanie obrony. Próba przejęcia przez komorników domu Turnerów stanowiła zagrożenie wszelkiej własności w osiedlu. Jak poprzednio, zgodziliśmy się wszyscy co do tego, że policja odwała brudną robotę za bezwzględnych kapitalistów, utrwalających system klasowy w celu rozbicia opozycji i zachowania swoich przywilejów.

W drodze do mieszkania Very Blackburn, przejeżdżając przez Cadogan Circle, spostrzegłem, że niemal wszystkie alejki zablokowane są samochodami mieszkańców. Dla ruchu pozostawiono tylko wąskie przejścia, które w każdej chwili mogły zostać zamknięte. Z wielu balkonów zwisały transparenty, zwoje najlepszego egipskiego płótna od Petera Jonesa, chętnie poświęcone dla sprawy rewolucji.

Odwiedzajcie Chelsea Marina – najbliższy przytułek dla ubogich

Nie zawłaszczycie duszy

Witajcie w najnowszych londyńskich slumsach

Wolność nie zna kodu kreskowego

Wzdłuż krawężników stały zdewastowane parkometry. Przejechałem obok metalowego kontenera, którym jakaś rodzina umieściła plemienne totemy – szkolne bluzy i bryczesy, książki kucharskie Elisabeth David, przewodniki po Owernli i zestaw młotków do krykieta.

Niedawno jeszcze robiła na nim wrażenie gotowość do poświęceń, ale to uczucie należało już do przeszłości. Gdy winda wiozła mnie na trzecie piętro, do mieszkania Very, myślałem wyłącznie o Richardzie Gouldzie. Wpadałem codziennie popołudniami, z nadzieją, że wrócili. Naciskałem guzik dzwonka tak długo, że cierpliwość Very musiałaby się skończyć. Bałem się przede wszystkim tego, że Gould, nadal wyczerpany i chory, mógł się przyznać do popełnienia morderstwa w Hammersmith, w bezinteresownym odruchu ratowania Stephen'a Dextera.

Gdy wysiadłem z windy, zobaczyłem, że drzwi do mieszkania Very są otwarte. Przeszedłem półpiętro i zajrzałem do pustego przedpokoju. Ktoś poruszył powietrze i promienie światła schwytały lekkie wirowanie pyłków.

– Richardzie...? Doktorze Gould...?

Wszedłem do przedpokoju, patrząc na porzucone walizki i plik czasopism medycznych na kanapie. Potem usłyszałem charakterystyczne stukanie dochodzące z sypialni. Dźwięki były odległe, ale znajome, echo z dobrze zapamiętanej przeszłości.

– Sally?

Stała przy drzwiach do sypialni, z blond włosami na kołnierzu tweedowego płaszcza, w okrytych rękawiczkami dłoniach trzymała laski. Wysiliła się, żeby ubrać się niezbyt starannie na

wizytę w Chelsea Marina, jakby była członkinią jakiejś delegacji obywatelskiej dokonującej inspekcji kamienicy czynszowej przeznaczonej do rozbioru. Jej błyszczące włosy, skromny, ale drogi makijaż i pewny siebie wygląd sprawiły, że zdałem sobie sprawę z tego, jak nisko upadli mieszkańcy Chelsea Marina.

Dieta złożona z oburzenia i braku bezpieczeństwa w większym stopniu zamieniła nas w pariasów, niż to sobie wyobrażaliśmy. Lubiłem Kay, ale w porównaniu z Sally zawieszona profesorka wiedzy o filmie była przeintelektualizowaną flądą. Bezmyślnie odwróciłem się do lustra nad skórzaną sofą i zobaczyłem siebie, chytrego i obdartego, niedogolonego, z fryzurą domowej roboty.

– Davidzie...? – Zaskoczona spotkaniem Sally przeszła przez duszny pokój, niepewna, czy jestem jeszcze jej mężem. – Mieszkasz teraz tutaj?

– To mieszkanie należy do przyjaciół. Ja jestem u Kay Churchill – ma jednego czy dwóch lokatorów.

– U Kay? – Sally pokiwała głową, patrząc z żoniną troską na moje ziemiste policzki. – Jechałeś windą?

– A co?

– Wyglądasz na zmęczonego. Całkowicie wyczerpanego. – Uśmiechnęła się ciepło i szczerze, słońce rozświetlało jej włosy. – Cieszę się, że cię widzę, Davidzie.

Uścisnęliśmy się krótko. Cieszyłem się z uczucia, które do niej czułem. Tęskniłem za jej sztubacką przekorą, za porozumiewawczym spojrzeniem, które rzucała światu. To było tak, jakbym spotkał starego i ukochanego przyjaciela, kogoś spotkanego po raz pierwszy na wakacyjnym safari. Razem obozowaliśmy na zboczach należących do bogacza, dzieliliśmy luksusowy namiot i brodziliśmy przez lekko wzburzone strumienie choroby. Nasze małżeństwo było bezpiecznym placem zabaw. Rewolucja w Chelsea Marina znów jawiła się jako coś więcej niż walka o czesne i opłaty komunalne.

Nie byłem pewien, czy jesteśmy sami. Przeszedłem obok Sally do sypialni. Na czarnej jedwabnej narzucie leżała pusta walizka. W szafie, na wieszakach wisiały krzywo męskie garnitury.

– Tu nie ma nikogo – powiedziała Sally. – Pomyszkowałam trochę. Sypialnie wiele mówią o ludziach.

– Co znalazłaś?

– Nic wielkiego. Oni są trochę dziwni – ten doktor Gould i ta kobieta, Vera. – Nachmurzyła się, patrząc na czarne kotary. – Czy są parą sadomasochistyczną?

– Nie pytałem. Skąd wiedziałaś, że tu będę?

– Wypisałam czek dla kobiety z puszką na datki – jakiejś żony architekta z dwójką dzieci do wykarmienia. Gdy zobaczyła moje nazwisko, powiedziała, że załatwiasz sprawy doktora Goulda.

– Zgadza się. Sama przyjechałaś?

– Henry mnie przywiózł. Zaparkował samochód w okolicach King's Road. Wy, z Chelsea Marina, działacie mu na nerwy.

– No myślę. Jak się miewa?

– Jak zwykle. – Starła kurz z kanapy i usiadła, spoglądając na jedno z czasopism medycznych. – Na tym polega problem z Henrym – zawsze jest taki sam. A co u ciebie, Davidzie?

– Mam mnóstwo zajęć. – Patrzyłem, jak składa swoje laski. Ich ponowne pojawienie się znaczyło, że dni Henry'ego Kendalla są policzone. – Wiele się tu dzieje.

– Wiem. To trochę straszne. Akcja bezpośrednia nie jest w twoim stylu.

– Więc dlatego tu jesteś – żeby mnie ratować?

– Zanim będzie za późno. Wszyscy martwimy się o ciebie, Davidzie. Złożyłeś rezygnację w instytucie.

– Nie przychodziłem do pracy. Wydawało mi się to nie w porządku wobec profesora Arnolda.

– Tatusz powiedział, że podwyższy ci pensję i da szansę na prowadzenie badań albo napisanie książki.

– Kolejne bezużyteczne zajęcia. Podziękuj mu ode mnie, ale właśnie przed tym próbowałem uciec. Jestem za bardzo zaangażowany tutaj.

– W tę rewolucję? Czy to poważne?

– Bardzo. Poczekaj, aż będzie ci potrzebny dentysta albo prawnik, a wszyscy będą na pikietach. Zaczyna się robić gorąco.

– Wiem. – Sally zadrżała, potem otworzyła puderniczkę, żeby sprawdzić, czy emocje nie zniszczyły jej makijażu. – Słyszeliśmy, jak dwie noce temu wybuchł pożar Piotrusia Pana. Masz z tym coś wspólnego?

– Nic, Sally. Nienawidzę przemocy.

– Ale pociąga cię. Nie chodziło tylko o Laureę. Ta bomba na Heathrow coś poruszyła. Czy Piotruś Pan to też jakieś zagrożenie?

– W pewnym sensie. J.M. Barrie, A.A. Milne, niszczący mózg sentymentalizm, który niszczy wolę ludzi z klasy średniej. Próbujemy coś z tym zrobić.

– Detonując bombę? To jest jeszcze bardziej dziecinne. Henry mówi, że mnóstwo ludzi stąd pójdzie do więzienia.

– Prawdopodobnie ma rację, ale oni traktują to serio. Są gotowi zrezygnować z posiadłości i poświęcić domy.

Sally wyciągnęła do mnie rękę i blado się uśmiechnęła.

– Ty nadal masz swój dom. Wrócisz tam, Davidzie, kiedy wszystko rozpracujesz.

– Wrócę.

Usiadłem na kanapie i wziąłem ją za rękę, zaskoczony jej nerwową reakcją. Cieszyłem się, że znów z nią jestem, ale z St John's Wood daleko było do Chelsea Marina. Zmieniłem się. Świnki morskie zwabiły eksperymentatora do labiryntu.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedziałem. – Czy żona architekta podała ci ten numer mieszkania?

– Nie. Gould mi powiedział.

– Co? – Wyczułem zmianę w powietrzu, zimny powiew przesuwający się przez duszny pokój. – Kiedy to było?

– Wczoraj. Przyszedł do mnie. Dziwny człowieczek, bardzo blady i spięty. Rozpoznałam go ze zdjęcia z jego strony internetowej.

– Czego chciał?

– Oparła się o mnie. – Rozumiem, dlaczego ma taki wpływ na ciebie. Ma jakąś *idee fixe* i nic innego się dla niego nie liczy. Nie dba o siebie, a to naprawdę do ciebie przemawia. Przynajmniej, jeśli chodzi o mężczyzn, bo samolubne kobiety dość lubisz.

– Wpuściłaś go?

– Oczywiście. Wyglądał na głodnego, myślałem, że zemdleje. Stał, chwiejąc się, z oczami utkwionymi w dal, jakbym była jakąś wizją.

– Bo jesteś. A potem?

– Poprosiłam, żeby wszedł. Wiedziałam, że jest twoim przyjacielem. Połknął trochę sera stilton i popił szklanką wina. Jego dziewczyna, Vera, wcale o niego nie dba. Biedaczyna był taki głodny.

– Ona lubi, żeby taki był. To go trzyma przy niej. O czym mówił?

– O niczym. Patrzył na mnie w bardzo dziwny sposób. Już myślałam, że chce mnie zgwałcić.

Uważaj, Davidzie. Może być niebezpieczny.

– Jest. – Wstałem i zacząłem krążyć po salonie. Motywy, którymi kierował się Gould, odwiedzając Sally, były trudne do zrozumienia: może to jakaś groźba, może podejrzewa, że ukrywam Stephena Dextera. Aktywiści z Chelsea Marina byli bardzo zaborczy i zazdrośni o innych ludzi.

Przez okno dostrzegłem Henry'ego Kendalla idącego Beaufort Avenue. Jak wszyscy profesjonaliści odwiedzający osiedle, zdawał się zażenowany transparentami z hasłami protestacyjnymi i zdewastowanymi parkometrami. Przyszedł, żeby obdarzyć protekcyjną troską kolegę, który wpadł w tarapaty.

– Czym się martwisz, Davidzie?

– Twoim chłopakiem. Nie daję sobie rady z tą jego uprzejmą wyrozumiałością. – Pochyliłem się i pocałowałem ją w jej gładkie czoło. – Wróć do domu za parę dni. Uważaj na Richarda Goulda. Nie otwieraj mu drzwi.

– Dlaczego?

– Nadeszły niebezpieczne dni. Policja może pomyśleć, że pomagałaś w wysadzeniu w powietrze Piotrusia Pana.

– To było głupie. Co się z wami dzieje?

– Nic. Ale nastroje są gorące. Jedna czy dwie gorące głowy chciały wysadzić posąg Hodge'a przed domem Johnsona.

– Boże... Mam nadzieję, że ich powstrzymałeś.

– Byli już bliscy realizacji tego zamiaru, ale im to wyperswadowałem. Naród, który stawia pomnik pisarzowi, nie może być aż taki zły.

Pomogłem Sally wstać z kanapy. Poszła za mną, zapominając o laskach. Bezsensowność protestów w Chelsea Marina pomagała jej uporać się z urazą i godziła ją z niewdzięcznym światem.

– Powiedz mi... – Czekala, gdy bębniłem w guzik windy. – Czy doktor Gould jest w niebezpieczeństwie?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Miał coś pod marynarką. Dziwnie pachniał i wolałam do niego nie podchodzić. Ale myślę, że to był pistolet...

27. Samochody w ogniu

O świcie obudził nas straszliwy hałas. Leżałem z Kay w łóżku, z ręką na jej piersi, czując słodki, senny zapach niemytej kobiety, gdy helikopter policyjny opuścił się z nieba i zawisł piętnaście metrów nad dachem. Megafony grzmiały na siebie nawzajem, tworząc wieżę Babel grózb i niezrozumiałych rozkazów. Rozhuśtane zawrodo syren wstrząsnęło oknami, zagłuszały je silniki śmigłowca unoszącego się nad Grosvenor Place. Jego reflektor błyskał na wystraszone twarze, spoglądające spoza zasłon.

– Dobrze! – Kay usiadła jak trup na stosie pogrzebowym. – Davidzie, zaczęło się.

Próbowałem otrząsnąć się ze snu, Kay już wyskakiwała z łóżka, stawiając mocno stopę na moim kolanie.

– Kay? Poczekaj...

– Nareszcie! – Wściekle spokojna zdarła z siebie piżamę i stanęła przy oknie. Rozsunęła zasłony, gwałtownie drapiąc się po nagich piersiach wystawionych do wrogiego nieba. – Dalej, Markham. Nie możesz tego przegapić.

Pobiegła do łazienki i kucnęła nad sedesem, z niecierpliwością opróżniając pęcherz. Weszła pod prysznic i odkręciła kurki, patrząc w dół, na zniechęcony deszczyk padający jej na palce u nóg.

– Dranie! Odciepli wodę. – Pstryknęła włącznikiem światła. – Nie do wiary!

– Co jeszcze?

– Nie ma prądu. Davidzie! Powiedz coś...

Włókłem się do łazienki i wziąłem ją w ramiona, żeby jakoś ją pocieszyć. Pokręciłem kurkami, popstrykałem włącznikiem, a potem usiadłem na brzegu wanny.

– Wygląda na to, że na serio wzięli się za was.

– Nie ma wody... – Kay spojrzała na swoje odbicie w lustrze. – Co oni sobie myślą, że będziemy...

– Nie. To trochę prymitywne, ale niezłe z psychologicznego punktu widzenia. Żaden rewolucjonista z klasy średniej nie będzie bronił barykad bez prysznica i dużego cappuccino. Z równym powodzeniem mogłabyś stanąć do walki w nieświeżej bieliźnie.

– Ubieraj się! I przynajmniej udawaj, że jesteś zaangażowany.

– Jestem zaangażowany. – Przytrzymałem jej rękę, gdy zaczęła okładać pięściami lustro. – Kay, to nie Irlandia Północna. W końcu policja...

– Jesteś defetystycznie nastawiony. – Nakładając dzinsy i pulower, obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów. – To jest nasza szansa. Możemy przenieść rewolucję poza Chelsea Marina, na ulice Londynu. Ludzie zaczną się do nas przyłączać. Tysiące, nawet miliony.

– Tak, miliony. Ale...

Helikopter odleciał, ohydna bestia, która pożerała światło słoneczne i wypluwała je w postaci

hałasu. Gdzieś dalej wielki silnik diesla nabierał obrotów, głośząc stukot stalowych gąsienic, po którym następowało darcie metalu samochodu ciągniętego po ulicy.

Kilka minut potem wyszliśmy z domu. Grosvenor Place pełen był nieogolonych mężczyzn, podrostków o wychudłych twarzach i nieuczesanych kobiet. Małe dzieci, nadal w piżamach, gapiły się z okien, dziewczynki trzymały kurczowo pluszowe misie, ich bracia po raz pierwszy nie byli pewni swoich rodziców i świata dorosłych. Wielu mieszkańców niosło swoją symboliczną broń – kije baseballowe, kije do golfa i do hokeja. Ale inni byli bardziej praktyczni. Sąsiad Kay, starszy wiekiem prawnik i entuzjasta łucznictwa, trzymał w dłoniach dwa koktajle Mołotowa, butelki po burgundzie napełnione naftą, w które włożył swoje krawaty.

Mimo porannego podstępnego ataku sił prawa i porządku przy tchórzliwej współpracy służb komunalnych, wszyscy wokół mnie byli w stanie pogotowia i czujności. Kay i jej koledzy dobrze wypełnili zadanie. Co najmniej połowa mieszkańców Chelsea Marina wyszła na ulice.

Wymachiwali kijami w stronę helikoptera, wygwizdywali pilota, gdy opuścił maszynę pięćdziesiąt metrów nad ulicę, żeby policyjny kamerzysta mógł zrobić lepsze ujęcia wyróżniających się rebeliantów.

Na chodnikach Beaufort Avenue, centralnej arterii osiedla, zgromadzili się prawie wszyscy mieszkańcy, gotowi do obrony pierwszych barykad oddalonych o dwadzieścia metrów od budki strażnika. Wielki oddział policji w hełmach, wyposażonej do tłumienia rozruchów, stał w wejściu, obok zabitego deskami biura administracji. Policjantów wspierało około trzydziestu komorników, chętnych do zajęcia kilkunastu domów.

Policja, pewna sukcesu, zawiadomiła trzy ekipy telewizyjne i kamery zaczęły przekazywać obraz dla porannych edycji dzienników. Jeden z wyższych urzędników resortu spraw wewnętrznych jeździł po studiach telewizyjnych, podkreślając, że rząd z niechęcią podjął decyzję o stłumieniu demonstracji.

Buldożer manewrował przed barykadą z samochodów na Beaufort Avenue. Niezręcznie zahaczył łyżką fiata uno, najmniejszy z samochodów tworzących zapórę, ale mieszkańcy przyłgnęli do drzwi i słupków wozu, gwizdami i szyderstwami wyprowadzając z równowagi nieszczęsnego operatora. Wiele kobiet niosło w ramionach dzieci. Najmniejsze z nich, wystraszone wiszącym groźnie nad głowami helikopterem i harmidrem wprowadzanym przez megafony, płakało wniebogłose i choć warkot silnika buldożera głośzył te szlochy, miliony widzów usłyszało dziecko, patrząc z przerażeniem w odbiorniki sponad stołów ze śniadaniem.

Ponaglony przez starszego rangą pracownika socjalnego inspektor policji upomniął rodziców i próbował wspiąć się na barykadę. Natknął się na las hokejowych kijów i wycofał z potłuczonymi kostkami palców. Młody policjant spostrzegł przesmyk prowadzący przez barykadę. Otworzył przednie drzwi od strony fotela pasażera w volvo combi, wsiadł do wozu z pałą gotową do użycia i próbował otworzyć drzwi od strony kierowcy. Kilkunastu mieszkańców rzuciło się na samochód i zaczęło nim kołysać. Wspierało ich rytmiczne skandowanie:

– Precz, precz, precz...!

Nie minęła minuta, jak wytrzęsiony do nieprzytomności policjant wypadł z wozu i upadł pod nogi kolegów.

Policja cierpliwie czekała za opancerzonymi furgonetkami z drucianymi siatkami na przednich szybach. Ich obecność uzmysławiała demonstrantom, że akcja w Chelsea Marina nie różni się w oczach policjantów od tłumienia buntów w mniej eleganckich osiedlach East Endu. Zacisnęli paski

pod brodą i tłukąc pałkami o tarcze, ruszyli naprzód, gdy buldożerowi udało się wreszcie schwycić fiata uno i unieść go w powietrze. Sformowani w dwa szeregi, byli gotowi runąć przez wyłom w barykadzie i rzucić się na demonstrantów.

Ale inspektor wyrzucił w górę ramiona i powstrzymał ich. Fiat jak zabawka chwiał się na łyżce buldożera, grożąc, że spadnie na gwizdzących mieszkańców. Inspektor, który w zamieszaniu zgubił czapkę, wspiał się po drabince do kabiny buldożera i rozkazał operatorowi wyłączyć silnik.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, którą policjant wykorzystał, by odzyskać czapkę i megafon. Z baku fiata kapą benzyna, krople tańczyły wokół nóg inspektora. Zawołał do ludzi, żeby pomyśleli o swoich dzieciach, które teraz śmiały się wesoło do samochodu kołyszącego się nad ich głowami. Chichoczące szkraby uniesiono wysoko do góry, żeby lepiej widziały, a przede wszystkim po to, żeby pokazać je telewizjom, oglądającym relację z ustami rozdziawionymi nad poranną grzanką.

Zrozpaczony inspektor potrząsnął głową, ale przyjął do wiadomości bezwzględność przedstawicieli klasy średniej wobec własnego potomstwa. Dobrze wiedziałem, że grupa społeczna, która skazuje swoje dzieci na deformujący rygor życia w szkołach z internatami, za nic będzie miała wystawianie ich na niebezpieczeństwo eksplodujących barykad.

Wyczerpany szalejącymi wokół mnie emocjami, przepchnąłem się przez tłum i dotarłem do chodnika. Oparłem się o uszkodzony parkometr i zacząłem rozglądać się za Kay Churchill. Wkrótce spostrzegłem, że jeszcze ktoś inny obserwuje akcję.

Za furgonetkami telewizji zobaczyłem znajomą postać majora Tullocha. Baryłkowata pierś i krzepkie ramiona kryły się pod kolejną krótką tweedową kurtką, a rudy wąs stroszył się, wyczuwając zapach bitwy. Jak zwykle wyglądał na znudzonego zamieszkanymi, które rozgrywały się wokół niego, i przyglądał się helikopterowi unoszącemu się sto metrów od niego. Wywołane przez wirnik maszyny prądy zstępujące opróżniały kosze na śmieci, rozrzucając ich zawartość, jak konfetti, po dachach domów. Doszedłem do wniosku, że był wysłannikiem ministra spraw wewnętrznych i prawdopodobnie dowodził całą akcją.

Tłum zdawał się wyczuwać, że protest w Chelsea Marina ma się ku końcowi, uspokoił się, gdy operator buldożera wyrywał mały, ale istotny element z barykady. Inspektor stał uroczyście przed protestującymi i uśmiechał się do małych dzieci, zadowolony, że postąpił tak humanitarnie, jak tylko mu pozwalały rozkazy. Twarzą w twarz z oczekującą falangą policji i komorników demonstranci zaczęli się rozpraszać, opuszczali kije do baseballu i młotki do krykieta, niezdolni w decydującym momencie oprzeć się wezwaniom do opanowania i zdrowego rozsądku.

Wtedy z okna wychodzącego na ulicę rozległ się okrzyk. Ludzie rozstąpili się, wiwatując na widok najeżdżającego samochodu, wzywającego klaksonem do boju. W naszą stronę pędziło małe polo Kay Churchill. Kay siedziała za kierownicą, włączyła reflektory i wściekle trąbiła, torując sobie drogę przez tłum. Popielate włosy powiewały jak bitewny sztandar, jak widmowa grzywa walkirii, podrywającej do boju pokonanych żołnierzy.

Dotarła do barykady, zahamowała ostro i wjechała w lukę po fiacie uno. Zepchnęła policjanta, który upadł na maskę. Z buntowniczym okrzykiem w kierunku policji, pokazując obiema rękami znaki zwycięstwa, wyskoczyła z wozu. Kilka sekund później jej samochód, wywrócony do góry kołami, stanął w płomieniach za sprawą starszego wiekiem prawnika, który podpalił klubową zapalniczką krawaty pułkowe i rzucił koktajle Mołotowa na odsłonięty silnik.

Zapłonął drugi samochód. Płomienie zamigotały wokół jego kół i wystrzeliły do góry. Rozniecone przez helikopter pomarańczowe kłęby popłynęły w stronę podchodzącej policji

i dotknęły uniesionej łyżki buldożera. Zebrana w niej benzyna z baku fiata gwałtownie wybuchła.

Ludzie odsunęli się, widząc płonący samochód wysoko w szponach buldożera. Policjanci szukali schronienia za furgonetkami. Inspektor mówił coś przez krótkofalówkę, a major Tulloch odłożył papierosa. Z King's Road dał się słyszeć dźwięk syren i wkrótce wóz strażacki zaczął sobie torować drogę przez tłum widzów, blokujących oba pasy jezdni. Odblask płonącej barykady żarzył się w szklach reflektorów i wypolerowanym mosiądzu.

Kay, bojowniczo nastawiona, zdecydowana bronić Chelsea Marina do ostatniego volvo i bmw, nakazała mieszkańcom dokonanie taktycznego odwrotu. Ścierając oleistą sadzę z policzków i czoła, z ręką zabandażowaną po oparzeniu płonąca benzyna z przewróconego samochodu, poprowadziła demonstrantów ku następnej barykadzie przy Beaufort Avenue. Gdy na chwilę zatrzymała się, żeby zwołać maruderów, dostrzegła mnie w ostatnich szeregach tłumu. Uniosłem pięści w geście poparcia, oczarowany, jak zawsze jej rozwichrzonym i niespokojnym duchem. Ulica stała w ogniu. Chelsea Marina przekroczyła swoje granice, swoje zaległości płatnicze i debety na kartach kredytowych. Oczyma duszy widziałem ogarnięty pożogą Londyn, płonące stopy wyciągów z kont, oczyszczające jak Wielki Pożar.

Kwaśna chmura pary i dymu uniosła się nad pierwszą barykadą, gdy strażacy zaczęli polewać płonące samochody. Drzwi wozów otwierały się z trzaskiem, karoserie rozwijały jak jaskrawe kwiaty. Płomienie wirowały w prądach zstępujących helikoptera i mknęły ku okapom pobliskich domów.

Policjanci z opuszczonymi przyłbicami przeskakowali przez murki ogrodowe po obu stronach barykady i biegli ku nam ulicą. Przywitano ich deszczem dachówek, ale oni szturmowali już drugą barykadę, kryjąc się za buchającymi ogniem kontenerami, które Kay rozkazała podpalić. Buldożer potoczył się z łoskotem do przodu, zrzucił z łyżki poczerniałą skorupę fiata i zepchnął tłący się samochód Kay na chodnik. Ruszył ulicą, a za nim podążyły wóz strażacki i furgonetki telewizji. Wszystko to działo się pod czujnym okiem majora Tullocha, kroczącego za grupą podnieconych fotoreporterów.

Druga barykada została oblana wodą i rozbita. Policja nadchodziła przez kłęby pary i czarnego, nieomal płynnego dymu dryfującego nad Tamizą ku brzegowi Battersea. Skuliłem się za skromną, obliczoną zapewne na trzy rodziny, barykadą, blokującą wejście na Grosvenor Place, w rękę trzymałem kij do krykieta i wiedziałem już, że powstanie w Chelsea Marina ma się ku końcowi. Policja dochodziła do wylotu Beaufort Avenue i wkrótce miała opanować Cadogan Circle. Po zajęciu kolejnych przecznic, zaczęły wylapywać prowodyrów i czekają, aż pozostali mieszkańcy wrócą do równowagi. Wkrótce pojawi się armia okupacyjna pracowników socjalnych, pocieszycieli i kombinatorów, handlujących nieruchomościami, którzy zwietrzą łatwy interes. Wróci królestwo podwójnych żółtych linii, zdrowy rozsądek i wygórowane opłaty szkolne.

A jednak coś się zmieniło. Przycisnąłem chusteczkę do ust, żeby ochronić płuca przed tłustym dymem i patrzyłem, jak jedna z sąsiadek Kay, aktorka pracująca dla BBC, napełnia butelkę po perrierze gazem do zapalniczek. Byłem oszołomiony i wyczerpany, ale podniecony poczuciem solidarności w obliczu wspólnego wroga. Po raz pierwszy uwierzyłem, że Kay ma rację, że jesteśmy na skraju rewolucji społecznej, która może ogarnąć cały naród. Poprzez parę i dym nasłuchiwałem buldożera i czekałem na policję, która zacznie dokonywać idiotycznych zatrzymań w bocznym zakątku Chelsea.

I nagle, równie niespodziewanie, jak się pojawili, policjanci zaczęli się wycofywać. Oparłem się

o przewróconą toyotę, wiwatując razem z Kay i jej ludźmi na widok sierżanta, który po wysłuchaniu rozkazu z krótkofalówki nakazał swoim ludziom odwrót. Buldożer przerwał rundę honorową po Cadogan Circle i wrócił pod budkę strażnika. Policjanci podnieśli przyłbice i opuścili pałki. Ruszyli przez dym do punktu zbiórki na King's Road. Wsiedli do furgonetek i włączyli się w poranny ruch. Helikopter odleciał, a dym zaczął się rozpraszać. Powietrze stało się czystsze. Nie minął kwadrans, gdy wszyscy policjanci opuścili Chelsea Marina.

Pojawił się drugi wóz strażacki, a za nim ciężarówka pomocy drogowej przysłane przez radę gminy, której pracownicy zaczęli rozbierać wypalone barykady na Beaufort Avenue. Dwa zasekwestrowane domy zostały spalone. Przypuszczałem, że to właśnie skłoniło policję do przerwania akcji. Gdy komornicy wyłamali drzwi, właściciele domów polali benzyną dywany w salonach, wrzucili zapalone świece przez okna od ogrodu i pożegnali się z przytulnymi domostwami, w których spędzili tyle lat.

Groźba ogólnej pożogi, spektaklu dla wieczornych wiadomości telewizyjnych, przedstawiających Chelsea Marine jak wielki stos pogrzebowy, zmusiła Ministerstwo Spraw Wewnętrznych do odwołania policji i ogłoszenia zawieszenia broni. Tego samego popołudnia delegacja mieszkańców pod przywództwem Kay Churchill usiadła za stołem z policją i lokalną radą, w biurze administracji. W tym czasie strażacy ugasili ogień w dwóch pobliskich domach przy Beaufort Avenue. Inspektor zgodził się nie wnosić oskarżeń o podpalenia i przyrzekł wyrzucić presję na komorników, żeby wstrzymali kolejne egzekucje. Woda i prąd miały zostać ponownie włączone, a zespół negocjatorów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych obiecał wysłuchać zażaleń mieszkańców.

O szóstej wieczorem Kay wróciła na Grosvenor Place. Machała ku nam zakrwawionym bandażem, a jej twarz promieniowała zwycięstwem. W kilkunastu wywiadach dla telewizji, których zaraz potem udzieliła, wyjaśniła, że jedynym postulatem, którego nie przyjęły władze, było przemianowanie ulic w Chelsea Marina. Chciała, żeby odrzucono podszyte fałszem nazwy Mayfair i Knightsbridge i zastąpiono je nazwiskami japońskich reżyserów, ale dalekowzroczni mieszkańcy przestrzegli ją, że mogłoby to zagrozić cenom nieruchomości. Więc nazwy Beaufort, Cadogan, Grosvenor i Nelson pozostały.

Inne zmiany trudne były do uchwycenia. Pierwsze rodziny opuszczały już Chelsea Marina. Nie przekonała ich pozorna zmiana postawy komorników. Kilkoro mieszkańców z małymi dziećmi, niepewnych, czy zawieszenie broni potrwa długo, spakowało się, zamknęło za sobą drzwi i odjechało zamieszkać u przyjaciół. Obiecali, że wrócą, jeśli będą potrzebni, ale ich odjazd stanowił wstydlive przyznanie się do porażki.

Kay stała w drzwiach z uniesioną pięścią, niezrażona ich zdradą. Patrzyliśmy, jak odjeżdżają z dziećmi wtłoczonymi między walizki na tylnych siedzeniach. W poczuciu odpowiedzialności rozebraliśmy małą barykadę na Grosvenor Place, zepchnęliśmy przewrócone auta do zatoczek parkingowych, zmiotli potłuczone szkło. Krótka mówiąc, zrobiliśmy, co można, żeby uprzątnąć ulicę. Jedyne nieuszkodzony parkometr wkrótce przyjął pierwszą monetę.

Kiedy wszedłem do domu z miotłą pod pachą, usłyszałem wodę lejącą się z kurków w łazience i kuchni. Kay leżała w fotelu z brudnym bandażem na ramieniu i spała głęboko przed włączonym telewizorem, w którym pokazywano jej spektakularne zwycięstwo przy wypalanej barykadzie na Beaufort Avenue. Pocałowałem ją czule, ściszyłem odbiornik i poszedłem na górę, żeby zakręcić kurki. W apteczce, wypełnionej taką ilością środków uspokajających, że mogłaby zaspokoić cały

Manhattan, znalazłem świeży bandaż i krem antyseptyczny.

Obserwowałem przez okno kolejny wyjeżdżający samochód i myślałem, że Kay powinna do nich dołączyć, opuścić Chelsea Marina i zamieszkać u przyjaciół, gdzieś w Londynie, przynajmniej do czasu, gdy zainteresowanie policji się zmniejszy. Funkcjonariusze w cywilnych ubraniach na pewno pilnowali wejścia do osiedla, a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, wcześniej czy później, zażąda koźła ofiarnego. Dla samochodów był tylko jeden wyjazd z Chelsea Marina, ale kilka alejek dla pieszych wiodło na pobliskie ulice. W jednej z nich parkowałem range rovera i mógłbym bez trudu przesznuć Kay i jedną walizkę w bezpieczne miejsce.

Wróciłem do salonu z miską ciepłej wody gotów do umycia i opatrzenia jej oparzelin. Ale kiedy spróbowałem odwinąć bandaż, obudziła się na chwilę i odepchnęła mnie, trzymając się poplamionego krwią płótna jak kocyka bezpieczeństwa.

Byłem z niej dumny. Zasłużyła sobie na to trofeum. Gdy brałem prysznic, zrobiło mi się przykro, że Joan Chang i Stephen Dexter nie byli obecni w chwili jej triumfu. Ponad wszystko jednak tęskniłem za doktorem Gouldem, który zainspirował rebelię w Chelsea Marina, a teraz stracił do niej zainteresowanie.

28. Istotne wskazówki

Pasemka dymu i pary nadal unosiły się nad zniszczonymi przez ogień domami w Beaufort Avenue, ale służby ratunkowe dobrze się sprawiły. Zainteresowany polem bitwy, postanowiłem je zwiedzić, zanim przejdzie do tradycji ludowej. Poszedłem w stronę budki strażnika. Woda skapywała ze zwęglonych okapów, a w spękanych szybach odbijało się pokawałkowane niebo. Wróciwszy do instynktu porządku i dobrego gospodarowania, mieszkańcy zamietli ulicę i wyprostowali transparenty z hasłami protestu przekrzywione przez helikopter. Wiele samochodów w zatoczkach parkingowych leżało do góry kołami, ale Beaufort Avenue niemal przybrała pierwotny wygląd ulicy klasy średniej, cierpiącej na lekkiego kaca.

Grupa policjantów patrolowała wjazd do osiedla, odpowiadając na pytania przechodniów jak przewodnicy turystyczni przy nowo otwartym parku tematycznym. Ze złupionego biura administracji uczynili kwaterę, a pracownicy rady wydawali im przez rozbite okna kubki z herbatą. Bez śladu urazy przyjacielsko salutowali mieszkańcom, wybierającym się na drobne kradzieże sklepowe przy King's Road. Ekipa telewizyjna siedziała przy furgonetce, jadła kanapki z bekonem i słuchała stacji z muzyką pop, ale kamery i mikrofony nadal były nierozpakowane. Te godne zaufania wskazówki mówiły, że rewolucja w Chelsea Marina już się zakończyła.

W drodze powrotnej na Cadogan Circle myślałem, jak trudno uwierzyć, że jeszcze tydzień temu Chelsea Marina była miejscem najgwałtowniejszych rozruchów od czasów niepokoїв w Irlandii Północnej.

Powstanie, któremu przywodziła Kay Churchill, wyglądało coraz bardziej na studenckie figle. Upupiająca cywilizacja konsumpcyjna wypełniała wszystkie luki w status quo równie szybko, jak Kay prowadziła swój samochód na walącą się barykadę.

Przy skrzyżowaniu z Grosvenor Place dwóch dziesięciolatek bawiło się wiatrówkami. Ubrani byli w mundury polowe i wojskowe pasy, według nowego partyzanckiego stylu, zainspirowanego przez Chelsea Marina, który „Evening Standard” przedstawił już na rozkładówce poświęconej modzie. Symfonia Haydna płynęła łagodnie przez kuchenne okno pod transparentem, na którym wilgotne hasło zdążyło już upodobnić się do taszystowskiego obrazu.

Wygraliśmy, ale właściwie co? Patrząc na bezludne ulice, zdałem sobie sprawę z pustki emocjonalnej. Nasze zwycięstwo przyszło trochę zbyt łatwo, a ja, podobnie jak Kay, oczekiwałem na rozprawę w sądzie. Przewracałem samochody i pomagałem napełniać butelki po perrierze gazem do zapalniczek, ale tolerancyjne i liberalne społeczeństwo uśmiechnęło się do mnie i poszło sobie, zostawiając mnie z dwoma chłopcami w wojskowych kurtkach, którzy z groźnymi minami mierzyli do mnie z karabinów-zabawek.

Teraz zrozumiałem, dlaczego Richard Gould stracił nadzieję na rewolucję, którą wywołał w Chelsea Marina. Bez jego radykalizującej obecności osiedle wracało do normy. Co rano

dzwoniłem do drzwi Very Blackburn z nadzieją, że Gould powrócił i doszedł do siebie po przerażającym doświadczeniu, jakim był widok śmierci młodej kobiety z ręki obłąkanego księdza, na spokojnej ulicy zachodniego Londynu. Otworzyła się przepaść i pochłonęła zdrowy rozsądek wraz z litością, mimo że motywy Stephena Dextera były równie tajemnicze, jak motywy tłustego fanatyka broni, który miał być sądzony za to morderstwo.

Zadzwoiłem zatem do drzwi Very, nasłuchując, czy z pustego mieszkania nie dobiegnie mnie jakiś dźwięk, a potem zjechałem windą na parter. Kay wyszła na cały dzień, żeby pomóc w kręceniu telewizyjnego filmu dokumentalnego o radykalizacji klasy średniej z londyńskich przedmieść. Pewna nadejścia nowych porządków, żywiła nadzieję, że program wywoła powstania w Barnet i Purley, Twickenham i w Wimbledonie, bastionach umiarkowania i zdrowego rozsądku.

Nie miałem żadnych wiadomości od Sally i doszedłem do wniosku, że czeka, aż wrócę do St John's Wood. Chciałem się z nią zobaczyć, ale wiedziałem, że gdy tylko przekroczę próg, wpadnę w ramiona teścia, instytutu, profesora Arnolda i przeszłości z jej nieustannymi wymaganiami.

Szedłem w stronę Nelson Lane, gdzie była przystań i przejrzystsze powietrze nad rzeki, wolne od sadzy i naftowego posmaku po spalinach helikoptera. Samotna żeglarka zwijała liny na pokładzie słupa. Przyglądał się temu jej dwuletni synek. Widziałem ich przy barykadzie w Beaufort Avenue. Chłopiec siedział na ramionach matki, a ona wrzeszczała na policję. Pomyślałem, że zaraz podniesie kotwicę i popłynie w stronę ujścia Tamizy, z dala od Chelsea Marina, przystani zawiedzionych nadziei. Pomachałem do niej, myśląc o tym, żeby zabrać się z nią jako majtek i psycholog morski, czytający w falach ujeżdżacz myśli...

Na Nelson Lane, za moimi plecami, na progu domu stojącego niedaleko kaplicy wielebnego Dextera jakaś kobieta zawahała się, potrząsnęła kluczami i szybko zeszła ze schodków, zostawiając szeroko otwarte drzwi. Miała na sobie lakierowaną skórzaną kurtkę i buty na wysokich obcasach migające, gdy szła charakterystycznym drobnym krokiem. Przeszła szybko chodnikiem, zatrzymując się za szkolnym mikrobusem, ofiarowanym społeczeństwu przez wydawcę łagodnej pornografii, najbogatszego mieszkańca Chelsea Marina.

– Vero! Zatrzymaj się!

Poszedłem za nią między zaparkowanymi samochodami i zobaczyłem, jak skręca w alejkę prowadzącą z osiedla na pobliską uliczkę. Z opuszczoną głową oddalała się drobnymi kroczkami w stronę furtki, prześlizgnęła przez nią i zamknęła za sobą.

Kiedy dotarłem do furtki, zdążyła już wmieszać się między turystów spacerujących obok sklepów ze starociami i butików. Łapałem oddech, opierając się o pręty z kutego żelaza. Sięgająca powyżej mojej głowy furtka, zwieńczona wachlarzem metalowych kolców, otwierała się po przesunięciu karty, którą miał każdy mieszkaniec.

Ktoś majstrował przy mechanizmie, używając narzędzia z napędem elektrycznym, żeby przeciąć mosiężny mechanizm. Wystawiony na działanie powietrza metal zdążył już zmatowieć, co sugerowało, że zamek został zniszczony co najmniej tydzień temu.

Pociągnąłem za furtkę i wyszedłem na ulicę, rozglądając się wśród przechodniów. Piętnaście metrów dalej, przy krawężniku, stały trzy policyjne furgonetki. Każda mieściła sześciu posterunkowych, siedzących prosto przy oknach. Kierowca słuchał radia.

Zamknąłem za sobą furtkę i wróciłem do przystani. W wąskiej alejce pozostało wspomnienie perfum Very, trop, za którym nie chciałem już podążać. Myślałem o furtce i o policji czekającej w furgonetkach. Podczas zamieszek w każdej chwili mogli wejść do Chelsea Marina i zaatakować

mieszkańców od tyłu. Starcie nie trwałoby wtedy dłużej niż kilka minut, nie przewrócono by samochodów, a nastroje rebeliantów nie zdążyłyby nabrać gwałtowności.

Wróciłem do domu Dextera. Stałem na chodniku przed drzwiami. Nad mostem Wandsworth krążył helikopter, dwie łodzie policji rzecznej stały w głównym nurcie, a ich załogi obserwowały wejście do przystani. Łatwo byłoby przeprowadzić kombinowany atak z powietrza, wody i morza, ale policja, czy też ktoś, kto nią kierował, ograniczyła się do pokazu siły na Beaufort Avenue.

Czy cała konfrontacja, która tak podniosła nas na duchu, została zainscenizowana, żeby sprawdzić stopień determinacji mieszkańców Chelsea Marina? Ograniczając akcję do jednej ulicy, policja utrzymała rewolucję w sensownych granicach i przetestowała stopień jej determinacji.

Myślałem o czujnym majorze Tullochu, jego tweedowych sportowych marynarkach, i „kontaktach” w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, najwyraźniej znudzonych koktajlami Mołotowa i histerią. Dla Scotland Yardu starcie przy płonących fiatach i volvo było sztuczką, mającą na celu rozpracowanie mieszkańców i ich ewentualnego dostępu do uzbrojenia groźniejszego niż kije do krykieta i poczucie słuszności. Domyślałem się, że Henry Kendall wiedział o przygotowaniach do akcji policyjnej i wraz z Sally odwiedził Chelsea Marina po to, by mnie ostrzec.

Wszedłem na schodki i popchnąłem drzwi, nasłuchując warkotu helikoptera. Potem zamknąłem drzwi za sobą i wszedłem do salonu. Dom księdza został przetrząśnięty, szuflady powyciągano z biurka, dywan zrolowano, książki z hymnami zrzucano z gzymsu kominka. NamIOCik, w którym obozował Dexter, prymus i łóżko polowe rzucono w stronę kominka. Puszki z żywnością, podręcznik użytkownika harleya i fotografie z Filipin walały się po podłodze. Motocyklowe skóry Dextera leżały w kuchni na drewnianym stole, rozprute wzdłuż szwów nożem do mięsa wyjętym z szuflady, wybebeszone z furją, która zdawała się wycelowana w człowieka, noszącego to ubranie.

Na górze, w pokoju wyglądającym jak cela, Vera dokonała takich samych spustoszeń. Zerwała bawełniany kombinezon Dextera i togę nauczycielską z wieszaków i rzuciła je na podłogę obok łóżka. Poi rytowana spartańska łazienką i jej skąpymi schowkami, roztrzaskała słoje drogiej soli do kąpieli, prezent od parafianina, o umywalce, która zamieniła się w jaskrawoturkusową sadzawkę.

Usiadłem na gołym materacu z kombinezonem lotniczym w rękach. Perfumy Very wisiały w powietrzu jak ostry mineralny posmak jakiegoś egzotycznego materiału wybuchowego. Obok mnie, jak ponure wspomnienie pastora, leżała sutanna Dextera ze złożonymi równoległe rękawami. Doszedłem do wniosku, że umieścił sutannę na swoim skromnym łóżku po śmierci Joan Chang, wiedząc, że już nigdy nie będą na nim spali.

Niemal ze współczuciem dotknąłem szorstkiej tkaniny, jakby w nadziei, że wyczaruję nieszczęśliwego kapłana z jej surowych splotów. Próbowałem odgadnąć, jakiego to cennego trofeum Vera Blackburn szukała tak gorączkowo. Przesunąłem ręką po kieszeni na piersi sutanny i wyczułem małe metalowe przedmioty.

Wyciągnąłem żółtą jedwabną chusteczkę, ciasno związaną i zabezpieczoną taśmą elastyczną. Otworzyłem tę miniaturową paczuszkę i znalazłem kluczyki zapłonu. Były stare i matowe, obrośnięte brudem, przymocowane do medalionu z emblematem jaguara.

Znów sięgnąłem do kieszonki i wyciągnąłem kawałek zadrukowanej karty. Rozpoznałem bilet na długoterminowy parking w Heathrow. Na bilecie Dexter napisał zielonym długopisem B 41 i 1487. Uznałem, że był to numer miejsca parkingowego.

Czy Dexter był właścicielem starego jaguara i z jakichś powodów zaparkował go na Heathrow? Przyjrzałem się dokładnie wybitym w bilecie dziurkom, sprawdzając, czy bilet został skasowany.

Mój wzrok padł na czarny pasek magnetyczny, ale myśli skoncentrowane miałem na czymś, co można było odczytać znacznie łatwiej. Odcisk pieczętki z datą na brzegu biletu głosił: 11.20, 17 maja.

To była data wybuchu bomby w terminalu numer 2. Prawie dokładnie dwie godziny przed eksplozją na konwejerze z bagażami, która zabiła Laurę.

29. Parking długoterminowy

Wspomnienia rewolucji szybko zostawały w tyle, gubiły się między mknącymi w lusterku liniami na jezdni. Dotarłem do ronda przy Domu Hogartha i dodałem gazu, wjeżdżając na autostradę prowadzącą do Heathrow. Po raz pierwszy miałem namacalny dowód, łączący kogoś z Chelsea Marina ze śmiercią Laury. Pastor z mózgiem uszkodzonym od ciągłego bicia brnął jak lunatyk w coraz głębsze obszary przemocy, bo tylko ona mogła nadać rozpaczliwe znaczenie jego życiu.

Nie bacząc na kamery policyjne, mknąłem estakadą, wielkim kamiennym marzeniem, które wreszcie obudziło się ze snu. Strumień powietrza wywołany pędem wozu przelatował mi z rykiem obok głowy, rozwiewając wszelkie wątpliwości, chociaż wiedziałem, że są i inne wytłumaczenia. Bilet parkingowy i jaguar na miejscu numer 1487 mogły należeć do jednej z ofiar wybuchu, może do starszego duchownego wracającego z Zurychu tym samym lotem, co Laura. Przesłał bilet do Dextera i poprosił go, żeby wyprowadził samochód i odebrał go z sali przylotów.

A może pastor, którego Chelsea Marina знаła jako wielbnego Stephena Dextera, był w rzeczywistości oszustem, nielegalnym imigrantem, uciekającym przed kontrolą graniczną? Pomógł umierającemu kapłanowi w sali odbioru bagażu, potem skorzystał z szansy, ukradł dokumenty zmarłego i list nominujący go na stanowisko w Chelsea Marina. W każdej innej parafii motocykl, chińska przyjaciółka i brak wiary mogłyby doprowadzić do zdemaskowania, ale w Chelsea Marina uznano to za rzecz normalną, niemal niezbędną dla kapłana.

Jakiegokolwiek było ich pochodzenie, bilet parkingowy i kluczyki tkwiły w kieszeni sutanny Dextera. Gdy wjechałem w granice Heathrow przy Hatton Cross, myślałem o Laurze, której niknąca obecność znów rozbudziła się w moim umyśle i zdawała unosić nad słupkami ze znakami wskazującymi drogę do terminali lotniska. Czekałem przy obwodnicy, aż ciągnik zaholuje boeinga 747 do hangaru. Wokół mnie rozciągały się hektary parkingów, powierzchnie przeznaczone dla załóg lotniczych, personelu ochrony, podróżujących biznesmenów. Tworzyły nieomal planetę czekających samochodów, stojących cierpliwie w zagrodach, na swych kierowców, którzy okrążali świat. Upłyną stracone na zawsze dni, zanim wysiądą z autobusów lotniskowych i odbiorą samochody.

Do lądowania podchodził airbus, turbiny westchnęły, jak szept snów zatartych przez czas, gdy maszyna kładła się na pasie startowym. Z tego mirażu wyłoniła się Laura, a po kilku minutach zniknęła w tajemnicy większej niż lot.

Wziąłem bilet z automatu i przejechałem obok biura administracji parkingu w stronę sekcji B. Mimo morderczych opłat, prawie wszystkie miejsca były zajęte. Wielka kongregacja samochodów patrzyła w stronę swojej mekki, wieży kontrolnej lotniska Heathrow. Skręciłem w aleję B 41 i przejechałem między dwoma rzędami wozów, przyglądając się uważnie numerom na asfalcie. Wbrew sobie, wyobraziłem sobie, że zamachowiec nadal siedzi w jaguarze i czeka na mnie.

Miejsce 1487 było zajęte. Imponujący mercedes sedan wypełniał przestrzeń, a jego wypolerowane cielsko lśniło jak ceremonialna zbroja. Zatrzymałem wóz i podszedłem do niego. Przez okno zobaczyłem białą, skórzaną tapicerkę i tablicę rozdzielczą z ekranem nawigacyjnym. Egzemplarz „Evening Standard” sprzed tygodnia leżał na tylnym siedzeniu. Mercedes stał tutaj od paru dni.

Dwadzieścia minut później odnalazłem jaguara. Stał w małej przechowalni, od północnej strony sektora E. Mercedes popsuł mi szyki, więc poszedłem do biura administracji niedaleko bramy wyjazdowej. Pomocny kierownik, Azjata, wyjaśnił mi, że wozy, po które nikt się nie zgłosi przez dwa miesiące, odholowywane są do przechowalni i trzymane tam do czasu, aż wydział prawny spółki nie wytropi właścicieli. Amatorzy przejażdżek kradzionymi samochodami, przestępcy uciekający za granicę, a nawet spóźnieni pasażerowie niechętni do uiszczania opłat dodatkowych często porzucali swoje wozy, zakładając, że zostaną na zawsze w czyścicu dla samochodów.

Pokazałem kierownikowi bilet wyjęty z sutanny Stephena Dextera i powiedziałem, że znalazłem go za fotelem w hali odlotów terminalu numer 2.

– Może będzie jakaś nagroda – powiedziałem nieśmiało. – To chyba możliwe.

– Sprawdzę to. – Rozbawiła go moja gorliwość, wstukał numery biletu i miejsca parkingowego do komputera. – Zgadza się – jaguar, sedan czterodrzwiowy, rejestracja x, model z 1981 roku. Skontaktujemy się z obecnym właścicielem za pośrednictwem biura rejestracji pojazdów drogowych.

– Ma pan jego nazwisko? Ucieszyłby się na widok biletu.

– Wątpliwe, proszę pana. Oplata jest ogromna, 870 funtów plus VAT. – Kiedy skrzywiłem się, dodał z dumą: – Parkowanie to luksus wpisany w strukturę wydatków biznesowych i wakacyjnych. Jeśli ktoś chce zaoszczędzić, ma do dyspozycji autostrady publiczne.

– Zapamiętam to. A może jakiś telefon, pod którym mógłbym skontaktować się z właścicielem?

– Nie ma tu telefonu. – Zawahał się widząc, jak moja dłoń przesuwająca po biurku w jego stronę dwudziestofuntowy banknot. – Jego adres to Chelsea Marina, King’s Road, Fulham, Londyn SW6.

– A nazwisko?

– Gould. Doktor Richard Gould. Ma pan szczęście. Niewielu lekarzy zapomina o swoich samochodach.

Stałem obok starego jaguara zaparkowanego przy ogrodzeniu w szeregu innych nieodebranych pojazdów. Wiele z nich miało sflaczałe opony. Pokrywały je ptasie odchody i plamki ropy z samolotów lądujących na Heathrow.

Obok jaguara stał pickup z popękana przednią szybą i uszkodzonym zderzakiem, prawdopodobnie ofiara wypadku drogowego, który przydarzył się podczas ucieczki właściciela. Szyby jaguara pokrywała gruba warstwa brudu, ale poza tym były nietknięte. Mogłem odczytać tytuły broszur medycznych, leżących w stosie na tylnym siedzeniu. Dwa małe pluszowe misie siedziały przy podpórkach pod łokcie, jak dzieci czekające na powrót rodziców. Ich oczy z guzików były nieufne, ale pełne nadziei.

Włożyłem klucz do zamka z nadzieją, że odnalazłem nie ten samochód. Ale zamek ustąpił. Otworzyłem drzwi po stronie kierowcy, zrywając pieczęć brudu i kurzu. Usiadłem na fotelu i chwyciłem kierownicę. Wyczuwałem obecność Goulda w tym wyświechtanym wnętrzu, w zniszczonej skórze obić, zepsutej zapalniczce i wysypującej się popielniczce. Schowek na rękawiczki był zapchany medycznymi ulotkami, próbkami nowych środków uspokajających dla dzieci

i niedojedzoną kanapką w plastikowym opakowaniu, zmumifikowaną gorącem i brakiem dostępu powietrza.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce i usłyszałem cichy trzask serwomechanizmu silnika reagującego na krótki dopływ prądu z prawie martwego akumulatora. Na fotelu pasażera leżał egzemplarz książki w miękkiej oprawie, wydanej drukiem przez BBC scenariusza serialu telewizyjnego *Neurolog spogląda na Boga*. Przekartkowałem barwne fotografie egipskich świątyń, bóstw hinduskich i przekrojów płatów czołowych mózgu. Między fotografiami uczestników programu znajdowało się także i moje zdjęcie, zrobione w studiu White City zaledwie półtora roku temu. Poprawiłem lustro wsteczne i porównałem moje wymizerowane oblicze, posiniaczone czoło i policyjne spojrzenie z zadowoloną z siebie, świeżą twarzą patrzącą na mnie z połyskliwych stronic. Wydawałem się bardzo młody, a na wargach nieomal widać było gładką gadkę.

Wyglądziłem żółkniejącą okładkę i zauważyłem numer telefonu zapisany zielonym długopisem. Obronne zawijasy cyfr, smugi atramentu w nieforemnych pętlach przywiodły mi na myśl inny zestaw cyfr spisany tą samą ręką, numer miejsca parkingowego nabazgrany na bilecie, który pokazałem kierownikowi Azjacie.

Gdy tak patrzyłem na książkę, myśląc o Stephenie Dexterze, na deskę rozdzielczą padł cień. Wokół jaguara kręcił się jakiś mężczyzna, jego twarz skrywała się za kurzem i brudem na szybach. Spróbował podnieść maskę, potem podszedł do drzwi kierowcy i zastukał w szybę.

– Otwórz, Davidzie. Chłopie kochany, znów się zamknąłeś...

30. Amatorzy i rewolucje

Richard...? – Popchnąłem drzwi ramieniem i schwyciłem go za rękę, rad, że go widzę. – Zamknąłem się? Bóg wie dlaczego.

– Musisz nad tym popracować. Z tobą tak zawsze...

Gould przywitał się ze mną serdecznie i pomógł mi wysiąść z jaguara, machając do pluszowych misiów na tylnym siedzeniu. Był spokojny i wypoczęty, patrzył na rzędy zaparkowanych samochodów jak pułkownik dokonujący przeglądu kawalerii pancерnej. Ulżyło mi, gdy zobaczyłem, jak dobrze wygląda. Nosił ten sam wystrzępiony czarny garnitur, który ostatni raz widziałem przesiąknięty potem w pobliżu pałacu biskupiego w Fulham. Ale tym razem garnitur był wyprany i wyprasowany, a Gould założył białą koszulę i krawat, jakby przybył na lotnisko, żeby ubiegać się o pracę lekarza w tutejszym ambulatorium.

Uśmiechnęliśmy się do siebie w słońcu, czekając, aż hałas lądującego samolotu ucichnie między budynkami lotniska. I znów zadziwiło mnie, jak ten wytrwały, niespokojny człowiek potrafi uspokajać wszystko, co go otacza. Nawet gdy pociągał nosem, podrażniony przesyconym naftą powietrzem, czułem, że nadaje światu sens czystym wysiłkiem woli, jak lekarz prowadzący jednoosobową organizację dobroczynną w ogarniętym klęską nieurodzaju zakątku Afryki, który samą swoją obecnością daje tubylcom nadzieję. Patrzył, jak samolot ląduje, a jego pełen tolerancji wzrok zdawał się błogosławić nieskończoność sal przylotów.

– Musimy porozmawiać, cieszę się, że czujesz się lepiej. – Stałem tyłem do słońca i starałem się zajrzeć mu w twarz zakrytą uniesioną ręką. – Tam w Fulham Palace byłeś kompletnie roztrzęsiony.

– Byłem zmęczony. – Gould skrzywił się na to wspomnienie. – Tyle drzew, są jak kamery ochrony. To był trudny dzień. Ta dziwna strzelanina.

– Morderstwo w Hammersmith? Obaj byliśmy w pobliżu.

– Tak. Mówią, że była piękną kobietą. To ładnie z twojej strony, że mi pomogłeś. – Gould oparł się o jaguara i obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głów. – Jesteś wyczerpany, Davidzie. Chelsea Marina źle wpływa na ludzi. Słyszałem, że w ubiegłym tygodniu odbyła się tam potyczka.

– Policja zorganizowała przedstawienie. Chyba wpadliśmy w pułapkę.

– Nie ma w tym nic złego. To wyostrza spojrzenie. Przynajmniej wszyscy zeszli się razem.

– Tak. Razem staliśmy na barykadach. Rewolucja wreszcie się zaczęła. Porwaliśmy się na siły państwa i udało nam się je zablokować. Policja wycofała się, choć nie wiadomo dlaczego.

– Sprawdzali was. Zazwyczaj pomiatano prolami, a teraz próbują tej samej tyrańskiej taktyki na klasie średniej. Ale tego dnia zwycięstwo było wasze. – Gould uśmiechnął się do mnie promiennie jak dumny rodzic słuchający sprawozdania ze szkolnych rozgrywek sportowych. – Jak tam Boadicea?

– Kay? Poprowadziła swój rydwan wprost w ognisty piec. Byłbyś z niej dumny. To widowisko w sam raz dla ciebie. Marzyłeś o tym, Richardzie.

– Wiem... – Gould zrobił gest, jakby dyrygował słońcem. – Muszę się skupiać na tylu różnych rzeczach – ogólna strategia, teraz Stephen Dexter. Może być niebezpieczny.

– On tu był. – Podniosłem głos ponad ckiwe bzyczenie odrzutowca linii Cathay Pacific, schodzącego do lądowania. – Stephen siedział w twoim samochodzie.

– Kiedy? – Gould spojrział ponad moim ramieniem z większą uwagą. – Dzisiaj? Daj spokój.

– Nie dzisiaj. Znalazłem twoje kluczyki dziś rano w jego domu. Był tam też bilet parkingowy z datą z 17 maja. Musiał zabrać twój wóz i przyjechać tutaj na parę godzin przed wybuchem w terminalu numer 2. Myślę, że on...

– Masz rację. – Gould mówił rzeczowo. – Pojechał jaguarem do Heathrow. Musimy go ostrzec, zanim pójdzie na policję.

– Ostrzec? Podłożył bombę w holu odbioru bagaży. Zabił moją żonę. Dlaczego?

– Trudno przejść nad tym do porządku. – Gould przyglądał mi się uważnie, przesuając wzrok po otarciach na mojej twarzy. Był już mniej mnie pewien, jakby bitwa w Chelsea Marina rozdzieliła nas. – Jak udało mu się sforsować zabezpieczenia?

– Był w sutannie. Policja zawsze przepuści księdza, jeśli powie, że idzie do umierającego pasażera. Widziałem tę sutannę w jego domu dziś rano. Położył ją na łóżku jak rekwizyt czarnej mszy.

– To dziwne. Myślałem, że stracił wiarę.

– Odnalazł inną – nagłą śmierć. Vera przetrząsnęła jego dom. Może jest w to wplątana razem z Stephenem. – Próbowałem poruszyć Goulda. – Richardzie, możesz być w niebezpieczeństwie. Stephen zabił moją żonę, a potem tę dziennikarkę z telewizji. Widziałeś, jak to się stało...

– Tak, widziałem, jak umiera. – Głos Goulda przygasł. Jak dziecko, które próbuje skierować uwagę na coś innego, narysował człowieczka na zakurzonej szybie przedniej. – Ale i tak nie możemy pójść na policję.

– Dlaczego?

– Za bardzo jesteśmy z tym wszystkim związani. – Wskazał na range rovera zaparkowanego przed wjazdem na parking. – Kamera na Putney High Street uchwyciła nas, kiedy tamtędy przechodziliśmy. Jesteśmy współnikami, Davidzie.

Próbowałem zaprotestować, zaskoczony jego obojętnością. Drogą biegnącą obok parkingu zbliżał się samochód, szary citroen kombi. Jechał powoli, jakby patrolował okolicę. Zatrzymał się obok nas, za kierownicą siedziała kobieta. Gdy się nam przyglądała, rozpoznałem jaskrawy makijaż oczu i wydatne czoło, ironicznie uśmiechnięte usta i fioletową szminkę.

– Vera Blackburn?

– To ona. – Gould pomachał do niej. Wóz podjął swoją służbę patrolową. – Lady Makbet spod taniego supermarketu.

– Na litość boską... – byłem zniecierpliwiony tym bezceremonialnym poczuciem humoru. – Jak się tu dostałeś?

– Dzisiaj? Vera mnie przywiozła. Lubi przejażdżki na Heathrow.

– Byliście pewni, że znajdziecie tego jaguara? Rozumiem, że nasze spotkanie nie jest dziełem przypadku?

– Mało prawdopodobne, żeby było. – Gould położył mi uspokajającą rękę na ramieniu. – Przepraszam, Davidzie. Nie lubię wodzić cię za nos. Zawsze byłeś taki prostolinijny – wobec wszystkich, tylko nie wobec siebie. Pomyślałem, że nadszedł czas, żeby doprowadzić całość do

punktu krytycznego. I ta aktywność policji, ludzie z bezpieczeństwa, którzy nas coraz ściślej otaczają. Musimy omówić wiele spraw.

– Domyślam się. – Po raz ostatni zerknąłem na Citroena. – Więc Vera czekała na mnie w domu Stephena? Wie, że chodzę codziennie do przystani.

– Tak to wyglądało. Jesteś zdumiewająco punktualny. To burżuazyjne wychowanie, lata doświadczeń, że pociągi się nie spóźniają.

– Udawała, że przetrząsa dom i włożyła bilet wraz z kluczami do sutanny. Zakładałeś, że je znajdę.

– Mieliśmy nadzieję. Vera trochę ci pomogła. Sutanna to był jej pomysł.

– Zgrabne posunięcie. Kobiety są sprytnie w takich sprawach.

– Przymierzałeś?

– Sutannę? Kusiło mnie. Powiedzmy, że jestem nie z tej sekty. – Patrzyłem, jak Gould uśmiecha się do siebie, jak uczeń, któremu ulżyło, że prawda wyszła na jaw. – Czy Stephen Dexter jeszcze żyje?

Gould odwrócił się do mnie zaskoczony.

– Gdzieś się przyczaił. Nie popełni samobójstwa, wierz mi, ma zbyt wielkie poczucie winy. To, co zdarzyło się w terminalu numer 2, prawie przywróciło mu wiarę.

– A co się zdarzyło? Ty wiesz, Richardzie.

– Wiem. – Gould zwiesił głowę, patrząc na swoje zdarte buty. – Chciałem ci powiedzieć, bo ty zrozumiesz, wiedziałbyś, o co nam chodzi...

– Nie rozumiem śmierci na Heathrow. Po co zabijać ludzi? Na litość boską...

– Trzeba przeprowić się przez głęboką rzekę, ale jest most, Davidzie. Jesteśmy usidleni przez kategorie, ściany, które nie pozwalają nam widzieć tego, co dzieje się za rogiem. – Gould wskazał palcem na rozbity pickup. – Akceptujemy śmierć, gdy uważamy, że jest usprawiedliwiona – wojny, wspinaczka na Mount Everest, budowa drapacza chmur, budowa mostu.

– To prawda... – Wskazałem w stronę terminalu numer 2. – Ale nie widzę tam mostu.

– Mosty są w umyśle. – Gould wznosił białą rękę, czyniąc gest w stronę pasa startowego. – Prowadzą nas do prawdziwszego świata, bogatszego odczucia siebie samych. Gdy tylko te mosty się pojawiają, naszym obowiązkiem jest przejść po nich.

– Rozrywając na strzępy Chinę? Czy Dexter był zamieszany w zamach bombowy na Heathrow?

Gould jakby się zapadł w głąb swojego wyświechtanego garniturku.

– Tak. Był zamieszany.

– To on podłożył bombę?

– Nie. Z całą pewnością nie.

– Więc kto to zrobił?

– Davidzie... – Gould wyszczerzył nierówne zęby. – Nie chcę robić uników. Musisz ujrzeć zamach na Heathrow jako część większego obrazu.

– Moja żona zginęła w tym terminalu.

– Wiem. To była tragedia. Jednak, po pierwsze... – odwrócił się do mnie plecami, patrzył na rdzewiejące samochody, potem znów szybko spojrział mi w oczy. – Jak myślisz, co zaszło w Chelsea Marina?

– Dokonała się rewolucja klasy średniej. Ta, dla której pracowałeś. Tak?

– Ależ nie. Protest klasy średniej to tylko objaw. To część znacznie większego ruchu, prądu

drażącego życie nas wszystkich, chociaż większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy. Istnieje głęboka potrzeba działań bezsensownych, im gwałtowniejszych, tym lepiej. Ludzie wiedzą, że ich życie pozbawione jest sensu, i wiedzą też, że nic na to nie poradzą. Albo prawie nic.

– Nieprawda. – Byłem zniecierpliwiony znanymi argumentami. – Twoje życie nie jest pozbawione sensu. Gdy tylko rada lekarska cię oczyści, znów będziesz chodził po salach szpitala dla dzieci...

– Mam coś więcej.

– Szybowce? Zapisalesz się na kurs.

– Odwołałem to. Za bardzo przypomina terapię zajęciową. – Gould osłonił oczy. Samolot wznosił się z pasa startowego. Napinał skrzydła na tle nieba, tytaniczny wysiłek woli i stali. Gdy wzniósł się nad Bedford i skręcił na zachód, Gould pomachał z podziwem. – Heroiczne, ale...

– Nie dość bezsensowne?

– Właśnie. Pomyśl o tych wszystkich pasażerach, w każdym z nich huczy od planów i projektów jak w ulu. Wakacje, konferencje, śluby – tyle celów i energii, tyle małych ambicji, że nikt ich nawet nie pamięta.

– Lepiej byłoby, gdyby samolot się rozbił?

– Tak! To miałyby jakieś znaczenie. Powstanie pusta przestrzeń, w którą możemy zajrzeć z prawdziwym szacunkiem. Bezsensowna, niewytłumaczalna, zagadkowa jak Wielki Kanion. Nie widzimy drogi spoza znaków. Usuńmy je, żebyśmy mogli popatrzeć na tajemnicę pustej drogi. Potrzeba nam więcej pracy przy burzeniu...

– Nawet jeśli giną ludzie?

– Tak, niestety.

– Jak w Heathrow? I w Hammersmith? Czy to Dexter ją zastrzelił?

– Nie. Nie było go w pobliżu.

– A terminal numer 2? – Wyjąłem bilet parkingowy z portfela i przytrzymałem go przed oczami Goulda. – Przyjechał twoim samochodem na dwie godziny przed wybuchem bomby. Co robił, kiedy wysiadł?

– Siedział w wozie. – Gould patrzył na mnie uważnie, zdziwiony, że tak trudno mi pojąć prawdę.

– Może nawet myślał o tobie.

W złości uderzyłem go w ramię.

– Muszę wiedzieć!

– Uspokój się... – Potarł ramię, potem sięgnął do samochodu i wyjął egzemplarz *Neurologa patrzącego na Boga*. Przekartkował go i znalazł moje zdjęcie, młodzieńca uśmiechającego się z samozadowoleniem. – Tamtego ranka Stephen podwiózł mnie do Heathrow. Miałem tu... sprawę do załatwienia.

– Lekarską?

– W pewnym sensie. On miał za zadanie czekać tutaj.

– Zadanie? Jakie zadanie? Dawał komunię świętą na parkingu?

– Musiał gdzieś zadzwonić. – Gould wskazał na cyfry nagryzmołone zielonym długopisem. –

Wybierz ten numer, Davidzie. Masz komórkę. To wiele ci wyjaśni.

Wyjąłem komórkę i czekałem, póki lotnisko się nie uciszyło. Gould oparł się o samochód, dłubiąc coś przy paznokciach, jak mentor znudzony niegdyś dobrze się zapowiadającym uczniem. Popatrzyłem na cyfry wypisane na książce wydanej przez BBC i wybierałem numer.

Szybko odezwał się jakiś głos.

– Ochrona Heathrow... Terminal numer 2. Słucham?

– Halo? Przepraszam?

– Ochrona terminala numer 2. Czym mogę panu służyć?

Wyłączyłem komórkę i trzymałem ją jak granat. Powietrze wokół mnie zrobiło się rzadsze. Rzędy zaparkowanych samochodów, druciany płot i stery ogonowe samolotów zbliżyły się do mnie, jak spiskowcy zamierzający zaatakować niebo. Heathrow było wielką uludą, centrum świata znaków, które niczego nie wskazywały.

– No, Davidzie? – Gould podniósł wzrok sponad paznokci. – Ktoś odpowiedział?

– Ochrona terminalu numer 2. – Wróciłem myślą do komórki biskupa Chichester, którą znalazłem w samochodzie Joan Chang przed galerią Tatę. – Po co Stephen do nich dzwonił?

– Pomysł.

– Miał za zadanie wykonać telefon ostrzegający. Tymczasem ktoś inny podkładał bombę. Ochronie trzeba było dać czas, żeby ewakuowała wszystkich z terminalu.

– Ale telefonu z ostrzeżeniem nie było. Policja jest tego pewna. – Gould kiwał zachęcająco głową. – Stephen nie zadzwonił do ochrony. Dlaczego?

– Bo zamachowiec miał zadzwonić do Stephena, jak tylko podłoży bombę. Ale nie zadzwonił.

– Właśnie. No więc...?

– Stephen pomyślał, że nastąpiła jakaś zwłoka. – Spostrzegłem, że trzymam książkę w rękę i wrzuciłem ją do samochodu. – Siedział tutaj, czytał o Bogu i neurologii. Potem usłyszał wybuch. Domyślił się, że bomba wybuchła, zanim zamachowiec zdołał się z nim skontaktować. Włączył radio w samochodzie i dowiedział się o ofiarach. Musiał być przerażony.

– Był. – Gould odepchnął się od samochodu i zatoczył wokół mnie półkole. – Był głęboko wstrząśnięty. W gruncie rzeczy nigdy się z tego nie otrząsnął.

– I wtedy stracił wiarę. Zostawił tu samochód i jakoś wrócił do Chelsea Marina. Biedak – ale jak usprawiedliwił wobec siebie to, że był zamieszany w zamach bombowy?

– To była część kampanii przeciwko turystyce, zmontowanej przez Kay Churchill. W zamierzeniu miała spowodować zamknięcie Heathrow na kilka dni i zmusić ludzi do myślenia o Trzecim Świecie. Odwołaliby wakacje i przekazali pieniądze dla Oxfam i Lekarzy bez Granic. – Gould uniósł blade dłonie ku słońcu. – Tragiczna pomyłka. To miało być ostrzeżenie. Nie chcieliśmy nikogo zabijać.

– Ale kto był zamachowcem? Vera Blackburn?

– Jest zbyt nerwowa.

– Kay? Nie wyobrażam jej sobie w tej roli.

– Nigdy w życiu. Stephen i ja przyjechaliśmy tutaj sami.

– Ty przyjechałeś ze Stephenem? Więc to ty byłeś zamachowcem? – Odwróciłem się, żeby popatrzeć na Goulda, jakbym go zobaczył po raz pierwszy, obdartego doktora z dziwnymi obsesjami. – Ty zabiłeś wszystkich tych ludzi... i moją żonę.

– To był wypadek. – Gałki oczne Goulda podeszły do góry pod powiekami, tak jak w parku przy Fulham Palace. – Nikt nie miał zginąć. Byłeś przecież w Filmotece Narodowej, Davidzie, zostawiłeś bomby zapalające w wypożyczalni wideo. Nie wiedziałem, że twoja żona jest w tym samolocie.

– To ty podłożyłeś bombę... – odwróciłem się, dotykałem palcami kurzu na przedniej szybie jaguara, jakby ta powłoka brudu mogła osłonić mnie przed tym, czego dowiedziałem się o śmierci Laury. Z trudem opanowałem gniew. Chciałem, żeby Gould mówił swobodnie, nawet kosztem

prawdy. Byłem wstrząśnięty i przygnębiony sobą samym. Przez całe miesiące robiłem za naiwniaka naciąganego przez małą sektę w Chelsea Marina. Wiedziałem teraz, dlaczego Kay zawsze tak się niepokoiła moją coraz bliższą znajomością z Gouldem. O dziwo, nadal martwiłem się o niego.

Gould spojrział mi w twarz.

– Cały drżysz. Usiądź w samochodzie.

– Nie, dziękuję. Nie w tym wozie, wiem, jak musiał się czuć Dexter. – Odepchnąłem go i złapałem za rękaw. – Ale jak się tam dostałeś? Ochrona przy odbiorze bagaży jest ścisła.

– Nie tak ścisła w hali przylotów. Pewien architekt w Chelsea Marina pracuje dla firmy zajmującej się konserwacją portu lotniczego. Zaopatrzył mnie w przepustkę. Włożyłem biały fartuch i przypiąłem plakietkę lekarza. Bombę miałem w neseserze lekarskim. Myślałem, że to urządzenie o niewielkiej mocy. Ale Verę poniosło – to wszystko ze złości.

– A potem położyłeś bombę na konwejerze? Dlaczego właśnie na tym?

– Bagażowy powiedział mi, że w samolocie z Zurychu odkryto gapowiczów. Pasażerów zatrzymali w maszynie i mieli ich nie wypuścić do odprawy celnej przez co najmniej pół godziny. – Gould mówił cicho, ledwie słyszalnym głosem, tłumionym przez ruch na drodze przy parkingu. – Nastawiłem zapalnik na piętnaście minut i podrzuciłem walizeczkę na konwejer, gdy bagaż z Zurychu zaczął spadać ze zrzutni.

– Obok walizki Laury. Kompletny przypadek.

– Nie. To nie był przypadek. Przepraszam cię, Davidzie. – Zanim zdążyłem się odezwać, Gould dokończył: – Na ręczce była plakietka z nazwiskiem. Dostrzegłem je. Myślałem, że walizka należy do kogoś innego.

– Do kogo, mianowicie?

– Do ciebie, Davidzie. – Gould zdobył się na mrugnięcie, wyrażające sympatię. Próbował ukryć uśmiech. – Czytałem *Neurologa patrzącego na Boga*. Na nalepce hotelowej przymocowanej do walizki było coś o konferencji psychiatrycznej sprzed dwóch lat. Doszedłem do wniosku, że to twoja walizka.

– Moja? Więc to ja...?

– Tak, byłeś właściwym celem. – Gould dotknął mojego ramienia jak lekarz, który chce powiedzieć, że wcześniejsza, niepomyślna diagnoza była prawdziwa. – Zawsze uważałem, że ta bomba nas zbliżyła. W pewnym sensie nasza przyjaźń zaczęła się od tej strasznej tragedii.

– Nie sądzę. Ale dlaczego ja?

– Widziałem cię w telewizji, jak mówiłeś o chorobach z wyboru: o narzuconym sobie paraliżu, wymyślonym kalectwie, stanach dobrowolnego szaleństwa – myślałem, że do tej kategorii zaliczasz religię. Strach przed otchłanią, o której tylko prawdziwy szaleniec może myśleć bez drżenia. Pomyślałem, że wstrząsnę tobą i wydobędę cię z tego samozadowolenia. Pożyteczna lekcja zamiast tego, czego dowiedziałeś się na konferencji w Zurychu.

– Więc co się nie udało?

– Wszystko. Teraz wiem, dlaczego zawodowcy zawsze pozostawiają rewolucję amatorom. Celnicy sprawdzali walizkę ciężarnej Jamajki, pracującej jako mrówka dla przemytników narkotyków. Dostała napadu hysterii i zaczęła rodzić. Poprosili mnie o pomoc i znalazłem się w karetce pogotowia jadącej do szpitala Ashford. Próbowałem zadzwonić się do Dextera, potem do ochrony Heathrow, ale utknęliśmy w tunelu. Okazało się, że bagażowy mówił nie o tym samolocie. Gdy pasażerowie z Zurychu podeszli do konwejera, bomba wybuchła. Byłem w szoku, Davidzie.

Usłyszałem twoje nazwisko w wiadomościach i uznałem, że nie żyjesz.

– A potem pojawiłem się w domu Kay.

– Wstałeś z grobu. W pewnym sensie już cię zabiłem, z najbardziej idealistycznych powodów. Lubiałem cię, Davidzie. Byłeś poważny, chociaż giętki, i szukałeś jakiejś prawdy. Laura stanowiła drzwi do twojego prawdziwego ego i ja je otworzyłem.

– Na długo się ukryłeś.

– Obserwowałem cię. Rewolucja klasy średniej była w toku, a Kay była naszą Joanną d'Arc. Wyłączyła głosy gadające do niej w głowie, wszystkie te idiotyczne hollywoodzkie filmy. Pięćdziesiąt lat temu byłaby żoną jakiegoś postawnego, młodego wikarego, organizowałaby partyjki wista i dodawała pikanterii jego życiu seksualnemu. Nie mogła pojąć, dlaczego straciłem zainteresowanie podkładaniem bomb dymnych w wypożyczalniach wideo i biurach podróży.

– Ale po Heathrow wszystko się zmieniło. – Nadal starałem się opanować i trzymałem ręce przy sobie; unikając wzroku Goulda, zachęcałem go do dalszych wypowiedzi. – Spostrzegłeś tam coś ważnego, mimo że zginęli ludzie.

– Dobrze powiedziane, Davidzie. – Gould poklepał mnie po ramieniu i poszperał w kieszeniach, jakby chciał *znaleźć* jakiś symboliczny podarek, żeby mi go wręczyć. – Pamiętaj, pracowałem z tymi nieszczęsnymi dziećmi. Byłem ich przedstawicielem i szukałem odpowiedzi. Jeśli staniesz naprzeciwko dwulatka umierającego na raka mózgu, co powiesz? Nie wystarczy mówić o wielkim planie przyrody. Albo świat jest w błędzie, albo szukamy znaczeń w niewłaściwych miejscach.

– I zacząłeś oglądać się na Heathrow?

– Tak – tamta śmierć była pozbawiona sensu i niewytłumaczalna, ale może to właśnie było to. Nieumotywowane czyny zatrzymują wszechświat w miejscu. Gdybym zasadził się na ciebie, żeby cię zabić, byłaby to kolejna podła zbrodnia. Ale gdybym zabił cię przypadkiem albo bez przyczyny, twoja śmierć miałaby wyjątkowe znaczenie. Żeby świat nie oszalał, szukamy motywu, zdajemy się na przyczynę i skutek. Wyrzuć to, a zobaczysz, że tylko akt pozbawiony sensu ma jakikolwiek sens. Zajęło mi trochę czasu, żeby to zrozumieć, ale twoja „śmierć” była dla mnie zielonym światłem.

– Potem wstałem z grobu, a tobie potrzebna była kolejna ofiara.

– Nie ofiara. – Gould uniósł dłoń, żeby mnie poprawić. Wreszcie się odprężył, znów przekonany, że go rozumiem i jestem po jego stronie. Stał w wyświechtanym garniturku obok rdzewiejącego samochodu jak lekarz domokrażca nawiedzający lotniskowe parkingi z lekarstwem na wszystko. – Słowo „ofiara” implikuje złe intencje. Nie jestem zły, Davidzie. Potrzebny był mi partner, współpracownik, który przyłączyłby się do mnie w poszukiwaniu prawdy absolutnej.

– Ktoś, kogo nie znałeś i nigdy nie spotkałeś?

– Właśnie. Jeśli to możliwe, ktoś sławny, o kim nigdy nie słyszałem. Sławny, ale całkowicie pozbawiony znaczenia. – Gould zapatrzył się na dziecięcą nalepkę, przytwierdzoną do przedniej szyby jaguara. – Ktoś taki, jak drugorzędny prezenter telewizyjny...

31. Sentymentalny terrorysta

Czy Gould fantazjował? Patrzyłem, jak odchodzi od jaguara, z oczami utkwionymi w rzędach lśniących, dyrektorskich samochodów, jakby zakurzony sedan przypominał mu o tych nędznych dniach, zanim rozpoznał swoje prawdziwe powołanie. Przerobił się na posłańca prawdy, oddał garnitur do pralni chemicznej i włożył czystą koszulę z krawatem. Zatrzymał się, gdy dotarł do mojego range rovera, i spojrział na swoje odbicie w czarnych drzwiach, blady nimb głowy szybujący po lakierze, jak wtedy, gdy snuł się między drzewami w biskupim parku. *Krzyk* Muncha przeniesiony na długoterminowy parking duszy.

Z kieszeni wyjął małą chusteczkę i wypolerował noski butów, potem wrócił do jaguara, gotów poświęcić mi cały swój czas. Czy naprawdę podłożył bombę na konwejerze w terminalu numer 2, czy też był to wytwór jego wyobraźni? A może żądny przemocy uczepił się aktu terroru, dokonanego przez jakąś niezidentyfikowaną grupę, i uzurpował sobie jego własność? Czy oszukiwał sam siebie i wierzył, że to on jest zamachowcem, a potem posunął się do morderstwa w Hammersmith, dodając niewyjaśnione przestępstwa, żeby nadać sens niewytłumaczalnemu?

Ale człowiek, który się do mnie zbliżał, uśmiechał się z nieśmiałą ufnością, patrzył z troską, w której nie było niczego fanatycznego. Był troskliwym lekarzem w sali szpitalnej świata, zachęcającym, wyjaśniającym, zawsze gotowym, by usiąść obok wystraszonego pacjenta i przedstawić skomplikowane rozpoznanie w słowach zrozumiałych dla laika.

– Davidzie...? – Poklepał mnie po ramieniu bezkrwistą ręką. – Nie chcę, żebyś się martwił. Wiem, że trudno zaakceptować takie rzeczy.

Spodziewasz się, że wszystko się zatrzyma – dlaczego drogi nie są ciche, dlaczego samoloty nie stoją na lotnisku? Coś potrząsnęło ziemią, a ludzie nadal robią sobie herbatę...

– Dobrze. Jestem gotów cię wysłuchać.

– To nie są zwierzenia. – Przygładził wytarte klapy garnituru. – Musisz zrozumieć – idąc za tą młodą kobietą do jej drzwi, nie czułem zła.

– Wiem, Richardzie. Wiem, że tak było.

– To dobrze. To było nagłe olśnienie, prawie objawienie. Zobaczyłem ją w centrum handlowym przy King Street i pomyślałem...

– Czy Stephen Dexter ją śledził?

– Nie. To on śledził mnie. Wiedział, w czym rzecz, mówiliśmy o tym wiele razy. Po Heathrow i galerii Tatę ona stanowiła następny, logicznie narzucający się krok. Chciał mnie powstrzymać, zanim go uczynię. Kiedy usłyszał, że widziałem ją kilka dni wcześniej, wychodzącą z River Cafe, zaczął się martwić. Doszedł za mną do centrum handlowego przy King Street i zadzwoniły dzwonki ostrzegawcze. Trudno było się go pozbyć. Tyle kamer nas obserwowało.

– Spotkałeś ją wcześniej?

– Nie. Wiedziałem, że jest sławna, a Vera powiedziała mi, kim jest. Była celem doskonałym pod każdym względem. To mnie uspokoiło – żadnego przewlekłego poczucia winy, żadnego kaca nad muszlą klozetową...

– Byłeś zabójcą doskonałym, bez motywu?

– Vera miała jej adres na liście otwartym w sprawie turystyki do Trzeciego Świata. To było gdzieś niedaleko River Cafe, więc poprosiłem, żebyś na mnie zaczekał w którejś z bocznych uliczek.

– Jak się dostałeś w pobliże jej domu? Poszła prosto do siebie.

– Za centrum handlowym jest parking. Poszedłem tam za nią. Przedstawiłem się i powiedziałem, że jestem lekarzem, jednym z amatorów tego listu otwartego. Powiedziała, że podwiezie mnie do szpitala Charing Cross i po drodze weźmie list od Very.

– Potem wysiadłeś z samochodu i poszedłeś za nią? Byłeś uzbrojony?

– Oczywiście. Trochę ćwicyłem z bronią, wiedząc, że ten dzień nadejdzie. – Gould rozpiął marynarkę, pokazując lufę wystającą z małej, skórzanej kabury tkwiącej mu pod pachą. – Stała tyłem do mnie, wkładała klucz do zamka. To był odpowiedni moment.

– Dlaczego na progu? – Z wysiłkiem panowałem nad oddechem, starając się nie rozpraszać Goulda. – Mieszkała sama. Nikt nie znalazłby jej przez wiele dni.

– Nie chciałem widzieć jej mieszkania. Jak umeblowała salon, jakie obrazki zawiesiła, jakie zaproszenia trzyma na gzymsie kominka. W ten sposób zbliżyłbym się do niej. Jej śmierć nie byłaby już bezsensowna.

– Więc zastrzeliłeś ją. – Patrzyłem na Goulda, myśląc o Laurze siedzącej wśród szczątków w terminalu numer 2. – Złapałeś autobus do Fulham Palace i czekałeś w parku. Byłeś...

– Wytracony z równowagi. Przejściowo obłąkany. To mną wstrząsnęło. – Gould mówił to niemal bezceremonialnie, jakbyśmy byli kolegami, którzy dobrze się rozumieją. – Ale warto było tego dokonać, Davidzie.

– Trudno to zrozumieć.

– Zaakceptujesz to. Jestem ci wdzięczny. Musiałem zobaczyć te drzewa.

– I wyrzuciłeś pistolet do rzeki. Gdyby policja przepytала stare małżeństwo z parku, mogliby cię zidentyfikować.

– Mnie? I ciebie. – Gould pokiwał w zamyśleniu głową. – Samochód, którym zabójca uciekł – prowadziłeś go. Byliśmy współnikami.

– Nieprawda. Nigdy nie posunąłbym się do morderstwa.

– Wtedy nie. Ale zmierzasz ku niemu. Nawet teraz.

– Nigdy. – Nie mogłem dać sobie rady z intensywnym i przyjacielskim spojrzeniem Goulda. Odwróciłem się w stronę jaguara. Światło słoneczne padało na zielone cyfry z okładki książki. – A bomba w galerii Tatę? To też ty?

– To kolejna fuszerka. Nikt nie miał ucierpieć. Dexter był chętny do współpracy, a ja powiedziałem mu, że zostawię bombę na moście Millenium razem ze sztalugami i artystycznymi bibelotami. Była to część naszej kampanii przeciwko wszystkiemu, co reprezentuje galerię Tatę. Coś, co miało nią zatrzęść.

– A zadaniem Stephena było wykonanie telefonu z ostrzeżeniem, żeby zdążyli ewakuować most?

– Właśnie. Ale ochroniarz nie pozwolił mi tam malować – to zła wiadomość dla każdego początkującego Moneta czy Pissarra. Bomba była w albumie Very, więc zostawiłem ją w księgarni. Kiedy wyszedłem, zobaczyłem, że nadchodzi Joan Chang. Kolejny lojalny uczeń, który miał mnie na

oku.

– Nie ufała ci?

– Po Heathrow już nie. Wiedziała, czego naprawdę chce. Stephen był zdenerwowany, czuł się odpowiedzialny za śmierć wszystkich tych ludzi.

– Dziwisz się?

– I tak, i nie. – Gould dotknął pajacyka naklejonego na szybę, jakby objaśniał rzecz dzieciom z hospicjum w Bedfont. – Stephen widział to dwojako. Po zamachu na Heathrow powiedział mi, że znów poczuł obecność Boga, jak urojoną kończynę budzącą się do życia. Potrzeba mu było tego poczucia winy. Dlatego zgodził się wziąć udział w robocie przy galerii Tatę. Nieświadomie żywił nadzieję, że ktoś zginie.

– Ale nie Joan Chang. Widział, jak biegnie w panice, i domyślił się, że znalazła bombę. Dlatego zadzwonił do ochrony.

– Trochę za późno. To kłopot z wszystkimi religiami – za późno przychodzą na miejsce zdarzenia. – Gould wyjął chusteczkę z mojej kieszonki na piersi i wytarł sobie palec wskazujący. – Przykro mi z powodu Joan. Lubiłem ją, a to zepsuło eksperyment.

– A Dexter? Wcześniej czy później zawiadomi policję.

– Na razie nie. Potrzebuje jeszcze poczucia winy, jeśli Bóg ma wrócić i zbawić go. Poza tym on mnie rozumie. Ty też, Davidzie.

– Nie. – Zatrzasnąłem drzwi jaguara i spróbowałem zapanować nad sobą. – To jest szaleństwo. Wszystko – bezsensowna przemoc, przypadkowe morderstwa, zamachy bombowe. To zamknięty krąg przestępstw. Życie jest więcej warte.

– Niestety, życie nic nie jest warte. Albo prawie nic. – Niespeszony moim wybuchem gniewu, wziął mnie pod ramię. – Bogowie umarli, a my już nie ufamy własnym marzeniom. Wylaniamy się z otchłani, patrzymy przez chwilę za siebie i znów wchodzimy w otchłań. Młoda kobieta leży martwa na progu swojego domu. Bezsensowne przestępstwo, ale świat wstrzymuje oddech. Nasłuchujemy, ale kosmos nie ma nam nic do powiedzenia. Jest tylko cisza, więc to my musimy przemówić.

– My?

– Ty i ja. – Głos Goulda przeszedł nieomal w szept, jakby mówił do jednego z umierających dzieci. Złapał mnie za ramiona uspokajającym gestem. – Jest wiele do zrobienia, kolejne akcje, które trzeba zaplanować. Wiem, że mnie nie zawiedziesz.

– Nie zawiodę? Przecież zabiłeś moją żonę.

– Nie będę wymagał, żebyś dokonał czegoś brutalnego; to nie leży w twojej naturze. Przynajmniej na razie...

Mówił aksamitnym, uspokajającym głosem, ale dłoń sięgała do kabury pod pachą. Oparł się o mnie, głowę miał o kilkanaście centymetrów od mojej. Żrenice powędrowały w górę, otoczyła go ostrzegawcza aura, którą widziałem w Bishop's Park. Zrozumiałem, że zastanawia się, czy nie jestem zbyt niebezpieczny, żeby zostawić mnie na parkingu. Gdyby znaleziono mnie martwego w jaguarze, z biletem parkingowym w dłoni, policja szybko doszłaby do wniosku, że to ja byłem sprawcą zamachu na terminal numer 2 i zabójcą byłej żony.

– Davidzie, muszę być pewien...

– Jestem z tobą. – Ostrożnie doбираłem słowa. – Mogę zrozumieć, co robisz.

– To dobrze. Musimy zostać przyjaciółmi.

– Jesteśmy przyjaciółmi. Po prostu muszę się z tym wszystkim oswoić.

– Naturalnie. Nie możesz się z tym zgodzić. – Gould poklepał mnie po policzku. – Nie martw się, omówimy następną akcję.

– Wybrałeś już... cel?

– Jeszcze nie. Ale będzie duży, wierz mi.

Odwrócił się ode mnie i uniósł ręce w górę. Odpowiedziało mu pulsowanie reflektorów samochodu, zaparkowanego sto metrów dalej. Citroen kombi wyjechał z zatoczki i potoczył się w naszą stronę. Za kierownicą siedziała Vera Blackburn. Gould ruszył w stronę drogi przy parkingu, trzy kroki przede mną, sprawdzając, czy buty lśnią jak należy. Gdy doszedł do krawężnika, zatrzymał się, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Będziemy w kontakcie. Nadal mieszkasz u Kay?

– Tak. Ona jest w wirze walki. Czy Chelsea Marina mieści się w twoich planach, czy nie?

– Zupełnie nie. – Gould patrzył na swoje ręce i, zaciskając dłonie, próbował wywołać na nich trochę koloru. – To banalna sprawa – zebranie komitetu rodzicielskiego, które wyrwało się spod kontroli. Rodzice zdemolowali pokój nauczycielski i zamknęli dyrektorkę w ubikacji.

– Jesteś niesprawiedliwy. Osiągnięto poważny postęp.

– Masz rację. Klasa średnia to bardzo poważni ludzie. – Pomachał do Very, gdy citroen podjechał bliżej. – Dlatego musieli wymyślić tyle zabaw. Prawie każda gra, którą sobie wyobrazisz, została wynaleziona przez klasy średnie.

Usadowił się na fotelu obok kierowcy. Vera uśmiechnęła się do niego przelotnie, nie zwracając na mnie uwagi. Spieszyła się z odjazdem, zanim numer rejestracyjny wozu zostanie zapisany w komputerze.

Gould oddał mi chusteczkę.

– Przy okazji, w ubiegłym tygodniu widziałem Sally.

– Mówiła mi.

– Była bardzo miła. Sądzę, że chce, żebyś wrócił.

– Zawsze tego chce. To jedna z tych zabaw klasy średniej. Po co tam poszedłeś, Richardzie?

– Nie jestem pewien. Szukałem cię.

– Miałeś ze sobą pistolet.

– Musiałem. Żyjemy w niebezpiecznych czasach.

– To ty sprawiłeś, że są niebezpieczne. Chciałeś ją zastrzelić?

– Prawdę mówiąc...

Nie skończył zdania, bo Vera zdjęła nogę z hamulca i citroen odjechał.

Patrzyłem, jak samochód jedzie uliczką między zaparkowanymi wozami, zajeżdża drogę autobusowi lotniskowemu i rusza ku wyjściu. Za mną stał jaguar pokryty płaszczem kurzu. Wyjąłem komórkę i zastanawiałem się, czy zadzwonić na policję. Najlżejsze naciśnięcie guzika połączyłoby mnie z ochroną terminalu numer 2 i policja szybko upolowałaby citroena.

Tak, jak się spodziewałem, mój kciuk zawahał się. Richard Gould był bardziej obłąkany niż którykolwiek z pacjentów, którzy przewinęli się przez Instytut Adlera, ale zawsze było mi miło, gdy go widziałem. Mimo że usiłował mnie zabić, poczułem się spokojniejszy i bardziej pewien siebie. Długie poszukiwanie zabójcy Laury zakończyło się, a szalony pediatra, przyznając się, uwolnił mnie.

32. Spadek cen nieruchomości

Kiedy wróciłem do Londynu, Chelsea Marina stała w ogniu. Z estakady w Hammersmith widziałem chmury dymu i pary unoszące się znad rzeki. Słyszałem zawodzenie karettek, przewożących rannych do szpitala Charing Cross. Tłumy gapiów wypełniały King's Road. Ściśnięci za stalowymi barierkami patrzyli, jak płomienie unoszą się nad kilkunastoma domami osiedla. Wozy strażackie i policyjne furgonetki blokowały ulicę, ich światła omiatały kluby tańca erotycznego i biura turystyczne z tanimi biletami lotniczymi.

Zaparkowałem na Fulham Road, o kilometr od osiedla i poszedłem za tłumem podekscytowanych uczniów zmierzających w stronę tego przedwczesnego pokazu sztucznych ogni z okazji spisku prochowego Guya Fawkesa. Z góry sfrunęły kawałki zwęglonego papieru, strzepnąłem z rękawa spopielony strzep karty kredytowej. Rachunki z winiarni, rachunki za lekarza i akcje dryfowały w dół z nieba, inwentarz dobiegającego końca życia klasy średniej.

Tak jak się obawiałem, zawieszenie broni okazało się krótkie. Wkrótce po moim wyjeździe do Heathrow wielki oddział policji wkroczył do Chelsea Marina i błyskawicznie przejął kontrolę nad osiedlem. Ekipy umundurowanych funkcjonariuszy przecwałowały przez furtki dla pieszych, a desant rzeczny skorzystał z przyływu, żeby wylądować na przystani.

Trzy godziny później było po akcji. W geście oporu właściciele podpalili kilkanaście domów, ale samochody strażackie czekające na King's Road nadjechały bezzwłocznie. Kilku mieszkańców, którzy doznali oparzeń lub zostali brutalnie pobici przez policję, przeniesiono do karettek, zanim ekipy telewizyjne podeszły bliżej. Małą barykadę wzniesioną na Beaufort Avenue zmieciono w kilka sekund. Chelsea Marina była teraz zarządzana wspólnie przez policję i lokalne władze gminne.

Kiedy dotarłem na King's Road, policjanci z prewencji pili herbatę przed biurem administracji, a ekipy telewizyjne pakowały kamery. Gwizdy wypełniały powietrze wokół mnie; przypuszczałem, że przekleństwa skierowane są pod adresem policji.

Ale celem wyzwisk było rodzinne bmw opuszczające osiedle. Rodzice i trójka dzieci siedzieli stłoczeni między walizkami, a wystraszony labrador tkwił przy tylnym oknie. W świetle neonówek rozpoznałem kierownika oddziału banku i jego żonę, z Grosvenor Place. Z opuszczonymi głowami skręcili w King's Road. Tłum obsypywał ich wyzwiskami, rzucał drobne monety i potrząsał stalowymi barierkami. Obok mnie bileterka z kina przy King's Road, kobieta w średnim wieku, potrząsnęła z obrzydzeniem głową.

- Gdzie są wszyscy? – zapytałem ją. – Osiedle wygląda jak opustoszałe.
- Odeszli. Mnóstwo ludzi. Setki samochodów. Po prostu wsiedli i pojechali.
- Dokąd?
- A kogo to obchodzi? – Strzepnęła zwęglony kawałek odcinka kontrolnego czeku z szamerowanego uniformu. – Kradną w sklepach, kupują benzynę na lipne karty kredytowe. Jak

Cyganie. Krzyżyk im na drogę!

– Nie wie pani, dokąd pojechali?

– Nie chcę wiedzieć. Patrz pan, w jakim stanie zostawili to miejsce. Ładnie zbudowane, te domy mogłyby przyjąć...

Wyjeżdżała kolejna rodzina. Żona ponuro wczepiona w kierownicę, mąż walczący z mapą, dwie nastoletnie córki trzymające wystraszonego perskiego kota. Odwracali wzrok, a szyderstwa goniły ich, aż zniknęli w ruchu ulicznym King's Road.

W bramie pojawił się wóz strażacki, załoga uchylała kasków przed tłumem. Za nimi jechał samochód policyjny z zakutym w kajdanki więźniem na tylnym siedzeniu, obok policjantki z zabandażowanym nadgarstkiem. Rozpoznałem sierżant Angelę, którą ostatni raz widziałem przed Domem Radia. Patrzyła surowo na wiwatujących widzów i najwyraźniej była czymś zaniepokojona. Wtedy zdałem sobie sprawę, że więźniem jest Kay Churchill, z włosami ściągniętymi taśmą w barwach maskujących i policzkami wysmarowanymi czarną farbą, używaną przez komandosów. Wzniosła środkowy palec pod adresem gapiów, grożących jej pięściami, wyczerpana, ale jak zwykle uduchowiona, nadal w myślach stała na barykadzie.

Przepchnąłem się obok gwizdzącej bileterki i przecisnąłem między dwoma fragmentami stalowych barier. Przeszedłem przez King's Road z nadzieją, że dotrę do Kay, zanim samochód policyjny ruszy dalej, ale jakiś policjant złapał mnie za ramię i energicznie doprowadził do budki strażnika.

Dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu stało przy biurze, rozmawiając wśród rozrzuconych plastikowych kubków do herbaty. Jednym z nich był jasnowłosy major Tulloch, znudzony, ale czujny, z wzrokiem utkwionym w wielką chmurę pary wznoszącą się nad strawionymi przez ogień domami przy Beaufort Avenue. Obok niego stał Henry Kendall w żółtej, policyjnej kurtce, narzuconej na garnitur. Światło odbite od kurtki nadawało pewnej sobie twarzy chorobliwy odcień. Wyglądał, jakby bardzo chciał wrócić w bezpieczne pielesze St John's Wood i instytutu.

Na mój widok powiedział coś do majora Tullocha, który dał znak policjantowi, a potem wycofał się w tłum policjantów i strażaków.

– No, Henry – przyjąłem plastikowy kubek z herbatą dla ofiar bombardowań, podaną przez stłuczone okno biura kierownika – wstąpiłeś do Scotland Yardu?

– Jestem cywilnym ekspertem – Henry zakasłał, podrażniony pełnym sadzy powietrzem. Krawat miał elegancko zawiązany, ale wyglądał na rozstrojonego ciężkim dniem. – Przedstawiam im to wszystko w odpowiednim kontekście.

– To ładnie z twojej strony. I jaki jest ten kontekst?

– To nie był zwyczajny bunt. Ważne, żeby policja to zrozumiała. – Zdawało się, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy. – A co ty robisz w Chelsea Marina?

– Mieszkam tutaj, Pamiętasz?

– Prawda. – Nadal zaskoczony dodał: – Wszyscy wyjechali. Aresztowali twoją gospodynię za to, że ugryzła policjantkę. Czy ty...?

– Czy brałem udział w oblężeniu? Właśnie wróciłem z Heathrow. Ominęła mnie cała balanga.

– Trwała ponad pół godziny. Kilku twardzieli podłożyło ogień pod swoje domy. Inni spakowali się i wyjechali.

– Dlaczego?

– Ze wstydu. Myślę, że się wstydzą. – Zaczął przysłuchiwać się dwóm stojącym w pobliżu

policjantom, którzy omawiali weekendową aukcję samochodów w Acton. – Wyglądasz na wykończonego, Davidzie. Rozmawiałaś z Sally?

– Gdzie? Nie ma jej z tobą?

– Nie. Rzadko się widzujemy. Kilka razy do niej dzwoniłem, ale chyba gdzieś wyjechała z przyjaciółmi. Co robiłaś w Heathrow?

– Prowadziłem śledztwo w sprawie bomby podłożonej w terminalu numer 2. Chyba na coś wpadłem.

– Miejmy nadzieję. Scotland Yard nadal interesuje się Laurą. Nie wiem, ile to warte, ale myślę, że to nie ona była celem.

– Jestem pewien, że nie ona.

– Prawdę powiedziawszy, w ogóle mogło nie być konkretnego celu. Powstaje nowy rodzaj terroryzmu. Stare cele nie zdały egzaminu, więc uderzają na chybił trafił. Trudno to zrozumieć.

– Myślę, że w tym tkwi sedno sprawy. – Zaniepokojony jego stanem, gdy gapił się zakłopotany na dymiące domy, powiedziałem: – Henry, dookoła kręcą się bardzo dziwni ludzie.

– Szczególnie tutaj. Chelsea Marina stała się ich wylęgarnią. Ten ekscentryczny lekarz, pediatra...?

– Richard Gould? Sally raz się z nim widziała – uznała, że jest bardzo atrakcyjny.

– Naprawdę? – Henry lekko się wzdrygnął. – Był tutaj przewodnikiem. Te bomby dymne i anonimowe zamachy to wszystko jego pomysły. Widziano was razem.

– Dlaczego policja nas nie aresztowała?

– Mieli taki zamiar. – Henry energicznie pokiwał głową, nie spuszczając mnie z oczu. – Sally zmusiła mnie do interwencji. Porozmawiałem z wyższymi urzędnikami w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i przekonałem ich, że możesz być dla nas cenny. To, co stało się w Chelsea Marina, może być początkiem czegoś większego. Już wtedy jest niedobrze, kiedy robotnicy podpalają gminne osiedla mieszkaniowe, ale gdy klasa średnia wychodzi na ulice, to zapowiedź prawdziwych kłopotów.

– Masz rację, Henry. Efekt, jaki to wywrze na ceny nieruchomości...

– Jest niewyobrażalny. – Henry gładko wrócił do poprzedniego tematu. – Wyjaśniłem, jakie są twoje motywacje i że potajemnie pracujesz dla mnie. Obiecali, że cię zostawią w spokoju, chyba że sprawy całkowicie wymkną się spod kontroli.

– Jestem ci bardzo wdzięczny. Więc przez cały czas byłem policyjnym szpiegiem? Nie zdając sobie z tego sprawy?

– W zasadzie tak. – Henry poklepał mnie po ramieniu, jakby odznaczał mnie pomniejszym medalem za męstwo na polu bitwy. – Możesz mieć całkiem pożyteczny wkład w tę sprawę, Davidzie. Zeznania z pierwszej ręki, wgląd w to, jak uraza sama się napędza. Za jakiś tydzień planujemy wizytę u ministra spraw wewnętrznych. Zobaczą, czy uda się cię umieścić w składzie oficjalnej delegacji. Sally uważa, że nadszedł czas, żebyśmy zaczęli twoją rehabilitację...

Gdy opuszczaliśmy Chelsea Marina, policja regulowała okolicznym ruchem. Rozczarowany brakiem akcji tłum wiwatował na naszą cześć, a potem nas wygwizdał, gdy przechodziliśmy przez jezdnię.

St John's Wood nie zmieniło się, trwała dekoracja sceniczna zbudowana w spokojniejszych czasach. Turyści i fani Beatlesów nawiedzali Abbey Road, a kierowcy polowali na miejsca do

parkowania. Nie mogłem znaleźć wolnej zatoczki i zostawiłem range rovera na podwójnej żółtej linii. To naruszenie przepisów sprawiło, że młodą parkingową zamurowało. Podeszła do mnie, zakładając, że jestem gościem z innej planety, nieznanym społecznym zwyczajów, które chronią cywilizację i sprawiają, że chodniki wolne są od wilków i pułapek.

O pięć kroków ode mnie zatrzymała się i uniosła bloczek mandatowy, jakby chciała się bronić. W moim zachowaniu zobaczyła jakąś dzikość, wskazującą, że nieobca jest mi przemoc. Posiniaczone czoło i smugi na policzkach przywołały jej na myśl innych społecznych wyrzutków, piratów drogowych, handlarzy walutą rozbijających się w porsche i kierowców z nieważnym ubezpieczeniem, prześladujących ją we snach.

Zaczekałem, aż się zmyje, i poszedłem do domu. Miałem nadzieję, że Sally będzie leżała na kanapie z ulubioną książką, co stanowiło sygnał, że potrzebuje mojej uwagi. Ale na progu leżał stos gazet, namoknięty po nocnym deszczu, więc uznałem, że nadal jest gdzieś z przyjaciółmi.

Podniosłem popołudniową gazetę dostarczoną zaledwie kilka minut przed moim przybyciem i przyjrzałem się tytułom:

Rebelianci z luksusowych mieszkań poddają się.

Elegancka elita stosuje politykę spalonej ziemi.

Zdobądź dom w Chelsea Marina.

Ale my się nie poddaliśmy. Exodus był taktycznym odwrotem, pryncypialną odmową zaakceptowania rządów policji i komorników. Zamiast poddać się protekcyjalnemu uszczęśliwianiu ze strony pracowników socjalnych i psychologów takich jak Henry i ja sam, mieszkańcy postanowili wyjechać z wysoko podniesionymi głowami i nietkniętym honorem. Rewolucja będzie kontynuowana od uzgodnionej daty, rozpleni się po setkach innych osiedli klasy średniej rozsianych po całym kraju, w bliźniakach w stylu tudoriańskim i pseudogeorgiańskich willach. Gdzie tylko znajdzie się prywatna szkoła albo śnieżnobiała miska klozetowa, przedstawienie Giberta i Sullivana albo stary, ukochany bentley, widmo Kay Churchill rozświetli ciemności, nadzieja wystrzeli z jej uniesionego palca.

Musiałem dowiedzieć się, gdzie trzymano Kay, odwiedzić ją jak najszybciej ze zmianą odzieży, listą adwokatów i sumą wystarczającą, żeby zapewnić jej stały dopływ skrętów podczas tych tygodni, które spędzi w areszcie śledczym. Rzuciłem popołudniówkę na stos mokrych gazet, pomachałem do parkingowej i otworzyłem drzwi wejściowe.

Stanałem w holu, przysłuchując się pustemu domowi. Głęboka cisza rozpadu spowijała pokoje, spokój zużytych uczuć, emocji wyczerpanych jak baterijki w gadających zabawkach, naśladowanych odgłosy otoczenia. Uznałem, że Sally dała gosposi tydzień wolnego. Kurz wiszący w promieniach słońca ożył i krążył wokół mnie na podobieństwo girlandy.

Z szafy w naszej sypialni powitała mnie mieszanka perfum, wspomnień z restauracji i proszonych obiadów. W łazience wyczułem zapach ciała Sally, słodkie, zabójcze ślady jej włosów i skóry na ręcznikach. Na jej toalecie leżały te same bibeloty, miniaturowe miasto butelek i słoików. Tęskniłem do niej i miałem nadzieję, że pewnego dnia będę mógł ją zabrać i zamieszkać z nią w Chelsea Marina.

Włączyłem automatyczną sekretarkę i wysłuchałem nagranych głosów Sally. Wyjechała na dwa tygodnie i zwiedza Bretanię wraz z przyjaciółmi. Jej głos wydawał się odległy i niezdecydowany, jakby nie była pewna motywów swojego wyjazdu.

Martwiłem się o nią, ale gdy usiadłem na łóżku, wyczuwając ręką nikły odcisk jej ciała, zrozumiałem, że czekam, aż zadzwoni do mnie Richard Gould.

Hałas samolotów z Heathrow nadal bębnił mi w głowie, prawie głuszając głos Richarda, gdy ten wykladał swoje credo o pozbawionej sensu przemocy. Myślałem o jego wyprasowanym garniturze i wyczyszczonych butach, o bladej, ale już pełniejszej twarzy z oznakami zdrowia jak pierwsze wiosenne kwiaty i wiedziałem, że budzi się z długiego snu. Szedł przez nieoświetlony świat, odmawiał uznania, że istnieje coś więcej niż jego dzieci z uszkodzonymi mózgami, był Piotrusiem Panem zaginionych chłopców. W Bishop's Park w końcu zobaczył słońce nad wysokimi drzewami. Lubiałem Richarda i martwiłem się o niego, ale nadal nie byłem pewien, czy mogę mu wierzyć. Czy naprawdę zdetonował bombę na Heathrow i zabił młodą kobietę na progu jej domu w Hammersmith? Czy był nowego rodzaju fanatykiem, który potrzebuje mrzonek o przemocy absolutnej, i tylko wtedy jest w pełni sił żywotnych, gdy wyobraża sobie siebie jako sprawcę odrażających zbrodni?

Siedziałem samotnie przy stole w jadalni, piłem ciepłą whisky i patrzyłem, jak kurz układa się w coraz nowe wzory wokół mnie. Wiedziałem, że powinienem pójść na policję, ale wyczuwałem sens logiki Goulda. Ten bezwzględny i zrozpaczony człowiek wskazywał drogę do przerażającej prawdy. Legion miernot mnożył tabele nowej matematyki opartej na sile zera, generował wirtualną psychopatologię ze swoich cieniów.

Gould nie zadzwonił, ale następnego dnia asystent Henry'ego Kendalla zatelefonował i powiedział mi, że minister spraw wewnętrznych odbędzie krótką wizytę w Chelsea Marina na czele delegacji socjologów, urzędników i psychologów. Szczegóły wizyty i niezbędna przepustka są w drodze.

Odłożyłem słuchawkę na widełki, zaskoczony, że jest taka lekka. Duszny pokój wypełnił się jaśniejszym światłem. Wiedziałem, że wkrótce wrócę do mojego prawdziwego domu.

33. Wystawić się na słońce

Davidzie? Wejdz. Wszyscy na ciebie czekamy. Richard Gould stał przy oknie mieszkania na najwyższym piętrze domu przy Cadogan Circle, głowę miał wzniesioną ku niebu, rozpościerał ręce, jakby oddawał się słońcu. Wokół niego, na ścianach salonu, wisiały wykresy okulistyczne, okrągłe mapy siatkówki przypominające namierzone cele. Był spokojny, ale beztroski, umysłem przebywał między wysokimi drzewami w Bishop's Park. Uświadamiając sobie swoją obecność, wyłonił się z marzeń jak aktor wychodzący z plamy światła rzucanego przez reflektor i przyzwał mnie skinieniem ręki.

– Cieszę się, że przyszedłeś. Myślałem, że będziesz potrzebował więcej czasu. – Zmarszczył brwi, widząc mój elegancki garnitur i krawat. – Czy ktoś jest z tobą?

– Jestem sam. Chciałem zobaczyć to miejsce, zanim zostanie zniszczone. – Zadowolony, że jesteśmy razem, wyciągnęłam rękę, żeby uścisnąć mu dłoń, ale on odsunął się. – Richardzie, muszę z tobą porozmawiać.

– Oczywiście. Pomówimy później... – Nadal przeprowadzał inwentaryzację mojego wyglądu, potrząsając głową na widok kosztownej fryzury. – Zmieniłeś się, Davidzie. Kilka dni przyzwoitego życia wystarczy, żeby jakaś część duszy umarła. Jesteś pewien, że nikogo z tobą nie ma?

– Przyszedłem tutaj sam.

– Nikt do ciebie nie dzwonił? Kay Churchill? A co z Sally?

– Jest we Francji z kilkorgiem przyjaciół. Nie miałem od niej żadnych wieści. – Próbując oderwać go od słońca, powiedziałem: – Dziś rano odbędzie się tu szczególna wizytacja, na bardzo wysokim szczeblu – minister spraw wewnętrznych i towarzystwo z resortu. Rozmaici eksperci, którym się wydaje, że wiedzą, co zdarzyło się w Chelsea Marina.

– A co się zdarzyło? – Gould odwrócił się, żeby popatrzeć na ciche ulice osiedla, na dym nadal wydobywający się ze strawionych przez ogień domów przy Beaufort Avenue. – Wygląda to na eksperyment, który nie wypalił.

– Może i nie. Przynajmniej próbowaliśmy stworzyć coś pozytywnego, przełamać stare kategorie.

– Mówisz jak biegły. – Gouldowi kamień spadł z serca, cały pojaśniał. Uśmiechał się promiennie do mnie, jakbym znów stał się starym przyjacielem, i poklepywał mnie po plecach, gotów dzielić się wspomnieniami. – Teraz do mnie dotarło – jesteś z wycieczką z ministerstwa. To dlatego włożyłeś najlepszy garnitur. Kamuflaż... a ja myślałem, że się zmieniłeś.

– Zmieniłem się. – Postanowiłem być wobec niego uczciwy i powiedziałem: – To ty mnie zmieniłeś.

– To dobrze. Chciałeś się zmienić, Davidzie. Rozpaczliwie pragnąłeś zmiany.

– Masz rację. – Z nadzieją, że utrzymam jego uwagę, stanąłem między nim a słońcem. – Myślałem o tym, co mówiłeś. O twoich snach – o bombie na Heathrow, o zabójstwie w Hammersmith. To

głęboko ukryte potrzeby. Na swój sposób ja też je odczuwam. Mogę ci pomóc, Richardzie.

– Naprawdę? Możesz mi pomóc?

– Porozmawiamy o wszystkim. Może należałoby wrócić do szpitala psychiatrycznego w Bedfont.

– Do szpitala psychiatrycznego? Tam nie ma szpitala od pięćdziesięciu lat... – Rozczarowany moim przejęzieniem, Gould zdjął mi rękę z ramienia. Przyglądał mi się z roztargnieniem jak zmęczony lekarz pogotowia stojący twarzą w twarz z potencjalnie niebezpiecznym pacjentem. Nosił ten sam wytarty garnitur, który sam sobie uprasował, tak że mogłem policzyć równoległe zmarszczki na spodniach. Mimo przyjacielskiego przywitania był już mną znudzony, zwrócił wzrok na okulistyczne diagramy na ścianach salonu.

Próbowałem unikać przeprosin.

– Miałem na myśli tylko szpital. Skrzydło dla dzieci.

– Bedfont? Myślisz, że tam wszystko się zaczęło? Chciałbym, żeby to była prawda... – Spostrzegł krew na ręce, którą skaleczyłem sobie w domu Kay Churchill, i powiedział: – Musisz to oczyścić. W dzisiejszych czasach jest tyle nowych rodzajów zakażeń i nie wszystkie zawdzięczamy uprzejmości indyjskich linii lotniczych. Sprawdź, co jest w łazience.

Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Przechadzałem się po salonie pobieżnie przeszukanym przez policję. Książki i katalogi okulisty stały krzywo na półkach, a ciężkie, kwadratowe poduszki na kanapie leżały poprzewracane jak głazy. Dotknąłem niebieskiej płóciennej torby z emblematem policji miejskiej i wyczułem coś, co przypominało części rozmontowanej wędki.

Domyśliłem się, że Gould przyczał się w domu jakiegoś sympatyka w South Bank i wyobraziłem go sobie łowiącego ryby na kamienistej plaży, z pustym umysłem, zdolnym objąć morze. Wydawał się silniejszy fizycznie, nie był już tym bladym, unikającym kontaktu człowiekiem, który lewitował obok mnie w domu Kay. Marzenia o przemocy uspokoiły go.

Gould wślizgnął się przez drzwi sypialni.

– Umyj tę rękę, a ja się nią zajmę. Tam jest kilka ręczników i woda utleniona. Tyle tu wokół policji, że jeszcze sobie nie wiadomo co pomyślą.

Przeszedłem do zaciemnionej sypialni. Ciężkie welwetowe kotary zasłaniały okna, zaciemnienie, które pozwalało okuliście korzystać z części pokoju jako kabiny projekcyjnej. Kiedy przyzwyczailem się do mroku, spostrzegłem dwie kobiety siedzące po obu stronach podwójnego łóżka, plecami do siebie, jak postacie z obrazu Hoppera.

Odsłoniłem okno i jedna z kobiet wstała. W świetle poznałem Verę Blackburn. Nie miała makijażu, jakby postanowiła zdjąć z twarzy jak najwięcej rysów, wytrzeć wszelkie możliwe uczucia. Włosy związała w ścisły węzeł z tyłu głowy, który napinał skórę na jej czole i uwydatniał wystające kości policzkowe. Po raz pierwszy zobaczyłem w niej zmaltretowaną i ponurą nastolatkę, którą kiedyś była, gotową sterroryzować każdego strażnika bankowego czy kasjera, który zastąpiłby jej drogę.

– Vera? Muszę skorzystać z łazienki...

Przecisnęła się obok mnie bez słowa, ale wyczułem dziwny zapach emanujący z jej ciała, woń napięcia i strachu. Mocną ręką zamknęła za sobą drzwi, widziałem, jak klamka drży pod nerwową siłą jej dłoni.

Odciągnąłem drugą zasłonę i odwróciłem się do kobiety obserwującej mnie z łóżka jak prostytutka wynajęta dla bogatego klienta.

– Sally? Co tu robisz? Kochanie...?

– Cześć, Davidzie. Nie sądziliśmy, że przyjdiesz.

Siedziała obok poduszki z rękami skrzyżowanymi na podołku, z oczami opuszczonymi, żeby nie raziło jej światło. Wyszczotkowała sobie włosy, ale wyczułem w niej senność, gdy objąłem ją i pocałowałem w policzek. Oparła się o mnie biernie, jakby dopiero co wstała z łóżka i nie rozbudziła się do końca. Poczulem przyływ troski, to samo uczucie, które żywiłem za każdym razem, gdy wchodziłem do sali szpitalnej w St Mary's. Mimo wszystko cieszyło mnie, że znów ją widzę i że wkrótce na pewno będziemy razem.

– Sally, czy...?

– Dobrze się czuję. To o ciebie należy się martwić. – Zauważyła zranioną rękę i podniosła ją do światła, odczytując z niej nową linię życia wiodącą w moją przyszłość. – Zraniłeś się, biedaku. Przykro mi, Davidzie. Twoja rewolucja przegrała.

– Chelsea Marina to był tylko początek. – Usiadłem obok niej, ale ona siedziała sztywno, zaniepokojona bliskością męskiego ciała. – Próbowałem cię odszukać. W automatycznej sekretarce zostawiłaś wiadomość, że jesteś...

– Na wycieczce z przyjaciółmi? Sporo podróżuję, prawda? – Skrzywiła się. – Richard zaprosił mnie do swojej chatki przy szkole szybowcowej.

– Richard Gould? I ty pojechałaś?

– Dlaczego nie? To twój przyjaciel.

– No tak. Czy wszystko było...?

– Jest słodki i bardzo, bardzo dziwny. – Zapatrzyła się na swoje dłonie poplamione moją krwią. – Każdego popołudnia chodziliśmy do szkoły szybowcowej. Wczoraj poleciał sam. Ostatniego wieczoru mówił o swoim stosunku do Boga. To było trochę przerażające.

– Pewnie.

– Śmierć, przemoc – czy też tak widzisz Boga?

– Nie jestem pewien. Możliwe, że ma rację. Czy Vera Blackburn była z wami?

– Przyjeżdżała na weekendy. Znasz ją? Richarda lubię, ale ona jest dziwaczna.

– To ona robi nasze bomby dymne. To jej świat. Powiedz, dlaczego policja wpuściła cię do Chelsea Marina?

– Prowadziłam samochód, Richard był ubrany w biały kitel i powiedział, że jest moim lekarzem. Piękna, ułomna kobieta – nie mogli jej odmówić.

– Sally... – schwyciłem ją za rękę. – Jesteś piękna, ale nie jesteś ułomna. Zabiorę cię stąd do domu.

– Do domu? Tak, myślę, że nadal mamy dom. Byłam nieostrożna, Davidzie. Byłam nieostrożna w stosunku do wszystkich, ale szczególnie wobec ciebie. Ten wypadek w Lizbonie – wydawało się, jakby przekreślił wszystkie reguły i wydawało mi się, że wolno mi wszystko. Potem spotkałam Richarda i zobaczyłam, co to znaczy, kiedy naprawdę przekreśla się reguły. Należy odkryć zero. To właśnie robi Richard. Wymyśla zero, żeby nie bać się świata. On się bardzo boi. – Zdobyła się na mdły uśmiech i spostrzegła mój garnitur. – Ależ się ubrałeś, Davidzie. Jak za dawnych czasów. Musisz tu być z oficjalną delegacją.

– Ministra spraw wewnętrznych? Wiesz o wizycie.

– Dlatego tu jesteśmy.

– Vera Blackburn wie wszystko. Wszyscy ci biegli z ministerstwa powinni spotkać się

z Richardem, zamknąłby im usta na dobre. – Kropla krwi spadła z mojej ranki na jej kolano. Zlizwała ją, potem zamyśliła się nad smakiem. – Słona, Davidzie – zamieniasz się w rybę.

W łazience splukałem dłoni, patrząc, jak krew spływa do umywalki. Obok mnie stała szafka lekarska z zapasami leków, część wielkiego składu farmaceutyków, które byłyby w stanie zamienić Chelsea Marina w centralną giełdę narkotyczną zachodniego Londynu. Mieszkańcy mogli bronić narkotycznego Stalingradu ulica po ulicy, łącząc zasoby i doświadczenie. Woleli jednak rzucić ręcznik na ring i wyjechać do swoich domków w Cotswolds i Cairngorms.

Ale przynajmniej miałem teraz Sally. Imponowało mi, że tak szybko wydobyła się spod uroku Richarda, ale możliwe, że wzięła od niego to, co chciała, i postanowiła go rzucić. Gould przekonał ją, że wypadek w Lizbonie był bezsensowny i niewytłumaczalny – jej rany i cierpienie właśnie dzięki temu nabrały znaczenia. W końcu wolna od obsesji natychmiast pomyślała o swoim mężu. Wzruszało mnie, że przyjechała do Chelsea Marina, żeby mnie ratować.

– Dobrze, już chodźmy. Pożegnamy się z Richardem, Sally?

Czekałem, aż wstanie, ale ona oparła się o poduszkę i zaczęła głaskać narzutę, przyglądając się uważnie jej wzorom.

– Raczej nie. – Pokazała na drzwi. Silna ręka naciskała klamkę, sprawdzając zatrzask. – Zostaliśmy zamknięci. Musimy być ostrożni, Davidzie.

Popatrzyłem na zegarek, zdumiony, że tyle czasu już upłynęło. U wjazdu do Chelsea Marina policja zaczęła odsuwać zapory.

– Minister wkrótce tu będzie. Zjedzie się tłum policjantów. Richard i Vera Blackburn nie zostaną tutaj.

– Zostaną. Kochanie, nie zdajesz sobie sprawy z tego, co się dzieje. – Popatrzyła na mnie łagodnie jak żona, która czeka, aż mąż zrozumie, o co jej chodzi. – Richard jest niebezpieczny.

– Już nie. Ta faza minęła. Wszystkie te fantazje...

– To nie minęło. I to nie są fantazje. Richard dopiero zaczyna. Wiesz, że to on podłożył bombę na Heathrow?

– Powiedział ci to? Musiałaś się przestraszyć. – Próbowałem wziąć ją za rękę, ale odsunęła ją. – To nonsens. Tak jak z prezenterką w Hammersmith. Twierdzi, że ją zamordował. Na litość boską, czekałem w wozie na sąsiedniej ulicy. Spotkałem się z nim pięć minut później. Byłby umazany krwią.

– Nie. – Sally patrzyła na drzwi. – Naprawdę ją zastrzelił.

– To się nigdy nie wydarzyło. On tylko musi myśleć o przemocy, im bardziej bezsensownej, tym lepiej. Próbowałem mu pomóc.

– Pomogłeś. Teraz chce zabić więcej ludzi. Wczoraj pojechaliśmy na strzelnicę w pobliżu Hungerford. Siedziałam w samochodzie z Verą. Powiedziała mi, że jest świetnym strzelcem.

– Musi być z tego dumna. Mimo wszystko trudno w to uwierzyć. – Zostawiłem Sally i podszedłem do drzwi. Przycisnąłem głowę do drewnianej płyty. Salon zdawał się pusty, ciszę mącił kurant zegara nad kominkiem. – Sally... wspomniałaś Hungerford?

– To jest przy M4. Richard wynajął tam domek. Bardzo ładne miejsce. Tam chciałby dokonać swoich dni.

Gapilem się na drzwi, a syreny policyjne rozbrzmiewały na King's Road, pobudka dla tych, którzy śpią snem umarłych. Przypomniałem sobie, że ktoś inny dokonał swoich dni w Hungerford.

– O co chodzi?

Po dachu stapały czyjeś nogi, bezpośrednio nad moją głową, odgłos opalającego się człowieka, który kładzie się na macie. Albo strzelca wyborowego przygotowującego się do strzału. Hungerford? Młody pomylenieć o nazwisku Michael Ryan zastrzelił swoją matkę, a potem przeszedł przez wioskę, strzelając do przechodniów. Zabił szesnaścioro ludzi, wybierając ich na chybił trafił, podpalił dom rodzinny i zastrzelił się. Te morderstwa były pozbawione sensu, dreszcz głębokiego niepokoju wstrząsnął całym krajem, sprawiając, że na nowo zdefiniowano pojęcie „sąsiad”. Nikomu, nawet członkowi rodziny, nie można ufać. Narodził się nowy rodzaj przemocy, wynikającej z niczego. Po strzałach w Hungerford otchłań, z której wyłonił się Michael Ryan, zamknęła się wokół niego na zawsze.

– Sally...

Dwaj policyjni motocykliści jechali Beaufort Avenue. Zatrzymali się przy rondzie, ich radiostacje zaczęły trzeszczeć. Umundurowani posterunkowi szli chodnikiem, przyglądając się uważnie pustym domom.

– Co było w tej niebieskiej płóciennej torbie?

– Richard trzyma w niej oporządzenie do szybowca. – Sally wstała i przeszła wokół łóżka z wzrokiem wbitym w ślady moich butów na dywanie. – Myślisz...?

– A co z bronią? Czy to śrutówka, czy...?

Nie odpowiedziała. Przysłuchiwała się odgłosom z dachu nad naszymi głowami. Zdjąłem abażur z lampy stojącej przy drzwiach. Chwyciłem chromowaną nóżkę i wyrwałem wtyczkę z kontaktu.

– Nie... – Sally złapała mnie za ramię, zanim zdołałem uderzyć nóżką lampy w drzwi. – Tu będzie strzelanina.

– Oczywiście. Cel pozbawiony sensu, jak liberalny minister spraw wewnętrznych...

– Albo ty! – Próbowała wyrwać mi nóżkę lampy z ręk. – Richard wiedział, że przyjdiesz.

– Nie zabije mnie. Lubię go. Jaki miałoby to sens?

Pytanie zamarło mi na ustach. Kawalkada oficjalnych limuzyn wjeżdżała do Chelsea Marina, czarne sedany z rządowych garaży. Jechali powoli wzdłuż Beaufort Avenue, pasażerowie gapili się w milczące okna i na podarte transparenty. Za minutę procesja dotrze do Cadogan Circle, potem skreśli w lewo pod oknami, z których patrzyłem.

Spróbowałem odepchnąć ją od drzwi.

– Jeśli znajdą nas tutaj...

– Pomyślą, że jesteśmy więźniami. Będziemy bezpieczni, Davidzie.

– Nie. – Szarpałem się z klamką. – Jestem to winien Richardowi.

Puściła nóżkę lampy i cofnęła się, patrząc na mnie ze znużoną cierpliwością, gdy dźgałem płycinę drzwi. Sięgnęła do kieszeni na piersi koszuli. Na jej otwartej dłoni leżał klucz.

– Kto zamknął drzwi?

– Ja. – Patrzyła mi prosto w twarz niezażenowana swoim podstępem. – Próbuję cię ochronić. Dlatego pojechałam z Richardem do Hungerford. Jestem twoją żoną, Davidzie.

– Pamiętam o tym. – Wepchnąłem klucz w zamek. – Muszę ostrzec Richarda. Jeśli ochroniarze zobaczą go z karabinem, zastrzelą go. To może być kolejna fantazja, jakaś obsesja z tym Hungerford...

Zrezygnowana pocierała obtarte kostki. Odwróciła się do okna.

– Posłuchaj, Davidzie...

Kawalkada zatrzymała się na Beaufort Avenue. Minister i dwóch wyższych urzędników wyłoniło się z limuzyny. Dołączyli do nich eksperci z innych samochodów. Stali w grupce na chodniku i patrzyli na pierwszy ze strawionych przez ogień domów, jakby jego zwęglony szczyt miał im objawić prawdę o rebelii. Wymieniano poważne słowa, głowy mądrze potakiwały. Ekipa telewizyjna filmowała to wydarzenie, a dziennikarz czekał z mikrofonem w ręku, żeby zacząć zadawać pytania ministrowi.

– Co się dzieje? – Sally wzięła mnie za ramię, przygryzała wargi. – Co oni robią?

– Te samochody dziwnie wyglądają...

Spoza stojącej kawalkady błysnęły reflektory. Policjant na motorze, patrolujący Beaufort Avenue, zatrzymał się pośrodku drogi i zablokował przejazd zakurzonemu volvo mozolącemu się pod bagażami przywiązanymi na dachu. Kobieta za kierownicą pchała się dalej, zmuszono ją do zatrzymania się przy limuzynie ministra. Za volvo trzy kolejne samochody, równie zmaltratowane, przepychały się przez bramę. Zauważyłem, jak płowowłosa mężczyzna w sportowej kurtce w kratkę każe odstąpić policji, która próbowała je zatrzymać. Major Tulloch, jak zwykle, korzystał z okazji.

– Kto to jest, ci ludzie w starych samochodach?

– Chyba wiem...

– Skwaterzy? Wyglądają na hippisów.

– To nie są skwaterzy. Ani hippisi.

Minister spraw wewnętrznych też spostrzegł nowo przybyłych. Urzędnicy i eksperci odwrócili się plecami do spalonego domu. Czujny inspektor policji przekazywał wiadomość od kobiety w volvo, a minister, któremu najwyraźniej ulżyło, przez moment stał na palcach. Zerknął w kamerę i skinieniem ręki kazał motocyklistom zjechać na bok. Uniósł ramiona, jakby kierował ruchem, i machał, żeby samochód jechał dalej.

– Kim są ci ludzie? Czy to bezdomni?

– Na swój sposób. To mieszkańcy tego osiedla. Oni tu mieszkają. Ludzie z Chelsea Marina wracają do domu.

Patrzyłem, jak volvo ruszyło Beaufort Avenue. Za nim jechał konwój samochodów, pokrytych kurzem, wyładowanych psami i dziećmi, z połamanymi lusterkami bocznymi przylepionymi taśmą do słupków okiennych, z karoserią powgniataną po wielu kilometrach górskiej włości. Domyśliłem się, że grupa, która zwiedzała Szkocję albo West Country – południowo-zachodnią część Anglii – odbyła tajną naradę przy ognisku i postanowiła wrócić do domu, spodziewając się zapewne, że wizyta ministra zapowiada rychły najazd buldożerów.

Minister, uśmiechając się radośnie, wszedł do limuzyny. Machał do powracających, którzy w odpowiedzi naciskali klaksony, a wielki pies poszczekiwał z otwartej tylnej kłapy samochodu.

W hałasie rozbrzmiewającym wokół Cadogan Circle prawie nie usłyszałem odgłosu wystrzału z dachu. Samochód ministra zahamował ostro, przednia szyba rozgwieździła się płatkami mrożonego szkła. Na chwilę zapadła cisza, a potem policjanci i eksperci rozbiegli się, szukając schronienia za samochodami, kucając pod ścianami pustych domów.

Na niebie nad Tamizą pojawił się helikopter, jego reflektor omiatał dachy osiedla. Czekałem na drugi strzał, ale powracające rodziny rozproszyły snajpera, co prawie na pewno uratowało ministra. Oslaniając go własnymi ciałami, członkowie ochrony wyciągnęli go z limuzyny i zaciągnęli po chodniku do drzwi najbliższego domu.

– Sally... – Przycisnąłem ją do siebie, czułem jak jej serce bije, choć raz, w rytm mojego serca. Usłyszałem, jak na dachu przebiegły czyjeś stopy, z helikoptera zagrzmiął głośnik, ostrzeżenie utonęło w ryku syren i silników motocykli.

– Davidzie, czekaj! – Chwyła mnie za ramię, żona głupiego męża, dochodzącego powoli do rozsądku. – Niech policja go złapie.

– Masz rację. Będę ostrożny. Muszę być...

Patrzyła, jak otwieram drzwi sypialni. Salon był pusty. Mój laptop leżał na kanapie, ale niebieska płócienna torba zniknęła wraz z Richardem Gouldem. Uspokajającym gestem zatrzymałem Sally, wyszedłem z mieszkania i przeszedłem przez korytarz. Zbiegłem po schodach, mijając puste piętra i otwarte drzwi. Dopadłem holu przy drzwiach wejściowych, gdy helikopter obniżał lot nad Cadogan Circle.

Przez tornado hałasu usłyszałem dwa krótkie odgłosy wystrzałów w podziemnym garażu.

34. Zadanie wypełnione

Cienie pędziły po ścianach piwnicy, jak kinetyczne murale w jakiejś obłąkanej galerii. Popchnąłem drzwi przeciwpożarowe i stanąłem na cementowej podłodze. Helikopter lądował na podwórku za blokiem, przez otwarte drzwi rampy wjazdowej widziałem jego śmigło ogonowe.

W garażu stał tylko jeden samochód, zaadaptowany saab Sally, schowany za rzędem kontenerów na śmieci obok zsypu.

Gdy szedłem, cienie łopat helikoptera biegingy do tyłu, gwałtownie skręcały i wracały, żeby mnie wyprzedzić. Stanąłem przy oświetlonym reflektorem helikoptera saabie, nieomal ogłuszony wibracjami betonu.

W białym, oślepiającym świetle zobaczyłem mężczyznę skulonego za kierownicą wozu, jego lewe ramię spoczywało na dźwigniach hamulca i gazu. Prawe zwisało przez okno, jakby chciał zasygnalizować nagły skręt. Za nim, na tylnym siedzeniu leżała kobieta z czołem opartym o zgięcie łokcia.

Gould i Vera Blackburn zginęli razem, w samochodzie. Vera leżała twarzą w dół na szkockim pledzie, wąska spódnica eksponowała jej cienkie, dziewczęce nogi. Strzelono jej w plecy, a krew zbierała się w załamaniach lakierowanej skórzanej kurtki i skapywała na gumowy dywanik na podłodze samochodu. W swoich ostatnich chwilach uczepiła się oburącz pledu, zdzierając paznokcie.

Richard Gould siedział na fotelu z przodu z pojedynczą dziurą od pocisku w białej koszuli. Wilgotny ślad wlotu kuli, prawie bezbarwny w jaskrawym świetle lądującego helikoptera, wyglądał jak rozetka przypięta do piersi dzielnego, ubogiego cywila, ubranego w swój jedyny garnitur. Dotknąłem jego dłoni i poczułem skórę, cieplejszą teraz niż za życia. Dostrzegłem wystrzępiony kołnierzyk i prymitywne ścięgi, którymi próbował go naprawić.

Wziąłem go po raz ostatni za rękę i włożyłem ją do samochodu. Krew odpłynęła mu z twarzy i wyglądał o całe lata młodziej niż ten stroskany lekarz, którego znałem. Ale jego nierówne zęby były jak zdemaskowane oszustwo, tania stomatologia odsłonięta w najszczerzym grymasie. Richard Gould do samego końca ukrywał myśli, ale odsłaniał rany.

Siedział między dźwigniami układu sterowania dla inwalidy, drobne biodra wykręcił, próbując uniknąć kuli. Lewa ręka bawiła się dźwignią hamulca, a kolana uwięzły między metalowymi łącznikami pod kierownicą. Gdy umierał, jego ciało wygięło się, przyjmując rozpaczliwą geometrię odzwierciedlającą myśli, oddając doktora upośledzonym dzieciom i nastolatkom z zespołem Downa, jego prawdziwym towarzyszom.

Próbowałem spojrzeć mu w oczy, ale gapiłem się w kredowobiałą twarz, teraz równie bezbarwną i nietkniętą przez świat jak u autystycznego dziecka. Oczy utkwiał w drżącym wskaźniku obrotów. Zdałem sobie sprawę, że silnik saaba jest włączony, a spaliny rozpędził helikopter. Odciągnąłem rękę Goulda od stacyjki i wyłączyłem silnik, jakbym wyłączał respirator na oddziale

intensywnej opieki medycznej.

Garaż wypełniony był ciężkim łopotem śmigła helikoptera. Ogłuszony hukiem podniosłem wzrok i spojrzałem na wysokiego mężczyznę w motocyklowych skórach, stojącego między samochodem a pojemnikami na śmieci. Jego twarz ukryta była za przyłbicą hełmu, jak za oknem poprzecinanym obracającymi się cieniami, które teraz, gdy helikopter wylądował, przesuwały się wolniej. Mężczyzna miał koloratkę, i jakoś uznałem, że przyjechał na harleyu, żeby udzielić ostatniego namaszczenia zmarłej parze.

W rękę trzymał ciężki krucyfiks, wyrzeźbiony z czarnego, wypolerowanego kamienia, wyciągał go do mnie, jakby to stanowiło jakieś wyjaśnienie śmierci tych dwojga. Potem światło helikoptera znikło z garażu, żeby paść na okna parteru i zobaczyłem, że krucyfiks był pistoletem automatycznym.

– Dexter! – odstępiałem od Goulda i obszedłem samochód. – Znalazłeś pistolet? Myślę, że się zastrzelili. Albo...

Twarz Dextera wyłoniła się z półcienia, blada jak ból, tak pozbawiona wyrazu, że byłem pewien, jak spędził ostatnie miesiące: pozbywał się wszelkich uczuć, koncentrując umysł na jedynym zadaniu, które sobie postawił. Patrzył na mnie łagodnie, ledwie świadom obecności ciał Goulda i Very Blackburn, potem jego wzrok zwrócił się ku helikopterowi, który widzieliśmy przez świetliki. Celując we mnie z pistoletu, obserwował światło w ten sam sposób, jak Gould patrzył na słońce przez gałęzie drzew w parku.

– Uciekaj stąd, Stephen. – Próbowałem zejść z linii strzału. – Uciekaj. Policjanci są uzbrojeni...

Pastor zatrzymał się, sprawdził twardość cementowej podłogi okutym czubkiem buta, nasłuchiwał cichnącego silnika helikoptera i krzyków ochrony. Podniósł przyłbicę i przeszedł wokół samochodu z pistoletem w dłoni. Wiedziałem, że zawsze widział we mnie głównego wspólnika Goulda, że chce mnie zastrzelić. Cofnąłem się do wozu i otworzyłem drzwi, gotów dołączyć do Goulda leżącego na dźwigniach.

Ale Dexter wcisnął mi pistolet w rękę. Dotarł do mnie ostry zapach jego ubrania, ten sam odór strachu, który czułem na własnej skórze po podpaleniu Filmoteki Narodowej. Chwyciłem pistolet, zaskoczony ciepłem metalu, który zdawał się pulsować jak serce. Kiedy podniosłem wzrok, Dexter wycofał się już w cień za pojemnikami na śmieci. Wyszedł przez stalowe drzwi służbowe prowadzące do kotłowni i mieszkania dozorca. Wskazał na mnie ręką, jak instruktor na strzelnicy, zachęcający nowicjusza, zamknął drzwi za sobą i oddalił się, niknąc w innym czasie i przestrzeni. Zadanie, które wyznaczył sobie wiele miesięcy temu, na Heathrow, wreszcie zostało wypełnione.

Czekałem przy samochodzie z pistoletem w dłoni, patrząc, jak wszelki wyraz niknie z twarzy Goulda. Pozbywałem się wspomnień o młodym lekarzu, patrzącym surowo na niewytłumaczalny świat, ale myślałem o Stephenie Dexterze, o tych kilku sekundach, kiedy podnosił przyłbicę. Zobaczyłem wtedy gniew i przekonanie, że wrócił do powołania, od którego odszedł pod biczami oprawców, a potem szukał go w osiedlu na zachodzie Londynu, zachęcany do tego przez przepełnionego poczuciem winy pozbawionego praw do wykonywania zawodu lekarza.

Pierwsi policjanci wkraczali do garażu. Inspektor dał znak dwóm uzbrojonym funkcjonariuszom, a oni wycelowali broń w moją pierś. Krzyknął coś do mnie, ale jego głos utonął w dźwięku klaksonów naciskanych przez mieszkańców, zniecierpliwionych, że jeszcze nie mogą wrócić do domów.

Potem przysadzisty mężczyzna w policyjnym mundurze polowym wyprzedził ich i podszedł do

saaba, jego płowe włosy powiewały w prądzie powietrza wytworzonym przez helikopter.

– Pan Markham? Wezmę to... – Major Tulloch schwycił mnie za ramię poplamioną tytoniem dłonią i popchnął mnie na samochód. – Lepiej pan strzela, niż myślałem..

Oddałem mu pistolet i wskazałem na Richarda Goullda, rozciągniętego między manetkami jak pilot po wypadku.

– Chciał zabić moją żonę. I ministra spraw wewnętrznych.

– Rozumiem. – Major Tulloch obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głów, jak zwykle nieporuszony i pełen dystansu. Zajrzał do saaba i sprawdził ciała, czy nie ma przy nich jakiejś broni, a potem pobieźnie poszukał pulsu.

Policjanci wypełnili teraz piwnicę, ekipa kryminalistyczna rozkładała swój sprzęt i aparaty fotograficzne, taśmy, białe kitle. Sally czekała przy drzwiach przeciwpożarowych, twarz miała spiętą, a włosy wzburzone, ale postanowiła stać o własnych siłach. Obok niej tkwił wyczekująco Henry Kendall, kiwał głową do milczącego sierżanta, wśród tyłu uzbrojonych policjantów wyglądał nieomal beztrąsko. Wziął Sally za ramię, chcąc ją uspokoić, ale ona odepchnęła go i poszła w moją stronę. Dzielnie uśmiechnęła się, mimo całego zgiełku, i zrobiła gest mokrym laptopem, który zabrała z mieszkania. Patrzyłem na nią z dumą i wiedziałem, że wszystko będzie dobrze.

Major Tulloch rzucał zwięzłe zdania w krótkofalówkę. Identyfikacja została dokonana. Oddając mnie pod opiekę inspektora, powiedział:

– Panie Markham, zbyt wiele pan ryzykował. Niech pan choć raz spróbuje pożyć spokojnie...

Na zewnątrz powietrze wypełniał hałaśliwy karnawał głośniejszy od silników helikoptera, ryczące klaksony mieszczan wracających do Chelsea Marina.

35. Słońce bez cieni

Zegary zatrzymały się, czekały, aż czas je dogoni. Kalendarze przewinęły się wstecz, do spokojniejszych miesięcy przed tym latem. Sally i ja podjęliśmy znowu ciche życie w St John's Wood, a mieszkańcy Chelsea Marina wracali do osiedla. W ciągu tygodnia jedna trzecia mieszkańców zajęła swoje stare domy, a po dwóch miesiącach przybyli prawie wszyscy. Rady Kensington i Chelsea, obawiając się skutków, jakie rewolucja społeczna mogłaby wyrzucić na cenach nieruchomości, skierowały armię robotników do osiedla. Odholowali spalone samochody, wyasfaltowali ulice i naprawili uszkodzone domy. Nieliczni turyści i historycy społeczni stwierdzili, że nic się nie zmieniło.

Pieniądze, jak zwykle trwalsze od asfaltu, pomogły załatać dziury w jezdniach. Przyjazne negocjacje ze spółką zarządzającą zakończyły się obietnicą finansowej zachęty ze strony rady. W zamian, spółka obiecała odroczyć wzrost opłat za utrzymanie, które stały się zarzewiem rewolucji. Zaniepokojenie opinii publicznej, że niżej płatni pracownicy zostaną wypchnięci z londyńskiego rynku nieruchomości ze względu na zawyżone ceny, sprawiło, że odłożono na półkę wszelkie plany budowy luksusowego kompleksu mieszkalnego. W profesjonalistach z klasy średniej, zamieszkujących Chelsea Marina, widziano teraz, podobnie jak w pielęgniarzach, kierowcach autobusów i strażnikach parkingowych, słabo opłacaną, ale istotną warstwę wielkomiejskiego życia. Ten sąd, powtarzany przez zadowolonego ministra spraw wewnętrznych w licznych wywiadach telewizyjnych, był potwierdzeniem żywionego przez mieszkańców od początku rozruchów przekonania, że stali się nowym proletariatem.

Minister, który przeżył zamach dokonany przez obłąkanego pediatrę, wielkodusznie namawiał do zaniechania postępowań karnych o podpalenie, napaść czy naruszenie porządku publicznego wobec mieszkańców osiedla. Ataki na Filmotekę Narodową, galerię Tatę, posąg Piotrusia Pana, liczne biura podróży i wypożyczalnie wideo zostały wyciszone i zapomniane. Zamach bombowy na Heathrow przypisano niezidentyfikowanemu ekstremistom z al Kaidy.

Spośród mieszkańców tylko Kay Churchill została skazana na krótki areszt za to, że ugryzła sierżant Angelę, gdy ta próbowała powstrzymać ją przed podpaleniem własnego domu. Była wykładowczyni teorii filmu odsiedziała dwa miesiące w Holloway i w triumfie wróciła do osiedla. Jej agent postarał się o pokaźne zaliczki na książkę o rewolucji i Kay powoli stawała się wziętą publicystką i telewizyjnym guru.

Stephen Dexter potajemnie opuścił kraj i zamieszkał spokojnie w Irlandii. Wkrótce wyemigrował na Tasmanię. Odzyskał wiarę i został proboszczem w miasteczku oddalonym o sto kilometrów od Hobart. Na pocztówce, którą mi przysłał, stał przystojny i zamyślony, przy odremontowanym samolocie, parkującym w stodole za plebanią. Pisał, że zaczął budować pas startowy i oczyścił pięćdziesiąt metrów kamienistego buszu.

Ja wróciłem do Instytutu Adlera i znów objąłem swoje stanowisko, jako jedyny członek zespołu, któremu w gniewie zdarzyło się wypalić z pistoletu. Wielu moich kolegów szkodziło pacjentom, aleja swojego zabiłem. Henry powiedział mi, że z powodzeniem mógłbym zostać następnym dyrektorem instytutu.

Mocno wątpię, żeby major Tulloch, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych czy Scotland Yard wierzyli, że to ja zastrzeliłem doktora Goulda i Verę Blackburn. Bardzo się starali, żeby nie przesłuchiwać mnie zbyt dokładnie i nie poddali moich rąk próbie parafinowej. Ale spekulacje mediów są w dzisiejszych czasach tygłem, w którym pichci się prawdę do przyjęcia i to ja jestem powszechnie uznawany za człowieka, który oszczędził ministrowi spraw wewnętrznych drugiej kuli.

Sally zeznała, że ją uratowałem. Podczas dochodzenia potwierdziła, że Richard Gould porwał ją, a potem zwabił mnie do Chelsea Marina z zamiarem zabicia nas obojga. To mogła być prawda, ale wolę myśleć, że Sally uratowała mnie, zamykając w sypialni, zanim zdołałem pobiec na dach, za Gouldem.

Małżeństwa żywią się małymi mitami, a ten zbliżył nas, odwracając role pacjenta i opiekuna, które prześladowały nas we wczesnych latach pożycia. Sally wyrzuciła laski i kupiła sobie nowy samochód, stając się oddaną i upartą żoną. Gdy grywaliśmy w brydża z Henrym Kendallem i jego narzeczoną, widziałem, jak Sally patrzy na niego zdziwionym wzrokiem kobiety, która nie może uwierzyć, że kiedykolwiek zdecydowała się zostać jego kochanką.

Policja wydała jej starego saaba dwa miesiące po zakończeniu dochodzenia. Ekipa kryminalistyczna zakończyła pracę i ku memu zdziwieniu nie pofatygowała się, żeby oczyścić wóz. Plamy krwi nadal widniały na tylnych i przednich siedzeniach, a odciski palców Goulda pokrywały całe wnętrze, upiorne zawijasy, ostatni znak niesamowitej kontroli, jaką sprawował nad światem.

Saab stoi w garażu przy domu mojej matki w High Barnet. Po jej śmierci mój prawnik namawiał mnie, żebym sprzedał dom, ale wołałem go zachować jako świątynię zarówno samolubnej natury matki, jak i znacznie silniejszego i bardziej destruktywnego umysłu, który wywarł na mnie nieporównywalnie większy wpływ.

Sally zaklina się, że dom w Barnet nawiedzają duchy i nie chce odwiedzać zakurzonych pokoi z fotografiami w ramach, przedstawiającymi zapomniane nocne kluby i antynuklearne wiece. Aleja zaglądam tam raz w miesiącu i sprawdzam sufity i dach. Zanim odjadę, idę do garażu i patrzę na saaba z układem kierowniczym, który zdawał się zaprojektowany tak, jak dzieci z uszkodzonym mózgiem, dla równoległego świata, do którego Gould usilnie pragnął się przenieść.

Zaakceptowałem teraz fakt, że to Richard podłożył bombę, która zabiła Laurę na Heathrow. Prawie na pewno zastrzelił gwiazdę telewizyjną, której nazwiska nie był w stanie sobie przypomnieć, a wybrał ją dlatego że była jednocześnie sławna i kompletnie mierna, więc jej śmierć byłaby prawdziwie bezsensowna. Marzenie o Hungerford mogło go popchnąć do popełnienia jeszcze straszliwszych zbrodni.

Na swój rozpaczliwy i psychopatyczny sposób miał szlachetne motywy. Próbował odnaleźć sens w pozbawionych sensu czasach, był pierwszym z nowego, zdesperowanego gatunku ludzi, którzy odmawiają zginania karku przed arogancją bytu i tyranią czasoprzestrzeni. Uważał, że działania całkowicie pozbawione sensu pobiją wszechświat jego własną bronią. Przegrał i musiał zająć miejsce w szeregu innych odmieńców, seryjnych zabójców z boisk szkolnych i bibliotek, którzy popełniali okropne zbrodnie, żeby ponownie nadać światu świętość.

Nawet jednak Chelsea Marina dowodziła racji Goulda. Szybko się zorientował, że ta rewolucja

jest skazana na klęskę od samego początku. Natura wyhodowała klasę średnią w potulności, cnocie, a zarazem obywatelskim zaangażowaniu. W samych jej genach zakodowana była zatem sprzeczność. Ale mimo to mieszkańcy uwolnili się z własnych oków i rozpoczęli rewolucję, chociaż teraz pamięta się ich tylko w związku z wysadzeniem w powietrze posągu Piotrusia Pana w Ogrodach Kensingtonskich.

Tajemnica pozostała tajemnicą. Dlaczego mieszkańcy, kiedy osiągnęli już tyle, powrócili do Chelsea Marina? Nikt nie był w stanie wyjaśnić ich zaskakującego zachowania, a najmniej oni sami. Pracownicy społeczni, psychologowie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i doświadczeni dziennikarze miesiącami krążyli po osiedlu, próbując zrozumieć, dlaczego mieszkańcy odwołali emigrację. Nikt z Chelsea Marina, z kim rozmawiałem, nie potrafił wyjaśnić, czemu wrócił. Wszyscy zaczęli wyrażać się dziwnie ogólnikowo, gdy tylko poruszało się ten temat.

Czy od początku wiedzieli, że protest skazany jest na klęskę i że jego bezsens jest jedynym jego usprawiedliwieniem? Wiedzieli, że rewolta pod wieloma względami jest równie bezsensowna jak akt terroru, jak pożar w Filmotece Narodowej. Tylko skracając wygnanie i wracając do osiedla, mogli dać jasno do zrozumienia, że ich rewolucja nie miała sensu, że ofiary były absurdalne, a zyski nieistotne. Heroiczna porażka zamieniła się w sukces. Chelsea Marina stała się wzorem dla protestów społecznych przyszłości, bezsensownych powstań zbrojnych i skazanych na zagładę rewolucji. Przemoc, jak powiedział kiedyś Richard Gould, zawsze powinna być nieuzasadniona. Żadna rozsądna rewolucja nie osiągnie swoich celów.

Poprzedniego wieczoru Sally i ja spotkaliśmy się z przyjaciółmi w restauracji przy King's Road, niedaleko Chelsea Marina. Potem przeszliśmy przez bramę, obok dawnego biura administracji, które jest teraz biurem porad dla mieszkańców. Wydział księgowania i płatności, końcówki liczników spisujących zużycie gazu, wody i elektryczności przez mieszkańców, zniknęły z pola widzenia, przeniesiono je do przybudówki na tyłach. W oknie retuszowana fotografia lotnicza przedstawia Chelsea Marina jako miejsce niemal millenijnego uroku, o ulicach wolnych od przestępstw i wzrastającej bez końca cenie nieruchomości.

Szczęśliwi, że jesteśmy razem, przeszliśmy się z Sally wzdłuż Beaufort Avenue. Odbywało się tu kilka przyjęć. Nastolatki w bryczesach po lekcjach jazdy konnej flirtowały przy rodzinnych jeepach i land-roverach, drażniąc dobrze wychowanych chłopców, noszących się na czarno wedle ostatniego krzyku młodzieżowej mody.

– Bardzo tu przyjemnie. – Sally oparła się wygodnie o moje ramię. – Musi się tu fajnie mieszkać.

– Owszem. Zbudowali klub sportowy i powiększyli przystań. Jest prawie wszystko, czego można zapragnąć.

– Widzę. A właściwie przeciwko czemu się zbuntowali?

– Hm... mógłbym napisać o tym książkę.

Ale myślałem o innym czasie, gdy Chelsea Marina była miejscem prawdziwej obietnicy, gdy młody pediatra namówił mieszkańców do stworzenia jedynej w swoim rodzaju republiki, miasta bez znaków drogowych, praw bez kar, wydarzeń bez znaczenia, słońca bez cieni.